

KAMIENICA POD IRYSAMI

# NIESPOKOJNE LATA

WIKTORIA GISCHE

MANDO



# NIESPOKOJNE LATA

WIKTORIA GISCHE

MANDO

## Rozdział 1

Sarny stojące przy paśniku zastrzygły uszami. Zaczęły nerwowo wciągać powietrze, ich nozdrza wylapywały obce zapachy napływające z zimnym podmuchem wiatru. Małe kozły przylgnęły do matek, wyczuwając ich napięcie i gotowość do ucieczki. Kłęby pary tworzyły się nad ich głowami z każdym wypuszczonym oddechem. Serca zaczęły bić szybciej. Kopyta raz za razem uderzały o zmarzniętą ziemię. Stado czekało na znak przewodnika. Trzask złamanej gałązki sprawił, że puściło się biegiem, zostawiając za sobą smakowite siano wypełniające koryto paśnika.

Chwilę później pośród drzew pojawili się dwaj zakapturzeni mężczyźni. Szli wolno, rozglądając się to tu, to tam. Patrzyli nie tylko na prawo i lewo, ale także w górę, taksując badawczym wzrokiem gęsto rosnące choinki.

– Ta będzie dobra – odezwał się jeden z nich, pocierając czubek nosa. Ciepło grubej rękawicy, w której schował marznącą dłoń, rozgrzało na chwilę zaczerwienione zziębnięte miejsce. – Chodzimy ponad dwie godziny. W końcu wszystkie wyglądają tak samo.

– Hrabia powiedział, że ma być urokliwa. – Drugi mężczyzna, nie zwalnając kroku, parł przed siebie. Tylko szybki marsz rozgrzewał ciało i sztywniejące palce u nóg. Żałował, że nie posłuchał matki, która radziła włożyć do butów zużyte gazety.

– Urokliwa, powiadasz? A co to znaczy urokliwa? – Pierwszy nie dawał za wygraną. Przystanął. Nie ruszył za swoim kompanem nawet wtedy, kiedy odległość między nimi znacznie się zwiększyła.

– Urokliwa to uro... – Młodszy mężczyzna przerwał w pół słowa, zdając sobie sprawę, że mówi do siebie. – Idziesz?! – krzyknął.

– Ta będzie dobra! – odpowiedział kolega, wskazując na drzewko obok siebie.

Miał rację. Wszystkie tutejsze choinki były urokliwe. I te małe, i te średnie, nie mówiąc już o dużych, przy których trzeba było zadzierać głowę, aby dojrzeć wierzchołek. Były grube i równomierne, z prostym końcem, który aż się prosił, żeby zawiesić na nim bożonarodzeniowego anioła. Jego towarzysz westchnął głośno. Wzruszył ramionami i zawrócił. Idąc w stronę choinki, ważył w dłoni ciężką siekierę.

Hrabia wezwał ich dzisiaj do siebie i polecił znaleźć drzewko, które jutro z samego rana, na dzień przed Wigilią, należało dostarczyć do Krakowa, do niejakiego Schramma, znajomego Michałowskiego. Miał to być prezent, a jednocześnie wyraz wdzięczności za doskonałe usługi, jakie oferował Schramm, właściciel znanego banku o nienagannej opinii.

\*\*\*

– Choinka! Mamo, tato, choinka! – Stefania wyskoczyła z łóżka, chociaż dochodziła dopiero dziewiąta rano.

Było to do niej niepodobne, bo młodsza latorośl Schrammów lubiła wylegiwać się do późna, kompletnie nie zwracając uwagi na upomnienia, że czas już wstawać.

Kiedy jednak wczoraj wieczorem ojciec potwierdził, że jutro dostarczą im świeżą pachnącą choinkę w prezencie od jednego z klientów, Stefania nie mogła usiedzieć na miejscu, a wieczorem kręciła się w łóżku do późnych godzin nocnych, przeszkadzając swojej siostrze Eleonorze.

– A ty w ogóle spałaś? – zapytała Eleonora, kiedy Stefania minęła jej łóżko i pędem udała się do przedpokoju, skąd dochodziły tubalne głosy rozmawiających głośno mężczyzn, taszczących piękny, pachnący lasem świerk.

– Jak możesz leżeć w takiej chwili! – krzyknęła dziewczynka i już jej nie było.

Długie ciemne pasma włosów Stefanii, które pokojówka każdego wieczoru tuż przed snem zbierała w ciasny warkocz, wymykały się teraz swobodnie niczym wstążki chłostane na wietrze, powiewając za skaczącą z radości dziewczynką. Podskakując na szczupłych nóżkach i wywijając rękami, Stefania wpadła do salonu. Na widok precudnej urody drzewka jej duże niebieskie oczy zrobiły się jeszcze większe, a wąskie usta rozciągnęły się w szerokim uśmiechu.

– Wspaniała – westchnęła, siadając w wielkim fotelu.

Tymczasem Eleonora tylko uśmiechnęła się lekko i obróciła na drugi bok. Powieki miała ciężkie, oczy zachodziły jej łzami, a usta co chwila się rozciągały, chociaż starała się powstrzymać ziewanie. Nawet nie wiedziała, kiedy znowu zasnęła. Obudziła się przed południem i zamiast do śniadania, od razu zasiadła z resztą rodziny do obiadu.

Późnym popołudniem, kiedy na dworze było już zupełnie ciemno, Schramm z żoną i córkami zasiedli w salonie, podziwiając udekorowane, oświetlone blaskiem dziesiątek świec drzewko.

– Aż się nie chce wierzyć, że już jutro Wigilia – westchnęła Tekla Schramm, unosząc do ust filiżankę mocnej czarnej kawy.

Matka Eleonory i Stefanii jak zwykle ubrała się na czarno. Nosiła się tak od lat, czym wciąż podsycala plotki. Jedni uważali, że to z powodu jej niezdrowego zainteresowania zjawiskami nadprzyrodzonymi i uczestnictwa w seansach spirytystycznych. Inni, że Schrammowa w ten sposób podkreśla swoją alabastrową cerę, której zazdrościło jej wiele dam. Na tle bladych policzków, których nigdy nie wystawiała na działanie słońca, wyraźnie odcinały się duże ciemne oczy pod czarnymi niczym smoła brwiami. Wydatne kości policzkowe oraz mocno zarysowany podbródek nadawały jej twarzy wyraz swoistej szlachetności, chociaż kto poznał ją z charakteru, raczej nie nazwałby jej szlachetną z ducha. Zresztą plotkowano nie tylko na temat jej zamiłowania do czarnych, żałobnych strojów, ale także do zapachów. Niejedna pani domu zastanawiała się, czy tak jak w poprzednich latach Schramm podaruje żonie pod choinkę absurdalnie drogie perfumy sprowadzone prosto z najstarszej francuskiej manufaktury Houbigant. Swego czasu Tekla pochwaliła się znajomej, że do wytworzenia absolutu irysowego, który jest sercem jej ukochanych perfum, potrzeba aż półtorej tony kłaczy irysa.

Tekla zamknęła oczy, delektując się cynamonowym smakiem gorącej kawy. Pierwszy raz spróbowała tego trunku zaledwie kilka lat temu, kiedy wraz z mężem odwiedzali przyjaciół Jana w Wiedniu. Wcześniej mówiła kawie stanowcze „nie”, twierdząc, że nie będzie jej smakowała. Kiedy jednak podczas owej wizyty podano kawę, nie pytając gości o preferencje, zmuszona była jej skosztować. Pierwszy łyk sprawił, że mimo woli się skrzywiła. Kawa była czarna jak smoła i bardzo, ale to bardzo słodka, z wyczuwalną delikatną nutą cynamonu. Pierwsze nie najlepsze wrażenie sprawiło, że Tekla odstawiła filiżankę, ale widząc, że zarówno jej mężowi, jak i jego przyjacielom napój najwyraźniej smakuje, uniosła ją raz jeszcze do ust. Mały łyżeczek przytrzymała na języku nieco dłużej, pozwalając aromатовi rozpląnąć się w ustach. I od tamtej pory stała się miłośniczką świeżo mielonej, mocnej czarnej kawy z dużą ilością cukru i odrobiną cynamonu, względnie kardamonu.

– To prawda. Czas biegnie nieubłaganie. Wcale nie tak dawno witaliśmy Nowy Rok, a tu za kilka dni przyjdzie nam witać kolejny. Nie do wiary, że za parę dni pożegnamy pierwszą dekadę dwudziestego wieku. – Jan Schramm przyglądał się zawieszonym na choince pierniczkom, przełykając ślinę na myśl o ich korzennym aromacie i smaku. Na tyle dobrze znał jednak Teklę, żeby wiedzieć, że nie pozwoli ich ruszyć aż do drugiego lutego, kiedy to zazwyczaj ściągano świąteczne dekoracje.

– Baliśmy się, że ten rok będzie nieszczęśliwy. Wszelkie znaki na niebie i ziemi zapowiadały katastrofy, a tymczasem wszystko ułożyło się nad wyraz pomyślnie. Nie tylko dla nas, ale także dla naszego kraju.

Słowa Tekli przypomniały całej rodzinie, jak na początku roku podano do wiadomości, że w połowie stycznia pojawi się jasna, widoczna gołym okiem Wielka Kometa Styczniowa. Spektakl był tak nadzwyczajny, że mimo okrutnego w tym roku mrozu zgromadziło się mnóstwo ludzi chcących na własne oczy zobaczyć to kosmiczne чудо.

– Paryżanie mają w tej kwestii pewnie inne zdanie – wtrąciła Eleonora, spoglądając na matkę. Chciała jej tym samym przypomnieć, że niedługo po opuszczeniu przez kometę ziemskiej orbity w Paryżu doszło do powodzi. Wody Sekwany, chociaż nie było tak ulewnych deszczy, wezbrały i zalały nie tylko miasto, ale i paryskie metro.

– Faktycznie, całkiem o tym zapomniałam. Mówiło się nawet, że to dopiero początek kolejnych nieszczęść. – Tekla jak nigdy zgodziła się z córką. – Na szczęście tylko na tym się skończyło – dodała po chwili.

– Och, zapewniam cię, że byli i tacy, co uważali i nadal uważają, że nie było to jedyne

nieszczęście, jakie wówczas nawiedziło Europę. Jeden z moich klientów, notabene zacny człowiek, ale wyjątkowy konserwatysta, wpadł swego czasu do mnie do biura i zanim zaczęliśmy omawiać jego sprawy, wyzalił się, że na zjeździe kobiet socjalistek dzień ósmego marca ustanowiono Międzynarodowym Dniem Kobiet. Bardzo się tym denerwował. Był tak wzburzony, że i mnie się udzieliło jego rozgorączkowanie. Sam się sobie dziwiłem, bo to do mnie niepodobne, ale wdałem się z nim w dyskusję na temat ruchu sufrażystek.

– A cóż w nim złego? – zapytała Eleonora, która od dawna interesowała się wszystkim, co dotyczyło praw kobiet.

Wszystkie oczy zwróciły się w jej stronę. Eleonora, podobnie jak matka, miała włosy czarne niczym skrzydła kruka, gęste i długie, zebrane w modny kok. W szczupłej twarzy o ładnie zarysowanych kościach policzkowych i łagodnym podbródku z niewielkim dołeczkiem pośrodku szczególną uwagę zwracały duże migdałowe oczy o brązowych, szeroko teraz otwartych źrenicach. Policzki dziewczyny były lekko zaróżowione, ale nie był to efekt podekscytowania, który mogła wywołać prowadzona konwersacja, a jedynie wystawiania twarzy do słońca, ponieważ w przeciwieństwie do swojej rodzicielki i ku jej ogromnemu zgorszeniu Norcia, jak mówili do niej bliscy, uwielbiała, kiedy promienie tańczyły po jej policzkach.

– Ano nic, kochanie – odpowiedziała matka i chcąc uciąć drażliwy według niej temat, wspomniała o komecie Halleya, którą mieli okazję zobaczyć w połowie kwietnia.

– Kiedy znowu przyjdzie nam podziwiać coś takiego? Dwie komety w jednym roku. Niesamowite! – Ojciec uniósł nieco głos. Robił tak zawsze, kiedy coś szczególnie go zainteresowało.

– Niezwykle były też obchody pięćsetlecia bitwy pod Grunwaldem. – Eleonora zerknęła na rodziców. Wiedziała, że możliwość odzyskania niepodległości leży im na sercu, ale znała ich ostrożne, można by rzec zachowawcze, podejście do kwestii mieszania się w politykę na tyle dobrze, żeby wiedzieć, że sami raczej nie staną do walki, czy to jawnej, czy w ukryciu.

– Pomnik jest monumentalny. A wiecie, że ponoć powstawał w najgłębszej konspiracji? – Jan Schramm o dziwo nie uciął rozmowy, lecz mówiąc to, ściszył głos niemal do szeptu. – Nawet twórca szkiców nie wiedział o ich przeznaczeniu.

– Wciąż czuję radość na wspomnienie tego nieprzebranego morza ludzi, które przybyło do Krakowa. A pamiętacie te przemowy? Miałam łzy w oczach, kiedy mówił Paderewski. Cóż to za człowiek! – Tekla, wciąż stojąc przy choince, przycisnęła rękę do serca dla podkreślenia emocji, jakie wówczas nią targały.

– Nadal słyszę te ogłuszające brawa, kiedy Paderewski powiedział, że pomnik powstał nie z nienawiści, ale z miłości do ojczyzny. A kiedy chór śpiewał *Rotę*, płakałam jak bóbr, pamiętasz, mamu? – zapytała Eleonora.

– Mnie zawsze omijają najlepsze rzeczy – poskarżyła się Stefania, która wówczas została w domu pod okiem służby. Teraz siedziała w fotelu tuż obok starszej siostry. Dla podkreślenia niezadowolenia wyduła wargi.

– Nie rób tak, bo wyglądasz jak kaczką. Poza tym takie fochy nie przystoją trzynastolatce. – Po tych słowach Eleonora wychyliła się ze swojego miejsca i przejechała siostrze po ustach, udając, że na nich gra. Stefania pacnęła ją w rękę, ale zamiast się naburmuszyć, parsknęła śmiechem i odgryzła się:

– Tak samo jak twoje zachowanie nie pasuje do siedemnastolatki.

Przez chwilę w pokoju panowała cisza zmacona tylko miarowym tykaniem zegara oraz trzaskiem palącego się na kominku drewna.

– A jednak nie do końca ten rok był spokojny – zaczęła Eleonora. – Jak myślisz, tatusiu, co będzie ze sprawą studentów?

– Wuj mówił, że na razie uniwersytet pozostanie zamknięty do początku nowego roku. Profesorowie radzą nad karą dla wichrzycieli, ale ja uważam, że nie może być inna jak wydalenie. Nieważne, jakie mieli poglądy, lewicowe czy prawicowe, nie może być tak, żeby ucząca się młodzież bojkotowała wykłady profesorów. Skoro nie podobały im się tematy poruszane przez księdza Kazimierza



Zimmermanna, mogli go nie słuchać. Nikt ich siłą nie ciągnął do auli na, jak oni to nazwali? A właśnie, na „klerykalną agitaturę”. – Po słowach bankiera w salonie zapadła cisza.

Jan Schramm najwidoczniej nie zamierzał ciągnąć dyskusji, ponieważ sięgnął po gazetę, dając do zrozumienia, że nadeszła pora lektury „Ilustrowanego Kuriera Codziennego”, którego pierwszy numer ukazał się na początku grudnia, ale już zdążył się przyjąć w wielu krakowskich domach.

\*\*\*

Rodzinne pogaduszki przeciągnęły się do późna, dlatego Jan i Tekla położyli się dopiero po dwudziestej trzeciej. Kto znał ich zwyczaj, zdziwiłby się mocno, ponieważ Schrammowie należeli do tych ludzi, o których się mówi, że kładą się spać z kurami i z kurami wstają. I chociaż wczorajszy dzień znacznie się wydłużył, dziś rodzice Eleonory i Stefanii już od świtu byli na nogach.

Jan Schramm cierpliwie i z wielką starannością wiązał krawat, stojąc przed lustrem. Badawczym wzrokiem oceniał swój wygląd. Chociaż w ostatnim czasie przybyło mu nieco w pasie, wciąż był zadowolony ze swej figury. Najpewniej gdyby był niższy, zbędne kilogramy uwypukliłyby się mocniej, ale przy jego wysokim wzroście były ledwo zauważalne. Przyjrzał się jeszcze swoim gęstym włosom. W jasnobrązowych falach odnalazł kilka siwych pasemek. Przysunął się bliżej lustra i zerknął na starannie przycięty zarost. Przynajmniej tu nie zauważył siwizny. Raz jeszcze obejrzał się z każdej strony. Był perfekcjonistą, dlatego wszystko musiało na nim leżeć jak ulał. Potem sięgnął po wieszak, na którym wisiała wyprasowana wczoraj wieczorem kamizelka. Włożył ją na białą wykrochmaloną koszulę i ocenił efekt, przyglądając się sobie z kilku stron. Nie daj Boże, żeby coś gdzieś odstawało. Wreszcie zadowolony z tego, co widzi, włożył marynarkę. Płaszcz, ciepły szal, rękawiczki z miękkiej skórki oraz kapelusz zakupiony u Henryka Schwarza, którego magazyn główny mieścił się przy Grodzkiej 13, leżały w przedpokoju. Idąc w stronę stojących tam szafy oraz komody, uśmiechnął się pod wąsem na wspomnienie pewnej niedawnej rozmowy z szanowną małżonką.

– Czy nie mógłbyś poszukać innej pracowni, bardziej, by tak rzec, renomowanej? – spytała Tekla, przyglądając się ostatniemu zakupowi męża.

– A co jest złego w Schwarzu? – zapytał zdziwiony.

– Cóż, doskonale wiesz, że Potocki czy Lubomirski zaopatrują się w innych pracowniach. Zapewne o Schwarzu nawet nie słyszeli. – Wymawiając nazwę pracowni, Tekla skrzywiła się nieznacznie. Jan Schramm odłożył kapelusz i podszedł do żony, ujmując jej dłonie. Przez lata nauczył się cierpliwości. Drobne uszczypliwości Tekli już dawno przestały go denerwować.

– Moja droga, może Potocki i Czartoryski nie kupują kapeluszy u Schwarza, ale ja czuję się tam jak sam car, kiedy mnie obsługują, i wolę być carem u Schwarza niż pucybutem w pracowni, do której chadzają księżęta. – Ucałował jej dłonie, dając do zrozumienia, że zakończył rozmowę na temat zmiany kapelusznika.

Teraz przystanął przed ogromnym lustrem w ozdobnej pozłacanej ramie i rzucił okiem na swoje odbicie. Rozejrzał się, wyraźnie czegoś szukając.

– Szymonie! – zawołał.

– Służę. – Wysoki, chudy mężczyzna mniej więcej w wieku Schramma wyłonił się ze służbówki. W ręce trzymał jedną z marynarek bankiera, czyszcząc ją z niewidocznych pyłków.

– Widziałeś gdzieś dzisiejsze wydanie „Kuriera”? – Bankier miał zwyczaj przeglądać gazetę przed wyjściem z domu.

Szymon podszedł do komody, podniósł kapelusz oraz szal razem z rękawiczkami. Pod nimi spokojnie leżała gazeta.

– O, tego mi było trzeba – skwitował Schramm.

Przelatywał tytuły: „Krwawa scena w sądzie”. „Nadzwyczajne premie dla naszych prenumeratorów”. „Wielka katastrofa w kopalni”. „Rybak szpiegiem”. Chętnie zasiadłby do lektury, ale słysząc panujący w domu harmider, wolał usunąć się sprzed oczu Tekli. Już miał odłożyć gazetę, żeby poczytać ją spokojnie wieczorem, kiedy przypomniał sobie, że dziś Wigilia, a co za tym idzie, uroczysta kolacja. Wieczorem do stołu mieli zasiąść wraz z jego rodziną sami znamienici goście. Jan Schramm

dobral ich bardzo starannie. Zanim wysłał ręcznie malowane i kaligrafowane zaproszenia, zrobił listę. Grono zaproszonych zawęził do kilku najważniejszych osób, które miały albo mogły mieć w przyszłości wpływ na jego interesy. A zatem będzie dziś witał braci Zieleniewskich, którym swego czasu pożyczył znaczną sumę na budowę nowej, większej fabryki. To dzięki jego znajomościom, które Jan zadzierzgnął jeszcze podczas nauki bankowości w Niemczech, przedsiębiorcy otrzymali wsparcie pieniężne z wiedeńskiego banku Credit-Anstalt. Od tego czasu C.K. Fabryka Maszyn L. Zieleniewski Towarzystwo Akcyjne znacznie się rozrosła, przynosząc z roku na rok większe zyski. Jan Schramm starał się podtrzymywać znajomość, co zresztą nie było trudne, jako że bracia Leon i Edmund wciąż uważali, że mają wobec niego dług wdzięczności.

Zaproszenie otrzymała także Kazimiera Bujwidowa – wraz z mężem Odonem – którą chciał kiedyś nająć jako nauczycielkę dla swoich córek. Niestety, Tekla była temu wyraźnie przeciwna. Kiedy jej o tym powiedział, otworzyła szeroko oczy i wyrzucając ręce w górę, powiedziała:

– To pisarka i feministka. – Wypluła te słowa tak, jakby parzyły ją w język. – Na dodatek niewierząca. Nie zgadzam się, aby taka osoba uczyła nasze dziewczęta i mąciła im w głowach.

Adresując kopertę, Jan najchętniej przemilczałby sprawę z zaproszeniem dla Kazimiery, ale nie chciał zaskakiwać żony. Tekla bywała czasami nieprzewidywalna, a nie chciał, aby spokojna wigilijna wieczerza zamieniła się w skandal, o którym będzie rozprawiać cały Kraków, dlatego ostrożnie nadmienił o obecności Bujwidów dwudziestego czwartego grudnia.

– Cóż jej po Wigilii Bożego Narodzenia? Od kiedy to niewierzący obchodzą jakieś święta? – Reakcja Tekli była do przewidzenia. Perorowała ostro, gestykulując żywo rękami.

– Najwyraźniej nie przeszkadza jej to spotkać się w zacnym gronie. A zapraszam ją, ponieważ twój brat bardzo dobrze wypowiada się o jej mężu, który jest niezwykle zdolnym człowiekiem, i coś mi się zdaje, że niedługo zadowoląc go będzie posada na uniwersytecie. Wierz mi, znam się na ludziach.

– Już kiedy chciałaś Bujwidową zatrudnić jako nauczycielkę, mówiłam, że może mieć zły wpływ na nasze córki, szczególnie na Eleonorę. – Tekla nie dawała za wygraną. – Ona i tak już nie wyściubia nosa zza książki. Od zawsze byłeś za bardzo pobłażliwy, co może się kiedyś źle skończyć. Kto to widział, żeby córki bankiera zachowywały się w ten sposób? Całe szczęście, że ich dziwactwa, które dziwnym trafem nie są szeroko komentowane i potępiane przez towarzystwo, mogą złożyć na karb rodzinnych powiązań z moim bratem profesorem – dodała, jakby Jan nie był świadom, że jego szwagier był wykładowcą na Uniwersytecie Jagiellońskim. – Ostatnio wspominała coś o spodniach! Obecność tej kobiety w naszym domu nie przyniesie niczego dobrego. Wspomnisz moje słowa. Wiem, co mówię. W przeciwieństwie do ciebie znam naszą córkę.

Wbrew temu, co sądziła jego żona, Jan znał swoją córkę doskonale. Jego pobłażliwość i przymykanie oczu na pewne sprawy wynikały z przekonania, że Eleonora nie tylko nie zarzuciłaby swoich planów i pasji, gdyby jej ich zakazał, ale zaczęłaby do nich dążyć z jeszcze większym uporem, nie bacząc na konsekwencje.

I tak mimo sprzeciwów Tekli Kazimiera wraz z mężem mieli się pojawić na kolacji. Zaproszenie przyjął także Ignacy Chrzanowski, który od lat przyjaźnił się z bratem Tekli, Władysławem Bobrzyńskim. Obaj wykładali na Uniwersytecie Jagiellońskim i poza uczelnią często spotykali się także prywatnie. Jan poznał Ignacego właśnie w domu szwagra. Widzieli się później jeszcze kilka razy i dobrze się im gawędziło. Nie byli jednak przyjaciółmi, ba, zaledwie znajomymi, a jednak Schramm zdecydował się wystosować do niego zaproszenie. Nie zrobił tego bynajmniej z powodu swego szwagra.

– Czy znamy niejakiego Ignacego? – zapytała Tekla, trzymając w dłoni elegancką kopertę zaadresowaną do Chrzanowskiego.

– To, jak mi się zdaje, przyjaciel twego brata – odparł Jan, przeglądając przygotowane zaproszenia.

– I będzie nas wizytował z tego powodu?

– Nie, ale doszły mnie słuchy, że to daleki krewny Henryka Sienkiewicza. Przyznasz chyba, że warto mieć w kręgu znajomych ludzi, którzy pochodzą z tak zacnego rodu. – Dobrze znał naturę żony. Lubiła otaczać się ludźmi znanymi, najlepiej z pierwszych stron gazet. Wzmianka o zasługach i sławie

zapraszanego delikwenta świetnie likwidowała jej wszelkie opory. – Wyobraź sobie, że to właśnie dzięki tym koneksjom Ignacy został zatrudniony na uniwersytecie. A nie ma jeszcze nawet stopnia doktora. Głośno się o tym nie mówi. To tajemnica poliszynela, chociaż ja wiem o tym akurat od twojej bratowej.

– Leokadia zawsze miała długi język – skwitowała Tekla.

Jan uśmiechnął się pod wąsem. „Przyganiał kocioł garnkowi”, pomyślał o swojej żonie, która znana była z namiętności do plotek.

Miał przyjść także lekarz Jan, z czego najbardziej ucieszyła się Eleonora.

– O, będzie Władysław, to znaczy pan doktor Kluger? – wykrzyknęła, patrząc z niedowierzaniem na zaproszenie.

Spotkała go pewnego dnia u wuja, który od lat raz w miesiącu urządzał piątkowe popołudniowe spotkania humanistów, wielbicieli historii oraz książek. Doktor zagadnął ją, kiedy siedziała w bibliotece wujostwa i starała się nie przeszkadzać rozmawiającym panom. Czytała akurat o wojnie secesyjnej. Lektura tak ją pochłonęła, że nie zauważyła zbliżającego się mężczyzny. Zaczęli rozmawiać. Najpierw nieśmiało, lecz kiedy okazało się, że oboje pasjami lubią książki, rozmowa wciągnęła ich tak bardzo, że przerwali dopiero na słowa ciotki Leokadii:

– Siedzicie tak pochyleni ku sobie, że wyglądacie jak dwa gruchające gołąbki i gdybym nie wiedziała, że zapewne rozmawiacie o książkach albo innych głupstwach, pomyślałabym, że planujecie potajemną schadzkę.

Insynuacje ciotki nie popsęły humoru Eleonory i nie wpłynęły na jej dalszą rozmowę z doktorem Klugerem, który miał dziś zasiąść obok niej przy wigilijnym stole. A wszystko dzięki pomysłowości ojca, który teraz zwinął trzymaną w dłoni gazetę, wsuwając ją pod pachę, zdecydowany zajrzeć do niej w swoim biurze, gdzie pragnął wpaść choćby na chwilę.

\*\*\*

Tymczasem Eleonora przeciągnęła się leniwie w wygodnym łóżku i powoli uniosła jedną powiekę. Musiało być jeszcze wcześniej, bo chociaż okna zasunięto ciężkimi zasłonami, widziała mrugające światła palących się latarni elektrycznych, które na stałe wrosły w krakowski krajobraz, rozświetlając uliczki i wiekowe zabytki od dnia, kiedy przy ulicy Dajwór stanęła elektrownia miejska.

Eleonora nie zamierzała jeszcze wstawać, choć sądząc po hałasie panującym w domu, wszyscy, łącznie z jej matką, musieli być na nogach. Krzątania i nerwowa atmosfera trwały już od co najmniej tygodnia, lecz wczoraj i dziś szaleństwo świątecznych przygotowań sięgnęło zenitu.

Eleonora pomyślała, że ojciec szykuje się właśnie do wyjścia. Raz, że nie zamierzał płatać się niepotrzebnie pod nogami kucharzy, służących i pokojówek; dwa, że nie chciał niepotrzebnie wystawiać się na gniew matki, gdyby nie daj Boże coś miało pójść nie tak.

Dziewczyna lekko uniosła głowę i zerknęła w stronę stojącego po przeciwnej stronie łóżka, na którym spała jej młodsza siostra Stefania. Ciężką pierzynę obleczoną w białą wykrochmaloną poszewkę, obszytą szydełkową koronką, naciągnęła po sam czubek głowy. Eleonora uznała, że to jest jakiś sposób, i zrobiła to samo. Leżała przez chwilę nieruchomo, starając się ignorować szuranie, odgłosy spadających garnków, trzaskanie drzwiami, nawoływania, pokrzykiwania matki i bieganie po korytarzu, aż w końcu odrzuciła nakrycie, łapiąc powietrze niczym karp wyciągnięty z wody. I kiedy wydawało jej się, że sen już nie powróci, musiała zasnąć, bo zdumiała się niepomrotnie, kiedy pokojówka odsunęła szybkim ruchem zasłony, wpuszczając do pokoju jasne światło sobotniego poranka.

– Czas wstawać, panienci – zaszczebiotała. Widząc, że Stefania nawet się nie poruszyła, podeszła do łóżka młodszej Schrammówny i ściągnęła pierzynę z jej głowy.

– Oszalałaś! – krzyknęła dziewczynka, szybkim ruchem naciągając ją z powrotem. – Chcesz, żebym się zaziębiła. Wszystko powiem mamie.

– Wstawaj, leniu. – Eleonora siedziała już na łóżku i z radością patrzyła na padające płatki śniegu. Uwielbiała przyglądać się śnieżynom. Potrafiła godzinami wpatrywać się w opadające na parapet płatki. Ani jeden nie był podobny do drugiego. Ktoś kiedyś powiedział, że nie ma dwóch takich samych śnieżynek. Wydawało się to niemożliwe, a jednak najwyraźniej było prawdziwe. – Dziś



Wigilia. Uśmiechnij się. Nie znoszę tej twojej nadąsanej miny. Słyszysz?

– Nie jestem głucha – odburknęła dziewczynka. – Sama się uśmiechaj i bądź miła – warknęła i obróciła się na drugi bok.

Pokojówka z rezygnacją spojrzała na starszą panienkę, zastanawiając się, skąd w jej młodszej siostrze tyle zjadłości i złośliwości. Eleonora odwzajemniła spojrzenie i tylko wzruszyła ramionami. W przeciwieństwie do Stefci nie miała zamiaru dłużej się wylegiwać. Pomimo mrozu dzień zapowiadał się piękny. Zerwała się zatem z łóżka i z uśmiechem na twarzy, z rozwianymi włosami, na bosaka ruszyła biegiem do łazienki. W dłoni niosła ciężką sukienkę, marząc o tym, aby kiedyś włożyć zawadiackie szarawary, takie jakie miała dziewczyna, którą wczoraj z innymi przechodniami oglądała na Rynku.

Wracała akurat do domu. Przystanąła na chwilę wiedziona ciekawością, na co z takim zainteresowaniem patrzą ludzie wokół. Uniosła głowę i wtedy ją zobaczyła. Dziewczyna stała na ostatnim szczeblu drabiny, trzymając w jednej ręce plakat z ogłoszeniem z „Ilustrowanego Kuriera Codziennego”, a w drugiej pędzel mokry od kleju, którego jedna wielka kropla niebezpiecznie zwisała na końcu, nie mogąc się zdecydować, czy pacnąć na chodnik, czy też zostać tam, gdzie było jej miejsce. Panna miała na głowie małą, twarzową czapeczkę, spod której wydostało się kilka miodowych pukli, kręcąc się zalotnie wokół jej zaróżowionej czy to od zawstydzenia, czy od zimna twarzy. Na nogach nosiła długie, ciemne hajdawery, które z pewnością ułatwiały jej pracę.

– Oto zwycięstwo emancypacji! – krzyknęła jakaś kobieta, wzbudzając poklask innych niewiast i gwizdy mężczyzn.

– To babska konkurencja, która zniknie z powierzchni tak samo szybko, jak szybko się pojawiła. – Jakiś mężczyzna nie krył oburzenia. Inni wtórowali mu, powtarzając jego słowa, lub tylko kiwali głowami w górę i w dół, co upodabniało ich do pajacyków sterowanych ręką wprawnego artysty.

Eleonora potrząsnęła energicznie głową, chcąc się pozbyć wspomnienia o pomstującym i nieprzychylnie nastawionym do kobiet mężczyźnie. Marzył jej się świat, w którym kobiety będą równe mężczyznom, ale była świadoma, że tylko dobra wola tych drugich może dać płci pięknej to, o co jej przedstawicielki walczyły z coraz większą determinacją. Z ciekawością obserwowała ruch sufrażystek i zataczając coraz szersze kręgi falę emancypacji. Nie miała zamiaru podporządkowywać się mężczyźnie, choć nie miała jeszcze pojęcia, jak to robi. Rozumiała nadzór, jaki nad nią i jej młodszą siostrą sprawował ojciec. Wychowywał je, utrzymywał i dbał o ich wygody. Ale poddać się obcemu tylko dlatego, że jest jej mężem? Często zadawała sobie pytanie, dlaczego to mąż nie podporządkuje się żonie? Dlaczego ona, jako kobieta, nie będzie mogła w przyszłości zarządzać swoim majątkiem? Nie będzie mogła głosować tak, aby wpływać na swój los, dzięki samodzielnie wybranym reprezentantom tylko dlatego, że mężczyźni nie dopuszczają myśli, by dać kobietom prawo głosu. A najbardziej bolało ją, że nauka na uniwersytecie nadal była dla kobiet trudno dostępna. Dzięki wujowi Władysławowi Bobrzyńskiemu czasami mogła posłuchać wykładu. Zazdrościła studentom, którzy tak nie doceniali tego, co uważali za normalne, ponieważ natura obdarowała ich penisami. Jak to dobrze, że Schrammowa nie potrafi czytać w myślach. Pewnie dostałaby zawału, gdyby się dowiedziała, że jej córka wie, jak wyglądają męskie narządy.

A wiedziała o tym od dawna.

Pewnego dnia, siedząc w bibliotece wuja, wzięła do ręki encyklopedię medyczną. To, co tam zobaczyła, zaciekało ją tak bardzo, że nie zauważyła zbliżającego się wujka. Przyglądała się akurat męskiej anatomii. Wuj zerknął do książki, a ona oblała się rumieńcem. Nie zbeształ jej ani nie kazał odłożyć książki na półkę. Zaczęli przeglądać ją razem, a on rzeczowo i spokojnie odpowiadał na jej pytania. To wtedy na zakończenie ich długiej i pouczającej rozmowy powiedział:

– Przyjdzie jeszcze czas, że przestąpisz próg krakowskiej wszechnicy bez żadnych przeszkód. Już pojawiły się na naszej uczelni pierwsze jaskółeczki. Kolejne cztery panny ukończyły naukę. Ani się obejrzyj, a będą przyjmować wszystkie dziewczęta, które wyślą podanie do władz uniwersyteckich.

Była jeszcze małym dzieckiem, kiedy władze uległy naciskom i dopuściły na studia magisterskie na farmacji trzy kandydatki, chociaż podać wpłynęło pół setki. Od tego czasu minęła ponad dekada,

a żaden postęp się nie dokonał. Wciąż bowiem większość kobiet nie miała możliwości zdawania matury. Jak miały się uczyć i kształcić, kiedy najczęściej własne rodziny występowały przeciwko nim?

Eleonora jeszcze nie poruszyła z rodzicami tematu kształcenia, ponieważ wciąż nie dokonała wyboru, gdzie chciałaby się uczyć. Z jednej strony pragnęła pogłębiać wiedzę historyczną, z drugiej wolałaby prawo, które pozwoliłoby jej stawać w obronie tych, którzy tej obrony z różnych powodów potrzebowali. Czasami myślała także o medycynie. Czas uciekał i lada dzień będzie musiała powiadomić o swoich planach matkę i ojca. Bała się tej rozmowy straszliwie. Nie chodziło jej o reakcję tatki, bo ten najczęściej był przychylny jej pomysłom. Tylko dzięki jego wstawiennictwu mogła przesiadywać w nieskończoność w domu wuja, a także w piwnicach kamienicy Kromerowskiej, gdzie urządzono antykwariat. Jak ognia bała się tego, co powie matka. Już nieraz słyszała jej utyskiwania:

– Ślęczysz wiecznie z nosem w książkach. Wzrok popsujesz, zanim dwudziesty rok życia skończysz. A kto niedowidzącą pannę zechce wziąć za żonę? Zresztą mężczyźni okrutnie nie znoszą mądrych kobiet. A niechby tak jeszcze była mądrzejsza od męża, to...

– Mamo, jeżeli będę mądrzejsza od niego, to głupiec nigdy się o tym nie dowie. – Eleonora podniosła wzrok znad książki, wchodząc matce w słowo. Miała nadzieję, że przerwie to jej wywód na temat czekającego ją staropanieństwa.

– Nie mędrkuj, tylko słuchaj. Spotkałam ostatnio matkę jednej z tych, co to swego czasu farmację studiowała. I zgadnij, czego się dowiedziałam. Biedna dziewczyna wciąż jest panną. Starą, oczywiście. Nikt jej nie chciał, bo czuć od niej karbolem i jodoformem. Wspomnisz moje słowa. Matka sięgnęła zaraz po karty, żeby sprawdzić, czy jej czarnowidztwo przypadkiem się nie spełni.

Od tamtego dnia minęło sporo czasu. Matka już nie biadoliła, lecz Eleonora była pewna, że kiedy tylko dowie się o jej planach, dostanie palpitanję serca. Z pewnością czeka ją niezła przeprawa.

Nie zamierzała się tym jednak martwić dziś, w Wigilię. Chciała czym prędzej zjeść śniadanie i do czasu uroczystej kolacji zejść matce z oczu, idąc w ślady tatki, który wyszedł już jakiś czas temu.

Godzinę później Eleonora stała gotowa do wyjścia.

– Pewnie znowu idziesz pod dwadzieścia trzy? – Chociaż słowa matki wypowiedziane były tonem, jakby zadawała pytanie, nie taki był jej zamiar.

Starsza córka często się wymykała, żeby godzinami siedzieć w tamtejszym antykwariacie. Czasami Eleonora zaglądała też do księgarni pod tym samym numerem. Była to jedna z najstarszych księgarni nieprzerwanie działających w kraju, a może nawet i Europie, o czym dumnie poinformował ją kiedyś sprzedawca:

– Panienska pewnie nie wie – mówił – ale to miejsce otwarto już w 1610 roku. Zrobił to pewien kupiec z Kolonii po tym, jak przyjął obywatelstwo krakowskie. Podobno zachowały się dokumenty, które to potwierdzają. Najstarsze zdjęcie, o to tutaj – wskazał jej fotografię – pochodzi niestety dopiero z połowy ubiegłego wieku, ale nie mam powodów, żeby nie ufać kronikarzom. – Mężczyzna uniósł podbródek wysoko. Był dumny, że pracuje w miejscu z tak bogatą historią.

Chociaż Eleonora uwielbiała tę księgarnię, jej zapach, atmosferę i historię wyzierającą z każdego kąta, zdecydowanie wolała antykwariat, który mieścił się w piwnicach kamienicy. Po pierwsze dlatego, że mogła tam usiąść cicho w kącie z książką w ręce, nikomu tym nie wadząc, a po drugie, zdarzyło jej się już kilka razy spotkać tutaj ciekawe osoby ze świata literatury, teatru i nauki. Była to gratka, z której za nic w świecie nie chciała rezygnować.

– Skoro już i tak tam będziesz, to wstąp do cukierni. – Słowa matki zatrzymały Eleonorę w pół kroku, z ręką na klamce, przywracając ją do rzeczywistości. Spojrzała na Teklę, czekając na dalsze instrukcje. – Przypomnij im, że tort i ciasta, które u nich zamówiłam, mają dostarczyć dziś nie później niż o piętnastej. – Na koniec wykrzywiła usta w grymasie dezaprobaty dla sposobu, w jaki córka spędzała wolny czas.

Eleonora, nie czekając dłużej, trzasnęła drzwiami i z szerokim uśmiechem zbiegła po schodach z pierwszego piętra. Zatrzymała się przed głównymi drzwiami i zerknęła w prawo, wzdychając z zachwytem. Wciąż nie mogła się przyzwyczaić do ogromnego fresku, który powstał zaledwie kilka tygodni temu. Pomysł zrodził się w głowie matki, która tak długo namawiała ojca, aż ten w końcu zgodził

się na kaprys żony i wyłożył stosowne środki. Nieciekawa, smutna ściana za sprawą zdolnej artystki uczęszczającej na kursy malarstwa żartobliwie zwane „Baraneum”, przeistoczyła się w barwną łąkę kwitnących irysów – ulubionych kwiatów Tekli Schramm. Przed domem natknęła się na stróża, który mieszkał z żoną w kamienicy. On dbał o dom i pomagał mieszkańcom w drobnych naprawach, ona pielęgnowała ich kwiaty, a miała do tego rękę jak nikt inny.

– Dzień dobry panience. – Skłonił głowę, zdejmując ciepły kaszkiet, który nosił niezależnie od pory roku.

– Dzień dobry, Jakubie. Właśnie wybawiłam cię z kłopotu, bo znając matkę, wysłałaby cię do Wielanda. Masz szczęście, gdyż bardzo jest dziś nie w humorze.

– W takim razie dzień nie mógł zacząć się lepiej, panienko – odpowiedział Jakub z ukłonem.

Tekla Schramm była dobrze znana ze swojego charakteru nie tylko w swojej kamienicy pod numerem 26, ale i w całym mieście. Większość wiedziała, że z żoną Jana Schramma nie należy wdawać się w dyskusje, żadne słowne utarczki, przepychanki na szybkie riposty i tym podobne. Niezależnie, czy Schrammowa miała rację, czy nie, nigdy nie przyznawała się do błędu, nie ustępowała w bitwie na słowa ani o włos, czym doprowadzała mniej odporne nerwowo niewiasty do łez. Jeden z panów tak bardzo przejął się stanem swojej żony, która nieostrożnie pozwoliła sobie na kłótnię z Teklą, że chciał stanąć w jej obronie, wyzywając bankiera na pojedynek. Na szczęście żona owego pana miała więcej rozsądku niż wszyscy pozostali i do tego nie dopuściła. Niestety, sytuacja ta tylko utrwaliła niezbyt pochlebne zdanie o matce dziewczyny, która właśnie z uśmiechem na twarzy przestępowała próg cukierni.

Chociaż wciąż było stosunkowo wcześnie, w lokalu u Wielanda, który podobnie jak wiekowa księgarnia znajdował się w kamienicy Kromerowskiej, było tłoczno. Sprzedawcy uwijali się jak pszczoły w ulu, a jednak sklep nie pustoszał. Wśród uśmiechniętych i uprzejmych pracowników przechadzał się właściciel Kasper Wieland, który przejął cukiernię ponad pół wieku temu od swojego ojca. Eleonora lubiła wstępować tutaj na gorącą czekoladę albo kawałek przepysznego tortu Sachera.

Dzień, w którym poznała właściciela cukierni, na zawsze pozostał w jej pamięci. Przeglądała akurat „Ilustrowany Kurier Codzienny”, o którym ktoś zapewne zapomniał, kiedy do jej stoliczka przysiadł się starszy mężczyzna.

– Panienska pozwoli? – zapytał, lecz zanim Eleonora zdążyła odpowiedzieć, już sadowił się na wygodnym krześle. – Żona od lat mówi, że powinienem więcej czasu spędzać w domu i bawić wnuki, a ja, chociaż mam swoje lata, lubię być tu, w cukierni, gdzie toczy się życie, i przyglądać się twarzom zadowolonych klientów. Nic tak człowieka nie cieszy jak to, że inni doceniają jego ciężką pracę. Niektórym się wydaje, że my, starzy, już niewiele widzimy i jeszcze mniej słyszymy, ale ja wciąż mam wyostrzony wzrok i bardzo dobry słuch, dlatego nie uszło mojej uwadze, że panienska często zagląda do naszego antykwariatu, nieprawdaż?

– Nie myli się pan – odparła Eleonora, odkładając gazetę. – Lubię usiąść w kąci i czytać tak długo, aż rozbolą mnie oczy. Miłość do książek pewnie odziedziczyłam po wuju, bracie mojej matki, który jest profesorem na uniwersytecie.

– To niezwykle, że panienska tak lubi czytać. Większość dziewcząt, które znam, jeżeli już coś czyta, to raczej są to ploteczki o modzie i urodzie, nie ubliżając tego typu zainteresowaniom, ale są one raczej błahy w porównaniu z pasją panienski. Bo z czystej ciekawości, a i sympatii zaciągnąłem języka i wiem, że panienska czyta książki poważne, naukowe. Najczęściej związane z historią.

– Bo ja chciałabym się uczyć. Chodzić na uniwersytet. Studiować, tylko że niestety nie jest mi to dane, bo jestem kobietą. Nie zamierzam się jednak poddawać. Nikt nie będzie za mnie decydował, czy mam być wykształcona, czy głupiutka jak przysłowiowa gaska. – Eleonora uniosła się nieco, uderzając w podniosły ton. Pewnie mówiłaby dalej, bo już chciała coś wspomnieć o emancypantkach i walce o prawa kobiet, lecz zwróciła uwagę, że właściciel cukierni bacznie jej się przygląda, a kąci jego ust drżą podejrzenie.

Starszy pan patrzył na nią uważnie jeszcze chwilę, a potem roześmiał się głośno i klasnął w dłoń.

– Jako żywo, jeszcze nie spotkałem tak ciekawej młodej damy. Mężczyzna, z którym się panienska

zwiąże w przyszłości, będzie szczęśliwcem, o ile doceni jej umysł, jeżeli zaś nie, będzie nie tylko głupcem, ale i najniezszczęśliwszym mężem na świecie.

Rozmawiali jeszcze długo. W trakcie tej rozmowy Eleonora dowiedziała się, że cukiernia działa, rzecz by można, od wieków. Przodek Wielanda przybył do Krakowa ze Szwajcarii. Wynajął tu kamienicę, którą kilka lat później za dwadzieścia trzy tysiące złotych polskich kupił jego syn, będący już wtedy cenionym kupcem. Dzięki temu, że wyroby cukiernicze kolejnych pokoleń Wielandów były znakomite i w całym Krakowie trudno było znaleźć lepsze, szybko zyskali uznanie i stałych klientów. Niektóre rodziny były wierne temu miejscu od pokoleń.

W cukierni Wielandów można było usłyszeć pochwalne opinie: „Nie wyobrażam sobie zamawiać tortów gdzie indziej”. „Tutejsze wypieki nie mają sobie równych”. „Przyszło mi swego czasu jadać Sachertorte na Ringstrasse w Wiedniu, ale jak mi Bóg miły, cukiernik tamtejszy powinien przyjść terminować u pana Kaspra”.

Powodzeniem cieszyły się też ciasta i karmelki z wierszami, które chętnie kupowały kobiety lub zakochani mężczyźni, chcąc sprawić nimi słodką przyjemność narzeczonej.

Kiedy więc właściciel cukierni zauważył Eleonorę w wigilijny ranek, skinął na nią dłonią, aby podeszła od razu do niego i wysłuchał osobiście, co też miała do przekazania.

– A wpadnij jeszcze na gorącą czekoladę, zanim ruszysz z powrotem do domu – powiedział na pożegnanie. Już dawno przestał mówić do niej per panienko, o co zresztą prosiła go sama Eleonora, nalegając, kiedy ten początkowo nie chciał się na to zgodzić.

„Faktycznie – pomyślała dziewczyna. – To przedni pomysł”. Dzień był niezwykle mroźny i śnieżny. Kiedy wyszła z cukierni, wciągnęła porządny łyk świeżego powietrza. Poczowała, jak w nosie zamarzają jej malusieńkie włoski. Śnieg skrzypiał pod stopami. Z nieba zaś obficie padało. Uwielbiała taką pogodę. Pod kołdrą z białego puchu Kraków wyglądał jakby żywcem wyjęty z bajki.

W czasie kiedy Eleonora zmierzała do domu, gdzie zapewne wciąż trwały ostatnie gorączkowe przygotowania do kolacji wigilijnej, Jan Schramm zerknął na zegarek, siedząc nadal w swoim gabinecie. Za ostatnimi klientami i pracownikami już dawno zamknęły się drzwi banku i w budynku zrobiło się nadzwyczaj cicho, rzecz rzadko spotykana w tych murach, które codziennie od rana do wieczora rozbrzmiewały gwarem rozmów, śmiechem; czasem ktoś zbyt podniósł głos, przechodząc do ostrzejszej wymiany zdań. Od ścian odbijały się odgłosy stawianych na dokumentach pieczęci, rytmiczne i miarowe stukanie w klawisze maszyn do pisania oraz tupot kroków spieszących się pracowników i klientów. Ale dziś, w Wigilię, kiedy bank zamknął swoje podwoje nieco wcześniej niż zwykle, tak aby pracujący tu ludzie spokojnie zdążyli do domu, zapanował błogi spokój, który Jan Schramm postanowił wykorzystać. Miał jeszcze trochę czasu, sięgnął zatem do szuflady swojego przepastnego biurka i wyciągnął z niej grubą notatnik obciążony ciemną, grawerowaną skórą. Pamiętnik, który prowadził, miał już swoje lata, lecz że wpisów dokonywał w nim niezwykle rzadko, zaledwie kilka razy w roku, a czasami i rzadziej, tak jak ostatnimi czasy, kiedy nawał pracy odrywał go od drobnych przyjemności, miejsca na kolejne wspomnienia miał jeszcze sporo. Otworzył go z wolna, kartkując wcześniejsze wpisy. Wreszcie sięgnął po pióro. Ręka bankiera zawisła nad czystą białą kartą, którą zamierzał zapisać wspomnieniami o wydarzeniach, jakie przyniósł rok 1910.

## Rozdział 2

Julian hrabia Michałowski, herbu Mniszech, syn Aleksandra hrabiego Michałowskiego oraz Józefy z domu Arenstein, wyprostował się na wygodnym skórzanym siedzeniu swojego nowiutkiego forda T, spoglądając najpierw w stronę siostry siedzącej z tyłu, a potem z ukosa na matkę, która z kwaśną miną wsiadła do auta, którym wrócił do domu z Francji przed ponad dwoma miesiącami.

Tamtego dnia ojciec omiółt spojrzeniem pojazd i zamiast przywitać się z synem, zadał tylko krótkie pytanie, którego ton jasno mówił, co senior rodu sądzi o fordzie T i decyzjach swojego potomka:

– Mam nadzieję, że samochód jest wypożyczony? – Hrabia zatrzymał się na schodach dworu w Zakrzówku, dając jasno do zrozumienia, że nie będzie serdecznego i wylewnego powitania.

Aleksander Michałowski, mężczyzna wysoki, postawny, o włosach już z lekka siwiejących, z ciemną, wręcz czarną brodą i krzaczastymi brwiami odcinającymi się wyraźnie od kanciastej, ale przystojnej twarzy, nigdy nie należał do osób okazujących bliskim uczucia. Nie robił tego nawet wtedy, gdy jego syn Julian i córka Rozalia byli dziećmi. Z czasem relacje ojciec – syn, zamiast się poprawić, uległy pogorszeniu, odsuwając ich od siebie jeszcze bardziej. Aleksander Michałowski był zawiedziony postawą Juliana, który nie podzielał jego punktu widzenia ani na zarządzanie majątkiem, ani na życie społeczne czy polityczne. Hrabia Michałowski wciąż nie mógł uwierzyć, chociaż od uwłaszczenia chłopów minęło ponad sześć dekad, że ta rzecz stała się faktem, ponurą rzeczywistością.

Michałowscy mieli szczęście, że źródłem ich bogactwa od dawna nie była tylko i wyłącznie uprawa ziemi. Do dworu należały oprócz rozległych pól uprawnych także lasy. Poza tym swego czasu wybudowano gorzelnię i browar, zapewniające stosunkowo wysokie dochody. Ojciec Aleksandra postawił również młyn, a gdyby nie nagła śmierć, zapewne zrealizowałby marzenie o własnej cukrowni, której plany spoczywały w szufladzie biurka Aleksandra. Od jakiegoś czasu nosił się bowiem z zamiarem wcielenia planu ojca w życie. Potrzebował do tego kapitału i gdyby nie musiał płacić za pracę na polu, zostałby on już dawno uzbierany, a tak zmuszony był uciekać się do zawierania znajomości z bankierami i zastanawiać się, który bank udzieli majątkowi jak najkorzystniejszej pożyczki. Obawiał się tego jak diabeł święconej wody. Wiedział bowiem, że niektórym właścicielom ziemskim się nie udało. Ich majątki upadły, przechodząc – o zgrozo! – w ręce wzbogaconych chłopów.

W Galicji bogatych chłopów było mało, a kiedy już się zdarzali, to zjawisko burzyło w Aleksandrze wiarę w odwieczny porządek klasowy. Świat zmieniał się na oczach hrabiego Michałowskiego, ale podążał w kierunku niezgodnym z tym, czego życzył sobie właściciel majątku w Zakrzówku. Zresztą nie tylko zmiany na wsi leżały Aleksandrowi na sercu. Jeszcze nie tak dawno nadrzędna rola szlachty była nie do podważenia. Dziś do głosu zaczęli dochodzić przedstawiciele burżuazji. Hrabia Michałowski bulwersował się za każdym razem, kiedy słyszał, że ten czy tamten bankier lub fabrykant przyjmował tytuł rodowy i wznosił pałac, którego nie powstydziliby się prawdziwy magnat. Dla podkreślenia swego statusu ludzie ci tworzyli drzewa genealogiczne, dowodzące ich rzekomego najczęściej prawa do tytułów i stanowisk, a wszystko to wysrane było z palca. Obnosząc się z płynącymi szerokim strumieniem pieniędzmi ze swojej działalności, stawali się hojnymi mecenasami, łożyli na naukę i sztukę, odbierając arystokracji to, co przez wieki przynależne było temu stanowi. A najgorsze, że jego rodzony syn patrzył na te przemiany z nadzieją i wręcz pragnął, aby postępowały szybciej.

Julian był boleśnie świadom różnic w poglądach między sobą a ojcem, dlatego wracając kilka miesięcy temu z Paryża do domu, nie spodziewał się czułych objęć i łez radości, chociaż tliła się w jego sercu niewielka nadzieja, że po prawie dwuipółletniej nieobecności, kiedy to mieszkał za granicą i studiował na Sorbonie, rodzice okażą więcej entuzjazmu. Miał nadzieję, że z czasem ojciec zapomni o ostrej wymianie zdań na temat jego studiów, która zakończyła się postawieniem synowi ultimatum zaledwie na dzień przed wyjazdem Juliana na francuską uczelnię.

– Jedź, ale jeżeli nie zamierzasz podjąć studiów agronomicznych, dzięki którym w przyszłości przejąłbyś zarządzanie majątkiem, nie dostaniesz ani grosza na życie we Francji. Wybór należy

do ciebie. Albo studiowanie agronomii i lekkość bytu, albo studia prawnicze i trudności, z którymi jeszcze się nie spotkałeś. Nie przywykłeś do kłopotów i nie udawaj, że się mylę. Zawsze wszystko dostawałeś na srebrnej tacy. Ludzie cię ubierali, podawali obiad, odgadywali twoje zachcianki. Nie splamiłeś się w życiu żadnym zajęciem. Nie miałeś nawet okazji przyjrzeć się ciężkiej, mozolnej i niewdzięcznej pracy. Jestem gotowy oszczędzić ci tych doświadczeń, lecz jak już wspomniałem, pod warunkiem że zajmiesz się agronomią.

Nie poddał się. Zapisał się na prawo i tylko dzięki hojności dziadka, który zmarł pięć lat wcześniej, przetrwał pierwsze miesiące, gospodarując pieniędzmi zapisanymi mu w spadku przez staruszkę. Zamieszkał w małym pokoju na poddaszu, gdzie latem można się było ugotować, a zimą zamarznąć. Jadał w tanich jadłodajniach lub sam sobie coś gotował, korzystając z małego piecyka, który ogrzewał pomieszczenie jesienią i zimą. Nie raz i nie dwa miał ochotę rzucić wszystko i na kolanach wrócić do domu, przyznając ojcu rację, że wygodny, do których przyzwyczał się przez osiemnaście lat życia, są dla niego ważniejsze niż duma. Szybko jednak przychodziło otrzeźwienie, chociaż często szedł spać głodny, ponieważ nie chciało mu się rozpalać w piecyku. Nie, nie mógł się poddać. Nie zamierzał dać ojcu satysfakcji i oręza do ręki, którym hrabia Michałowski dźgałby go na każdym kroku, wypominając słabość charakteru i brak ducha, nawet za cenę przymierania głodem. Czasami machał na wszystko ręką i jak za dawnych czasów szalał, nie licząc się z pieniędzmi. Przymiotniał, kiedy oszczędności kurczyły się tak bardzo, że groziło mu wydalenie z zajmowanego mieszkania z powodu niezapłaconego czynszu. W końcu rozesłał wici wśród polskiej emigracji i przyjaciół, że potrzebuje zajęcia, najlepiej dobrze płatnego.

– Ktoś, kto tak wygląda, nie musi przecież szukać żadnej pracy. W ciągu jednego dnia mógłbyś znaleźć jakąś bogatą wdowę, która z chęcią przygarnęłaby cię pod swoje opiekuńcze skrzydła albo pod spódnicę, mając nadzieję, że wiesz, co pod nią robić – żartowali koledzy, mrugając do siebie porozumiewawczo.

Wiedział, że podoba się kobietom. Był wysoki, szczupły, zawsze trzymał się prosto. Ciemne, lekko falujące włosy nosił nieco dłuższe, nawet kiedy jego koledzy zgodnie z panującą modą strzygli się krótko. Nie był próżny, po prostu uważał, że właśnie taka fryzura bardziej pasuje do jego pociągłej twarzy z lekko zapadniętymi policzkami, mocnym podbródkiem i prostym nosem, który odziedziczył po matce.

Mimo to ani myślał słuchać kolegów. Pracę podjął jako nauczyciel polskiego u pewnej rodziny, która chciała, aby dzieci poznały język ojczysty. A ponieważ był dobrym nauczycielem, a dzieci go uwielbiały, zaczęły zgłaszać się do niego inni. Potrafił rozsądnie organizować swoje zajęcia. Pracował i studiował. W końcu okazało się, że prawie całe zarobione pieniądze zdołał odłożyć. Jadał u rodzin, u których uczył, a czynsz za wynajmowany kąt nie był wysoki, o ile miało się jakieś dochody. Prawie zapomniał o hulankach, chociaż czasami zdarzały mu się wypadki do Moulin Rouge albo do jednego z wielu domów publicznych na placu Pigalle. Były to jednak eskapady tylko okazjonalne, co niezmiernie dziwiło jego przyjaciół ze studiów. Nie potrafili zrozumieć, że zamiast w ramionach młodych, chętnych dziewcząt, którym tak bardzo się podobał, woli spędzać czas z nosem w książkach.

Uwielbiał przesiadywać w Bibliothèque Sainte-Geneviève. Kiedy tam wchodził, przystawał w centralnym przedsionku, żeby wziąć głęboki oddech. Ogarniało go dziwne uczucie. Nie wiedzieć czemu, czuł się tu jak w domu. Nawet kiedy przychodził zdenerwowany, uspokajał się nad wyraz szybko. Kochał zapach tego miejsca. Pomieszanie farby drukarskiej nowych książek z zapachem starych woluminów i żelaza. Ten aromat był jedyny. Niepowtarzalny. Działał na Juliana kojąco. To była czysta magia.

Zakochał się w tym budynku, który chociaż wykonany z ciężkiego metalu, wydawał się lekki niczym koronka. Czasami zamiast czytać, podziwiał żeliwne jońskie kolumny, dzielące przestrzeń na dwie boczne nawy. Kolumny podtrzymywały ażurowe łuki, na których opierało się kolebkowe sklepienie z gipsu wzmocnione żelazną siatką.

Godzinami przesiadywał w czytelni, przygotowując się do zajęć i egzaminów. Lubił sięgać po stare gazety, szukając informacji na tematy, które szczególnie go interesowały, takie jak budowa



wieży Eiffla, prawdziwego cudu architektonicznego. Gdyby nie miłość do prawa, z pewnością zostałby architektem lub inżynierem. Wieża była dla niego namacalnym dowodem ludzkiego geniuszu. A jednak nie wszyscy mieszkańcy francuskiej stolicy podzielali jego zdanie.

Julian przekonał się o tym, czytając w archiwalnym egzemplarzu dziennika „Le Temps” *Protest artystów*. Znani i cenieni przedstawiciele kultury sprzeciwiali się budowie wieży. Mimo to prac nie przerwano i 31 marca 1889 roku Eiffel osobiście zawiesił na wieży francuską flagę.

Ileż to razy Julian spacerował wokół tej zachwycającej konstrukcji, wciąż nie mogąc się nadziwić geniuszowi pomysłodawcy. To właśnie podczas jednego z takich popołudniowych spacerów zauważył samochód, który od razu mu się spodobał.

Podszedł do zaparkowanego auta, żeby lepiej mu się przyjrzeć.

– Podoba się panu? – zagadnął go mężczyzna w sile wieku.

Julian zauważył tuż za nim młodą kobietę i małą, może trzyletnią dziewczynkę, która chowała się za suknią matki, zawstydzona obecnością nieznajomego. Uśmiechnął się do dziecka, żeby nieco je ośmielić.

– Bardzo – odparł, zdejmując kapelusz, żeby pokłonić się towarzysze, zapewne żonie rozmówcy.

– Wcale się panu nie dziwię. Przywieźliśmy go z żoną z wojaży po Stanach. To jeden z pierwszych modeli. Kupiliśmy go w Piquette Plant w Detroit. To model T. Miałem wyjątkowe szczęście i udało mi się porozmawiać z samym Henrym Fordem. Pogratulowałem mu wspaniałego modelu.

– Aż chciałoby się wsiąść i pojechać w siną dal. Ufam, że prowadzi się go bardzo dobrze? – Julian obszedł samochód dookoła. Delikatnie pogładził maskę, chcąc poczuć lakier pod palcami.

– To mało powiedziane. Jazda nim to czysta przyjemność. Zawieszenie jest miękkie, a dzięki takim prześwitom nic panu nie umknie z piękna krajobrazu. Może pan nim jeździć i po mieście, i po wiejskich wertepach. Ba, jak zapewnia Ford, nawet po bezdrożach, chociaż nie mieliśmy z żoną okazji.

Dzięki tej rozmowie Julian podjął decyzję o zakupie. Auto nie było drogie, a jednak osiemset pięćdziesiąt dolarów amerykańskich znacznie uszczupliło jego oszczędności. Nie żałował. Podróż z Paryża do domu, do Zakrzówka, sprawiła mu niekłamaną, wręcz dziecięcą radość. Nie pamiętał, żeby kiedyś tak się cieszył. Dobry humor psuło mu tylko zastanawianie się, co o tym wszystkim powiedzą rodzice.

\*\*\*

Patrząc teraz na zaciętą minę matki i jej zaciśnięte usta, doszedł do wniosku, że kupił to auto po części dlatego, że ford tak bardzo różnił się od ojcowskiego rolls-royce’a silver ghost, który całym sobą krzyczał, że podobnie jak właściciel należy do wyższej klasy. Jego fordzik, jak zwykły pieszczołliwie go nazywać, był przeznaczony dla zwykłej rodziny. Był tani i pochodził z masowej produkcji, czyli reprezentował wszystko, czego nie akceptowali jego rodzice.

– Ja też w wieku dwudziestu jeden lat miałem swoją wizję świata, ale nawet jeżeli buntowałem się przeciwko niektórym nakazom ojca, nigdy nie wszczynałem rewolucji wymierzonej we własne korzenie. – Po tych słowach Aleksander Michałowski skierował kroki do gabinetu, gdzie od wielu dni studiował plany cukrowni.

Dla hrabiostwa Michałowskich samochód Juliana był symbolem zmieniającego się świata, do którego aspirował ich syn.

– Zatrzymaj. – Matka chwyciła za klamkę, chociaż auto jeszcze jechało. Zapewne gdyby jej nie posłuchał, wysiadłaby w biegu.

– Stąd to spory kawałek do Rynku. A przecież chcieliście jechać na Rynek, nieprawdaż? – zapytał, czekając na odpowiedź.

– Tu jest dobrze. – Matka odwróciła się do niego z zaciętą miną. – Chyba nie myślisz, że pozwolę, żeby mnie ktoś w tym zobaczył? – I nie czekając na odpowiedź, zwróciła się do siedzącej z tyłu córki: – Wychodź! – Po czym otworzyła drzwi z impetem i wysiadła.

Julian zerknął na siostrę i mrugnął do niej porozumiewawczo, chcąc jej dodać otuchy. Mina dziewczyny mówiła, że nie powinien się martwić, to w końcu tylko zakupy. A jednak się martwił. Rozalia była łagodną, zamkniętą w sobie istotą. Tak jak on zewnętrznie podobny był do ojca, tak siostra przejęła urodę po matce. Obie panie mogły się pochwalić jasnymi włosami, w których latem pojawiały się jaśniejsze refleksy. Niebieskie oczy Rozalii, skrywane za długimi ciemnymi rzęsami, były tylko o ton jaśniejsze od źrenic rodzicielki. Owalna twarz siostry miała idealne proporcje i nie było człowieka, któremu by się od razu nie spodobała. A jednak pomimo niezaprzeczalnej urody, z której niejedna panna zrobiłaby kartę przetargową, Rozalia pozostawała skromna i delikatna. Z wyglądu tak podobna do matki, z charakteru wcale jej nie przypominała. Nie potrafiła się sprzeciwić. Postawić na swoim. Powiedzieć „nie”, kiedy coś jej się nie podobało. Nie była dumna ani zuchwała. Nie pogardała ludźmi tylko dlatego, że byli biedni albo nie mieli odpowiednich koneksji.

Kiedy byli dziećmi, Julian najczęściej sprzeciwiał się w jej imieniu, chociaż wcale go o to nie prosiła. Ich relacja nieco się ochłodziła po jego wyjeździe do Francji, lecz zamierzał to naprawić, ponieważ bardzo nad tym ubolewał.

– Co zamierzacie kupić? – zapytał, zanim siostra wysiadła.

– Matka uważa, że potrzebuję nowej garderoby.

– Korzystaj zatem. Kup sobie piękne suknie, w końcu wciąż trwa karnawał. Nie zapomnij o płaszczu, może namów matkę na futro. A i jeszcze kapelusze, dodatki... – Zaśmiał się, kiedy Rozalia zgromiła go wzrokiem. – Idź już, bo matka zaczyna się robić nerwowa. I mimo wszystko postaraj się miło spędzić czas. Odbiorę was sprzed klasztoru Klarysek. Za trzy albo lepiej za cztery godziny. Dobrze, matko? – zapytał Julian, wychylając się ze swojego siedzenia tak, żeby hrabina Michałowska mogła go widzieć od strony pasażera.

Kiwnęła tylko głową i bez słowa skierowała się w stronę Rynku. Rozalia grzecznie ruszyła za nią.

– Czy to aby konieczne? – odważyła się zapytać, kiedy dochodziły do Rynku.

Nie znosiła zakupów. Przebieranie się i wkładanie coraz to innych modeli, przeglądanie się w lustrze i wystawianie na opinię sprzedawcy napawało ją lękiem. Zresztą nigdy nie lubiła wystawiać się na widok publiczny. Rozmowa z obcymi ją paraliżowała. Nie potrafiła zebrać myśli, dlatego najczęściej milczała w towarzystwie nowo poznanych osób. Jej zachowanie matkę denerwowało, a ojca drażniło. Świadomość, że nie jest w stanie ich zadowolić, tylko potęgowała uczucie niepewności i zagubienia.

Józefa hrabina Michałowska zatrzymała się w pół kroku. Była wysoka i szczupła. Nosiła się modnie i elegancko. Stroje szyła u najlepszego w mieście krawca, dlatego zawsze dobrze na niej leżały. Było wiele kobiet w Krakowie, które podziwiała jej gust, wycucie smaku, styl i postawę. Hrabina zawsze chodziła z wysoko uniesioną głową. Po pierwsze, taką postawę wyniosła z domu, kiedy to matka katowała ją chodzeniem z książką na głowie. Po drugie, jej mąż był hrabią, właścicielem sporego majątku przynoszącego stały dochód, a i ona sama pochodziła ze starej arystokratycznej rodziny.

Od pokoleń powtarzano w jej rodzinie przekonanie, że przodkowie rodu wywodzą się od cesarza Fryderyka Barbarossy, co Józefa lubiła podkreślać na każdym kroku. Od czasu do czasu przypominała o tym nawet Aleksandrowi, który ośmielił się pewnego razu poruszyć sprawę dokumentów potwierdzających słowa żony. Obraziła się i nie odzywała do niego przez prawie trzy tygodnie. Nie zniechęciło to jednak hrabiego do poszukiwań. Zatrudnił odpowiednie osoby i zlecił zbadanie drzewa genealogicznego żony. Gdyby przez przypadek okazało się, że Józefa miała rację, sam chętnie szczyciłby się tym faktem. Niestety, nie udało się potwierdzić wspólnych przodków Józefy i Barbarossy. Zachował to odkrycie dla siebie. Nie chciał rujnować wyobrażenia małżonki na temat wielkości i znaczenia rodu Arensteinów.

Tymczasem hrabina Michałowska zlustrowała surowym wzrokiem drżącą z zimna, a może ze strachu córkę.

– Nie myślisz chyba pójść na bal do Schrammów w starej zeszłorocznej kreacji? – zapytała z naganą w głosie. – Ich przyjęcia są znane w całym Krakowie. Przypuszczam, że Schramm zaprosił najważniejsze osoby w mieście. To po pierwsze, a po drugie, już niebawem czeka cię uroczysta kolacja,

na której poznasz, mam nadzieję, swojego przyszłego męża. To człowiek bardzo zamożny. Jego majątek jest prawie dwukrotnie większy od naszego, a co za tym idzie i jego dochody. Wprawdzie nie posiada tytułu, ale cóż, nikt nie jest doskonały. – Hrabina zrobiła krótką przerwę. Po chwili podjęła wątek. – Twój ojciec liczy, że ten pan niebawem zdecyduje się poprosić o twoją rękę. Dobrze mieć w rodzinie takiego człowieka, bo z tego, co mi wiadomo, zamierza w tym roku kandydować do Rady Państwa. Ojciec też się nad tym zastanawia. Sama więc widzisz, że pan Mikołaj Tojew to znakomita partia. A ponieważ nie potrafisz zrobić wrażenia, konwersując, może przynajmniej zachwyci go twój wygląd – dodała Józefa, kończąc tyradę, którą wygłosiła spokojnym tonem, nie podnosząc głosu. Zaczęły od znanego w całym Krakowie domu handlowego „Szarski i Syn”. Hrabina Michałowska najchętniej ominęłaby ten sklep szerokim łukiem. Na pewno jej stopa nie postałaby tam, gdyby chodziło o zakup garderoby dla niej. Zresztą gotową odzież kupowała okazjonalnie i były to najczęściej dodatki, takie jak rękawiczki czy szale. Kapelusze zamawiała u swojej ulubionej modystki w Wiedniu, skąd przywoził je Aleksander. Nie uznawała masowej produkcji. Prawie wszystkie jej suknie, płaszcze, peleryny, halki, koszule były szyte na miarę i tylko w jednym egzemplarzu.

Modystka oraz krawiec przestrzegali tej zasady jak oka w głowie. Nie chcieli nawet myśleć, co by się działo, gdyby hrabina na balu bądź podczas innego wydarzenia natknęła się na elegantkę w takiej samej sukni.

Idąc wolno, Józefa pomyślała, że gdyby córka była choć trochę podobna do niej, zamiast ciągnąć ją od sklepu do sklepu, zabrałaby ją do krawca, który uszyłby dla niej niepowtarzalną suknię. Niestety, Rozalia w niczym jej nie przypominała, co doprowadzało hrabinę do szewskiej pasji, którą potrafiła jako tako ukrywać.

Kiedy hrabina patrzyła z ukosa na wlokącą się za nią córkę, przyszło jej na myśl, że to smutne, że jej dzieci tak bardzo ją rozczarowały. Syn zapowiadał się na zdeklarowanego wielbiciela nowych, okropnych czasów, a Rozalia... Cóż z tego, że była grzeczna, wręcz ustępliwa i nigdy się rodzicom nie sprzeciwiała, skoro wyglądała na zahukaną sierotę wiecznie chodzącą ze spuszczonym wzrokiem i bojącą się odezwać do ludzi.

Bale, na które do tej pory się wybrała, okazały się katastrofą. Na nic zdała się jej uroda, skoro nie potrafiła swobodnie rozmawiać z młodzieńcami, którzy chcieli zaprosić ją do tańca lub na spacer. Zamykała się w sobie. Zamiast konwersować, kiwała głową, a tańcząc, zamiast unosić się z elegancją i swobodą nad parkietem, deptała stopy swoich partnerów, przez co im samym plątały się nogi. W efekcie na kolejnych balach i przyjęciach młodzi mężczyźni zaczęli ją omijać szerokim łukiem, a Rozalia podpierała ściany. Hrabina miała nadzieję, że Mikołaj Tojew przełknie tę odrobinę dziegciu w garncu miodu, bo mimo wszystko należało przyznać, że Rozalia była piękną młodą kobietą, której natura nie poskąpiła niewieścich walorów.

Rozmyślając o córce, hrabina nawet nie zauważyła, kiedy przekroczyły próg domu handlowego i skierowały się w stronę działu z damską konfekcją. Miała nadzieję, że kupi tu wszystko, co zaplanowała. Z niechęcią musiała przyznać, że sklep był wspaniale zaopatrzone. W innym przypadku nie przestąpiłaby progu geszefu, który należał do przechrzty, jak z pogardą wyrażała się o właścicielu.

Dom handlowy w Szarej Kamienicy został założony przez Stanisława Feintucha, który po jakimś czasie zdecydował się przyjąć chrzest. Fakt ten był w Krakowie szeroko komentowany. Ponoć katolicy nie wierzyli w czystość intencji Feintucha. W końcu wydano nawet oświadczenie, że chrzest został przez Stanisława przyjęty nie z wyrachowania, ale po gruntownym przysposobieniu nowej wiary, dzięki czemu stał się on wzorowym i mocno wierzącym katolikiem oraz polskim patriotą. Niedługo po nim chrzest przyjęła reszta rodziny. Zapewne dla podkreślenia przemiany pod koniec ubiegłego stulecia Feintuch przyjął bardziej swojskie nazwisko Szarski, dając początek handlowemu klanowi, który sprawnie rozwinął działalność dawnego sklepu kolonialnego, tworząc z niego popularny w Krakowie i poza nim dom handlowy.

Po dwóch godzinach pobytu u Szarskich Rozalia była kłębkiem nerwów. Miała wrażenie, że pozostali klienci patrzą tylko na nią i matkę. Nienawidziła uwag, jakie wygłaszała hrabina za każdym razem, kiedy Rozalia wychodziła z przymierzalni.

– Na litość boską! – Józefa powoli traciła nerwy. – Wyprostuj ramiona, Rozalio. Plecy proste, ile razy ci powtarzałam, że nie powinnaś się garbić. Głowa wysoko. Nie chowaj jej w ramionach. Wyglądasz jak złodziej złapany na gorącym uczynku. Obróć się. Głowa wyżej. – Ucichła na chwilę. Załamała ręce i wzniosła oczy ku niebu. – Nie rozumiem, jak to możliwe, że w każdej sukni wyglądasz jak praczka, a nie córka hrabiego. – Ktoś, kto nie znał hrabiny, mógłby pomyśleć, że biedaczka zaraz się rozplacze.

Rozalia czym prędzej czmychnęła do przymierzalni. Bała się, że jeszcze chwila, a zacznie płakać na oczach tych wszystkich ludzi. Zagryzła wargi, żeby powstrzymać ich drżenie. Odchyliła głowę do tyłu i zatrzepotała rzęsami, by przegonić zbierające się łzy. Musi być dzielna. I cierpliwa. Szczerze mówiąc, nie wiedziała, czy łzy pod jej powiekami były łzami upokorzenia czy wściekłości. Gdyby tylko miała więcej odwagi, postawiłaby się matce. Już dawno ukróciłaby te złośliwe komentarze, lecz była tchórzem. W przeciwieństwie do brata, któremu starczało odwagi za dwojga. Julian z pewnością nie stałby jak zastraszona sierota. Pewnie wybiegłby ze sklepu przy pierwszej sposobności, zostawiając matkę z tym całym galimatiasem.

– Przebrałaś się? Ileż można czekać? – Głos matki wdarł się do schronienia, jakim dla Rozalii stała się przebieralnia.

Wreszcie podeszły do kasy. Towarzysząca im sprzedawczyni trzymała na ręku naręcze ubrań. Spódnice, kostiumy z angielskich materiałów zimowych, dwie bluzki jedwabne i trzy wełniane, dwa żakiety i płaszcz z futrzanym kołnierzem.

Starszy mężczyzna siedzący przy kasie zsunął z nosa okulary, zerknął na towar i z uśmiechem na wąskich, pomarszczonych ustach zwrócił się cicho do hrabiny Michałowskiej:

– Dzień dobry pani hrabinie. Cieszy nas niezmiernie, że uhonorowała nas pani swoją obecnością. To dla nas zaszczyt. – Po tych słowach zaczął podliczać rachunek. Kiedy skończył, podał sumę do zapłaty. – Pozwoliłem sobie dodać do dzisiejszego rachunku także ten ostatni, który zapisaliśmy na rzecz pana hrabiego w ubiegłym tygodniu, kiedy państwa służąca robiła zakupy na przyprawach.

– Cóż za tupet – odezwała się Józefa Michałowska, gromiąc staruszkę wzrokiem. – Mogłam się spodziewać takiej arogancji. – Zrobiła dłuższą przerwę, w czasie której wydawało się, że atmosfera w sklepie zgęstniała. – Zastanawiam się, czy nie zrezygnować z zakupów. Czy pan sobie wyobraża, że mam przy sobie gotówkę? Proszę zapisać wszystko na nasze nazwisko i w stosownym czasie zgłosić się do hrabiego. Któż to widział, żeby zwracać się do mnie z taką sprawą? – Przewróciła oczami i spojrzała na kobietę trzymającą ubrania, które Józefa wybrała, nie licząc się ze zdaniem córki. – Jestem w stanie darować tę zniewagę, ale proszę pamiętać, że daję Feintuchom ostatnią szansę. – Specjalnie posłużyła się starym nazwiskiem właścicieli domu handlowego, chociaż rodzina Feintuchów od ponad dekady przedstawiała się nazwiskiem Szarscy. – Drugiej nie będzie. Ubrania proszę odesłać do majątku. – Hrabina ruszyła w stronę drzwi, nie czekając na odpowiedź.

Rozalia poszła za nią. Rzuciła jeszcze w stronę sprzedawczyni i starszego jegomościa spojrzenie, w którym zawarła nieme przeprosiny.

Następnie weszły do Alfreda Fraenkla po buty. Spędziły tam z pół godziny i obie zadowolone wyszły z uśmiechem na twarzy. Dzięki tej wizycie Rozalia wzbogaciła się aż o cztery pary trzewików. Dwie sznurowane oraz dwie zapinane na ozdobne guziczki. Wszystkie bardzo gustowne, z dobrej skóry, wykonane starannie, chociaż produkowane w fabryce, a nie szyte na zamówienie przez szewca, tak jak buty matki czy ojca, który jeździł po nie specjalnie do Warszawy.

Józefa zerknęła na zegarek, który trzymała w małej torebce. Ponieważ miały trochę czasu, postanowiła zajrzeć do Gałkowskiej na Grodzkiej, co zresztą było im po drodze.

– Powinnyśmy kupić jeszcze bieliznę.

Oczywiście na wyborze gorsetów się nie skończyło. Sklep Gałkowskiej był cudownie zaopatrzony. Hrabina czuła się tu jak ryba w wodzie. Miała wrażenie, że sprzedawczynie czytają w jej myślach.

– Proszę spojrzeć na te pióra. Boa jest niesamowicie delikatne. A jak się układają. I w dotyku są mięciutkie. A rękawiczki? Cieniutkie, a jednak chronią przed chłodem. Proszę, niech hrabina

przymierzy. Czyż nie są piękne? A na szczupłej dłoni, takiej jak hrabiny, prezentują się jeszcze lepiej. – Józefa uśmiechała się szeroko, przyglądając się swoim dłoniom obleczonym w brązowe rękawiczki wykończone fikuśnymi kokardkami.

W końcu zamówiły kilka gorsetów paryskich dla Rozalii i dwa dla hrabiny, chociaż wcale ich nie potrzebowała. Nie mogła się jednak oprzeć. Nie byłaby sobą, gdyby nie doceniła uroku śnieżnobiałej koronki. Podobnie rzecz się miała z rękawiczkami i kapeluszem. Kiedy w końcu Józefa Michałowska zaczęła się zbierać do wyjścia, Rozalia odetchnęła z ulgą. Marzyła już tylko o powrocie do domu i podwieczorku.

Rozalia zamykała właśnie drzwi sklepu, uśmiechając się jeszcze do przemiłych sprzedawczyń i właścicielki, która pojawiła się, gdy doniesiono jej, że hrabina Michałowska robi u niej zakupy, kiedy usłyszała radosny głos matki. Nieczęsto się zdarzało, żeby Józefa Michałowska ucieszyła się na czyjś widok. Rozalia przypuszczała zresztą, że nie było tak i tym razem, ale matka potrafiła grać prawie tak jak Helena Modrzejewska.

Wiedziona ciekawością, czym prędzej dołączyła do matki. Już z daleka poznała Teklę Schramm, która wraz z mężem była kiedyś u nich na obiedzie. Żona bankiera była znana w Krakowie, podobnie jak jej matka. Pierwszą znano z doskonałych, świetnie przygotowanych przyjęć, o których mówiło się potem przez wiele dni, druga była wzorem elegancji, którą pragnęły naśladować inne kobiety.

– Cóż za miłe, niespodziewane spotkanie. – Tekla Schramm uśmiechnęła się szeroko, lustrując obie panie Michałowskie od góry do dołu.

– Faktycznie – przytaknęła hrabina, przyglądając się młodej dziewczynie stojącej obok Schrammowej.

Hrabina pomyślała, że tak właśnie powinna wyglądać młoda panna. Eleonora nie była wysoka, jednak plecy trzymała prosto, a głowę miała odpowiednio uniesioną, aby podkreślić sylwetkę i zaznaczyć smukłość szyi, przez co dodawała sobie nieco wzrostu, nie wyglądając przy tym, jakby się specjalnie wywyższała. Była szczupła, ale przyjemnie zaokrąglona w miejscach, w których kobieta taka być powinna. Dzięki sylwetce klepsydry zapewne nie potrzebowała gorsetu. Włosy miała schowane pod kapelusikiem stosownym do jej wieku.

„Wygląda jak z żurnala, gdybym ja mogła mieć taką pewność siebie”, pomyślała Rozalia, mimowolnie prostując plecy. W oczach dziewczyny nie widziała cienia strachu. Przemknęło jej przez myśl, że Eleonora zapewne umie rozmawiać na różne tematy i nie obawia się spotkań z młodymi, gotowymi do flirtu mężczyznami.

Niezobowiązującą rozmowę przerwał nadjeżdżający samochód, który zatrzymał się tuż przy chodniku, zaledwie kilka metrów przed rozmawiającymi paniami. Rozalia od razu poznała samochód Juliana. Musiał je tu zauważyć i zamiast zatrzymać się przed klasztorem Klarysek, podjechał aż pod sklep Gałkowskiej.

– Do zobaczenia za kilka dni na balu – powiedziała Tekla na pożegnanie.

– Oczywiście będziemy – zapewniła hrabina.

Padły słowa pożegnania, po czym żona i córka bankiera wstąpiły do sklepu, który przed chwilą opuściły Michałowskie, te zaś rozsiadły się w samochodzie młodego hrabiego.

– A któż to taki? – Julian nieczęsto widywał matkę plotkującą na ulicy. W rzeczy samej widok był to niecodzienny.

– To żona i córka Jana Schramma, bankiera, który jest znajomym ojca. Jak wiesz, nawet taki majątek jak nasz z różnych powodów czasami musi wspomagać się kredytem. – Józefa spojrzała na syna, zastanawiając się, czy pytanie było podyktowane zwykłą ciekawością, czy może starsza latorośl Schrammów spodobała się jej synowi.

– Córka, mówi mama? – Julian starał się mówić normalnie, tak aby matka nie wyczuła jego zainteresowania.

– Eleonora. Spotkasz ją zapewne na balu, na który jesteśmy zaproszeni. – Ze sposobu, w jaki matka wypowiedziała te słowa, wnosił, że miała pewne zastrzeżenia do córki Schrammów, czym wznieciła jego ciekawość co do dziewczyny.

Zerknął na hrabinę. Zasznurowała usta. A więc panna Schrammówna musiała mieć poglądy, a może nawet i styl bycia, z którym nie zgadzali się jego rodzice. Jeszcze nie poznał jej osobiście, a już mu się spodobała. Jeżeli osobowość miała tak interesującą, nieoczekiwaną i zaskakującą, jak śliczną miała twarz i sylwetkę, to czuł, że mogą być z tego kłopoty.



## Rozdział 3

Jan Schramm wyprostował się dumnie, zerkając na żonę, starszą córkę Eleonorę i młodszą Stefanię, która uśmiechała się szeroko, co zdarzało się jej ostatnio dość rzadko. On też się uśmiechnął. Dobrze się stało, że obstawał za tym, żeby Stefania też tu była, chociaż Tekla wolałaby zostawić ją w domu. Dlatego gdy jego szanowna małżonka podjęła ten temat dwa dni temu, odparł stanowczo:

– Nie sędzę, aby zostawianie Stefanii w domu to był dobry pomysł. Czy widziałaś, jak ona się cieszy? Od kilku dni o niczym innym nie mówi. Uśmiech nie schodzi jej z ust. Będzie głęboko rozczarowana, kiedy powiemy jej, że musi czekać do następnego roku albo i dłużej, aby uczestniczyć w balu. Zostanie z nami kilka godzin, a potem szofer odwiezie ją do domu. W końcu Stefcia nie jest już małą dziewczynką, tylko dorastającą panienką.

Tekla miała ochotę zaproponować, lecz w tym momencie do pokoju tanecznym krokiem wbiegła Stefania, kręcąc się jak fryga i wyśpiewując arie na temat czekających ją atrakcji.

– Bal, mam, prawdziwy bal. Tańce. Walce. – Zachichotała. Okręciła się dookoła, podbiegła do ojca, ucałowała go w czoło, potem podeszła do matki, obejmując ją ciasno. Po chwili znowu zaczęła szczebiotać. – Na razie tylko o nich czytałam albo ich słuchałam. Będzie walc. Będzie, tatku, prawda?

I tak oto młodszą córkę Schrammów stała teraz z rodzicami w drzwiach pałacu przy Starowiśniej 13, witając napływających nieprzerwanym strumieniem gości.

Kiedy wznoszono pałac Konstantego barona de Pugeta, Jan miał dwanaście lat. Przychodził na plac budowy co jakiś czas, żeby przyglądać się postępowi prac. Chociaż inni powątpiewali, on wierzył, że budynek stanie w ciągu roku, tak jak zapowiadali jego twórcy. I udało się. Nie minęło dwanaście miesięcy, a rezydencja pałacowa była gotowa.

Raz jeden, kiedy był jeszcze studiującym młokosem, udało mu się wejść na wydawane tu przyjęcie. Zawdzięczał to koneksjom jednego z przyjaciół. Wnętrza oraz ich wystrój, a w szczególności architektoniczne detale go oszołomiły. Tamta noc była wyjątkowa i na zawsze pozostała w pamięci bankiera, dlatego kiedy w ubiegłym roku dowiedział się, że właścicielka zamierza wydzierżawić posesję Cesarsko-Królewskiej Straży Wojskowo-Policyjnej, wpadł na pomysł. Zwrócił się do jej przedstawicieli z zapytaniem, czy za stosownym wynagrodzeniem, jeszcze zanim C.K. Straż wprowadzi się do pałacu, może go wynająć na bal karnawałowy. Odpowiedź przyszła niebawem.

– Może pan – powiedział jeden z prawników reprezentujących interesy właścicielki – ale pod jednym warunkiem. Bal ma być niezapomniany. Mają o nim mówić w całym mieście, przynajmniej do następnego karnawału, jak to dawniej bywało.

A ponieważ zamierzał wywiązać się z danej obietnicy, dziesiątki zaproszeń rozesłano już na długo przed świętami Bożego Narodzenia. Lista znamienitych nazwisk nie miała końca. Byli na niej krakowscy bankierzy, politycy, urzędnicy, profesorowie, literaci, arystokracja, a nawet sam prezydent miasta Juliusz Leo wraz z szanowną małżonką Cecylią.

Wreszcie nadeszła długo wyczekiwana noc. Samochody i powozy, którymi podjeżdżali goście, kierowano na tyły pałacu, gdzie zbudowano nowe stajnie. Plac przed nimi zamieniono chwilowo na parking. W dwupiętrowej oficynie przygotowano pokoje dla tych gości, którzy chcieliby odpocząć przed podróżą do domu. W przyszłości w oficynie miały się mieścić koszary. Stara stajnia, którą w części przeznaczono na areszt, a w części na magazyny, została zaadaptowana na skład towarów potrzebnych szefowi kuchni i jego pomocnikom.

– Wiele się nasłuchałam o przyjęciach wydawanych przez Teklę Schramm. I muszę ci powiedzieć, kochanie, że byłam do tych opowieści bardzo sceptycznie nastawiona, ale widząc ten rozmach, śmiem twierdzić, że dzisiejsze przyjęcie przejdzie do historii miasta – szepnęła hrabina Michałowska, trzymając męża pod ramię.

Aleksander musiał przyznać żonie rację. Dyskretnie lustrował wchodzących gości. Przed chwilą mignęła mu w tłumie sylwetka Juliusza Lea. Kilka razy miał przyjemność rozmawiać z prezydentem, który podobnie jak on był konserwatystą, lecz nigdy nie spotkał go na gruncie prywatnym. Zapraśnił

zacieśnić tę znajomość. Był zdeterminowany, ponieważ zamierzał wystartować w wyborach do Rady Państwa. Wybory miały się odbyć w czerwcu i był najwyższy czas, aby zacząć się do nich przygotowywać. Znajomość z urzędującym prezydentem z pewnością byłaby ogromnym atutem.

– Witamy. – Jan Schramm wyciągnął rękę w stronę hrabiego. – To dla nas zaszczyt gościć państwa na balu. Hrabina, jak zawsze, piękna. – Skomplementował elegancką suknię Józefy, czekając, aż Michałowska poda rękę na powitanie. – I panienka także. – Rozalia opuściła głowę, zawstydzona komplementem. – Młodzieńcze, nie miałeś jeszcze okazji poznać mojej rodziny. – Jan potrząsnął ręką Juliana. – Pozwól więc, że przedstawię. Tekla, moja żona.

– Niezmiernie mi miło. – Julian ujął wyciągniętą dłoń i pochylił się, żeby złożyć na niej pocałunek.

– Moja starsza córka Eleonora. – Dziewczyna, podobnie jak jego siostra Rozalia, miała na sobie jasną suknię. Górę kreacji uszyto z kunsztownych koronek tworzących kaskadę spływającą na białym. Ciasno zasznurowany gorset uwydatniał wąską talię, którą zapewne mógłby objąć rękami. Na ramiona zarzuciła pelerynę, a ręce wciąż trzymała w mufce z futra lisa. Na głowie miała szeroki kapelusz, w który wpleciono wstążki oraz pióra.

– Nie mieliśmy okazji się poznać, ale pamiętam panienkę sprzed sklepu Gałkowskiej. – Julian uśmiechnął się do dziewczyny, która podała mu rękę. Chciał ją ucałować, lecz panna z energią i werwą godną mężczyzny potrząsnęła jego ręką i szybko wyszarpnęła swoją z uścisku, nie pozwalając mu na powtórzenie gestu, jaki wykonał, witając się z jej matką.

– Proszę wybaczyć. – Jan uśmiechnął się pod wąsem, widząc zachowanie Eleonory. Ostatnio była taka nieokrzesana. Pozwalała sobie wygłaszać mowy, których nie spodziewałby się z ust swojej córki. Miał nadzieję, że jej zauroczenie sufrażystkami jest tymczasowe. Nie był to jednak czas i miejsce, aby zaprzętać sobie tym głowę. – A to moja młodsza córka Stefania. – Schramm wychylił się nieco z szeregu, wskazując na pannę stojącą z wysoko uniesioną głową.

– Miło mi. – Julian chciał się przywitać po męsku, podobnie jak z Eleonorą, ale Stefania podała mu dłoń do pocałunku.

– Proszę mnie nie porównywać z siostrą – szepnęła dziewczynka. – Ja w przeciwieństwie do niej chciałabym być adorowana przez przystojnego młodzieńca.

Julian z trudem powstrzymał się od śmiechu. Pomyślał, że ta mała wyrośnie na niezłe ziółko. Siostry różniły się od siebie jak ogień i woda. Eleonora wyglądała na kobietę twardo stąpającą po ziemi. Stefania zaś może i była egzaltowaną dziewczynką żyjącą w świecie marzeń o księciu z bajki, ale w jej oczach dostrzegł błysk, który zdradzał ognisty temperament.

\*\*\*

Młody hrabia Michałowski wszedł za ojcem do pokoju przeznaczanego dla panów, gdzie mogli spokojnie porozmawiać, zapalić cygaro i wypić kieliszek mocniejszego alkoholu. Aleksander Michałowski podszedł do stolika, wokół którego rozstawiono wygodne fotele. Siedzieli tam już, pogrążeni w rozmowie, bankier Jan Schramm, prezydent miasta Juliusz Leo, bracia Zieleniewscy, właściciele fabryki budowy maszyn, przyjaciele gospodarza balu, których dotąd nie miał okazji poznać osobiście, pan Wojciechowski, bardzo się czymś ekscytujący właściciel sklepu jubilerskiego przy ulicy Szewskiej, i sędzia śledczy doktor Waławowicz, który przeciwnie, wydawał się uosobieniem spokoju.

– Miałem szczęście, panowie – mówił wzburzony jubiler. – Sami wiecie, że tuż przed świętami i sklep, i kasa pełna. Akurat przywieźli diamenty, które miałem osadzić w broszce, jaką książę Lubomirski, będąc akurat w mieście, zamówił dla żony Jadwigi. Miała mieć kształt balonu, jakim bracia Montgolfier wznieśli się w powietrze. Tak na marginesie powiem, że to aluzja do szkoły, jaką książę zamierza wraz z Warszawskim Towarzystwem Lotniczym Awiata otworzyć, żeby kształciła naszych pilotów. Ale wracając do rzeczy. Ten opryszek, który ponoć był hersztem bandy złodziei, co to od dawna plądruje sklepy i nawet domy prywatne, jak mu tam było... – Jubiler zadumał się na chwilę, usilnie starając sobie przypomnieć nazwisko bandyty. Nagle jego twarz rozjaśnił uśmiech. – Roman Utelski! – krzyknął rad, że jednak nie do końca wyleciało mu z głowy. – A więc ten cały Utelski zamierzył się

na mój zakład i sklep. Niechybnie udałoby mu się wybić dziurę w murze, gdyby nie przypadkowy świadek, który miał tyle odwagi, żeby wszcząć larum. Złapano go prawie na gorącym uczynku. I teraz dowiaduję się, że złodziej ten w towarzystwie kompanów uciekł z więzienia. Cóż też za straż jest u św. Michała? Na samą myśl dostaję gęsiej skórki. Moja żona wpadła w histerię, kiedy stróże przyszli nas o tym powiadomić. I wcale jej się nie dziwię. A jeżeli w odwecie zamierzą się na moją rodzinę? – Pytanie zawisło w powietrzu. Wszystkie oczy zwróciły się w stronę sędziego Waławowicza.

– Mogę zapewnić, panie Wojciechowski, że nie ma się czego obawiać. To prawda, udało się im w jakiś sposób sforsować więzienne mury, ale jak wiecie, większość z nich już siedzi z powrotem za kratami. Dzięki wprawie przesłuchującego udało nam się ustalić, że porozumiewali się podczas przechadzek na spacerniku i tam dopracowali plan ucieczki. Wiemy również, gdzie ukrywa się Utelski. Nie pisano o tym w gazetach, żeby go nie ostrzec, ale dziś mogę już panom zdradzić tę tajemnicę. Zresztą nie przypuszczam, żeby któryś z was chciał spieszyć bandycie z pomocą. Mam nadzieję, że właśnie teraz go aresztują. Niech pan uspokoi swoją małżonkę. Nic wam nie grozi.

– Może zamiast o przestępstwach porozmawiamy o czymś weselszym – rzucił prezydent Juliusz Leo. – Dziś należy się bawić i radować, a nie trwożyć. Miejmy nadzieję, że takie przypadki będą się zdarzać coraz rzadziej. – Prezydent zrobił przerwę, upijając łyk koniaku, którym raczył się od jakiegoś czasu. Chwilę potem zwrócił się do Jana Schramma. – Muszę przyznać się naszemu gospodarzowi, że jego bal miał dużego konkurenta. Długo nie mogłem zdecydować, które z przyjęć wybrać, bo wyobraź pan sobie, że wraz z pańskim zaproszeniem otrzymałem także zaproszenie na zabawę kostiumową „Gwiazdy”, która odbywa się dziś w sali „Sokoła”. Byłbym się skusił, bo ponoć ma być wiele niespodzianek. Jesteśmy tu z szanowną małżonką tylko dlatego, że to ona właśnie należała, aby skorzystać z pana zaproszenia.

– Słyszałem, że do „Sokoła” przybędzie Kuli-fon-Bej z Bombaju. Wiecie, panowie, uczeń mistrza Ben-Ali-Beja. Do prasy przeciekły informacje, że o północy ma się pojawić wśród gości na magicznych saniach – dodał Edmund Zieleniewski.

– Och, proszę się nie martwić. Moja żona nie byłaby sobą, gdyby pozwoliła, aby tak wyjątkowa noc przeszła bez echa na mieście, zwłaszcza po tym, jak zrobiła rozeznanie i dowiedziała się, że repertuar balów w tym roku jest znacznie bardziej zróżnicowany i – rzec by można – wykwinny niż w roku ubiegłym. Pomyślała zatem o wszystkim. Nie tylko o wybornym jedzeniu i świetnej orkiestrze, ale także o wyjątkowej, niespotykanej rozrywce. O północy ma się odbyć seans spirytystyczny, na który zaproszeni są wszyscy odważni goście. Dodatkowo dla pań i panien będzie niespodzianka. Mogą pokusić się o poznanie swojej przyszłości, którą przepowie znana wróżka Agnieszka Pilchowa. Swego czasu moja żona zasięgała nauk madame Pilchowej, bo od dawna pasjonuje się sprawami natury nadprzyrodzonej. Zresztą sama pasjami wróży z tarota. – Jan Schramm najpierw wzruszył lekko ramionami, dając znać panom zebranim w pokoju, że nic nie zdoła poradzić na damskie fanaberie, a potem uśmiechnął się szeroko, zadowolony, że zdołał ich zadziwić.

Zamiłowanie Tekli do wróżb i świata paranormalnego było tajemnicą poliszynela. Kiedy więc powiedziała mu, że zaprosiła na bal jasnowidza i spirytystę w jednej osobie, ostro się sprzeciwił. Jednak Tekla nie ustępowała. Co jakiś czas zaglądała do jego domowego gabinetu, żeby drażyć temat.

– Pomyśl, mój drogi – przekonywała. – Nasz bal nie będzie jedyny. To w końcu ostatnia sobota karnawału. Widziałam ogłoszenia w prasie. Każdy pragnie przyciągnąć jak największą liczbę znakomitych gości. Dzięki Bogu nam już się udało. Przybycie potwierdzili prawie wszyscy z twojej listy, z prezydentem na czele, chociaż jego odpowiedź nadeszła jako jedna z ostatnich. Musisz ich jakoś zabawić. Świetne jedzenie i muzyka nie wystarczą. Nie warto też powielać schematów. To musi być coś wyjątkowego. Nietypowego. Jedyne w swoim rodzaju. Nasi goście tego właśnie oczekują. Nie byłabym sobą, gdybym pozwoliła, aby wyszli rozczarowani. A poza tym przyrzekłeś mi, że będzie się o balu mówiło przez okrągły rok, nieprawdaż? – Tekla doskonale wiedziała, jak go podejść.

Nie miał wyboru, musiał ustąpić, a patrząc teraz na zaciekawienie na twarzach rozmówców, nie żałował i przyznawał jej w duchu rację.

– Obecnością swoją zaszczyca nas Stefan Ossowiecki – dodał po dłuższej chwili milczenia.

Po tych słowach panowie z uznaniem pokiwali głowami.

Julian na razie nie brał czynnego udziału w konwersacji. Przysłuchiwał się tylko wymianie zdań, nie chcąc przeszkadzać starszym. Niemniej miał teraz ochotę zapytać, kim jest ten Ossowiecki. Jednak po dłuższym zastanowieniu zrezygnował, nie chcąc wyjść na ignoranta. Słuchał jeszcze przez jakiś czas, o czym mówią zebrani, a potem przestał śledzić dalszą rozmowę, która zaczęła go nudzić.

Gdyby nie ojciec, zostałby w sali balowej, towarzysząc matce i siostrze. Przyszedł tutaj tylko ze względu na niego. Hrabia chciał wprowadzić syna do grona ludzi o poglądach zbliżonych do jego własnych. Zdawał sobie sprawę, że syn nie podziela jego wizji świata. Miał nadzieję, że rozmowa z ludźmi takimi jak prezydent Leo sprawi, że syn na nowo przeanalizuje swoje sympatie polityczne.

Tymczasem Julian miał ochotę na zabawę. Chciał zatańczyć z Eleonorą. Bal trwał już od dobrych kilku godzin, a on nie miał jeszcze okazji poprosić jej do tańca. Zaczął się nawet zastanawiać, czy córka bankiera w ogóle tańczy, ponieważ za każdym razem, kiedy zerknął w jej stronę, widział ją w towarzystwie starszego mężczyzny, którego nie odstępowała prawie na krok. Podchodziła z nim do gości. Przystawała. Prowadziła rozmowy, a w pewnej chwili wydawało mu się nawet, że wdała się z nim w zażartą dyskusję. Był ciekaw, kim jest szanowny jegomość. Chyba nie są po słowie, pomyślał w momencie, kiedy sylwetka Eleonory mignęła mu na korytarzu.

– Ossowiecki to znany telepata. – Słowa ojca, który włączył się do rozmowy, wyrwały Juliana z zamyślenia. – Słyszałem, że zdolności telepatyczne zaczęły się u niego rozwijać już w młodości. Potem doszło jasnowidztwo i telekineza. Jak wieść niesie, pomocy w rozwijaniu umiejętności udzielał mu Worobieja, żydowski kabalista.

– Słyszałem, że bywa u niego Ignacy Paderewski. Ponoć odwiedził go podczas ostatniej bytności w mieście. No wiecie, panowie, w lipcu ubiegłego roku. – Fabrykant Zieleniewski podzielił się zasłyszaną jakiś czas temu plotką.

– Panowie wybaczą. – Julian podniósł się z zajmowanego fotela. Oczy wszystkich skierowały się na niego. – Chyba wróć na salę balową. Nie sposób usiedzieć spokojnie, kiedy słyszy się taką muzykę. – Po tych słowach skierował się do wyjścia.

– Oczywiście, że wybaczymy. Młodość musi się wyszumieć. Idź, Julianie, tańcz. – Jan Schramm uniósł trzymany w dłoni kieliszek, jakby wznosił toast. Julian skinął bankierowi głową w podziękowaniu za zrozumienie, którego niestety nie dostrzegł w spojrzeniu ojca.

\*\*\*

Pary zaczęły wirować w walcu. Julian szukał Eleonory wśród gości. Wreszcie udało mu się ją wypatrzyć. Zdjęła kapelusz, dlatego nie od razu ją zauważył. Uśmiechnął się do siebie, ponieważ irracjonalnie założył, że Eleonora jest blondynką. Tymczasem miała tak samo ciemne, wręcz czarne włosy jak on. Upięła je w wysoki kok, w który wpięto piękne ozdoby połyskujące w świetle. Szedł pewnie w jej kierunku, torując sobie drogę wśród rozmawiających i tańczących.

– Można prosić? – zapytał, wyciągając dłoń w jej stronę.

– Do tańca? – zapytała Eleonora.

– Do tańca – powtórzył.

– W takim razie nie można – odparła, patrząc na niego z wyzwaniem w oczach i czekając na jego reakcję. Zapewne chciała go spłoszyć.

– A do czego można? – Julian nie dawał za wygraną.

– Można prosić na spacer. – Eleonora uśmiechnęła się do niego.

Julian cofnął rękę, odwrócił się i odszedł kilka kroków. Wiele by dał, aby zobaczyć jej zdziwioną minę, ale sama go do tego sprowokowała. Zamierzał się z nią podroczyć. Eleonora była tak zszokowana, aż otworzyła usta, chcąc zapewne coś powiedzieć. Miała je jeszcze lekko otwarte, kiedy odwrócił się na pięcie i ponownie do niej zbliżył.

– Można prosić o spacer z panienką? – Znowu wyciągnął dłoń, licząc na to, że wybaczy mu ten niewinny żart. Instykt podpowiadał mu, że dziewczyna ma poczucie humoru. I nie mylił się, chociaż przez chwilę krótszą niż mrugnięcie oka obawiał się obrażonej miny i demonstracyjnego odejścia.

Tymczasem kąćki ust panny Schrammówny delikatnie zadrżały, a potem dziewczyna wybuchnęła szczerym, nieskrępowanym śmiechem, który zwrócił uwagę gości. Przyglądali się rozweselonej Eleonorze i Julianowi, który wciąż stał z wyciągniętą w jej stronę dłońią.

– Można – odparła w końcu i złapała go pod ramię.

Wykonała zamaszysty obrót i pociągnęła go w stronę garderoby, z której zabrali ciepłe okrycia. Potem ruszyli do drzwi wychodzących na tyły pałacu. Znaleźli się obok nowych stajni, przed którymi stały w rzędach zaparkowane samochody. Eleonora spojrzała w prawo, potem w lewo, nie mogąc zdecydować, w którą stronę iść.

– Chodźmy. – Julian podjął decyzję. Poprowadził ją w kierunku gruntów w północnej części posiadłości, które zgodnie z umową podpisaną przez dotychczasowych właścicieli pałacu miały się stać własnością zakonu urszulanek. Szli powoli. Nie byli sami. Inne pary także zapragnęły zaczerpnąć świeżego powietrza, odsapnąć od tańca i głośnych rozmów.

– Już kiedy zobaczyłem cię... – Urwał na chwilę, ponieważ zreflektował się, że panna nie zezwoliła na taką poufałość. Spojrzał na nią, szukając w jej oczach pozwolenia. Eleonora uśmiechnęła się delikatnie i skinęła głową, dając tym samym przyzwolenie na ominięcie konwenansów. – A zatem już kiedy zobaczyłem cię pierwszy raz, pamiętasz, tamtego dnia przed sklepem na Grodzkiej podczas rozmowy z moją matką i siostrą, wiedziałem, że nie jesteś jak inne dziewczęta.

– Ojciec powtarza, że jestem jedyna w swoim rodzaju. Moja matka zapewne wołałaby, żebym bardziej przypominała twoją siostrę. – Zerknęła na niego. – Przepraszam, nie miałam nic złego na myśli. Matka słusznie uważa, że najczęściej najpierw mówię, a potem myślę. Nigdy nie potrafiłam trzymać języka za zębami. Dziś to zapewne efekt szampana... – Chciała coś dodać, lecz Julian uciszył ją, kładąc palce na jej wargach.

– Mogę cię o coś zapytać? – powiedział, patrząc w oczy Eleonory, szeroko otwarte ze zdziwienia. Nie odsunęła się, mimo że jego gest, jakże intymny, ją zaskoczył. Wręcz przeciwnie, kiedy odsunął dłoń, dotknęła ust w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą spoczywały jego smukłe palce.

– Zapytać zawsze możesz. – Uśmiechnęła się łobuzersko po chwili. Miał wrażenie, że z nim flirtuje.

– Kim był ten starszy mężczyzna, którego nie odstępowałaś na krok?

– Brat mojej mamy, wuj Władysław. Jest profesorem na Uniwersytecie Jagiellońskim. Żałuję, że musieli już iść, ale ciotka Leokadia źle się poczuła. Uwielbiam z nim dyskutować. Rozmowa z nim zmusza mój mózg do wysiłku. Poza tym dzięki niemu mam okazję poznać wielu ciekawych ludzi. Ostatnio spotkałam w domu wujostwa Marię Kossakównę. Jest trochę starsza ode mnie, ale czuję się przy niej jak marny puch. – Eleonora przerwała, spoglądając na Juliana. Najwyraźniej czekała na wyjaśnienie, dlaczego go to zainteresowało.

– W pewnym momencie pomyślałem, że to twój... – Zatrzymał się w pół słowa. Teraz, kiedy próbował wyjaśnić swoją ciekawość, zdał sobie sprawę, że może urazić Eleonorę.

– Myślałeś, że to mój mąż albo narzeczony? Chyba trochę za stary? – Eleonora roześmiała się głośno. To, co w myślach, to na języku. Nie kokietowała i nie udawała, że nie rozumie. – Nie myślę na razie o zamążpójściu, chociaż wiem, że ojciec szuka dla mnie odpowiedniego kandydata, ponieważ matka nie daje mu spokoju. Co jakiś czas wróży mi staropanieństwo, a ojcu powtarza, że to wielki wstyd, że nie ma starających się o moją rękę. – Przerwała na chwilę. – Zapewne kiedy matka się dowie, że z tobą spacerowałam, zacznie ojcu wiercić dziurę w brzuchu, żeby porozmawiał z hrabią Michałowskim o naszym mariażu.

Jej bezpośredniość go zadziwiła. Podobała mu się coraz bardziej. Miał dość egzaltowanych panien, które wciąż zachowywały się jak ich babki z poprzedniego stulecia, gotowe mdleć pod byle pretekstem.

– Nie chcesz wyjść za mąż? Myślałem, że to marzenie każdej panny. Znaleźć bogatego męża. Z tytułem i z zasobnym portfelem. To raczej niespotykana postawa. Czego zatem pragniesz, skoro nie szukasz drugiej połówki?

– Gdybym miała pewność, że mój przyszły mąż będzie moją drugą połówką, to od razu wyszłabym

za niego. – Zamilkła na chwilę. Szli powoli. On też się nie odzywał. Wreszcie Eleonora odwróciła się do Juliana. Przystanęła i powiedziała: – Chciałabym studiować. Dzięki mojemu wujowi mam przynajmniej okazję posłuchać czasami wykładów, które mnie interesują. Może tego nie wiesz albo cię to nie interesuje, ale dostęp do nauki dla nas, kobiet, jest utrudniony. Mężczyźni uważają, że mamy za małe mózgi, żeby studiować. A zresztą, kto przyjmie mnie na uniwersytet bez ukończenia szkół? – Roześmiane do tej pory oczy Eleonory stały się smutne. Przez chwilę wydawało się Julianowi, że zalśniły w nich łzy.

– Chcesz się uczyć. – To nie było pytanie. Raczej stwierdzenie. Nie był zaskoczony.

– Oczywiście, że chcę. Nie jestem pojedynczym przypadkiem. Takich dziewcząt jak ja jest coraz więcej. To mężczyźni nie dopuszczają do siebie myśli, że mogłybyśmy siedzieć z nimi ramię w ramię na uczelniach. Boicie się, że wam nie ustępujemy, a może nawet jesteśmy mądrzejsze. – Kiedy to mówiła, w każdym jej słowie słyszał pasję. – A ty? – zapytała po chwili. – Nie chcesz odkrywać tego, co nieodkryte? Nie chcesz poznawać? Badać? Stawać się bogatszym w doświadczenie?

– Studiowałem. – Kiedy to mówił, czuł wyrzuty sumienia. Ani razu przez cały okres studiów nie pomyślał z wdzięcznością, że może się uczyć bez przeszkód. – Prawie trzy lata na Sorbonie. Kiedy wracałem z Francji do domu, byłem przekonany, że wystarczy tej nauki, a ostatnio coraz częściej myślę, żeby zacząć studia tu, w Krakowie. Chociaż chęć podjęcia pracy chyba przeważa. Chciałbym być samodzielny i niezależny od ojca.

– Studiowałeś na Sorbonie? Na tej Sorbonie? – Eleonora cyzelowała każde słowo. Wypowiadała je tak, jakby je smakowała. Jakby było świętością, której nie można zbrukać. – Stawiałeś kroki tam, gdzie stawiali je najwięksi. To musiało być cudowne uczucie, prawda?

– Muszę cię rozczarować. Niestety, nie miałem czasu, żeby o tym myśleć i się nad tym zastanawiać. Zresztą to długa historia. – Nie zamierzał rozwodzić się na ten temat, lecz Eleonora patrzyła na niego z wyczekiwaniem. – Ojciec postawił ultimatum. – Julian podjął wątek. – Albo będę studiował to, za co on zapłaci, albo wybiorę kierunek sam, jednak bez jego wsparcia finansowego.

– Wnioskuje, że pojechałeś studiować to, co chciałeś. – Julian odniósł wrażenie, że kiedy o tym mówiła, była z niego dumna. – Też bym tak zrobiła. Mam przewrotną naturę. Nie lubię, kiedy ktoś chce narzucić mi swoją wolę.

– Tak, pojechałem studiować prawo, a nie agronomię, jak chcieli moi rodzice, i dlatego nie miałem czasu na przyglądanie się, kto chodzi uniwersyteckimi korytarzami. Musiałem znaleźć pokój na tyle blisko uczelni, żeby zaoszczędzić na dojazdach, ale na tyle daleko, żeby było mnie na niego stać. Przez jakiś czas korzystałem z niewielkiego funduszu, który zostawił mi mój dziadek. Potem musiałem podjąć pracę. – Tym razem Julian zamilkł na dłużej. – A wracając do różnicy zdań. Nie tylko w kwestii studiów różnimy się z ojcem. Ubolewam, że nie potrafimy znaleźć wspólnego języka. Oddaliśmy się coraz bardziej. Boję się, że w końcu dojdziemy do punktu, z którego nie będzie już odwrotu, i stracimy ze sobą kontakt na zawsze.

– To tak jak ja z matką. Ona nie rozumie, dlaczego chcę się uczyć. Mierzi ją, że całe dni spędzam z książką. Że przesiaduję w antykwariacie nieopodal domu albo u wujka i czytam. Matka uważa, że jeżeli już czegoś powinnam się nauczyć, to tego, jak zdobyć mężczyznę. Jak go oczarować. Jak flirtować i jak potem być dobrą, potulną żoną. Najśmieszniejsze jest to, że ona wcale taka nie jest.

– Może twoja siostra spełni jej oczekiwania.

– Stefania? – Eleonora parsknęła śmiechem. – Coś mi się wydaje, że z nią będą jeszcze większe problemy. Ona wprawdzie nie zamierza się uczyć, ale też nie myśli o małżeństwie. Raczej o przystojnych młodzieńcach, o czym miałaś okazję się przekonać. – Julian uśmiechnął się, kiedy Eleonora nazwała go przystojnym. Miło było wiedzieć, że się jej podoba. – Czyta za dużo romansów, które pożyczają od naszej pokojówki. Marzy jej się światowe życie i rycerz w lśniącej zbroi. Będą kłopoty, na pewno.

Znowu zamilkli. Julian dobrze się czuł w towarzystwie Eleonory. Pomyślał, że nie miałby za złe rodzicom, gdyby chcieli wyswatać go z tą dziewczyną. Chyba pierwszy raz od bardzo dawna zgodziłby się z decyzją ojca. Zerknął na Eleonorę. Szła, obejmując ramiona rękami. Usta jej lekko drżały.

– Zimno ci – powiedział i okrył ją swoim płaszczem. Nie chciała go przyjąć, ale on był uparty. –



Wracajmy. – Szybkim krokiem ruszyli w stronę pałacu. Po oddaniu okryć garderobianemu Julian poprowadził Eleonorę do głównej sali. Właśnie się zastanawiał, co zrobić, czy oddać ją pod opiekę matki i zostawić samą, czy może stanąć u jej boku i kontynuować rozmowę, kiedy Eleonora ujęła go pod ramię i poprowadziła w stronę parkietu.

– Teraz mogę zatańczyć.

Tańczyli do białego rana, robiąc przerwy tylko na szampana i małe przekąski.

– To była cudowna noc – powiedział Julian, patrząc na Eleonorę prosto w oczy. Nie speszyła się i nie odwróciła wzroku.

– Nie zaprzeczam. Muszę stwierdzić, że dzięki tobie pokochałam walca. Do tej pory taniec nie sprawiał mi przyjemności.

– Widać potrzebowałaś właściwego partnera.

– Szkoda, że karnawał się kończy.

– Julianie, czas na nas. – Józefa Michałowska przerwała jego rozmowę z Eleonorą. – Miło było pannę poznać. – Zwróciła się z uśmiechem do dziewczyny, lecz jej uprzejmość nie wyglądała na szczerą.

– Mnie również, hrabino. – Eleonora lekko dygnęła na pożegnanie. Julian spojrział na nią zaskoczony. Mrugnęła do niego porozumiewawczo.

W końcu znalazł się w aucie. Nie miał okazji umówić się z nią na spotkanie, ale miał szczerą nadzieję, że niebawem znowu ją zobaczy.

\*\*\*

Jan Schramm chodził nerwowo od ściany do ściany w swoim gabinecie w banku. Spędzał tu więcej czasu niż w domu, lecz dziś czuł się jakoś nieswojo. Usiadł za biurkiem. Upił trochę wody, którą wcześniej nalał sobie z ozdobnej karafki. Musiał się nieco uspokoić, w czym przeszkadzały mu jakieś dziwne nawoływania i okrzyki dochodzące z daleka. Horowitz miał się pojawić lada moment. Schramm liczył, że pozyska go dla swojego banku.

Zbliżała się jedenasta. Jan wstał zza biurka, żeby zerknąć przez okno. Wreszcie usłyszał pukanie do drzwi i jego pomocnik zapowiedział gościa. Horowitz wkroczył zamaszystym krokiem do środka. Od razu wyciągnął dłoń na powitanie. Na jego ustach, prawie całkowicie zakrytych sumiastymi wąsami, błąkał się dziwny, jakby szydery uśmiech.

– Witam jak najserdeczniej w naszym banku. – Jan Schramm uściśnął dłoń klienta.

– Cieszę się, że udało mi się dotrzeć bez problemów. Widział pan może, co się tam dzieje? Mam wrażenie, że świat stanął na głowie. Kto by pomyślał, że kobiety zaczną demonstrować i domagać się praw wyborczych!

– Nie widziałem, ale odgłosy manifestacji dochodzą aż tutaj, i muszę przyznać, że wyjątkowo mnie drażnią. Przez te ciągłe okrzyki jeszcze chwilę temu byłem dziwnie podenerwowany. Małżonka moja radzi, aby w takich momentach wziąć kilka głębszych oddechów i starać się uspokoić skołatane serce. Nie wierzyłem, że coś takiego może pomóc, ale dziś postanowiłem wypróbować te jej domowe sposoby i podziałało. Jestem już zdecydowanie spokojniejszy.

– Podziwiam pana. Nie wiem, czy udałoby mi się zachować spokój, wiedząc, że moja córka idzie tam razem z tymi, jak im tam, sufrażystkami – mówiąc to, Horowitz nie spuszczał oka z bankiera.

– A, o tym pan mówi. – Jan starał się zachować zimną krew, chociaż czuł, że cała odpłynęła mu do stóp. Miał ochotę wyprosić gościa i pobiec do pikietujących, żeby odnaleźć Eleonorę i wyciągnąć ją stamtąd za włosy. – Moja córka ma różne pomysły. Jest ciekawa życia. Chce poznać każdą jego stronę, co oczywiście nie oznacza, że na serio przyłącza się do tych rozwrzeszczanych kobiet głoszących tak niedorzeczne hasła. Pozwalam jej na te szaleństwa, bo dzisiejsza młodzież jest dość krnąbrna. Zapewne i tak wymknęłaby się cichaczem z domu, żeby zobaczyć dzisiejszy pochód na własne oczy. Jak to mówią, zakazany owoc zawsze smakuje najlepiej, dlatego czasami pozwalam jej na tego typu ekscesy, lecz proszę mi wierzyć, wszystko, co dotyczy moich córek, a szczególnie starszej, cały czas sumiennie z żoną nadzorujemy. Poza tym sami też byliśmy młodzi, czyż nie? Też robiliśmy głupstwa, które przyprawiały naszych rodziców o szybsze bicie serca. Tak to już jest. Młodość musi się wyszumieć. –

Jan uśmiechnął się szeroko, beztrąsko. Miał nadzieję, że przekonał swojego klienta. Niemniej jednak postanowił przeprowadzić z Eleonorą poważną rozmowę.

Kiedy bankier starał się przekonać fabrykanta, że jest całkowicie świadom poczynań swojej starszej córki, ta zbierała akurat ulotki, jakie rozrzucali przeciwnicy marszu. Łzy cisnęły się Eleonorze do oczu, kiedy czytała wypisane na nich kalumnie. Nie nadażała z ich zbieraniem. Inne uczestniczki też starały się je podnosić i niszczyć, ale przeciwników marszu idących za sufrażystkami krok w krok było prawie tak dużo, jak samych pikietujących kobiet. Właśnie zbierała kolejne karteczki z obraźliwymi malunkami, kiedy ktoś schylił się tuż obok niej i pomógł jej podnieść cały ich plik.

– Miałem nadzieję, że znajdę cię tu dzisiaj. Nie było łatwo. Krążę już od dwóch godzin i mój upór został wreszcie nagrodzony. – Julian uśmiechnął się do zaskoczonej Eleonory.

O marszu sufrażystek dowiedział się przypadkiem. Kilka dni temu był w Krakowie u przyjaciela jeszcze z Paryża, z Sorbony. Wspominali akurat wypad do jednego z kabaretów na placu Pigalle, kiedy do mieszkania wpadła siostra przyjaciela. Twarz miała zaczerwienioną – albo z wysiłku po biegu, albo z emocji. Nie zwracając sobie głowy manierami, zamiast przywitać się z gościem, już od drzwi zaczęła opowiadać.

– Nie uwierzysz – powiedziała do brata, całkowicie ignorując Juliana. – Ósmego marca przyjeżdża do Krakowa Maria Dulębianka. Nie mogę się doczekać. Mówię ci, braciszku, takiego marszu to miasto jeszcze nie widziało. Rośniemy w siłę. Suфраżystki górą! – Nie czekając na komentarz, zniknęła w drzwiach jednego z pokoi.

Przyjaciel wzruszył tylko ramionami, przepaszając w ten sposób za zachowanie siostry. Julian zapewnił go, że nic się nie stało. Ucieszył się nawet, bo od dawna się zastanawiał, jak doprowadzić do spotkania z Eleonorą, o której nie przestawał myśleć. Intuicja podpowiadała mu, że Eleonora nie opuści dzisiejszego marszu.

I się nie mylił. Gdyby się nie schyliła, żeby zebrać ulotki, poszedłby dalej, nie zauważywszy jej, a tak szedł z nią teraz ramię w ramię, nie bacząc na to, że niektórzy mężczyźni idący w pochodzie przeciwników bucą i gwizdzą na jego widok, nazywając go nawet zdrajcą.

– Przyjechałeś tu specjalnie, żeby spotkać się ze mną? – Uniosła brew, czekając na odpowiedź.

Przez chwilę miał ochotę powiedzieć prawdę. Chciał się przyznać, że myślał o niej od balu, który przetańczyli do białego rana, lecz wolał na razie zachować te wyznania dla siebie. Nie powinien się spieszyć. Nie z dziewczyną taką jak Eleonora, która marzy o samodzielności. Dlatego wzruszył niedbale ramionami, mówiąc:

– Przykro mi, że cię rozczaruję, ale nie. Byłem u przyjaciela. Jego siostra wpadła do mieszkania z samego rana, namawiając nas do udziału w marszu. Pomyślałem, że może cię tu spotkam. I miałem nosa.

– Nie boisz się tego, co powiedzą twoi znajomi, jeżeli cię tu zobaczą? Albo nie daj Boże twoi rodzice? Hrabia Michałowski z pewnością nie kibicuje naszej sprawie.

– Nie zastanawiam się nad tym, co powiedzą ludzie, chociaż staram się nie prowokować plotek na swój temat. A co do ojca... – Julian zrobił krótką przerwę. – Nasze stosunki są dalekie od poprawnych. Ten marsz nie może ich pogorszyć. – Przez chwilę szli w milczeniu. Tłum skandujących kobiet posuwał się powoli w kierunku podwyższenia, z którego miały przemawiać działaczki ruchu. – Co to? – zapytał Julian, wyjmując z ręki Eleonory jedną z ulotek.

– Świństwa, jakie na nasz temat wypisują przeciwnicy. Spójrz na tę. – Dziewczyna wybrała jedną z kart i pokazała Julianowi. – Piszą tu: „Ocalcie nas, panowie, przed nami samymi”. Albo ta. – Julian spojrzał na obrazek przedstawiający małą dziewczynkę rozpartą w fotelu i palącą cygaro. Pod nią widniał napis: „Wierzę w równe prawa dla kobiet”.

Eleonora podawała mu kolejne prześmiewcze ulotki, na których najczęściej zamiast dorosłych kobiet namalowano małe dziewczynki. Jedna podkradała śpiącemu chłopcu spodnie, na innej mały chłopiec stał skruszony przed dziewczynką trzymającą w dłoni wałek do ciasta. Były i gorsze, na których kobiety porównywano do małąp.

– Ale my się nie poddamy. Jest nas coraz więcej. Są i mężczyźni, którzy nam sprzyjają. –

Eleonora skinęła głową w kierunku kilku panów idących w pochodzie. – Na razie można ich policzyć na palcach jednej ręki, ale wierzę, że będzie was coraz więcej – powiedziała to, patrząc z nadzieją na Juliana.

Wreszcie doszli do podestu, z którego miały przemawiać zaproszone działaczki. Jedną z pierwszych przemawiających była Maria Dulębianka. Julian słuchał jej z zainteresowaniem. Pierwszy raz usłyszał o niej jeszcze w Paryżu. Dowiedział się o jej walce o równouprawnienie kobiet, lecz doszły do jego uszu także niewybredne plotki o niej i Konopnickiej, której Dulębianka wyprawiła pogrzeb we Lwowie w ubiegłym roku. Mówiono, że pochówek pisarki zamienił się w wielką manifestację patriotyczną. Uroczystości trwały aż do zapadnięcia zmierzchu. Zapalono wówczas pochodnie, a zebrany wielotysięczny tłum odśpiewał pieśń *Boże, coś Polskę* oraz *Mazurka Dąbrowskiego*. Julian żałował, że nie był świadkiem tak podniosłej uroczystości napawającej serce i duszę nadzieją, że kraj znowu kiedyś będzie wolny, bo byli jeszcze ludzie, którzy nie bali się manifestować polskości. Smucił go fakt, że przy okazji rozmów o patriotyzmie, które wywołał pogrzeb Konopnickiej, plotkowano także o więzi, jakie łączyła obie panie. Szeptano, że żyły ze sobą w intymnym związku jak mąż z żoną. Obawiał się, że Dulębianka może zostać wygwizdana, tymczasem, o dziwo, nawet przeciwnicy marszu zachowywali się przyzwoicie podczas jej przemowy. Działaczka mówiła płomiennie:

– Nie chcemy praw dla siebie, ale dla dobra ojczyzny, chcemy obywatelskich obowiązków, równości w poświęceniu. My, kobiety, żądając równouprawnienia, żądamy współdziałania w walce o prawa narodu, w pracy dla jego przyszłości, żądamy uczestnictwa w odbudowywaniu gmachu narodowego!

Eleonora biła brawo wraz z innymi, kiedy przemówienie dobiegło końca. Należało się to Dulębiance, choćby za jej niezłomną postawę. Na razie żadne niepowodzenie nie zdołało zachwiać jej wiary w sprawę, a przecież wciąż rzucono jej kłody pod nogi. Trzy lata wcześniej wystartowała w wyborach do Sejmu Krajowego we Lwowie. Na nic zdało się poparcie Stronnictwa Ludowego, skoro ostatecznie jej kandydaturę i tak odrzucono „z przyczyn formalnych”.

Eleonora zerknęła na Juliana, żeby sprawdzić jego reakcję na słowa Marii Dulębianki. Nic nie wskazywało, żeby czuł się urażony albo zbulwersowany. Wręcz przeciwnie, bił brawo równie mocno jak ona.

Miejsce na podeście zajęła Kazimiera Bujwidowa, którą Eleonora miała okazję poznać podczas ubiegłorocznej wigilii organizowanej przez jej rodziców. Eleonora trzymała pod łóżkiem broszury autorstwa Kazimierzy. Gdyby matka dowiedziała się, że jej córka czyta *Prawa nauczycielek* albo *Czy kobieta powinna mieć takie same prawa co mężczyzna*, dostałaby zawału serca.

W końcu zapowiedziano Zofię Nałkowską, o której zrobiło się głośno kilka lat wcześniej. Nałkowska była wówczas młodziutką panną, lecz miała więcej odwagi niż niejeden mężczyzna. I dziś w jej oczach nie było widać strachu. A patrzyła wprost na gwizdzących i buczących przeciwników. Mówiła głośno i wyraźnie, kierując słowa głównie do zatwardziały w przekonaniach mężczyzn.

– Od mojego wystąpienia, które wywołało szerokie komentarze, upłynęły ponad trzy lata, ale niestety, nic się nie zmieniło, dlatego śmiem powtórzyć, że do dzisiejszego zdemoralizowania ludzkość doszła nie przez swobodę życia, lecz przez jego krępowanie. Im surowsze i grubsze nakładamy na życie oraz uczucie pęta, tym bardziej będziemy chcieli je zrzucić. Kobieta, tak jak i mężczyzna, ma prawo do pożądania i życia erotycznego. Nie można narzucić kobiecie tylko jednej funkcji – bycia matką. Owszem, chcemy być matkami, bo tak stworzyła nas natura, lecz mamy prawo być także kochankami. Kobieta nie rodzi się po to, aby poświęcić się tylko i wyłącznie macierzyństwu. Chcemy całego życia! Chcemy całego życia! – zawołała, a zebrane kobiety zaczęły skandować za nią.

Po jej wystąpieniu zerwała się burza oklasków. Julian oklaskiwał ją tak samo mocno jak Eleonora, która, patrząc na niego z ukosa, myślała, że gdyby kiedykolwiek miała się związać z mężczyzną, chciałaby, aby był taki jak on. Otwarty na nowe doświadczenia. Patrzący w przyszłość. Niebojący się zmian. Szanujący wolę kobiety. Dający jej prawo do tych samych sfer życia, w których on uczestniczy. Bez ograniczeń. Taki mężczyzna byłby nie tylko mężem, ale przyjacielem i partnerem.

W końcu manifestacja dobiegła końca. Julian zaproponował, że odprowadzi Eleonorę do domu.

Nie oponowała. Jego towarzystwo sprawiło jej prawdziwą przyjemność. Długo szli w milczeniu. W końcu Eleonora nie wytrzymała i odezwała się pierwsza:

– Nie przypuszczałam, że zostaniesz do końca.

– To było niezwykle doświadczenie. Słyszałem o ruchu kobiet na rzecz równouprawnienia i zdobycia praw wyborczych. Mój ojciec czasami podejmował ten temat ze swoimi znajomymi. Możesz sobie wyobrazić, jakie mieli poglądy. Myślę, że każdy mężczyzna powinien wysłuchać tych przemówień. Tacy jak mój ojciec pewnie tylko utwierdziliby się w przekonaniu, że to banialuki, ale słowa, które tu padły, mają siłę wody. Zostają w głowie i jak woda drażni kamień, tak one drażą przekonania.

– Gdyby wszyscy mężczyźni chcieli myśleć tak jak ty, Julianie – westchnęła Eleonora. Zatrzymała się przed jedną z kamienic. – Jesteśmy na miejscu. Dziękuję ci za spacer i za cały dzisiejszy dzień. Twoja obecność i twoje słowa podnoszą mnie na duchu. Jestem przekonana, że w końcu zwyciężymy. – Wspięła się na palce i cmoknęła zaskoczonych hrabiego w policzek. – Do zobaczenia, Julianie.

I już jej nie było. Eleonora pobiegła w stronę drzwi kamienicy, znikając w jej czeluściach. Podskakując jak mała dziewczynka, minęła sprzątającego dozorcę. Pomachała mu na powitanie i skierowała się na schody prowadzące na piętro.

Cichutko otworzyła drzwi wejściowe. Trzewiki zdjęła już na korytarzu, chciała bowiem niezauważona przemknąć do pokoju. Policzki wciąż miała zaróżowione z emocji, w dłoni zaś ścisnęła plik kart informacyjnych i ulotek.

– Jesteś wreszcie. – Głos ojca nie brzmiał tak łagodnie jak zawsze. – Na nic to twoje skradanie. Czekamy na ciebie z matką od dłuższego czasu.

– Przecież byłam...

– Nie kończ. – Ojciec zgromił ją wzrokiem, przerywając w pół słowa, czym uchronił ją od kłamstwa, ponieważ chciała powiedzieć, że była jak zwykle w kamienicy Kromerowskiej. Eleonora westchnęła. Rodzice dowiedzieli się zatem, że nie siedziała dziś ani u wujka, ani w antykwariacie. – Zostaw okrycie. Marynia odbierze je od ciebie. – Jan Schramm skinął na służącą przechodzącą akurat w stronę kuchni. – Nie ma czasu na wołanie Franciszki, która prasuje suknie matki. – Kiedy służąca odebrała płaszcz od Eleonory, ojciec skinął na córkę głową, dając jej do zrozumienia, że ma udać się za nim.

Prowadził ją do gabinetu. A więc czekała ją poważna rozmowa. Kiedy znalazła się w środku, ojciec zamknął za nimi drzwi. Matka siedziała w fotelu obok kominka, w którym wesoło buzował ogień, nadając pomieszczeniu przytulny charakter.

Tekla Schrammowa spojrzała na córkę. Usta miała zasznurowane, a jej wzrok zimno prześliznęła się po twarzy Eleonory. Nie odezwała się słowem, co było do niej niepodobne. Musiała być niesamowicie wzburzona.

– Nie będę zaczynał od tego, że mieliśmy do ciebie ogromne zaufanie, bo to wiesz sama. Nie przypuszczaliśmy, że zawiedziesz nas tak okrutnie.

– Ale ojciec...

– Nie pozwoliłem ci się odzywać. – Eleonora splotła palce i opuściła głowę. Pomyślała, że może nie powinna była ukrywać przed rodzicami swoich planów. Tymczasem Jan Schramm mówił dalej. – Odwiedził mnie dziś pan Horowitz. Byłem z nim wcześniej umówiony, bo jak wiesz, otrzymał pozwolenie od władz, aby rozszerzyć działalność swojej fabryki. Od niedawna produkuje aparaty do piwa i lodowni. Potrzebuje finansowego wsparcia i szuka bankiera, który poprowadziłby jego sprawy. Liczę, że tym bankierem będę ja, bo działalność, którą prowadzi Horowitz, ma przed sobą świetną przyszłość. Szuka ludzi, którym może zaufać. Nieskalanych skandalem. Mam na myśli nie tylko mnie, ale i moją rodzinę. I zgadnij, czego się dowiaduję na początek? – Jan Schramm przerwał. Nie czekał jednak na odpowiedź córki. Pytanie było retoryczne.

W gabinecie panowała cisza maćona tylko trzaskaniem palącego się drewna. Matka jeszcze się nie odezwała. Atmosfera stała się gęsta, wręcz przygnębiająca. Jan Schramm zaczął nerwowo chodzić

od ściany do ściany. Zerknął na córkę. Najchętniej zamknąłby ją w jej pokoju, zabrał klucz i wyrzucił go do studni, aby już nigdy z niego nie wyszła bez jego zgody.

– Otóż kiedy ja usiłowałem go przekonać, że jesteś tam, bo chcesz tylko popatrzeć, on powiedział mi, że nie wyglądałaś jak postronny widz. Wykrzykiwałaś jakieś zajadłe hasła o tym, że kobiety są równe mężczyznom. Mają prawo do swojego zdania, do głosowania i do nauki. Nie uwierzyłbym, lecz kiedy padło słowo „nauka”, wiedziałem, że Horowitz nie kłamie.

– Bo mamy prawo – Eleonora nie wytrzymała.

– Posłuchaj. – Ojciec usiadł za biurkiem i wskazał córce krzesło po jego drugiej stronie. – Nie mówię, że nie. Gdybym uważał inaczej, czy pozwoliłbym ci na te wszystkie wypadki do księgarń, antykwariatów, do wuja, na wykłady na uczelnie i wiele innych twoich fanaberii. – Eleonora pokiwała głową, przyznając mu tym samym rację. – Tylko że nie możesz myśleć jedynie o sobie, ale też o rodzinie. Najwyraźniej tego nie rozumiesz, dlatego postaram się to wytłumaczyć. Nie jestem przeciwny kobiecym pikietom, marszom *et cetera*, lecz uczestniczyć w nich bez konsekwencji mogą jedynie majątne arystokratki, które nie muszą się obawiać o zabezpieczenie swojej rodziny. Twoje działania odbijają się na nas wszystkich. Większość moich klientów to szlachta, która nie zgadza się z nowym porządkiem świata. Pewnie powiesz, że te dwie rzeczy się wykluczają. Otóż nie, moja droga. Mężowie owych arystokratek mogą mieć im za złe, że zajmują się prawami kobiet, mogą też machnąć na to ręką, myśląc, że to kolejny kaprys znudzonej życiem żony, mogą w końcu zabronić im uczestnictwa w marszu. Szlachcianki nie poniosą żadnych innych konsekwencji. Kiedy jednak arystokrata dowie się, że córka człowieka, któremu powierza swój majątek, pragnie przenieść jego świat do góry nogami, to jak myślisz, co zrobi? – Eleonora milczała, chociaż wiedziała, do czego zmierza ojciec. – Może udzielić mi ostrzeżenia, w najlepszym razie, ale ja ich znam. Oni nie bawią się w ostrzeżenia. Oni od razu przechodzą do działania. Jeżeli jeden wycofa swój kapitał, inni pójdą za nim. Może nie wiesz, na jakich zasadach działa bank, więc powiem ci tylko, że gdyby wszyscy moi szlachetnie urodzeni klienci zwrócili się o zwrot tego, co u mnie zdeponowali, nie wypłaciłbym się, sprzedając nawet ostatnią halkę matki. Pomyśl zatem następnym razem, zanim zrobisz coś głupiego.

– Wybacz, ojcze, chyba trochę się mylisz. Nie wszyscy arystokraci są tacy sami. Niektórzy wspierają naszą sprawę. – Eleonora wreszcie się odezwała. – Podczas marszu spotkałam Juliana, syna hrabiego Michałowskiego.

– Zapewniam cię, moja droga, że Aleksander Michałowski nie będzie zadowolony z faktu, że jego syn włóczy się po Krakowie, wspierając sufrażystki. Z tego, co wiem, hrabia ma zamiar startować w tegorocznych wyborach w czerwcu. Wybryki syna nie przysłużą się jego sprawie, zwłaszcza że w Zakrzówku na czoło wysuwa się inny poważny kandydat, pan Batka z koła mieszczańskiego. Mówi się, że nie ma dla niego konkurencji. Jeżeli hrabia ma zamiar go pokonać, a myślę, że tak właśnie jest, postawa jego syna mu się nie przysłuży.

– Ale co to ma wspólnego ze mną, tatku?

– Zawsze znajdzie się życzliwy, kto niby przypadkiem doniesie hrabiemu, że jego syn był widziany w Krakowie na manifestacji sufrażystek w towarzystwie córki bankiera Jana Schramma. Nie muszę ci mówić, że zależy mi na tym, aby hrabia został moim stałym klientem. Liczę, że zaciągnie w naszym banku spory kredyt pod budowę cukrowni, o której myślał już jego ojciec. To byłaby ogromna strata, gdyby poszukał innego bankiera. – Jan Schramm zamilkł nagle, jakby doszedł do wniosku, że to, co chciałby jeszcze powiedzieć, musi poczekać na dogodniejszy moment.

I w rzeczy samej tak właśnie było. Połajanka, którą właśnie sprawił córce, nie bardzo licowała z informacją, że Schramm rozmawiał niewiążąco z hrabią, bardziej żartobliwie niż poważnie, o możliwym mariażu Eleonory i Juliana, syna hrabiego. Takie wiadomości wymagają jednak specjalnej oprawy.

– Mam nadzieję, że nasza rozmowa przyniesie efekty i zanim znowu zrobisz coś głupiego, pomyślisz dwa razy. Czasami się zastanawiam, czy nie jestem dla was zbyt pobłażliwy? Może ci się wydawać, że inne panny zażywają większej swobody, ale wierz mi, że jesteście ze Stefanią traktowane wyjątkowo. Swoboda, jaką macie, jest niezwykle przywilejem, więc zastanów się, czy warto z niego

rezygnować dla marszu, który odbędzie się niezależnie od twojej w nim obecności. A teraz możesz odejść.

– Tato, mamó. – Eleonora dygnęła, chociaż ostatni raz zrobiła to, będąc małą dziewczynką, i ruszyła do drzwi.

Przez kilka kolejnych dni męczyły ją wyrzuty sumienia. Nie z powodu uczestnictwa w marszu, bo gdyby miała zrobić to jeszcze raz, nie zawahałaby się ani przez chwilę, lecz dlatego że okłamała rodziców. Do tej pory nigdy jej się to nie zdarzyło, więc jej ufali. Niestety, nie mówiąc prawdy, dokąd udaje się w środę ósmego marca, zawiodła ich zaufanie. Trudno będzie je odbudować. Jedyną pociechą była informacja, że dzięki manifestacji udało się wywalczyć czynne prawo wyborcze do rady miejskiej, a wybory miały się odbyć za rok. Wprawdzie należało wykazać się odpowiednim wiekiem, majątkiem i wykształceniem, co znacznie zawężyło liczbę kobiet mogących brać udział w głosowaniu, ale Eleonora wierzyła, że to już dobry początek zmian.

– Woda draży skałę... – szepnęła do siebie, żeby nie obudzić Stefanii.

Potem zmówiła modlitwę za rodzinę i pomyślność sprawy, której stała się częścią. Pomyślała jeszcze o Julianie, którego wspominała prawie każdego dnia, i wreszcie z uśmiechem na twarzy zasnęła.

## Rozdział 4

Julian zerknął na zegarek. Zostało mu jeszcze trochę czasu, więc nie przerywał spaceru. W Krakowie bawił już od kilku dni. Miał tu do załatwienia parę spraw, więc chętnie skorzystał z zaproszenia otrzymanego jakiś czas temu od przyjaciela, z którym przyszło mu studiować kilka semestrów w Paryżu. Bardzo żałował, że Tomasz musiał wracać do Krakowa, zanim skończyli naukę. Jego matka była ciężko chora i chociaż zapewniała syna w listach, że nie ma potrzeby, aby przerywał studia, ten bez zastanowienia spakował walizy i wyjechał do domu. Tym przywiązaniem ujął Juliana. Kiedy Tomasz opowiadał o rodzicach, w każdym jego słowie słychać było głębokie uczucie, jakim ich darzył, czego Julian nie mógł powiedzieć o sobie. Niestety, relacje między nim a ojcem nie poprawiły się od czasu jego powrotu z Francji. Pokusiłby się nawet o stwierdzenie, że jeszcze się pogorszyły. Ledwie się tolerowali, nie próbując wyjaśnić nieporozumień, które zatruwały ich relacje. Kilka dni temu był świadkiem rozmowy, jaką hrabia Michałowski przeprowadził ze swoim gościem, Stanisławem hrabią Tarnowskim, z którym od lat się przyjaźnił.

Julian siedział w bibliotece zatopiony w lekturze, kiedy od wartko płynącej fabuły oderwała go konwersacja, jaką ojciec prowadził z Tarnowskim. Drzwi do gabinetu Michałowskiego, sąsiadujące z biblioteką, pozostały niedomknięte, a że obaj panowie, wróciwszy z salonu po kolacji w towarzystwie matki Juliana, prowadzili wielce emocjonującą wymianę zdań, ich głosy niosły się wyraźnie w obu pomieszczeniach.

– Cóż, Stanisławie, sam wiesz najlepiej, że nasze nadzieje pokładane w dzieciach najczęściej stają się niespełnionymi marzeniami. Czasami rozczarowanie jest tak wielkie, że nawet ojcowskie uczucia nie są w stanie ułagodzić tego rozgoryczenia, jakie rośnie we mnie za każdym razem, kiedy rozmawiam z synem. Nie pojmuję jego podejścia do życia. Jego przekonania są mi obce, żeby nie powiedzieć wstrętne. Patrząc na niego, zadaję sobie pytanie, gdzie popełniłem błąd?

– Mój drogi! – Tarnowski podniósł głos, uderzając w podobny ton. – Nie ty jeden zmagasz się z tym problemem. Smutne to, a nawet tragiczne, że dzieci nasze, które powinny kontynuować tradycję i iść w nasze ślady, stają się naszymi adwersarzami. Nie wiem, dlaczego nie rozumieją, że arystokracja, ludzie z największymi nazwiskami, od dziesiątków lat dzierżący stanowiska i władzę, powinni kontynuować raz obraną, słuszną drogę. Zamiast tego nasze miejsca coraz częściej oddawane są w ręce wywodzących się z podejrzanych środowisk osób, które co rusz krzyczą, że Polska winna być wolna. Czyż nie zdają sobie sprawy, że postawą swoją krzywdzą kolejne pokolenia? Nie oni pierwsi pragną wolności. Czy historia nie nauczyła ich, że nie można siłą wygrać z mocarstwem? Tylko spokojne zachowawcze podejście da nam przewagę. Może dzięki temu uda nam się uzyskać namiastkę wolności.

– Młodym to jednak nie wystarcza. Ta nerwowość pchająca ich do czynu sprawi, że znowu chwycą za broń i jak zwykle odium kar spadnie na wszystkich, a to, co nam, starym, udało się z takim trudem wypracować, przepadnie z kretesem – wtórował Michałowski Tarnowskiemu.

– Ale żeby tylko wolność im się marzyła. Wyobraź sobie, że moja córka stała się awanturnicą. Zawsze daleki byłem od kar cielesnych, a i różgi nie używałem, nawet kiedy była dzieckiem, ale gdy życzliwi przyjaciele donieśli mi, iż moją córkę widzieli na wiecu tych, tych... – hrabia Tarnowski zrobił dłuższą przerwę, jakby brzydził się samego słowa, które miał wypowiedzieć, nie mówiąc już o osobach, które ono reprezentowało – ... tych sufrażystek, nie wytrzymałem. Różga przydała się pierwszy raz podczas osiemnastoletniego życia mojej córki. Mam nadzieję, że ból tylnej części ciała wyperswaduje jej z głowy bzdury i na drugi raz nawet przez myśl jej nie przejdzie, żeby wziąć udział w manifestacjach.

Julian zamknął książkę i wstał. Czuł, że musi opuścić bibliotekę. Gdyby tego nie zrobił, mógłby wpaść do ojcowskiego gabinetu z impetem i wygarnąć tym dwóm skostniałym i zatwardziałym stańczykom, że mylą się pod każdym względem. Jeszcze tego samego dnia wyjechał z Zakrzówka, mówiąc matce, że ma kilka spraw do załatwienia w Krakowie.

Był tu od dwóch dni. Pogoda dopisywała, dlatego na długo przed umówionym spotkaniem wyszedł z domu Tomasza, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza i przejść się ulicami Starego Kleparza,

skąd miał już tylko kawałek na ulicę Szlak 21.

Szedł więc pośród straganów uginających się od świeżych warzyw i owoców. Zapach koperku drażnił jego nozdrza. Pomyślał o młodych ziemniakach polanych ciemnym pieczeniowym sosem i posypanych suto koperkiem zerwanym w przydomowym ogrodzie warzywnym. Ślinka napłynęła mu do ust, a w brzuchu cichutko zaburczało. Błądził pośród stoisk, na których wystawiono smakowite wiktuały.

– Skosztuje pan sera. Świeżutki, domowej roboty. Nie ma takiego drugiego – zachwalali sprzedawcy, wyciągając towar w stronę kupujących.

– Pachnące kiełbaski. Wędlinki wędzone i wolno dojrzewające. Palce lizać.

– Świeżutki chlebek. Prosto z pieca. Z chrupiącą skórką. W sam raz z domowym masłem i szczyptą soli.

– Ryby z rannego odłowu. Zdrowe, smaczne. Brać i kupować.

Nawoływaniom nie było końca. Zapach kiełbas, niekiedy mocno czosnkowych, mieszał się z aromatem parującego jeszcze pieczywa. Pulchne baby, miękkie serniki oblane czekoladą, cukierki, miody, dżemy, marmolady śmiały się do Juliana, który miał wrażenie, że produkty te szepczą do niego, prosząc, żeby je kupił. Pewnie zrobiłby spore zakupy, gdyby nie spotkanie w kancelarii adwokackiej Edmunda Szalita.

Zerknął raz jeszcze w stronę uginających się stołów i ruszył przed siebie. Skręcił w ulicę św. Filipa, która niebawem zmieniła się w Długą. Szedł powoli, spacerkiem, rozglądając się po mieście, jakby zawitał do Krakowa po raz pierwszy. Na widok kamienicy, którą mieszkańcy nazywali Domem Tureckim z uwagi na trzy wieżyczki łudzaco przypominające minarety, uśmiechnął się delikatnie, przypominając sobie matkę, która święcie wierzyła, że żoną oficera Rayskiego, właściciela kamienicy, który swego czasu miał sposobność walczyć w powstaniu styczniowym, była przywieziona przez niego prosto z Egiptu muzułmanka. W rzeczywistości żoną Rayskiego była Józefa z Seroczyńskich, ciotka jednego z jego znajomych, z którym miał przyjemność chodzić do szkoły w Krakowie i raz jeden spotkać ją u niego w domu.

Z zamyślenia wyrwał go gwar rozmów, nawoływania, śmiech i zamieszanie, wywołane przez dzieci grające w piłkę. Przechodził bowiem akurat obok kamienicy będącej schronieniem dla biednych i osamotnionych chłopców. Dom opieki zorganizował pod koniec ubiegłego stulecia tutejszy ksiądz, dlatego po jego śmierci dom nazwano Zakładem Wychowawczym im. ks. Siemaszki. Wspomnienia same powróciły do niego. Wiele lat temu był tu kiedyś z matką. Hrabina Michałowska postanowiła zrobić dobry uczynek i z okazji świąt Bożego Narodzenia obdarować sieroty zabawkami. Wciąż pamiętał radość wymalowaną na dziecięcych buziach. Kiedy wychodzili, szarpnął matkę za suknię, żeby zwrócić jej uwagę.

– Mamo, mamó! W przyszłym roku też przyjdziemy z prezentami, prawda? – zapytał naiwnie, po dziecięcemu wierząc, że nie była to ich pierwsza i ostatnia wizyta tutaj.

– Oczywiście, że nie, głuptasie – zaprzeczyła hrabina i pokręciła karcąco głową, wyrażając tym samym dezaprobatę dla tego pomysłu. Widząc, że chciał jeszcze coś dodać, pociągnęła Juliana mocniej za rękę. – Nie wracajmy już do tego – ucięła wszelkie dyskusje.

I faktycznie nigdy więcej tu z matką nie wrócił. Sam zresztą też nie przyszedł i patrząc teraz na bawiących się urwisów, poczuł się nieswojo. Z zamyślenia wyrwało go nawoływanie. Jeden z chłopców prosił o podanie piłki, która zbyt mocno kopnięta doleciała aż pod nogi Juliana. Chwilę później ruszył dalej, czując dziwną dziecięcą radość z samego faktu, że przypadkiem włączono go chociaż na chwilę do gry. Odchodził z silnym postanowieniem, że wróci tu niebawem. Był już u zbiegu ulic Długiej i Szlak, mając nadzieję, że będzie punktualnie, ale jeszcze dla pewności zerknął na zegarek.

– W samą porę – szepnął do siebie i w tym samym momencie kogoś nieuważnie potrącił. – Najmocniej przepraszam – zwrócił się do mijającego go mężczyzny.

– Zapewniam, że nic się nie stało. Aaa! Młody Michałowski! – wykrzyknął tamten. Julian zaklął w duchu, lecz od razu przywołał na usta uśmiech mający świadczyć, że cieszy go niespodziewane



spotkanie z hrabią Tarnowskim. – Czyżbyś się gdzieś spieszył, młodzieńcze?

– Jestem umówiony na spotkanie. Pan hrabia wybaczy, muszę się pożegnać – dodał Julian, zamierzając ruszyć w stronę kamienicy, gdzie mieściła się kancelaria. Nigdy nie przepadał za Tarnowskim, a po ostatniej rozmowie, jaką ten odbył z jego ojcem, stracił dla niego resztki sympatii i szacunku.

– A gdzież to spotkanie? – dopytywał hrabia, nie dając za wygraną.

– Szlak 21. W kancelarii adwokackiej. Rozmowa o pracę, gdyby pan hrabia chciał wiedzieć – powiedział Julian, zaciskając zęby.

– U Szalita – prychnął Tarnowski i nagle bez pożegnania ruszył w swoją stronę, nie zaszczycając Juliana spojrzeniem. – Można się tego było spodziewać – mruczał jeszcze pod nosem na odchodnym.

\*\*\*

Kancelaria Edmunda Szalita znajdowała się na piętrze kamienicy. Młody Michałowski pokonał schody, przeskakując co drugi stopień, ponieważ niespodziewane spotkanie z hrabią Tarnowskim lada moment mogło stać się powodem jego spóźnienia. A zdaniem Juliana nic tak nie psuło pierwszego wrażenia jak niepunktualność. Na to nie mógł sobie pozwolić, zwłaszcza że bardzo zależało mu na pracy u Szalita. Zapukał i wszedł. Młody mężczyzna, który siedział za biurkiem w dużym, jasnym pokoju, do którego wpadało światło z dwóch wysokich okien, zerknął na niego znacząco, potem spojrzał na zegarek i wreszcie się odezwał:

– Czy mogę służyć pomocą?

Julian przedstawił się i wyjaśnił cel swojej wizyty. Poproszono go, żeby spoczął, ponieważ poprzedni gość mocno się zasiedział. Michałowski skinął głową i usiadł na wygodnym fotelu tuż przy jednym z okien. Miał stąd doskonały widok na ulicę. Siedział już dobrych kilkanaście minut, kiedy drzwi gabinetu Szalita lekko się uchyliły. Gość najwyraźniej zamierzał wyjść, ale niestety wciąż coś go zatrzymywało i nie potrafił się pożegnać.

– Dobrze wiesz, Edmundzie, że nie możemy na tym poprzestać. Jeżeli chcemy być skuteczni i w razie jakiegokolwiek konfliktu odnieść sukces, musimy się zgrupować. – Rozmówca miał tubalny głos, a przez to, że mówił emocjonalnie, każde jego słowo było słychać doskonale tam, gdzie siedział Julian.

– Zgadzam się z tobą w całej rozciągłości, Zygmuncie. Ludzi o podobnym zapatrywaniu, dla których poczucie godności – tu Szalit zrobił znaczącą pauzę, zanim znowu zaczął mówić – jest rzeczą priorytetową, należy zgromadzić pod jednym kierownictwem. Któż jak nie ty powinien się tego podjąć? – Pytanie było najwyraźniej retoryczne, ponieważ gość milczał jak zakłęty.

– Wezmę twoją propozycję pod rozwagę – powiedział w końcu. – Tymczasem żegnam i do rychłego zobaczenia.

Drzwi otworzyły się na oścież i z gabinetu mecenasa wyszedł przystojny mężczyzna w sile wieku o twarzy okolonej zadbanym, równo przystrzyżonym zarostem. Trzymał się prosto, stawiając pewne, długie kroki. Skinął głową obu panom na pożegnanie. Julian miał dziwne wrażenie, że już go gdzieś widział.

– Michale, czy ktoś czeka na mnie? – zapytał Szalit, wystawiając głowę z gabinetu. Zanim asystent zdążył odpowiedzieć, mecenas zawiesił wzrok na Michałowskim. – Na Boga! – powiedział głośniej. – Na śmierć zapomniałem. Byliśmy umówieni. – Nie dając Julianowi dojść do słowa, podszedł do niego z wyciągniętą dłonią, aby się przywitać. – Konwersacje z Zygmuntem zawsze przeciągają się w nieskończoność. Jest jednym z tych rozmówców, z którymi trudno się rozstać.

– Odniosłem dziwne wrażenie, że już gdzieś widziałem pańskiego gościa – odparł Julian. – Niestety, nie mogę sobie przypomnieć ani gdzie mieliśmy okazję się spotkać, ani jak się nazywa.

– To Zygmunt Klemensiewicz. Człowiek orkiestra, można by rzec. Jest lekarzem kochanym przez pacjentów. Poza tym zany i sprawny z niego polityk. Działacz społeczny, któremu leży na sercu dobro naszych mieszkańców. Nieuleczalny bibliofil. No i doskonały publicysta o ciętym piórze.

– Teraz sobie przypominam. Miałem przyjemność spotkać doktora Klemensiewicza na balu, jaki

swego czasu wydał bankier Jan Schramm. Widziałem go rozmawiającego z Władysławem Bobrzyńskim... – Julian chciał coś jeszcze powiedzieć, lecz Szalit mu przerwał:

– Z powodu urwania głowy, jakie mamy tu ostatnio, zdarza mi się zapomnieć o spotkaniach albo umówić się w podobnych godzinach w dwóch miejscach naraz.

– Jeżeli jestem nie w porę, możemy ustalić inny, dogodny dla mecenasa termin – zaproponował Julian.

– Cóż znowu? Dziwny pomysł, doprawdy. A któż powiedział, że rozmawiać można jedynie w gabinecie. Wezmę tylko płaszcz. Porozmawiamy w drodze, bo musisz wiedzieć, że dziwnym zbiegiem okoliczności za niecałe pół godziny powinienem być u Bobrzyńskiego. Czyż ten świat nie jest mały?

I tak idąc, rozmawiali o różnych rzeczach. O studiach Juliana w Paryżu. O jego ojcu i nieporozumieniach, do jakich dochodziło między starszym i młodszym hrabią. Szalit wypytywał Juliana o jego sympatie polityczne i poglądy na sprawy społeczne. Będąc wytrawnym adwokatem, zadawał odpowiednie pytania, na które rozmówca odpowiadał ochoczo i bez skrupowania, bo choć były osobiste, nie wkraczały na niebezpieczny, zbyt intymny grunt.

– Czarę goryczy przelał ostatnio mój udział w marszu sufrażystek z okazji święta kobiet – powiedział Julian, spoglądając z ukosa na mecenasa Szalita, który na te słowa uśmiechnął się szeroko.

– Widzę zatem, że jesteś człowiekiem postępowym.

– Jestem, ale muszę się przyznać, że gdyby nie pewna osoba, której chciałem towarzyszyć, pewnie nigdy bym się na marszu nie pojawił, co nie znaczy, że jestem przeciwny równouprawnieniu. Jestem jak najbardziej za i popieram dążenia kobiet do uzyskania praw, o które tak zaciekle walczą.

– A więc kobieta? Będę niedyskretny, jeżeli zapytam, o którą pannę chodzi?

– To córka Jana Schramma. Notabene siostrzenica Bobrzyńskiego.

– A więc jednak świat jest mały. O wiele mniejszy, niż nam się wydaje. Wstąp zatem ze mną do profesora, a może dopisze ci szczęście i spotkasz pannę Schrammównę u swego wuja, bo o ile wiem, przesiaduje tam na okrągło. – Przez chwilę szli w milczeniu. Julian bał się zapytać o decyzję w sprawie zatrudnienia. Tymczasem Szalit chyba czytał w jego myślach, bo odezwał się wesoło: – Myślę, że będzie nam się doskonale współpracować. Mamy nie tylko podobne poglądy, ale też, jak się okazuje, wspólnych znajomych. Intuicja podpowiada mi, że będą z ciebie ludzie. I nie chodzi mi o prawo, nie chodzi mi o prawo – powtórzył.

Reszta drogi do domu profesora Bobrzyńskiego upłynęła im na milej, niezobowiązującej rozmowie. Kiedy przemierzali wysokie schody kamienicy, formalny ton, jakim rozpoczęli rozmowę, ustąpił miejsca przyjacielskiej pogawędce.

\*\*\*

Eleonora siedziała w salonie wuja już od rana. Jak zwykle, zanim wyszła z domu, musiała wysłuchać wykładu matki o tym, że mądra kobieta nie jest atrakcyjna dla młodego, szukającego żony mężczyzny i ona z tego powodu niechybnie zostanie starą panną. Całe szczęście Tekla Schramm nie miała pojęcia, że jej córka od dłuższego czasu odwiedza wujostwo nie tylko po to, aby godzinami ślęczeć z nosem w książkach, których u Władysława było bez liku, lecz także z powodu spotkań, na jakie się tam umawiała. Matka Eleonory żyła w nieświadomości, że jej starsza córka pobiera korepetycje z anatomii u Kacpra Wielowieyskiego, który studiował neurologię w Katedrze Neurologii i Psychiatrii Uniwersytetu Jagiellońskiego.

– Nie wiem, jak wam dziękować. To dla mnie szalenie ważne – mówiła Eleonora kilka tygodni temu. – Tobie, wujku, że wpadłeś na ten pomysł. A tobie – zwróciła się do młodego, przystojnego blondyna – za to, że chcesz poświęcić swój wolny czas na moje korepetycje.

Zaledwie dwa dni przed pierwszym spotkaniem z Kacprem zwierzyła się wujkowi Władysławowi ze swoich planów.

– Wujku, wszystko sobie spokojnie przemyślałam. – Bobrzyński słuchał siostrzenicy z uwagą. – Na jesieni zamierzam złożyć papiery do szkoły pielęgniarek panny Epstein. Miałam nawet przyjemność

rozmawiać z samą Marią Epstein, która podała mi zasady przyjmowania do szkoły. Czy ja cię nie nudzę, wujku? – zapytała po chwili z obawą. – Pewnie masz masę ważniejszych rzeczy do zrobienia niż wysłuchiwanie takich głupstw.

– Dobrze wiesz, że nie ma nic ważniejszego niż twoje plany na przyszłość, Norciu. A skoro już mowa o Marii. Znam ją dość dobrze. Więc gdybyś...

– O, co to, to nie! – Eleonora nie pozwoliła dokończyć Bobrzyńskiemu. – Panna Epstein wprawdzie wspomniała, że wśród sposobów pozwalających rozpocząć naukę w szkole jest list polecający od osoby znanej zarządowi lub godnej zaufania, ale nie zamierzam iść tak prostą drogą. Nie wówczas, kiedy na czele szkoły, chociaż nieformalnie, stoi kobieta, która własną ciężką pracą uzyskała znakomite wykształcenie. Czy wuj wiedział, że panna Maria zna kilka języków obcych? Jakże jej zazdroszczę. Gdyby moja matka nie była... – tu Eleonora zrobiła przerwę, aby dodać po chwili: – ... moją matką – na co Bobrzyński musiał się roześmiać – pewnie też mogłabym nauczyć się angielskiego albo włoskiego. Skończyłam osiemnaście lat. Mam wymagane wykształcenie. Jestem zdrowa i prowadzę się bez uszczerbku dla moralności zarówno własnej, jak i moich najbliższych. I jeszcze wuj zobaczy, że będę najlepszą uczennicą. Nie chcę żyć w świadomości, że zostałam pielęgniarką dzięki nepotyzmowi.

Dwa dni później, kiedy jak zwykle przyszła, żeby posiedzieć i poczytać w bibliotece wujostwa, ten zaskoczył ją informacją, że będzie mogła pobierać korepetycje z anatomii. Kacper Wielowieyski był synem przyjaciela profesora i nie trzeba go było namawiać, żeby się zgodził. Przystał na ten pomysł z ochotą.

I tak dzięki dobrej woli Kacpra Eleonora robiła spore postępy z wiedzy o organizmie człowieka. Młody Wielowieyski był nie tylko doskonałym nauczycielem, cierpliwym i wyrozumiałym nawet w razie bardzo naiwnych pytań uczennicy, lecz także szczodrym człowiekiem, który pożyczył jej skarb w postaci pierwszego tomu *Anatomii człowieka* profesora Adama Bochenka.

– Naprawdę mogę ją pożyczyć? – Eleonora nie mogła uwierzyć we własne szczęście.

– Oczywiście. Na razie nie będzie mi potrzebna. Na tym etapie nauki powinienem znać ją już na pamięć. – Roześmiał się szczerze, zarażając ją wesołością także dziewczynę.

Siedziała teraz, kilkanaście dni od tej rozmowy, w bibliotece wuja, spoglądając na książkę Kacpra, którą studiowała jeszcze przed chwilą, chłonąc z niej wiedzę niczym gąbka wodę. Zapewne uczyłaby się dalej, gdyby nie zaciekawiał jej odłożony na bok stosik gazet. Wzięła jedną z nich, wertując kartka po kartce. I kiedy już miała ją zamknąć, zauważyła zdjęcie młodej kobiety, nad którym rozciągał się wytłuszczony, napisany kursywą nagłówek „Niesamowita Nellie Bly”. Lektura pochłonęła ją do tego stopnia, że dopiero po chwili zwróciła uwagę na dobiegającą z przedpokoju nieco głośniejszą niż zwykle rozmowę.

\*\*\*

Edmunda Szalita i Juliana Michałowskiego w progu domu profesora Bobrzyńskiego powitał sam gospodarz.

– Nie mieliśmy przyjemności poznać się osobiście, panie hrabio – powiedział wuj Eleonory, wyciągając dłoń do młodego Michałowskiego – ale miałem okazję widzieć pana tańczącego swego czasu z moją siostrzenicą.

– Bardzo przepraszam, że tak bez zapowiedzi, lecz byłem umówiony z panem Edmundem, który spieszył się do państwa, a kiedy dowiedział się, że znam Eleonorę, która notabene wiele mi o panu profesorze opowiedziała, pozwoliłem sobie skorzystać z zaproszenia. I bardzo proszę mówić mi po imieniu. – Młodzieniec wyciągnął rękę, żeby ucisnąć dłoń Bobrzyńskiego.

– W moich skromnych progach goście zawsze są mile widziani. To dom otwarty. Jedni przychodzą, drudzy wychodzą. Mam szczęście, że małżonka moja Leokadia jest osobą wielce wyrozumiałą, a i sama pasjami lubi przesiadywać w towarzystwie studentów. I chociaż osobiście rzadko bierze udział w rozmowie, to z chęcią przysłuchuje się czasami nader zażartym dyskusjom. Wejdźcie, panowie, dalej – mówiąc to, gestem zaprosił ich do salonu na końcu długiego, wysokiego korytarza. –

Skoro już mowa o Eleonorze, to ma pan szczęście, Julianie. Jeżeli chce pan zamienić z nią kilka słów, siedzi w bibliotece. O tam. – Wskazał na pokój znajdujący się po prawej stronie przedpokoju, do którego drzwi były lekko przymknięte. – Przyjdźcie niebawem do salonu. Za kwadrans podamy kawę i ciasteczka.

Julian podziękował profesorowi i nie czekając dłużej, ruszył w stronę wskazanego pokoju. Zapukał i wszedł. Eleonora podniosła wzrok znad gazety. Zaskoczenie musiało wyraźnie malować się na jej twarzy, bo Julian uśmiechnął się do niej szeroko.

– Dzień dobry – przywitał się lekkim ukłonem. – Świat jest mały. – Widząc, że dziewczyna spogląda na niego pytającym wzrokiem, opowiedział jej pokrótce wydarzenia poranka. – Koniec końców, Edmund Szalit zaprosił mnie do twojego wuja, a ja, nie bacząc na niezręczność sytuacji, przyjąłem zaproszenie, ponieważ miałem nadzieję, że spotkam cię u niego.

– Nawet nie wiesz, jak mnie to cieszy. To bardzo miła niespodzianka. – Eleonora zaczęła się cicho śmiać, na co Julian uniósł brew z zaciekawieniem. – Przepraszam, nie myśl, że śmieję się z ciebie. Kiedy powiedziałam, że to miła niespodzianka, od razu wyobraziłam sobie wstrząśniętą minę Stefanii. Zapewne z oburzeniem przypominałaby mi, że tak naprawdę nie lubię niespodzianek. Wytknięcie mi tego sprawiłoby jej wielką przyjemność, zwłaszcza że zrobiłaby to w twojej obecności. Zawładnałeś umysłem mojej młodszej siostry. Co rusz dopytuje o ciebie. Stałeś się dla niej księciem z bajki.

– Pozdrów ją, proszę, ode mnie i powiedz, że z niecierpliwością czekam kolejnego spotkania.

– O, nie, tylko nie to. Widać nie znasz się na pannach w wieku Stefanii. Gdybym powiedziała jej, że nie możesz poczekać się spotkania z nią, niechybnie pomyślałaby, że zakochałeś się w niej na zabój. To może niegroźne, ale bardzo męczące dla otoczenia, a szczególnie dla mnie, bo niestety zajmujemy ten sam pokój.

Julian musiał się roześmiać. Faktycznie, Stefania sprawiała wrażenie mocno egzaltowanej panny. Nie bardzo pamiętał, jaka w tym wieku była jego siostra, lecz miał dziwne wrażenie, że Rozalia nigdy nie przypominała młodszej Schrammówny. Zerknął na gazetę, która wciąż spoczywała na kolanach Eleonory.

– Właśnie kończyłam czytać niesamowitą opowieść o jakże niezwykłej kobiecie – odpowiedziała na niezadane pytanie, widząc zaciekawiony wzrok Juliana. – Czy słyszałeś o Nellie Bly?

– Chyba... – Julian nie dokończył. Przerwało mu bowiem pojawienie się służącej, która poinformowała, że w salonie podano kawę.

Nie ociągając się, wstali niemal jednocześnie. Eleonora odłożyła gazetę na stosik innych, patrząc na niego tęsknym wzrokiem.

– Muszę poprosić ciotkę Leokadię, żeby mi je pożyczyła. Przewertowałam tylko kilka tytułów i wychodzi na to, że to prasa kobieca. Założę się, że wuj przyniósł ją dla niej. Moją uwagę przykuł zwłaszcza „Tygodnik Mód i Powieści”, który miałam już przyjemność czytać. To bardzo przyzwoita prasa.

– O czym piszą? – zapytał Julian, przepuszczając Eleonorę w drzwiach biblioteki.

– Są tam artykuły o historii Polski, było też coś o teatrze i fragment jakiejś powieści. – Zdążyła powiedzieć tylko tyle, bo właśnie zbliżali się do salonu. – A zatem nic, co zainteresowałoby moją matkę – dodała po chwili, zdając sobie natychmiast sprawę, że była to z jej strony czysta i mało stosowna złośliwość.

Kiedy weszli do środka, okazało się, że Edmundowi i profesorowi Bobrzyńskiemu dotrzymuje towarzystwa jeszcze jeden młody mężczyzna, którego Julian widział po raz pierwszy. Najwyraźniej jednak Eleonora znała go dobrze i widać było, że ucieszyła się na jego widok. Julian zlekceważył dziwne uczucie ucisku, jakie pojawiło się w klatce piersiowej, kiedy Eleonora klasnęła w dłonie, podchodząc do gości.

– Kacper? I ty tutaj? Nie przypuszczałam, że wpadniesz dziś do wujka – mówiła to z szerokim i szczerym uśmiechem. – Julianie, pozwól, że ci przedstawię. – Poczekała, aż Michałowski podejdzie bliżej. – Kacper Wielowieyski, mój korepetytor i mentor w dziedzinie anatomii. Kacprze, Julian hrabia Michałowski, przyjaciel rodziny.

– Korepetytor? – zapytał Julian, wpatrując się w Eleonorę.

– Nie miałam jeszcze okazji, żeby podzielić się z tobą swoimi planami na najbliższą, bo jesienną, przyszłość. Otóż staram się o przyjęcie do szkoły pielęgniarek. A że za cel postawiłam sobie być najlepszą uczennicą, od jakiegoś czasu pobieram między innymi lekcje anatomii. Zgłębiam także tajniki ludzkiego umysłu, sięgając po książki z dziedziny psychiatrii. I muszę wam przyznać, panowie, że im więcej czytam, tym mniej wiem – skwitowała to w swoim stylu, czym doprowadziła Kacpra i Juliana do szczerego śmiechu. – Ale wróćmy do naszej rozmowy – dodała po chwili, patrząc na hrabiego. – Czy słyszałeś, Julianie, o Nellie Bly?

– Niestety nie. Przypuszczam jednak, że musi być kobietą nietuzinkową, skoro czytanie o niej wywołało aż rumieńce na twojej twarzy.

Eleonora już chciała powiedzieć, że to nie historia panny Bly była powodem jej rumieńców, tylko jego pojawienie się, ale w porę się powstrzymała i ugryzła w język.

– Ja słyszałem – odezwał się Kacper. Julian i Eleonora spojrzeli na niego. Wielowieyski odniósł wrażenie, że zapomnieli przez chwilę o jego obecności. Chrząknął zatem znacząco, zanim podjął wątek. – W Toskanii spotkałem pewnego podróżnika, mocno już sędziwego, który miał przyjemność poznać Nellie podczas jej wyprawy dookoła świata.

Podróż dookoła świata, jakiej podjęła się panna Bly, przez kilka minut zdominowała rozmowę. Tylko siedemdziesiąt dwa dni zajęło podróżnicze okrążenie globu, a więc aż o osiem dni mniej niż Verne'owi, z którym Amerykanka miała przyjemność spotkać się osobiście podczas wyprawy.

– Przeczytałam, że Nellie jest przede wszystkim dziennikarką śledczą. Wyobraźcie sobie, że dla napisania w pełni wiarygodnego artykułu dla „New York World” pozwoliła się zamknąć w szpitalu dla obłąkanych i leczyć jako rzekoma wariatka. – Eleonora emocjonowała się coraz bardziej, opowiadając o bohaterce artykułu.

– Niezłe z niej ziółko – podsumował Kacper.

Jednakże nazwanie Bly „ziółkiem” najwyraźniej nie spodobało się Eleonorze. Julian zauważył, że ściągnęła brwi, a na jej twarzy pojawił się gniewny grymas. Korepetytor nie był jednak aż tak spostrzegawczy, by to dostrzec, Michałowski poczuł więc z tego powodu satysfakcję. „Punkt dla mnie”, pomyślał i nagle zdał sobie sprawę, czym było to dziwne uczucie sprzed chwili. Był zazdrosny. Zazdrosny o Eleonorę Schramm i względy, jakie okazywała innemu mężczyźnie.

Chwilę później dołączyli do Edmunda Szalita i profesora Bobrzyńskiego, którzy prowadzili cichą rozmowę przy niskim kawowym stoliczku. Julian sięgnął po filiżankę. Chcąc spokojnie zanalizować własne spostrzeżenia o nowym dla siebie uczuciu, zaczął rozglądać się po salonie.

Na ścianach wisiało zaskakująco dużo obrazów. Właściwie jeden przy drugim. Wśród nich zauważył kilka znakomitych reprodukcji dzieł Matejki oraz Siemiradzkiego. Były też kopie dzieł Leonarda da Vinci i innych wielkich mistrzów. Obok nich, na równych prawach, pani domu zawiesiła mniej lub bardziej udane prace, które wyszły spod pędzla członków rodziny lub przyjaciół. Zauważył na przykład przeciętny landszaft zrobiony z kamyczków i muszelek. Czas nie obszedł się z nim za dobrze, lecz widać dla gospodarzy rzecz miała wartość sentymentalną i wciąż zajmowała miejsce na ścianie reprezentacyjnego pokoju.

Pod oknem stał fortepian i Julian zaczął się zastanawiać, czy jest tylko ozdobą, czy może faktycznie ktoś na nim gra. W salonie nie poustawiano książek, co było oczywiste, bo w mieszkaniu wydzielono odrębną bibliotekę. Półki kredensów uginały się od różnych bibelotów i Julian doszedł do wniosku, że salon państwa Bobrzyńskich wpisuje się w panującą modę i nie różni się niczym szczególnym od innych znanych mu salonów.

\*\*\*

Właśnie kończyli kawę, kiedy do pokoju weszła Eleonora, gdyż opuściła panów jakiś czas temu, chcąc dotrzymać towarzystwa ciotce, która wróciła z miasta.

– Przepraszam, że przeszkadzam, ale chciałabym się pożegnać. Na mnie już najwyższy czas.

– Noruś – zwrócił się do niej Bobrzyński – gdybyś zechciała z pół godziny poplotkować z ciotką,

a wiesz, że ona to uwielbia, mógłbym odprowadzić cię do domu. Mamy jeszcze z Edmundem kilka spraw do załatwienia.

– Proszę się nie kłopotać. – Julian podniósł się z miejsca, chcąc uprzedzić zamiary Kacpra. – Ja również będę się żegnał. Z przyjemnością dotrzymam pannie Eleonorze towarzystwa w drodze do domu, chyba że zmieniła zamiary i potowarzyszy gospodyni?

– Wujku, z chęcią zostałamby nawet do jutra, ale znasz mamę. – Bobrzyński pokiwał głową ze zrozumieniem. Czasami zastanawiał się, jak to możliwe, że on i Tekla są blisko spokrewnieni. – To wspaniale się składa – zwróciła się do Juliana, zgadzając się tym samym na jego propozycję. – Pomożesz mi z czasopismami, które ciotka pozwoliła mi zabrać.

Kwadrans później szli już spacerkiem w stronę Rynku.

– Czy miałeś okazję podróżować? – zapytała Eleonora, nawiązując do przeczytanego artykułu.

– Z pewnością nie tak, jak panna Bly. Udało mi się zwiedzić nieco Europę. Moim marzeniem jest podróż do Stanów, poza tym chętnie zobaczyłbym Wielki Mur w Chinach i spróbował indyjskiego jedzenia.

– Zwiedziłeś przynajmniej Europę. Moja matka nie lubi dalekich wojaży, dlatego my najdalej byliśmy w Sopocie w ubiegłym roku. Pojechaliśmy tam naszym automobilem, czemu zresztą matka stanowczo się sprzeciwiała, namawiając ojca na pociąg. Ten jednak postawił na swoim, zwłaszcza że zamówił już dla auta miejsce w garażu pana Nowakowskiego przy Pommersche Strasse. W końcu już na miejscu matka przyznała ojcu rację, a to tylko dlatego, że policzyła, ile zaoszczędziła na autodorożkach kursujących do Kurhausu oraz podróżach do Karlikowa, Hochwasser czy Steinfliess. Chociaż nie omieszkała sztorcować ojca za inne wydatki przez niego poczynione. A to obiad w „Wielkiej Gwieździe” był za drogi, a to wynajęcie łódki żaglowej, żeby popłynąć na Hel. Najgorzej było z ojcem, kiedy zakupił bilety na rejs do Karlskrony. Całe osiem marek od osoby w dwie strony. Czy ty to sobie imaginujesz? – Julian śmiał się, słuchając, jak Eleonora opowiada o narzekaniach Tekli Schrammowej. Nie znał Tekli osobiście, lecz swoje słyszał, bo plotki rozchodziły się lotem błyskawicy i od ich powtarzania nie ustrzegła się nawet jego matka. Doszedł do wniosku, że ojciec dziewczyny musi mieć świętą cierpliwość. – Do tego dochodziła jeszcze opłata uzdrowskowa, której matka nie potrafiła odżalować, tłumacząc każdemu, kto chciał jej słuchać, że to turystom i kuracjom powinno się płacić za to, że w ogóle chcą odwiedzać Sopot. Dobrze, że ojciec milczał jak grób w sprawie kwoty, jaką zapłacił za apartament, w którym mieszkaliśmy. Moja matka uwielbia luksus. Gorzej, kiedy trzeba za niego płacić.

– Może nie było aż tak drogo?

– Drożej. Ojciec przyznał mi się, że za miesięczny pobyt zapłacił pięć tysięcy marek. Obsztorcowałam go prawie jak matka.

Może Julian nie był bankierem ani żadnym wytrawnym ekonomistą, ale zdawał sobie sprawę, że trzeba być albo wielce nierozsądnym, albo bardzo zamożnym, żeby pozwolić sobie na wydanie takiej kwoty. Przypuszczał, że w przypadku Schramma bardziej prawdopodobna była druga możliwość.

– To tu. – Jego rozmyślania przerwała Eleonora. – Jesteśmy na miejscu. Dziękuję za cudowny spacer i pomoc.

Podał jej gazety, które wzięła od Bobrzyńskich. Wciąż nie był gotowy, żeby się z nią pożegnać. Niestety, było już późno i spotkanie musiało dobiec końca.

„Muszę podziękować Edmundowi”, pomyślał, przyglądając się Eleonorze.

– To... – przerwała niepewnie. Ona chyba też nie chciała jeszcze odchodzić. Westchnęła. – To do widzenia – powiedziała w końcu i ruszyła w stronę ciężkich podwójnych drzwi wejściowych.

– Eleonoro – zawołał za nią. Odwróciła się natychmiast z uśmiechem na ustach. – Niebawem rozpoczyna się sezon plenerów. Muzyka i teatr na świeżym powietrzu. Czy któregoś dnia miałabyś ochotę posłuchać koncertu w moim towarzystwie?

– Już myślałam, że niczego nie wymyślisz – odparła radośnie, zaskakując go swoją postawą, tak jak wtedy na balu, kiedy nie bacząc na towarzystwo, głośno się roześmiała.

## Rozdział 5

Eleonora westchnęła cicho, naciągając kołdrę aż po czubek nosa. Przez cały dzień usiłowała przekonać matkę, że pomysł zabrania Stefanii na spacer, na który umówiła się z Julianem, jest, delikatnie mówiąc, nietrafiony. Na nic zdały się racjonalne argumenty. Na nic zdało się wsparcie ojca, który także uważał, że panienka w wieku ich młodszej córki absolutnie nie powinna przeszkadzać młodym ludziom, którzy po to umawiają się na spacer, żeby spędzić ten czas w swoim towarzystwie, nie troszcząc się o dokazującego podlotka.

– Tekło, czy aby nie przesadzasz? – zapytał Jan, wchodząc do salonu wypełnionego zapachem niebieskich i żółtych irysów, porozstawianych w kryształowych wazonach, pośród których siedziała jego małżonka, oddając się, a jakżeby inaczej, układaniu tarota. Przed chwilą w jego gabinecie pojawiła się Eleonora, błagając ojca o pomoc. – Nie skazuj Eleonory i Juliana na towarzystwo Stefanii. Wiesz, że potrafi być prawdziwym utrapieniem. Dla zachowania przyzwoitości wyślij lepiej którąś z pokojówek. Na spacer do parku Stefania może iść z nami. Sam chętnie się wybiorę. Co ty na to, kwiatuszku?

Pochlebstwa i pomysły ojca także nie pomogły. Eleonora kładła się więc spać zmęczona całodziennym błaganiem i proszeniem matki. Zresztą zmęczenie nie było jedynym uczuciem, które towarzyszyło jej tego wieczoru. Eleonora gotowała się z wściekłości. Była tak zła, że z trudem powstrzymywała łzy bezradności. Najchętniej wyszłaby na podwórko i zaczęła wrzeszczeć, żeby pozbyć się niemiłych emocji. Tylko Tekla Schramm mogła doprowadzić człowieka do szewskiej pasji.

– Całe szczęście, że mamusia nie zmieniła zdania. Nigdy ci nie wybaczę, że tak usilnie starałaś się odwieść ją od pomysłu, abym wam towarzyszyła. – Głos Stefanii wyrwał Eleonorę z lekkiego snu, w jaki powoli zapadała. – Cóż ci takiego zrobiłam, że nie chcesz spędzić ze mną kilku chwil na spacerze? – Stefania wpadła w egzaltowany ton, udając, że cicho pochlipuje.

– Chcesz spacerować ze mną ramię w ramię? – Ze zdenerwowania Eleonora aż uniosła się na łokciach, chociaż w pokoju panowała całkowita ciemność, więc i tak nie mogła zobaczyć siostry, lecz jakoś w tej pozycji czuła się lepiej. – Możemy wybrać się na miasto, do parku Jordana, pod kopiec Kościuszki. Możemy nawet iść na Skałki Twardowskiego. Gdzie tylko chcesz i kiedy chcesz, ale przecież tobie wcale nie chodzi o zwykły spacer. Nie chcesz pójść ze mną ani do parku, ani na skałki, ani nawet na Rynek. Chcesz iść ze mną tylko jutro, prawda? Żaden inny dzień ci nie odpowiada?

Było to pytanie retoryczne, Eleonora знаła przecież odpowiedź.

Stefania uparła się na jutrzejszy dzień nie dlatego, że tak bardzo łaknęła siostrzanego towarzystwa, którego w końcu jej nie brakowało. Chciała pójść, bo wiedziała, że Eleonorze będzie towarzyszył Julian, a od balu, na którym widziała go po raz pierwszy i jak dotąd jedyny, umyśliła sobie, że jest jej rycerzem. Utwierdziła się w tym pomysle tak mocno, że na nic zdały się tłumaczenia ojca, że wypad za miasto w jego i matki towarzystwie jest znacznie lepszym pomysłem.

– Papo, ty nic nie rozumiesz – szepnęła ojcu konspiracyjnie do ucha. – Przecież nie będzie otwarcie o mnie zabiegał. To oczywiste, że przez Eleonorę pragnie poznać mnie lepiej.

Po tych słowach wybiegła z salonu, zostawiając Jana Schramma w całkowitym osłupieniu. Bankier machnął na wszystko ręką i zaszył się na resztę dnia w swoim gabinecie.

Tymczasem Eleonora, nie mogąc zasnąć, przewracała się nerwowo z boku na bok, zastanawiając się, jak zareaguje Julian, kiedy mu powie, że będą mieli towarzystwo w osobie Stefanii.

– Bardzo cieszy mnie perspektywa spędzenia dnia w towarzystwie dwóch tak pięknych pań. Żałuję, że nie zaprosiłem Rozalii, chociaż zapewne nieco by się opierała, nie jest tak otwarta jak panienka Stefania, ale kiedy już kogoś pozna, potrafi być cudownym kompanem – powiedział Julian, uśmiechając się do wpatrzonej w niego jak w obrazek Stefanii.

– Faktycznie, wielka szkoda – odparła Eleonora, popychając młodszą siostrę w stronę otwartych drzwi. – Chodźmy zatem – dodała po chwili, kiwając głową na widok maślanego wzroku Stefanii. „To będzie sądny dzień”, pomyślała, schodząc po schodach.

\*\*\*

Pogoda była tego dnia wymarzona na spokojny spacer. Słońce świeciło wysoko na błękitnym niebie, chowając się co jakiś czas za śnieżnobiałymi chmurami, które przybierały wymyślne kształty, pobudzając wyobraźnię Stefanii wysoko zadzierającej głowę.

– Czy nie przypomina wam smoka? – Dziewczynka szła kilka kroków przed sunącymi wolno i pogrążonymi w rozmowie Eleonorą i Julianem.

– Mnie bardziej kojarzy się z krokodylem – odparła Eleonora.

Pomimo obaw, jakie miała jeszcze kilkadziesiąt minut temu, że Stefania okaże się nieznośną pannicą, złośliwie i z premedytacją uprzykrzającą jej życie, musiała przyznać, że siostra od wyjścia z domu zachowywała się nienagannie. Przestała przyglądać się natarczywie Julianowi, nie zanudzała ich pytaniami i nie kręciła się zbyt blisko, zapewniając im pełną swobodę. Na razie spacer był przyjemny i Eleonora zaczęła się z wolna odprężyć. Szum drzew koił jej nerwy, a przytłumiony gwar rozmów osób przechadzających się w parku Jordana zapewniał klarowność umysłu, mimo że obecność Juliana zaczęła na nią oddziaływać z lekka odurzająco, wprowadzając w nastrój podobny do niedawnego nastroju siostry, który tak wyśmiewała.

Julian prowadził je w stronę terenów tuż obok parku Jordana, które miasto Kraków udostępniło na popularną wśród mieszkańców wystawę architektury i wewnątrz w otoczeniu ogrodowym.

– Nie tylko my wpadliśmy na pomysł, żeby dziś, w dzień powszedni, odwiedzić to miejsce – powiedział Julian.

Faktycznie, przed głównym pawilonem zebrała się spora grupa chętnych. Zwiedzający powoli wchodzili do obszernego westybulu, do którego przylegały dwa skrzydła, a w każdym były cztery sale wystawowe.

– Julianie, spójrz. – Eleonora wskazała na wspaniałą grę światła, którą tworzyły promienie słoneczne wpadające do środka przez okna w dwuspadowym dachu. – Mam wrażenie, że mogłabym dotknąć tych promieni. To uczucie prawie magiczne.

– To piękno natury. Nigdy nie byłem jakoś głęboko wierzący, powiedziałbym, że raczej wątpię, ale kiedy człowiek ma przed oczami coś tak wspaniałego, trudno oprzeć się wrażeniu, że świat i wszechświat nie są dziełem przypadku.

– Widać architekt był przewidujący, bo po tak mistycznym spektaklu nie ma nic lepszego, niż oddać się kontemplacji w kapliczce, która ponoć znajduje się na końcu lewego skrzydła – odparła Eleonora z uśmiechem, czym rozładowała zbyt podniosły nastrój.

– Jestem głodna i chętnie napiłabym się lemoniady. – Stefania wskazała głową w stronę restauracji, w której rozsiedli się zwiedzający.

– Ciastko i kawa czy obiad i lemoniada? – zapytał Julian.

– Ciastko i kawa – odparła Eleonora.

– Obiad i lemoniada – odezwała się Stefania w tym samym czasie.

– W takim razie decyzja należy do mnie. Panie pozwolą. – Ustawił się pośrodku, a one wzięły go pod ramię.

Poprowadził je w stronę werandy, gdzie kelner wskazał im stolik.

– Podobnie jak Stefania nieco zgłodniałem. Jeżeli więc nie macz nic przeciwko temu, Eleonoro, zamówimy lekką przekąskę i coś zimnego, a w drodze powrotnej znowu usiądziemy w restauracji i skosztujemy czegoś słodkiego.

– Pierozki były przepyszne. Nawet nasza Joasia nie robi równie wyśmienitych. – Eleonora złożyła serwetkę z zadowoleniem. Stefania kończyła swoją porcję.

– Pychotka – powiedziała po chwili, odkładając sztućce.

Kilka minut później przeszli w stronę półkolistej muszli koncertowej, w której rozkładała się orkiestra. Krzesła rozstawione tuż przy scenie były zajęte co do jednego. Julian rozejrzał się dookoła, szukając wolnego miejsca. Niestety, także ławki ustawione pod zapewniającymi cień drzewami były pozajmowane.



– Mam nadzieję, że nikt się nie zgorszy? – spytała Stefania i nie czekając na pozwolenie, usiadła na trawie.

– Znakomity pomysł – dodał Julian, idąc za jej przykładem.

Eleonora wzruszyła ramionami i usiadła tuż obok. Kilka osób spojrzało na nich z dezaprobatą, lecz inni, do tej pory stojący, poszli za ich przykładem. Niebawem trawnik zapełnił się zwiedzającymi, którzy, chcąc nieco odetchnąć, przycupnęli na chwilę, słuchając muzyki.

– Odwróć się, ale powoli, jakbyś kogoś szukała. – Stefania nachyliła się w stronę siostry i szepnęła jej konspiracyjnie do ucha. – Zobacysz rudowłosą, szczupłą kobietę w czarnej sukni. To kochanka Witkiewicza.

– Na Boga, Stefciu – Eleonora aż syknęła – skąd wiesz o takich rzeczach i skąd możesz wiedzieć, kim jest ta kobieta?

Julian zerknął przez ramię. Faktycznie, w niewielkiej od nich odległości stała Irena Solska, którą miał okazję parę dni temu widzieć w Teatrze Miejskim. Był tam z matką, towarzysząc jej w zastępstwie ojca, który nagle się rozchorował.

– Faktycznie – szepnął Eleonorze. – Stefcia ma rację. To Solska, którą często widuje się w towarzystwie Witkiewicza.

– Nie zachowuj się, jakbyś żyła w średniowieczu – oburzyła się Stefania. – Kiedy ty przesiadujesz w księgarni lub u wuja, ja towarzyszę matce, odwiedzając jej znajome. Wierz mi, myślałam, że matka jest największą plotkarą, ale są znacznie większe. – Po tych słowach Stefani Eleonora nie mogła się powstrzymać i parsknęła głośnym śmiechem.

– Powinam się tego spodziewać. Ufam, że nie zaskoczysz mnie już bardziej.

– Obawiam się, że nastąpi to jeszcze nie raz. Tylko ciebie można tak łatwo zaskoczyć i zszokować. – I nie czekając na odpowiedź siostry, Stefania popędziła w stronę podmiejskiego dworku.

– Czuję się młodszą siostrą – skwitowała Eleonora.

Julian podał jej rękę, pomagając wstać. Uśmiechnął się szeroko, lecz nie pokusił się o komentarz. Patrząc za podskakującą Stefanią, pomyślał, że będzie z niej niezłe ziółko.

\*\*\*

Dworek podmiejski wzbudzał największe zainteresowanie zwiedzających.

– Czy wasz dom wygląda podobnie? – zapytała Eleonora, patrząc na urzekający dom stojący pośród szumiącej zieleni.

– W zasadzie tak, tylko jest znacznie większy. Ten jest jednopiętrowy, a nasz oprócz piętra ma jeszcze poddasze, ale też jest biały, i ma ganek ocieniony daszkiem, wsparty na kolumnach.

– Jest piękny, a najbardziej podobają mi się ogrody. Szczególnie kwiatowy, chociaż i warzywnemu nie brakuje uroku. A sad wygląda baśniowo. To kwitnące kwiecie zapiera dech w piersiach.

Przez kilka minut spacerowali w milczeniu. Po obejrzeniu dworku ruszyli w stronę domu rękodzielnika, żeby zakończyć spacer przy włościańskiej zagrodzie składającej się z obszernej chaty, stodoły i obory.

– Mogłabym mieszkać w takiej zagrodzie – odezwała się Eleonora. – Kocham zwierzęta, więc z łatwością potrafię sobie wyobrazić siebie w stajni lub stodole. W ogrodzie warzywnym uprawiałabym kapustę, ogórki, marchew i pomidorki pachnące słońcem. A ze studni czerpałabym krystalicznie czystą, zimną wodę.

– Takie życie tylko wydaje się sielskie, lecz w rzeczywistości jest ciężkie i wymagające. – Julian ostudził nieco marzycielskie zapędy Eleonory.

– Nie boję się pracy. – Spojrzała na niego wyzywająco. Poczuł, że uraził jej dumę. – Wręcz przeraża mnie wizja nieróbstwa. Nie chcę być kobietą przy mężu. Znudzona, siedząca przy stoliku, rozkładającą karty i z braku innych pożytecznych zajęć dyrygującą służbą niczym sierżant w wojsku.

– Już dawno zdążyłem się przekonać, że panny Schrammówny to niespokojne dusze. – Julian

podał Eleonorze ramię. Chyba nieco ją udobruchał, bo uśmiechnęła się promiennie.

Zrobiło się późno. Słońce zaczęło się zbliżać do horyzontu i należało wracać. Ruszyli w stronę głównego pawilonu, opuszczając teren wystawy w towarzystwie innych zwiedzających.

– To był cudowny, niezapomniany dzień – powiedziała Eleonora, stojąc przed rodzinną kamienicą. Stefania już się pożegnała i pobiegła do domu, dając im kilka minut sam na sam.

– Mam nadzieję, że spotkamy się niebawem – dodał Julian i pochylił się, żeby złożyć lekki pocałunek na zaróżowionym policzku Eleonory, która akurat w tym momencie zrobiła delikatny ruch głową.

Usta Juliana spoczęły na ciepłych, pełnych wargach dziewczyny. Nie odsunęła się z przerażeniem, nie zaczęła go besztać. Zamiast tego przysunęła się nieco bliżej i oddała pocałunek. Julian zaczął się nawet zastanawiać, czy nie zrobiła tego specjalnie. I kiedy odsunął się od Eleonory, dostrzegł, że miał rację. W jej oczach grały wesołe ogniki, a na ustach błąkał się zawadiacki uśmiech.

– Do zobaczenia zatem – powiedziała wesoło i zniknęła w drzwiach kamienicy.

Julian pomyślał, że ta dziewczyna to chodząca sprzeczność. Kiedy spotkał ją po raz pierwszy, wydawała mu się niedostępną panną zakochaną w książkach i stroniącą od mężczyzn. Daleka była od flirtu i wszystkiego, co wiązało się z damsko-męskimi gierkami, ale im bliżej ją poznawał, tym bardziej go zaskakiwała.

Tymczasem Eleonora nie mogła uwierzyć w to, co przed chwilą zrobiła. Przecież wcale nie miała zamiaru flirtować z Julianem, a już z pewnością nie w tak jawny, ostentacyjny sposób. Było jednak w nim coś, co powodowało, że wszelkie postanowienia i pewniki, które sobie ustaliła w życiu, przestawały obowiązywać. Julian prowokował ją do takich zachowań, o które się nawet nie podejrzewała. I co gorsza, właśnie sobie uświadomiła, że zaczyna za nim tęsknić i już teraz z niecierpliwością wyczekuje kolejnego spotkania.

Przystanąła na schodach, opierając rękę na drewnianej, misternie rzeźbionej poręczy.

– Na Boga – szepnęła. Po krótkiej chwili zadumy, jakby roztrząsała jakiś ważny problem, ruszyła dalej, przeskakując niczym urwis po dwa stopnie. – Dobrze, że matka tego nie widzi – dodała po chwili, cały czas uśmiechając się zagadkowo.

\*\*\*

– Drogi Przyjacielu! – Stefania zaczęła z namaszczeniem czytać trzymane w dłoniach zaproszenie. – Postanowiliśmy z małżonką za dwa tygodnie, to jest ósmego lipca, zorganizować z okazji niedawnych wyborów balik domowy. Małżonka moja i ja będziemy wielce szczęśliwi, jeżeli pojawisz się na nim wraz z całą rodziną, a wierz mi, że nie braknie dobrych tancerzy, wesołych towarzyszy i znakomitego jedzenia. Zaliczamy Ciebie i Twoją Rodzinę do grona naszych przyjaciół, dlatego nie wyobrażamy sobie, żebyś na bal nasz nie przybył. – Młodsza córka Schramma przycisnęła pismo do piersi. – Pewna jestem, że zaproszą studentów, bo przecież hrabina Michałowska jako kobieta światowa zdaje sobie sprawę, że panowie w wieku Juliana i starsi nie bardzo lubią tańczyć, a w zaproszeniu jasno stoi, że będą tańce.

– Studentów prosić dwa razy nie trzeba. – Eleonora podniosła oczy znad książki. – Nie wyobrażaj sobie, że na bale chodzą z powodu panien i tych kilku chwil, jakie mogą z nimi spędzić w tańcu.

– Więc po co tam chodzą? – Stefania naburmuszyła się jak zawsze, kiedy Eleonora nie zgadzała się z jej wizją świata.

– Dla wyzerki.

– Nie mogę uwierzyć, że jesteś moją siostrą. – Zerwała się z fotela, lecz zaraz usiadła na nim z powrotem. – Nie ma w tobie odrobiny romantyzmu.

– Za to w tobie jest go aż nadto – skwitowała Eleonora.

Przez chwilę w pokoju panowała absolutna cisza, przerywana tylko szybkim, zdenerwowanym oddechem Stefanii oraz szelestem papieru, ponieważ ta z uwagą po raz któryś przyglądała się uważnie zaproszeniu. Widziała już niejedno, ale to było specjalnej urody. Papier był gruby i wyraźnie wytłaczany, a litery, chociaż teraz w modzie były zaproszenia drukowane na specjalnych kartach, elegancko

wykaligrafowane. Kiedy zegar zaczął wybijać pełną godzinę, młodsza latorośl Schrammów podskoczyła z przestraczem.

– Czas jest nieubłagany – jęknęła, patrząc posępnie na ciężkie wahadło. – Do balu zostało jeszcze... – zatrzymała się i zamknęła oczy, najwyraźniej licząc w myślach – osiem dni.

Marudziła tak od chwili, kiedy służąca Michałowskich ostatniego czerwca przyniosła zaproszenie na bal do Zakrzówka.

– Wiedziałam, że Julian o mnie nie zapomni – westchnęła z ulgą, kiedy dowiedziała się, że państwo Michałowscy oczekują przybycia całej rodziny.

Nie było dnia, żeby o nim nie wspominała. Cały czas planowała, co na siebie włoży, jak każe uczesać włosy i czy będą grać walca. No i oczywiście, ile razy Julian z nią zatańczy.

Podczas jednej z kolacji oświadczyła, że pragnie ograniczyć jedzenie.

– Nie będę tyle jadła. Z kolacji rezygnuję całkowicie i proszę, niech papa nie robi takiej miny. Sukienka musi dobrze leżeć.

Eleonora obserwowała młodszą siostrę i tylko kiwała głową z niedowierzaniem.

– Przestałaś kiwać głową i sama zadbałaś o odpowiednią dietę. Nie zaszkodziłaby ci z pewnością – odparła pewnego dnia Stefcia, widząc zniesmaczoną minę starszej siostry.

– Dzięki Bogu zajmuje mnie coś znacznie ważniejszego niż jadłospis – prychnęła Eleonora i pomaszerowała do ojcowskiego gabinetu, z którego korzystała zawsze, gdy chciała poczytać w spokoju i samotności.

Kiedy jednak rozsiadła się w wygodnym fotelu, nie mogła się skupić na otwartej książce leżącej na jej kolanach. Słuchając Stefanii i przyglądając się jej zabiegom, zdała sobie sprawę, że panny wciąż uważały instytucję małżeństwa za rzecz najwspanialszą na świecie, bo dzięki niej uwalniały się spod kurateli matki, często apodyktycznej i humorzastej. Na samą myśl o matce Eleonora pokiwała głową ze zrozumieniem. Może gdyby nie jej pasja do nauki, do czytania, do chęci zdobycia wykształcenia i usamodzielnienia się nie tylko od rodziców, ale w przyszłości także od męża, byłaby bardziej podobna do siostry.

Kobiety nadal tkwiły mentalnie w ubiegłym stuleciu. Wciąż pokutowało przekonanie, że posyłanie dziewcząt na studia to fanaberie i marnowanie pieniędzy, ponieważ uważano, że płci pięknej brak umiejętności trzeźwego i logicznego myślenia.

„I słusznie tak uważają”, pomyślała Eleonora, wściekła na zachowanie siostry. Same sobie na to zapracowałyśmy, perorowała nadal w głębi duszy. Zamiast badać, dociekać, szukać, czytać, pytać, liczyć, zarządzać, uważamy, że najważniejsze jest nie jeść kolacji, żeby nie przytyć i ładnie wyglądać w balowej sukni. Zamknęła książkę i sięgnęła do szuflady, w której ojciec trzymał świadectwa szkolne. Wzięła do ręki swoje i Stefanii. Zrobiła to z potrzeby chwili, żeby namacalnie przekonać się o tym, że różni się od siostry jak dzień od nocy.

– Tu się schowałeś. – Ojciec wkroczył do gabinetu, cicho zamykając drzwi. – Trudno wytrzymać z twoją siostrą, ale niech się nacieszy. Z czasem przywyknie.

– Czy ojca to nie martwi?

– Co kochanie? Jej egzaltacja?

– Nie, jej bezmyślność – odparła Eleonora. – Czy ojciec porównywał kiedyś nasze świadectwa? Oczywiście, że nie – odpowiedziała za niego. – A może papa powinien?

Jan Schramm zerknął na swoją starszą pociechę. Od dawna nie rozumiał swoich córek. Zastanawiał się, jak to możliwe, że te dwie panny, jedna już dorosła, druga dorastająca, zrodzone z jednej matki i z jednego ojca, są tak różne. Eleonora położyła świadectwa na biurku. Nie miał wyjścia. Musiał się im przyjrzeć.

– Widzi ojciec? – zapytała i nie czekając na odpowiedź, ciągnęła dalej. – U Stefanii obyczaje, rysunki, kaligrafia, muzyka, śpiew wzorowe. Wszystko wzorowe, ale co z tego, kiedy to banialuki.

– A ty, kochanie? – Jan Schramm zapytał z czystej uprzejmości. Jeszcze przed chwilą chciał się tu schronić przed Stefanią, która zamęczała wszystkich balem u Michałowskich, lecz teraz wołałby już walce i karnety niż zarzuty perorującej Eleonory.

– Ja? Ja tu jedynie dostateczny, ale za to, inaczej niż Stefania, w polskim, rachunkach, historii i geografii jestem wzorowa. Co bardziej przyda mi się w życiu, papo, gra na pianinie czy umiejętność liczenia?

Tego Schramm już nie wytrzymał.

– A dajcie wy mi już wszyscy spokój! Idę do kasyna. – I z tymi słowami wymaszerował z gabinetu, trzaskając drzwiami, co było dla niego dość nietypowe.

Od tego dnia Eleonora postanowiła nie zabierać głosu w kwestii przygotowań do balu. Robiła to co zwykle. Czytała, chodziła do antykwariatu, spotykała się czasem w kawiarni Wielanda z jej właścicielem, przesiadywała u wuja i pobierała korepetycje z anatomii. Nie udało jej się jednak całkiem od domu odseparować, ponieważ Stefania wraz z matką dwa dni po otrzymaniu zaproszenia umówiły się z krawcową w sprawie nowych sukien.

Przedwczoraj odbyła się pierwsza narada i w tym celu w salonie złożono dziesiątki czasopism takich jak „Nowe Mody Paryżkie”, czy „Magazyn Mód”. Krawcowa przyniosła także próbki materiałów i przez dobre trzy godziny przykładała je do twarzy to Stefanii, to Eleonory, aby upewnić się, w którym kolorze i w jakiej fakturze będzie pannom do twarzy.

– Nie ma nic gorszego niż niedopasowany kolor. Przecież nie chcą panny wyglądać jak śmierć, a każdemu nie w każdym kolorze jest do twarzy.

W końcu dobrano odpowiednie materiały i krój sukni. Teraz pozostało tylko ich uszycie i kilka przymiarek po drodze.

Na dwa dni przed balelem Stefania wyglądała blado, pod oczami miała sine smugi. Biel materiału przełamana delikatnym różem, z którego szyto suknię, wydawała się przy obecnym kolorze cery Stefanii nieodpowiednia, żeby nie powiedzieć brzydka. Tekla Schramm z niepokojem przyglądała się młodszej córce.

– Trzeba ją zabrać do doktora – powiedziała do męża wieczorem, kiedy panny poszły spać. – Boję się, czy nie złapała jakiegoś paskudztwa, kiedy robiłyśmy zakupy kilka dni temu. Pogoda wyjątkowo się wówczas nie udała, a u Szarskiego jakiś starszy jegomość wciąż kichał.

– Tekło, rób, jak uważasz, wszak zdrowie Stefanii i Eleonory jest najważniejsze, ale na moje oko wystarczyłoby, żeby Stefcia nieco dłużej pospała, a od razu nabrałaby żywszych kolorów.

I tu się Schramm nie mylił. Stefania spać nie mogła od dawna. Targały nią niesłychane emocje. Raz radość nieskrępowana, innym razem obawa, że zrobi z siebie pośmiewisko. Tak mocno marzyła o balu i o sukcesie, jaki na nim odniesie, że prawie podupała na zdrowiu.

\*\*\*

Michałowscy rzadko wydawali przyjęcia, dlatego otrzymanie zaproszenia do złożenia wizyty w majątku w Zakrzówku poczytywano sobie za zaszczyt i wyróżnienie, bo skoro już je organizowali, zawsze stawało się wydarzeniem sezonu. Nic więc dziwnego, że przygotowania ruszały pełną parą na długo przed wyznaczonym dniem. Była to ogromna operacja logistyczna, należało bowiem zapewnić nie tylko odpowiednią ilość wina i gatunkowych wódek, przekąsek i ciast, lecz także porcelany, kieliszków, sztućców czy rzeczy tak banalnych, jak krzesła, obrusy i serwety.

– Pamiętaj, żeby za nic w świecie nie wyklądać sreber rodowych i tych od mojej prababki, schowanych w kredensie na drugiej półce – instruowała służącą hrabina Michałowska. – Wiadomo, że po każdym balu nie można doliczyć się sztućców. Jeszcze by mi tego brakowało, żeby powynosili srebra.

Kiedy hrabina z główną kucharką układały menu, pokojówki i kamerdyner zastanawiali się, gdzie powiesić tak dużo okryć wierzchnich i gdzie poukładać kapelusze, żeby przypadkiem się nie zniszczyły. W tym samym czasie służące, które zazwyczaj zajmowały się sprzątnięciem we dworze, łamały sobie głowę, jak odratują zadeptaną przez tańczące pary podłogę.

Na dworze w Zakrzówku panował rozgardiasz, który mącił spokój Rozalii. Nie chcąc myśleć o nadchodzącym wydarzeniu, postanowiła pospacerować. Była już przy drzwiach, kiedy usłyszała Juliana.

– Dokąd się wybierasz? – zapytał.

– Nie mogę tego znieść. – Skinęła głową w stronę gabinetu, w którym matka wraz z ojcem zastanawiali się, czy na pewno wysłali zaproszenia do wszystkich, których chcieli ugościć.

– Pozwolisz, że będę ci towarzyszyć? – Rozalia uśmiechnęła się szeroko i skinęła na znak zgody. – Prowadź zatem. To w końcu twoja przechadzka.

Gdyby Julian nie przyłączył się do niej, poszłaby w stronę kamieniołomu, lecz w tej sytuacji postanowiła ruszyć w stronę Skalek Twardowskiego. Przez jakiś czas szli w milczeniu.

– Zastanawiam się, czy matka zrobiła to specjalnie. – Pierwsza odezwała się Rozalia. – Wie, jak nie lubię balów. Boję się ośmieszenia. Nie umiem tańczyć, a swobodna rozmowa z nieznanymi sprawia mnie w takie zakłopotanie, że nie potrafię słowa z siebie wydusić.

– Nie będę bronił matki, ale nie będę jej także osądzał. Nie wiem, jaki mają z ojcem powód, żeby zorganizować bal poza sezonem. Może chcą odnowić znajomości, zadzierzgnąć nowe i wymienić się wrażeniami po niedawnych wyborach. I nie ma w tym niczego ukrytego?

– Ależ jest. Matka chce mnie pokazywać jak konia na targowisku. Nie patrz tak, od dłuższego czasu zapowiadała, że myślą z ojcem wydać mnie korzystnie za mąż. Przy okazji balu mam wreszcie poznać pana Mikołaja Tojewa, który swego czasu miał nas wizytować na uroczystym obiedzie, ale z jakiegoś powodu nie mógł przyjechać.

– Mamy dwudziesty wiek. Kto dziś wydaje córkę za jej plecami? – zachnął się Julian.

– Józefa hrabina Michałowska – powiedziała Rozalia ze smutkiem, ale i rezygnacją.

Nie miała odwagi i siły Juliana, żeby sprzeciwić się rodzicom, a w szczególności matce. Zdawała sobie sprawę, że jej protesty i tak nie zostaną wysłuchane, a ona ostatecznie ulegnie presji rodzicielki. Czasami marzyła jej się ucieczka. W wyobrażeniach była śmiała i potrafiła walczyć o swoje. Umiała powiedzieć „nie” i odejść z domu, w którym nikt nie brał jej zdania na poważnie.

Julian milczał. Zastanawiał się nad tym, co powiedziała Rozalia. Takie zachowanie było podobne do matki. Czy mógł coś na to poradzić? Już chciał się odezwać, kiedy Rozalia przerwała panującą ciszę.

– Ostatnio często bywasz w Krakowie. Czy tylko praca w kancelarii Szalita jest tego powodem?

– A czy twoim zdaniem jest jeszcze jakiś inny? – Roześmiała się na słowa brata. Drażnił się z nią. – Raz czy dwa spotkałem się z Eleonorą Schramm. Przez czysty przypadek. – Zastanawiał się, kogo chce oszukać.

– Znam cię, braciszku. Nigdy niczego nie pozostawiasz przypadkowi. Mam nadzieję, że Eleonora jest warta twojego zainteresowania. – Po tych słowach Rozalia zatrzymała się, żeby nacieszyć oczy widokiem, jaki się przed nimi rozciągał.

– Lubię to miejsce. Tkwi w nim jakaś nieodkryta tajemnica – powiedział Julian, patrząc na skałki wyłaniające się zza soczycie zielonych krzewów, które rosły wzdłuż wąskiej parkowej ścieżki.

– Może to duch mistrza Twardowskiego, który prowadził tu swoją szkołę, wciąż roztacza nad tym miejscem swoją aurę? – zapytała Rozalia.

– Wiesz, że to tylko legenda. Poza tym Twardowski działał w Krzemionkach Podgórskich.

– A jednak coś jest w tym miejscu, że przyciąga tyle osób. Sama zachodzę tu często, kiedy potrzebuję ciszy i odprężenia. Nie przeszkadzają mi nawet inni, bo zawsze ktoś tu spaceruje, ale tak jak ja czy my teraz zachowuje się cicho, spokojnie.

Przez chwilę podziwiali piękno krajobrazu, każde zatopione w swoich myślach. To, nad czym się zastanawiali, pozostało ich tajemnicą, ponieważ ani Julian, ani Rozalia nie mieli ochoty dzielić się swoimi troskami. W końcu zawrócili, zmierzając z powrotem do domu.

– Nie wiedziałem, że ktoś wprowadził się do domu po doktorze Lisku – Julian zerknął z ciekawością.

Przed domem parkował właśnie kremowy automobil marki Laurin & Klement. Julian widział już kilka tych samochodów. Miał nawet okazję jechać takim, kiedy bawił w Pradze podczas przerwy semestralnej u jednego z przyjaciół, z którym studiował w Paryżu. Był nawet o krok od zakupu. Wahał się długo. W końcu wybrał fordę i nie żałował, chociaż musiał przyznać, że i ten samochód prezentował się doskonale.

– Słyszałam, jak matka mówiła ojcu o naszej nowej sąsiadce. Przyjechała z Wiednia. Jest wdową po złotniku. Nazywa się Ida Goldbaum. Podobno pochodzi z Krakowa, zresztą jej siostra nadal tu mieszka. Rodzice jakiś czas temu przeprowadzili się do Warszawy. Ojciec zaprosił ją na bal.

– Człowiek zawsze czuje się obco w nowym miejscu. Bal będzie dla niej doskonałą okazją do poznania sąsiadów i nie tylko.

Ida Goldbaum wchodziła akurat na schody prowadzące do domu. Zerknęła przez ramię. W dziewczynie mijającej zaparkowane auto rozpoznała córkę hrabiny Michałowskiej. Młodego mężczyzny idącego obok Rozalii nie znała, lecz przypuszczała, że może to być Julian, starsza latorośl Michałowskich. Pomyślała, że będzie miała okazję poznać oboje na balu, na który została zaproszona.

\*\*\*

Bal rozpoczął się na dobre. Na początek odtańczono poloneza do muzyki Fryderyka Chopina. Pary nagroziły orkiestrę rześzystymi brawami. Panowie skłonili głowy przed swoimi partnerkami, te dygnęły w podziękowaniu, podając im dłonie i czekając, aż odprowadzą je na miejsca, zajmowane przeważnie przy rodzicach. Potem rozpoczęły się przetasowania i zapisy do karnetów.

Jan Schramm stał u boku swojej żony, wodząc wzrokiem za idącą w jego stronę Eleonorą, która trzymała Juliana pod ramię.

– Pięknie razem wyglądają, nieprawdaż? – Tekla pochyliła się w stronę męża, nie odrywając wzroku od starszej córki.

– Jak zawsze masz rację... – Schramm chciał jeszcze coś dodać, ale w tym momencie Aleksander hrabia Michałowski pojawił się przed nim, kłaniając się Tekli oraz stojącej po jego lewej stronie Stefanii.

– Czy mogę porwać pana na chwilę, o ile szanowna małżonka nie będzie miała tego za złe? – Tekla uśmiechnęła się szeroko, dając tym samym nieme pozwolenie na to, aby Jan oddalił się w towarzystwie hrabiego. – Chciałem panu przedstawić naszą sąsiadkę, która jakiś czas temu przyjechała do Krakowa z Wiednia. Miałem okazję przeprowadzić z nią kilka wielce ciekawych rozmów i im lepiej ją poznaję, tym większą mam ochotę przedstawić jej swoje plany związane z cukrownią – mówił Michałowski, idąc z bankierem w stronę ubranej na czarno kobiety, która prowadziła konwersację z hrabiną spijającą z jej ust każde słowo.

W czasie kiedy Schramm kłaniał się nowej znajomej hrabiostwa, Julian wraz z Eleonorą stanęli obok jej matki i siostry, przyglądając się parom, które właśnie szykowały się do kolejnego tańca.

– Spójrz – szepnęła podekscytowana Stefania, pokazując zapełniony karnet. – Nawet w najśmielszych snach nie przypuszczałam, że będę mieć aż takie powodzenie. A jak twoje wpisy? – Dziewczynka wyginała szyję niczym łabędzica, żeby zajrzeć do siostrzanego karneciku.

– Zaledwie trzy nazwiska – prychnęła Stefania i wydeła policzki.

– Nie nadymaj się tak z dumy, bo pęknieš. – Eleonora skarciła Stefanię wzrokiem. – Są tam tylko ci, którzy mieli się w nim znaleźć. Nie zapisuję pierwszego lepszego kawalera tylko po to, aby pochwalić się ich liczbą w balowym karnecie. Dam ci dobrą radę, kochana – dodała po chwili, akcentując każde słowo. – Tyczy się ona nie tylko balu i towarzysza do tańca, ale wszystkiego, prawie wszystkiego. Zawsze stawiaj na jakość, a nie na ilość. – Po tych słowach, nie zaszczycając już siostry spojrzeniem, pomaszerowała w kierunku stolika, przy którym zebrała się grupa osób grająca we flirt towarzyski.

Wśród przyglądających się zauważyła Juliana, który zaprosił ją do mazura. Obawiała się go bardzo, ponieważ przemierzając salę balową w tym tańcu, należało popisać się sprawnością i gracją. Trudno było jej uwierzyć, że temu podoła, lecz Julian był nieugięty i przekonywał ją, iż jest znakomitą tancerką, której nie brakuje elegancji. Z ojcem zamierzała zatańczyć kotyliona. Najbardziej czekała jednak na walca, którego zarezerwowała oczywiście dla Juliana.

– Zapewne już to słyszałaś, nie tylko z moich ust, mimo to muszę powiedzieć raz jeszcze. Wyglądasz dziś przepięknie. Nie znaczy to oczywiście, że w inne dni wyglądasz źle, ale dziś błyszczysz jak gwiazda na niebie. – Oczy Juliana były pełne podziwu dla jej urody, elegancji i powabu. Wydawała się taka wiotka, lecz w jej oczach i uśmiechu było coś zawadiackiego.

Zastanawiał się, czy tylko on tak ją postrzega. Czy inni też widzą, jaka jest oryginalna i wyjątkowa?

– I ty wyglądasz niczego sobie. – Cichy głos Eleonory wyrwał go z zadumy. – Nie żebyś w inne dni wyglądał gorzej, ale dziś nawet księżyc chowa się przed twoją urodą. – Eleonora otworzyła wachlarz i zakryła nim usta rozciągnięte w szerokim uśmiechu.

– Wiedziałem, że spodoba mi się twoja odpowiedź. Nigdy nie wiem, czego się można po tobie spodziewać. Jesteś zagadką. I chciałbym móc ją częściej odkrywać. O ile pozwolisz? – Patrzył na nią wyczekująco.

Do tej pory spotykali się niby przypadkiem, chociaż oboje zdawali sobie sprawę, że przypadek nie ma tu nic do rzeczy. Po słowach młodego Michałowskiego Eleonora złożyła wachlarz, najpierw zerknęła na salę, po której płynęły w tańcu szczęśliwe pary, potem powróciła wzrokiem do Juliana i kiedy ten już stracił nadzieję, że doczeka się odpowiedzi, Eleonora powiedziała:

– Myślę, że możemy zacząć od przyłączenia się do gry. Niech to będzie preludium tego, co jeszcze przed nami. – Uśmiechnęła się tajemniczo i usiadła na wolnym miejscu, sięgając po karty. Julian poszedł za jej przykładem.

Gra wciągnęła ich tak bardzo, że nie zauważyli zbliżającego się kelnera z tacą pełną brzęczących, błyszczących kieliszków, zgrabnie balansującego pomiędzy gośćmi pograżonymi w rozmowie.

– Drodzy państwo – odezwał się jeden z graczy, który przyjął rolę swoistego wodzireja – czas na chwilę przerwy. „Zielona wróżka” poprawi nasze nastroje i, na co liczę, wzmocni zmysły oraz wyzwoli z ciasnego gorsetu nieśmiałości.

Eleonora zerknęła na Juliana, który mrugnął do niej porozumiewawczo, uśmiechając się przy tym zachęcająco. Cóż, nie miała jeszcze okazji pić absyntu i chociaż trochę obawiała się swojej reakcji na ten alkohol, postanowiła, że nie będzie się wyłamywać i dotrzyma towarzystwa innym uczestnikom gry siedzącym razem z nią i Julianem przy stole.

– Państwo pozwolą, że zapytam, czy wszyscy mieli już okazję raczyć się absyntem? – Samozwańczy wodzirej powiódł wzrokiem po pozostałych. Oprócz Eleonory jeszcze trzech innych graczy nie miało przyjemności picia „zielonej wróżki”. – Pozostali nie będą mieli mi zatem za złe, jeżeli przeprowadzę mały pokaz instruktazowy, nieprawdaż? – Goście uśmiechami zachęcili go do działania. Mężczyzna sięgnął więc po jedną z kilku łyżeczek na tacy. Do drugiej ręki wziął szklaneczkę. – Proszę, niech państwo wezmą swoje łyżeczki i szklanki. O, tak. – Eleonora przyjrzała się łyżeczce z ciekawością. Mężczyzna musiał zauważyć jej zdziwienie, ponieważ patrząc wprost na nią, uśmiechnął się szeroko. Zawadiacko. – Nie, nie jest zepsuta. Dziurki to konieczność. Zaraz się pani przekona, jak tylko położy ją na szklance. Doskonale. Teraz proszę ułożyć na niej kostkę cukru, chyba że ktoś lubi więcej słodyczy, to można dodać drugą.

Eleonora obserwowała kolejne ruchy mężczyzny. Sięgnęła po flaszeczkę absyntu i podobnie jak pozostali, zaczęła nalewać go do szklanki, przelewając przez cukier.

– Podpalmy go teraz, żeby topniejąc, spłynął na dno. I woda. Koniecznie lodowata.

Eleonora sięgnęła po swoją karafkę. Zerknęła na Juliana i naląła tyle samo, ile młody hrabia.

– Degustujmy więc. – Wodzirej uniósł szklanekę, przesuwając wzrokiem po siedzących przy stole gościach, którzy również je wnieśli. – Na zdrowie!

– Na zdrowie! – odpowiedzieli chórem.

Eleonora wzięła do ust niewielki łyk. Przez chwilę przytrzymała go w ustach, bojąc się przełknąć. W końcu, zamykając oczy, jakby to miało dodać jej odwagi, połknęła alkohol. Gorzki smak rozlał się po policzkach i gardle, wywołując kaszel. Nie była na to przygotowana. Złapała się za gardło i patrząc załzawionymi oczami na Juliana, skrzywiła się nieznacznie. I kiedy już miała powiedzieć, że nigdy więcej nie weźmie do ust tego paskudztwa, poczuła przyjemny smak, a po całym ciele rozlało się rozkoszne ciepło. Ręka sama, jakby prowadzona przez kogoś innego, sięgnęła po kieliszek. Kolejny łyk nie był już dla Eleonory szokiem, zaskoczeniem zaś było, że każdy następny smakował lepiej. Zmieniał ją. Formował na nowo. Wyzwalał. Sprawiał, że stawała się prawdziwa. Czuła, że może więcej. Gdzieś zniknęła ostrożność, opanowanie i obawy przed przekroczeniem wyznaczonych granic. Była

nieskrępowana i wreszcie wolna od fałszywego strachu oraz wstydu. Odrzucała konwenanse. Gra stała się przez to bardziej fascynująca i podniecająca. Podobną iskrę, której nie bała się nazwać po imieniu, iskrę pożądania, widziała w oczach Juliana. Odetchnęła głęboko, kiedy zdała sobie sprawę, że żałuje, iż nie może zerwać się z fotela, porwać hrabiego za rękę i uciec z nim do jednego z licznych pokoi, który zapewniłby im prywatność, o jakiej w tej chwili marzyła. Bezwiednie, wciąż wpatrując się w Juliana, oblizwała wargi.

– Państwo wybaczą, ale muszę zaczerpnąć świeżego powietrza. – Julian wstał szybko od stołu. Widział zaskoczenie w oczach Eleonory, lecz musiał ostudzić zmysły, rozgrzane alkoholem, grą we flirt oraz wyobraźnią, która podsuwała mu coraz śmielsze obrazy.

Błędem było raczenie się absyntem w towarzystwie Eleonory w salonie pełnym gości. Powinien to przewidzieć. W końcu pił go nie po raz pierwszy. Absynt rozwiązywał języki, uwalniał ciało i umysł. Rozejrzał się po pokoju. Potem raz jeszcze zerknął na Eleonorę i bez słowa zostawił ją przy stole. Patrzyła za nim osłupiała, nie wiedząc, co począć.

Uśmiechnęła się nieśmiało do pozostałych i również wstała. Nie zamierzała jednak biec za Julianem. Jego zachowanie podziało na nią jak kubeł zimnej wody. Przemknęło jej przez myśl, że musi odnaleźć rodziców. Powiodła wzrokiem po gościach, szukając znajomej twarzy.

Tymczasem w drugim końcu sali Jan Schramm zmierzał do swojej małżonki w towarzystwie Frau Goldbaum.

– Pozwól, moja droga, że przedstawię ci panią Idę Goldbaum, wdowę po znanym i utalentowanym złotniku. Ida Goldbaum, moja żona Tekla Schramm. – Małżonka bankiera uśmiechnęła się przyjaźnie, wyciągając dłoń na powitanie.

– Miło mi panią poznać.

– Mnie również – odpowiedziała Ida. – Kiedy chwaliłam dzisiejsze przyjęcie, hrabina Michałowska odparła, że z pewnością zmieniałabym zdanie, gdybym miała okazję być na przyjęciu organizowanym przez panią. Zapewniono mnie, że bale organizowane przez Teklę Schrammową zawsze są wielkim wydarzeniem i na długo zapisują się w pamięci tych szczęśliwców, którzy mieli okazję w nich uczestniczyć.

– Zawstydz mnie pani, Frau Goldbaum. – Tekla uśmiechała się coraz szerzej. Słowa wdowy były miodem na jej serce. Jan dyskretnie zerkał na żonę. Musiał przyznać, że Ida Goldbaum miała świetne podejście do ludzi.

– Skoro znalazły panie wspólny temat, jakim są przyjęcia i związane z nimi przygotowania, to nic tu po mnie – odezwał się, korzystając z chwili przerwy w rozmowie. – Pozwolą panie zatem, że się oddalę, żeby zamienić kilka słów z hrabią.

Teklę całkowicie pochłonęła konwersacja z wdową po złotniku. Najpierw z wielką cierpliwością i satysfakcją opowiadała o przygotowaniach do przyjęcia, o wynikających z tego powodu problemach, o trwodze, która zdejmowała ją zawsze na dzień przed samym wydarzeniem, i euforii, kiedy wszystko udawało się tak, jak to sobie wyobrażała. Potem zaczęła wypytywać Idę o życie w Wiedniu. Chciała poznać szczegóły pracy złotnika. Nie omieszkała także zapytać o przyczynę śmierci męża. Wreszcie Tekla wspomniała o ewentualnej kolacji, jaką miała zamiar wydać na powitanie Frau Goldbaum w Krakowie.

\*\*\*

– I co pan powie o wyborach? – Hrabia Michałowski spoglądał badawczo na bankiera.

Jakiś czas temu przeprosili towarzystwo i wymknęli się do gabinetu gospodarza balu, żeby spokojnie porozmawiać.

– Cóż, mam swoje zdanie, ale raczy pan hrabia nie naciskać, bo jako bankier nie ujawniam przed klientami sympatii politycznych. Swego czasu zrobiłem ten błąd i wdąłem się w dyskusję z jednym z wieloletnich klientów, rzekłbym nawet, że lata owocnej współpracy przerodziły się w coś na kształt surowej męskiej przyjaźni. Pewnego dnia dałem się wciągnąć w niewinną z pozoru wymianę zdań. Od błahostek przeszliśmy do rzeczy poważnych. Najpierw spokojnie omawialiśmy sytuację polityczną.



Potem pokusiłem się, żeby odkryć nieco, mówiąc kolokwialnie, karty i zdradziłem swoje poglądy, skoro i mój rozmówca ich nie ukrywał. Pewnie zastanowiłbym się dwa razy, gdybym wiedział, że on tak dalece nie podziela mojego zdania. Żeby jednak dał temu wyraz w sposób zdystansowany... – Tu Schramm zrobił krótką przerwę. – Klient mój jednak zerwał się z fotela jakby rażony piorunem, spojrzął na mnie z pogardą, po czym już z ręką na klamce wycedził, że tego się po swoim bankierze nie spodziewał. Dowiedziałem się, że człowiekowi o moich poglądach ufać nie należy. Po tych słowach wyszedł, trzaskając drzwiami. Na drugi dzień pojawił się u mnie jego radca prawny ze stosownymi pełnomocnictwami, wycofując wszelkie aktywa oraz kończąc umowy. Zdarzyło się to kilka lat temu. Chciałem wierzyć, że wkrótce ochłonie, ale niestety... – Schramm zamilkł na chwilę. – Więc jak już powiedziałem, raczy pan hrabia nie naciskać – dodał po chwili.

– Nie zamierzam. Nie byłbym jednak sobą, gdybym nie podzielił się z kimś swoją radością. Niestety, przyprawioną odrobiną goryczy. Pewnie gdyby mój syn miał zapatrywania bliskie moim, to siedziałbym z nim w tym gabinecie, lecz cóż zrobić, kiedy Julian daleki jest od konserwatyzmu. A jednak mimo jego zapewnień, że ludzi o moich poglądach jest coraz mniej, to myśl konserwatywna wygrała. – Michałowski przemierzał gabinet od ściany do ściany, zmuszając Jana Schramma do spoglądania to w prawo, to w lewo, przez co bankier czuł się trochę jak na meczu tenisowym. – Syn zapewne powiedziałby, że to efekt połączenia z ludowcami, ale nawet „Ikac” pisał, że to nie konserwatyści na owym połączeniu stracili, lecz ludowcy właśnie. Przyjdzie nam jeszcze poczekać na zmiany, nieprawdaż? – Schramm nie odpowiedział na to retoryczne pytanie, podczas gdy Michałowski, który raczej nie czekał na odpowiedź, mówił dalej. Tak zapalił się do swojej przemowy, że wyglądał jak profesor dający wykład, niezrażony tym, że ma tylko jednego słuchacza. – Szkoda, że większość, także wśród polityków mieniących się konserwatystami, zapomniała, że naczelnym naszym zadaniem jest zapobiegać sporom wewnętrznym, które doprowadziły swego czasu nasz kraj do samobójstwa. Bierze mnie trwoga, kiedy uzmysławiam sobie, że rola szlachty już dawno przestała być rolą wiodącą, a argument łączący nas z przeszłością jest dziś niewystarczający. Część konserwatystów wychodzi z założenia, że to, co przeszłe, niekoniecznie jest właściwe, a powoływanie się na historyczne pochodzenie rodów szlacheckich nie uprawnia tychże do zajmowania eksponowanego stanowiska. Czy pan sobie imaginuje, że takich jak ja, a nie jestem, broń Boże, przypadkiem odosobnionym, nazwano fałszywymi konserwatystami? Chcemy ponoć konserwować dla samej idei konserwowania. – Po tych słowach na ustach hrabiego pojawił się szeroki uśmiech. – Chciałem, jak mi Bóg miły, wziąć udział w wyborach, ale kiedy nazwano mnie pozostałcem, zdałem sobie sprawę, że czas pogodzić się z nieuniknionymi zmianami i zająć się sprawami, które swego czasu zajmowały mojego ojca. – Michałowski usiadł i wreszcie, po raz pierwszy, odkąd zamknęli się w gabinecie, spojrzął na Schramma. – Dlatego poprosiłem pana tutaj. Mamy do omówienia kwestie finansowe. – Wstał znowu i podszedł do biurka.

– O finansach mogę z hrabią rozmawiać bez obaw – powiedział Schramm z pogodą, wywołując uśmiech na poważnej twarzy Michałowskiego.

– Ojciec mój pragnął postawić cukrownię. Niestety, zmiany polityczne, bo jak się okazuje, nie da się uciec od polityki, choćbyśmy nie wiem jak próbowali, zmusiły go do wycofania się z planów. Zamknął je na dziesiątki lat w szufladzie. Ostatnio je przeanalizowałem i zamierzam zainwestować w to przedsięwzięcie, lecz do tego będzie mi niezbędna pożyczka.

– Chętnie się przyjrzymy tej propozycji. Muszę jednak ostudzić nieco zapędy hrabiego. Na nic zdadzą się moja sympatia i nasza znajomość na polu prywatnym, jeżeli moi ekonomowie odradzą mi tę inwestycję. Uprzedzam także, że potrzebne okaże się zabezpieczenie, bo i pożyczka będzie z pewnością słuszna. Czy hrabia już się zastanawiał, co mogłoby być owym zabezpieczeniem?

– A co pan sugeruje?

– Dla banku najkorzystniejszy byłby zastaw na oszczędnościach hrabiego i jego kontaktach. Oczywiście można także zrobić zastaw na folwarku lub domu. – Schramm bacznie przyglądał się Michałowskiemu.

Hrabia ściągnął czoło. Nie spodziewał się takiego obrotu sprawy. Był jednak człowiekiem

rozsądnym i wiedział, że nikt nie pożyczy mu wymaganej kwoty za dobre słowo i uścisk ręki. Zasada, że uścisk dłoni dżentelmena jest więcej wart niż umowy, podpisy i pieczęcie, już dawno odeszła do lamusa.

– Najlepiej będzie, jeżeli hrabia zajdzie do mnie do banku. Tam spokojnie i przy pomocy wykwalifikowanego personelu ustalimy kredyt skrojony na miarę przedsięwzięcia, jak u najlepszego londyńskiego krawca.

Hrabia pokiwał głową na zgodę, po czym podszedł do ciężkiego rzeźbionego kredensu pamiętającego jeszcze czasy Napoleona i wyciągnął z niego ozdobny humidor słusznych rozmiarów.

Pojemnik, którego wewnątrz wykonano z drewna cedrowego, pokrył się już ciemną patyną.

– Moja małżonka nie przepada za zapachem dymu, dlatego palę cygara tylko w wyjątkowych okazjach. Można przyjąć, że takie wydarzenie jak bal zalicza się do okazji zasługujących, żeby uczcić je prawdziwym kubańskim ligero. – Hrabia otworzył humidor i podał go Schrammowi, zachęcając, żeby ten wyjął jedno z kilkunastu leżących tam cygar. Bankier sięgnął po jedno z cieńszych.

– Zapach ma przedni, bardzo przyjemny – przyznał, przystawiając je do nosa, żeby zaciągnąć się aromatem.

– Całkiem słusznie pan wybrał. To robusto. Można się nim delektować około godziny. Mam tu także prawdziwe rarytasy – presidente, które zapalam tylko w ciepłe dni na tarasie. Nie śmiałybym palić tego w domu przez prawie trzy godziny. – Hrabia odłożył humidor, obracając w palcach cygaro. – Czy wie pan, że na smak wpływa nie długość cygara, jak zapewne sądzi wielu niedoświadczonych palaczy, ale jego grubość? Im cygaro smuklejsze, tym smak jego jest intensywniejszy, ostrzejszy, a to dlatego, że spalają się szybciej. Cygara grubsze palą się wolniej, a przez to są łagodniejsze i bardziej wysublimowane. Smakosze twierdzą, że dobre cygaro powinno w trakcie palenia zmieniać smak i dzieje się tak w rzeczy samej. Presidente potrafi zmienić go nawet trzy razy. Znajomy mój, który z wojaży na Kubę zawsze przywozi mi cygara, opowiadał kiedyś, że spotkał się z cygarem o zmiennej średnicy. Takie sztuki są wyjątkowo poszukiwane i najbardziej cenione. Osiągają zawrotne sumy, ponieważ tylko utalentowani zwijacze opanowują technikę zwijania do tego stopnia.

– Bardzo ciekawe. Słyszałem, że ceny cygar bywają wysokie, nawet bardzo, ale pierwszy raz słyszę, żeby osiągały ceny nieprzeciętne. Jak widać, człowiek uczy się całe życie.

– Zapalmy zatem. Nie próbowałem jeszcze cygar z fabryki Portagas. Podarowano mi je niedawno, lecz jak zapewniał przyjaciel, fabryka ta cieszy się zasłużoną renomą, produkując cygara już pół wieku z niewielkim okładem. – Po tych słowach w dłoniach hrabiego pojawiła się niewielka gilotynka i dwie cedrowe zapałki. – Niech pan nachyli cygaro nad płomień. Nad sam jego czubek, gdzie jest najgorętszy. Ponieważ cygaro jest znacznie grubsze od zwykłego papierosa, wymaga także specjalnej szkoły odpalania. – Bankier podążył za wskazówkami gospodarza. – Musi się zapalić równomiernie. Odpowiednia temperatura sprawi, że dobrze się rozżarzy. Broń Boże, nie wolno dopuścić, aby zaczęło się palić. To byłaby prawdziwa profanacja.

Przez jakiś czas palili w milczeniu, ciesząc się smakiem i zapachem unoszącym się w gabinecie. Schramm zauważył, że podczas tego rytuału Michałowski ani razu nie strzepnął popiołu.

– Swego czasu, kiedy byłem oczywiście znacznie młodszy i bardziej skłonny do zabawy, wziąłem udział w zawodach na najdłuższy popiół utrzymujący się przy cygarze. Nie mogłem się jednak równać z prawdziwymi mistrzami, którzy potrafili postawić cygaro na popiele sięgającym i kilku centymetrów. – Michałowski musiał zauważyć spojrzenia bankiera, dlatego pokusił się o opowiedzenie tej małej anegdotki. Kiedy skończył mówić, skierował cygaro w stronę popielniczki i ukręcił w niej powstały popiół.

Najwyraźniej jednak przyjemność palenia była niepełna, ponieważ hrabia podniósł się ze swojego miejsca, żeby chwilę później postawić na małym stoliczku, przy którym obaj panowie siedzieli, dwie szklanki i karafkę wypełnioną bursztynowym płynem.

– Cygaro bez dobrej whisky to prawie jak Boże Narodzenie bez choinki. – Michałowski uśmiechnął się szeroko na słowa bankiera, nalewając po słusznej porcji.

– Za cukrownię – powiedział Schramm, wznosząc toast.

– Za współpracę – dodał hrabia. Zamoczył usta, smakując alkohol. – I za nasze dzieci – powiedział z tajemniczym uśmiechem.

– Czyżby hrabia zauważył tak jak ja, że najwyraźniej mają się ku sobie?

– Gdyby nie doniesiono mi wcześniej, że syn mój kilka razy, ponoć przez czysty przypadek, spotkał się z pańską córką, musiałbym być bardzo naiwny albo ślepy, żeby dziś nie zauważyć ich czułego spojrzenia i delikatnych gestów, które ową czułość potwierdzają.

– I nie ma hrabia nic przeciwko? – zapytał Schramm, odstawiając prawie pustą szklanę na stoliczek. Cygaro, trzymane w palcach, wciąż jeszcze się dymiło, ale bankier nie pociągał go już od jakiegoś czasu.

– Jeżeli sugeruje pan, że mam obawy z powodu mezaliansu, za który pewnie kiedyś by taki związek uznano, to proszę się nie kłopotać. O mezaliansach może i wciąż się mówi w wyższych kręgach arystokracji, lecz my z żoną, chociaż mamy konserwatywne zapatrywania, w tej materii jesteśmy postępowi. Poza tym może pana córka nie ma tytułu, ale z tego, co wiem, jest dziewczyną, ba, młodą kobietą, nie tylko piękną, więc dla oka przyjemną, lecz także mądrą, pewną siebie i samodzielną, a takie cechy bardzo imponują mojemu synowi. Jeżeli jest nią oczarowany i ma wobec niej poważne zamiary, nie będę mu przeszkadzał. W końcu to jego życie i musi dokonywać własnych wyborów. Jakie one będą i gdzie go zaprowadzą, przekona się sam. Czyż my nie uczyliśmy się na własnych błędach, nawet jeżeli niektóre powzięte zostały z inspiracji naszych rodziców? – Pytanie Michałowskiego zawisło w powietrzu.

Obaj panowie ponownie oddali się smakowaniu cygar i wybornej szkockiej whisky.

## Rozdział 6

Jan Schramm wracał do domu w niewesołym nastroju. Jutro miał się spotkać z Idą Goldbaum, która już jakiś czas temu zapowiedziała się u niego w banku, aby zapoznać się z jego ofertą, o której mieli okazję rozmawiać przez czas jakiś na balu wydanym przez Michałowskich. Czekał na to spotkanie z niecierpliwością. Zasięgnął języka to tu, to tam i z dobrze poinformowanych źródeł dowiedział się, że Ida Goldbaum nie była zwykłą wdową po zwykłym złotniku, która pragnie ulokować na korzystny procent nieco odłożonych z trudem funduszy. Była bowiem wdową majątną, a nawet bajecznie majątną. Jej mąż, znany i ceniony złotnik wiedeński, zajmował się nie tylko wyrobem biżuterii, lecz także, a może przede wszystkim, handlem złotem i obróbką kamieni szlachetnych. Był znacznie starszy od swojej małżonki, a nie miał braci ani sióstr. Małżonkowie nie doczekali się potomstwa, więc cały majątek przypadł ukochanej żonie, bo jak wieść niesła, Dawid Goldbaum był w niej szaleńczo zakochany do końca swoich dni.

Jan miał szczerą nadzieję, że uda mu się przekonać Idę do swoich propozycji i podpisać z nią umowę. Przyciągnięcie do banku klientki związanej z rynkiem złota i kamieni szlachetnych, a na pewno zaznajomionej z innymi jego uczestnikami, którzy w przyszłości mogliby wykazać się chęcią skorzystania z usług Schramma, znacząco wpłynęłoby na prestiż banku.

Tymczasem dziś, przed samym wyjściem, umyślny dostarczył mu list skreślony ręką wdowy Goldbaum, w którym serdecznie przepraszała, że jest zmuszona odwołać spotkanie. Schramm nie przejąłby się taką informacją za bardzo, bo nie pierwszy raz klienci tak czynili, jednakże zawsze proponowali inny termin. Ida Goldbaum zaś nie tylko nie wyznaczyła nowego, ale nawet nie napomknęła, że o takowym myśli, co wielce Jana Schramma zaniepokoiło. Odwołanie jutrzejszego spotkania nie było zatem podyktowane względami natury osobistej. Musiało wydarzyć się coś, co na razie zniechęciło wdowę do rozmowy na temat inwestowania majątku, i Jan Schramm miał nawet w tym względzie pewne podejrzenia.

Dziś bowiem jak grom z jasnego nieba po całym Krakowie rozniosła się wieść, że aresztowano kasjera Banku Krajowego Teodora Wiewiórskiego, który z dworca kolejowego doprowadzony został we wczesnych godzinach rannych na posterunek policji. Okazało się bowiem, że dyrekcja banku już od dłuższego czasu zauważała pewne nieprawidłowości kasowe, tak sprytnie jednak prowadzone, że początkowo niepodobna było ich udowodnić. Dopiero mozolne śledztwo wykazało, że pieniądze zostały sprzeniewierzone, a za czynem tym stoi kasjer w osobie pana Wiewiórskiego, który zdawszy sobie sprawę, że jego działania zostały odkryte, nie przyszedł dziś do pracy. Nie udało mu się jednak uciec z Krakowa z walizką nie swoich pieniędzy, ponieważ policjanci już na niego czekali na peronie.

Jan Schramm przypuszczał, że informacja ta dotarła do uszu Idy Goldbaum, ponieważ obiegła miasto lotem błyskawicy. Podawano sobie ją z ust do ust i chyba przed południem nie było w Krakowie osoby, która nie wiedziałaby o tym zatrzymaniu. Zapewne, jak myślał bankier, Ida Goldbaum zraziła się do banków krakowskich i bojąc się o majątek odziedziczony po mężu, na razie postanowiła się wstrzymać przed jakimikolwiek krokami.

Zdejmując płaszcz i odkładając kapelusz, Jan Schramm pocieszał się, że wydarzenia takie jak to z Wiewiórskim szybko umierają śmiercią naturalną i za parę dni nikt nie będzie przywiązywał do tego większej wagi. Ida Goldbaum uświadomi sobie, że nie może trzymać majątku w skarpecie, a on zamierzał zaferować jej najlepsze warunki. Jeżeli zdecyduje się założyć u niego rachunek oszczędnościowy, zamierzał zaproponować jej aż sześć procent, a dla rachunku bieżącego pięć, co w obu przypadkach dawało o jeden procent więcej, niż oferowała konkurencja.

Chciał ją także przekonać do zainwestowania pieniędzy w przemyśle, a dokładnie w cukrownictwie. Za przykład pomyślnej operacji tego typu chciał podać posunięcie Banku Kupieckiego i jego udział w Galicyjskiej Spółce Akcyjnej Przemysłu Cukrowniczego, w którego następstwie firmy wybudowały cukrownię w Przeworsku. Oczywiście nie zamierzał nakłaniać wdowy do inwestycji w spółki akcyjne, myślał raczej o przedsięwzięciu, jakiego chciał się podjąć hrabia Michałowski, który

przecież sam napomknął, że zapoznanie Frau Goldbaum z jego projektem byłoby wskazane.

Zasiadając do stołu, pomyślał o sobie, że jest doskonałym strategiem. Jedno posunięcie pozwoli mu zadowolić dwie strony oczekujące od swojego bankiera dwóch innych usług. I obie będą zachwycone, kiedy inwestycje zaczną na siebie pracować.

A o tym, że tak się stanie, Jan Schramm był święcie przekonany.

\*\*\*

Czas płynął nieubłaganie, lecz Jan Schramm zdawał się tego nie zauważać. Od kilku tygodni chodził podenerwowany. Tekla nie omieszkała swoim zwyczajem skomentować jego dziwnego zachowania, kiedy jednak nie podjął rzuconej mu rękawicy i nie zaczął się tłumaczyć, żona nie ustawała w wysiłkach, aby się dowiedzieć, co stoi za dziwnym, ba, według niej wręcz niestosownym zachowaniem Jana.

Tymczasem bankier wciąż się głowił, jak zachęcić Idę Goldbaum do ponownego spotkania. Nie mógł prosić ją o to bezpośrednio. Co to, to nie. Klientka od razu zorientowałaby się, jak bardzo mu na niej zależy. Czekał więc, z tygodnia na tydzień niecierpliwiąc się coraz bardziej. I kiedy już stracił wszelką nadzieję, że wdowa po majątnym złotniku zostanie klientką jego banku, otrzymał od niej list z prośbą o wyznaczenie kolejnego terminu spotkania w celu przedyskutowania podjęcia współpracy. Zmiana nastroju z ponurego na radosny nie umknęła uwadze Tekli. Kiedy tylko zapytała go o powód przemiany, porwał ją w ramiona i poinformował o planowanym spotkaniu.

– I dopiero teraz mi o tym mówisz? – Tekla była oburzona. Wsunęła się z objęć męża. Stała kilka kroków od niego i wzięwszy się pod boki, kiwała głową z dezaprobatą. – Jak mogłeś? Doskonale wiesz, że już od balu u hrabiostwa szukam okazji, aby zaprosić Frau Goldbaum do nas na kolację i kiedy takowa się nadarza, ty nie raczysz mnie o tym poinformować. Gdyby nie moja dociekliwość, z pewnością podzieliłbyś się tą wiadomością już dawno po fakcie. – Tekla złapała się za głowę. – Zawsze wszystko na moich barkach. – Z tymi słowami pomaszerowała do kuchni.

I tak spotkanie, które pierwotnie Jan planował odbyć w swoim gabinecie w banku, przeniosło się na grunt prywatny. Tekla jak zwykle przeszła samą siebie. Nie było oczywiście mowy, aby tylko wdowa po złotniku wizytowała ich w tym dniu. Wysłano także zaproszenie do hrabiny i hrabiego Michałowskich, nie pomijając Juliana i Rozalii.

Po wybornej kolacji składającej się z przystawki, zupy oraz dania głównego panowie na jakiś czas oddalili się do gabinetu Jana, aby zapalić cygaro i uraczyć się wysokogatunkową wódeczką. Panie tymczasem rozsiadły się w salonie. Na chwilę zapadła cisza, która powoli stawała się krępująca. Eleonora postanowiła uratować sytuację.

– Chciałabym dowiedzieć się czegoś o Wiedniu. Czy zechce nam pani opowiedzieć o tym fascynującym mieście? – zapytała.

Na te słowa twarz Idy pojaśniała.

– Z prawdziwą przyjemnością. Wiedeń znany jest na przykład ze świątecznych jarmarków. Większość zachwyca się tym bożonarodzeniowym, ale ja pasjami uwielbiam tradycyjny jarmark wielkanocny, który odbywa się przed pałacem Schönbrunn. Z roku na rok przybywa zarówno wystawców, jak i odwiedzających. Obszerne kramy zachęcają kulinarnymi specjałami. Zapach ciast, czekolady, wędzonych wędlin, serów i innych wiktuałów unosi się w powietrzu. Wielkanocne dekoracje są coraz doskonalsze, zmyślniejsze, barwniejsze i piękniejsze. Cieszą oczy nie tylko dzieci, przechadzających się z szeroko otwartymi ustami, lecz i rodziców, mocno trzymających swoje pociechy za ręce.

– Chciałabym kiedyś zobaczyć to na własne oczy.

– Panienska ma przed sobą jeszcze całe życie. Nigdy nie wiadomo, co ono przyniesie i gdzie zaprowadzą ją nogi, a jeżeli już uda się paniencie wizytować Wiedeń, to zapraszam do Cafe Central, mieszczącej się przy Herrengasse 14, którą tradycyjnie w każdą niedzielę odwiedzaliśmy z Dawidem. Uwielbiał to miejsce. – Ida zrobiła krótką przerwę. – W kawiarni zawsze jest mnóstwo gości. Zapewniam, że wypieki są doskonałe, a kawa... Uważam, że nigdzie nie ma takiej kawy jak w Wiedniu.

– Aż mi ślinka cieknie – wtrąciła Stefania.

– W Krakowie też mamy bardzo dobrą cukiernię. Koniecznie proszę zajrzeć do Wielanda. Nie raz i nie dwa byłam świadkiem, jak klienci zachwalają jego wypieki. Szczególnie tort Sachera. Ponoć tak pysznego nie znajdzie się nawet w samym Wiedniu – powiedziała Tekla i poprawiła się na krześle, moszcząc się na nim niczym kura na grzędzie. Nie zdawała sobie nawet sprawy, że przy okazji wypięła lekko pierś do przodu dumna z faktu, że Kraków nie odstaje od austriackiej stolicy, jeżeli chodzi o wypieki.

– A czy wiedzą panie, że pierwszą kawiarnię w Wiedniu podobno otworzył Polak? – zapytała Ida.

– Prosimy, nich nam pani o tym opowie. – Tym razem Eleonora pochyliła się bardziej w stronę wdowy, nie chcąc uronić ani słowa.

– Jak wieść niesie, niejaki Kulczycki, Polak znający doskonale kilka języków, w tym turecki, przybył na początku 1683 roku do Wiednia w celach handlowych. – Ida zrobiła znaczącą przerwę. Dawid zawsze powtarzał, że jest wytrawną bajarką. Jak nikt inny potrafiła snuć opowieści i budować napięcie. Mówiła z taką swadą, że nawet gdyby czytała spis ludności, jej słuchacze byliby oczarowani. Tak jak teraz. Eleonora i Tekla przyglądały się jej wyczekująco, a Stefcia mięła w dłoni chusteczkę. Tymczasem Ida poprawiła się na krześle, upiła łyk kawy, zlustrowała otoczenie, uśmiechając się przy tym uroczo, i dopiero po chwili podjęła przerwany wątek. – I kiedy już miał opuszczać piękny Wiedeń i zostawić za sobą ciemnozielone wody Dunaju, rozpoczęło się oblężenie. A że Kulczycki był nie tylko doskonałym kupcem na usługach Wschodniej Kompanii Handlowej, ale także człowiekiem o walecznym sercu, to ani przez chwilę nie brał pod uwagę, żeby obrońcy miasta, których część rozważała poddanie się Kara Mustafie, naprawdę to zrobili. Wasz rodak wpadł na szalony pomysł, na który początkowo nie chciano się zgodzić, uważając, że nie ma on szansy powodzenia. Burmistrz Wiednia nie wziął jednak pod uwagę siły przekonywania Polaka, który potrafił drażnić temat niczym woda skałę. Wreszcie zdecydowano. – Frau Goldbaum upiła jeden łyk kawy, potem drugi. Powoli sięgnęła do malutkiej, ozdobnej torebki, żeby sprawdzić godzinę.

– Chyba nie zamierza nas pani teraz opuścić? – zachnęła się Tekla, czekając na dalszy ciąg opowieści. – Nie puścimy pani, póki nie skończy swojej opowieści.

– Broń Boże, gdzieżbym śmiała – odpowiedziała Ida, teatralnym gestem zamykając zegarek. – Na czym skończyłam? Aha, już wiem. Tak więc – podjęła – burmistrz w końcu się ugiął. Kulczycki w przebraniu tureckiego żołnierza, nie bojąc się rozpoznania, gdyż nie tylko władał świetnie tureckim, ale także z kulturą przeciwnika obeznany był bez mała jak ze swoją własną, udał się do jego obozu na przespiegi. Tymczasem gruchnęła wieść, że oto nadciąga Lew Lechistanu, król Jan Sobieski. Podniosło się morale walczących i nikt już nie myślał o wywieszeniu białej flagi. Kiedy odsiecz zakończyła się bezsprzecznym sukcesem, Kulczyckiego ogłoszono bohaterem. Otrzymał nie tylko dom w Wiedniu, lecz także spore pieniądze. Dodatkowo król Sobieski pozwolił mu wybrać dowolną zdobycz. Ku ogromnemu zdziwieniu władcy Kulczycki nie poprosił ani o złoto, ani o drogie kamienie, tylko o worki wypełnione dziwnym, ciemnym ziarnem, które brano za paszę dla tureckich wielbłądów, chociaż zapach jego był przyjemny i nie kojarzył się ze zwierzęcym pokarmem. Nagrodom nie było końca. Cesarz Leopold, nie chcąc odstawać od innych, zwolnił Kulczyckiego z podatków przez kolejne dwie dekady i przekazał mu przywilej wykonywania dowolnego zawodu. A że wasz rodak, piękne panie, był nie w ciemną bitą i z kawą spotkał się nie pierwszy raz, otworzył w Wiedniu pierwszą kawiarnię. Początkowo interes nie prosperował za dobrze, żeby nie powiedzieć, że nie wiodło mu się wcale. Kawa bowiem, ciemna, smolista i gorzka, nie przypadła do gustu wiedeńczykom uwielbiającym słodczyce. Dopiero kiedy zaczął ją Kulczycki słodzić miodem i barwić mlekiem na biało, stała się z wolna ulubionym napojem tutejszych mieszkańców. A że Kulczycki rozumiał zasady handlu, paradował w swojej kawiarni w stroju tureckim, aby przyciągnąć więcej odwiedzających, i rozdawał uradowanym gościom wykwintne ciasteczka w kształcie półksiężyca. Ot i tak oto kończy się ta historia – dodała, kłaniając się nisko wsłuchanej i wpatrzonej w nią gromadce.

– Brawo, brawo! – Stefania nagrodziła ją głośnymi brawami. Za jej przykładem poszły także

Eleonora i Tekla.

Rozprawiały jeszcze przez jakiś kwadrans, dopóki panowie nie dołączyli do nich i nie podano deseru. Później Schramm zaprosił Idę do gabinetu, gdzie rozmawiali na osobności o interesach. Rozmowa była konkretna i zakończyła się sukcesem, ponieważ wdowa wysłuchała propozycji Jana z ciekawością, zadała kilka pytań, po czym poprosiła o czas na rozważenie wszystkiego, żegnając się serdecznie.

\*\*\*

Dzięki temu, że Ida wyraziła chęć przystąpienia do zaoferowanego przez Schramma przedsięwzięcia, ten ostatni miał teraz pełne ręce roboty, nie zważając na upływający czas, zmieniające się za oknami pory roku oraz niezadowolenie Tekli, która chociaż przyzwyczajona do ciągłej pracy męża, była oburzona jego coraz późniejszymi powrotami do domu. Tego dnia Jan przygotowywał się do wyjazdu do Zakrzówka, gdzie czekało go całodzienne spotkanie z hrabią Michałowskim i Idą Goldbaum.

– Już wychodzisz? – zapytała Tekla, stojąc w drzwiach sypialni. Było wcześniej, nawet jak na Jana.

– Wyjeżdżam dziś do Zakrzówka.

– Ależ to kawał drogi! – Podniosła głos, czując, jak ogarnia ją znajome uczucie rozdrażnienia. – Tak nieludzko wczesna pora tłumaczyłaby jedynie wyjazd do Warszawy. – Prychnęła w złości, ponieważ wiedziała, że dziś znowu spędzi cały dzień w towarzystwie Stefanii. Eleonora zapewne za chwilę zacznie przygotowywać się do zajęć. Poza tym wspomniała wczoraj przy kolacji, że na dniach zacznie praktyki u św. Łazarza.

– Znowu zostanę sama, bo przecież towarzystwo egzaltowanej panny trudno nazwać rozrywką. Na Eleonorę też nie ma co liczyć. Czy ty w ogóle wiesz, gdzie twoja starsza córka przesiaduje całymi dniami i popołudniami, a czasem i wieczorami? Oczywiście, że nie, i zdaje się, że przestało cię to obchodzić. Kiedy ją o to zapytałam, poinformowała mnie z wyższością, że ustawicznie się przygotowuje do nauki, bo zamierza w przyszłości pielęgnować chorych. Chciałabym w to wierzyć, ale co innego wierzyć, a co innego mieć namacalny dowód. Ktoś powinien to sprawdzić. A tym kimś jesteś ty! – wykrzyknęła, tracąc powoli opanowanie. – W końcu jesteś jej ojcem! Porozmawiaj z nią, zanim będzie za późno i nad naszymi głowami zawiśnie skandal. – Tekla miała się wszelkich sposobów, żeby zatrzymać Jana w domu. Lubiła dramatyzować i w takich chwilach jak ta widać było, skąd się bierze egzaltacja Stefanii. Schramm westchnął cichutko.

– Kochanie. – Podeszedł do żony i mocno ją przytulił, chcąc ją tym udobruchać. Wiedział doskonale, że ostatnimi czasy zaniedbał życie rodzinne, lecz robił to w końcu dla nich. Nie miał jednak czasu, żeby przekonywać o tym żonę. Zresztą znał ją aż za dobrze. Kiedy Tekla była w takim nastroju jak teraz, żadne racjonalne tłumaczenia nie miały znaczenia. – Wiem, że pora wydaje się niestosowna, zważywszy, że udaję się do Zakrzówka, ale wierz mi, że hrabia Michałowski chciał spotkać się jeszcze wcześniej i przesunął godzinę spotkania tylko ze względu na wdowę Goldbaum. Mamy mnóstwo spraw do omówienia i chociaż cała nasza trójka pragnie, żeby cukrownia stała się nie ideą, ale faktem, z pewnością zanim dojdzie do porozumienia, będziemy musieli przedyskutować wiele spraw, które ostatecznie doprowadzą do konsensusu. Spodziewam się zacieklej dyskusji, może nawet sporów. Więc proszę cię o jeszcze trochę wyrozumiałości. Kiedy budowa cukrowni ruszy, nasze życie wróci na dawne tory. Ba, co ja mówię. Będzie zupełnie inne i dużo lepsze. Zapewniam, że wynagrodzę ci każdy z tych samotnie spędzonych dni i wieczorów. – Po tych słowach pocałował ją w czoło i widząc, że na jej twarzy pojawił się nikły uśmiech, ruszył w stronę drzwi. – Nie czekaj na mnie z kolacją – dodał i nie zatrzymując się już ani na chwilę, wyszedł z mieszkania, zostawiając Teklę naburmuszoną i wściekłą na cały świat. Wrócił dobrze po północy. Dom tonął w ciszy, którą przerywało tylko miarowe tykanie zegarów.

Chociaż był zmęczony, zamiast do sypialni, skierował się wprost do gabinetu. Musiał na spokojnie, odrzuciwszy wszelkie targające nim emocje i podekscytowanie, przemyśleć dokonane

postanowienia. Wrócił myślami do niedawno skończonego spotkania.

\*\*\*

– Uważam, że powinniśmy całymi garściami czerpać z praktyki i wiedzy księcia Lubomirskiego, który ma już wieloletnie doświadczenie z prowadzeniem cukrowni. – Hrabia Michałowski rozsiadł się wygodnie w fotelu w swoim gabinecie w Zakrzówku. Uważnie przyglądał się gościom, których powitał zaledwie kilka minut temu. – Państwo wybaczą, że od razu przechodzę do rzeczy, ale nie ma chwili do stracenia, a przypuszczam, że mamy przed sobą nader burzliwy dzień – powiedział po chwili, zachęcając tym samym swoich gości do podjęcia rozmowy.

Pałeczkę podjął Jan, który nie mógł i nie chciał się godzić na propozycję hrabiego. Wzorowanie się na cukrowniach Lubomirskiego nie mogło się udać.

– Hrabia wybaczy, lecz muszę zaoponować. – Bankier pochylił się w stronę Michałowskiego. – Nie możemy przenieść na nasz grunt tego, co Lubomirski stworzył u siebie, chociażby w Przeworsku. – Jan podniósł rękę, prosząc, aby mu nie przerywano. – Z całym szacunkiem dla pańskiego projektu i dla naszych finansów, ale daleko nam do możliwości Lubomirskiego. Nie potrzebujemy rady nadzorczej, a tym bardziej walnego zgromadzenia udziałowców. Możliwe, że taka potrzeba pojawi się w przyszłości. Na razie wystarczy powołać zarząd, który naturalną kolejną rzeczą będziemy tworzyć sami.

Michałowski próbował jeszcze oponować, widząc jednak, że propozycja Schramma zyskała aprobatę Goldbaumowej, dał w końcu za wygraną.

Była to tylko pierwsza z wielu bitew, którą tego dnia, a później wieczoru, przyszło im stoczyć. Po długich słownych przepychankach spisali jednak statut cukrowni, w czym pomógł im syn hrabiego Julian. Ustalono, że zarząd otrzyma dwadzieścia pięć procent tantiemy z czystego zysku przedsiębiorstwa. Późnym wieczorem, zanim wspólnicy wreszcie mogli się rozejść do domów, poproszono Juliana, aby odczytał przygotowany tekst, dając tym samym zebranej trójce ostatnią możliwość naniesienia zmian.

– Tantiema będzie dzielona według następującej zasady: Aleksander hrabia Michałowski osiem procent, Jan Schramm oraz Ida Goldbaum po sześć procent, pozostałe zaś pięć procent pozostaje do dyspozycji powołanego w najbliższym czasie dyrektora technicznego. W pierwszym okresie działalności funkcję rady nadzorczej nad zarządem będzie sprawowała kancelaria prawna Edmunda Szalita, reprezentowana przez Juliana Michałowskiego, na której współpracę z zarządem wyrażają zgodę wszyscy jego członkowie. Prezesem rady nadzorczej mianuje się Edmunda Szalita. Za główne zadanie rady przyjmuje się nadzór nad powstawaniem przedsięwzięcia, a później w trakcie jego działalności nad całością, czyli produkcją, handlem i finansami. Rada nadzorcza będzie wykonywała swoje zadania do chwili, kiedy zarząd nie postanowi powołać nowego organu z trzymiesięcznym okresem przejściowym, dającym możliwość przekazania nowej radzie wszystkich spraw. W początkowym okresie pracy cukrowni posiedzenia zarządu oraz rady nadzorczej będą się odbywały raz na kwartał, w okresie późniejszym spotkania planuje się raz na rok – we wrześniu lub październiku. Zakłada się możliwość zmiany spółki cukrowniczej, pozostającej w rękach trzech prywatnych inwestorów, w towarzystwo, które składać się będzie z członków rodzin ziemiańskich z pobliskich terenów. Uzyskane w ten sposób środki zostaną przeznaczone na rozwój cukrowni i zwiększenie jej możliwości produkcyjnych przy założeniu, że początkowy kontyngent na rynek wewnętrzny wyniesie około dwudziestu pięciu tysięcy kwintali cukru białego.

Po odczytaniu wszystkich dokumentów swoje podpisy złożyli kolejno hrabia Michałowski, Jan Schramm oraz Ida Goldbaum. Na zakończenie burzliwego, ale owocnego spotkania wzniesiono toast lampką francuskiego szampana.

\*\*\*

Jan odetchnął z ulgą. Z zamyślenia wyrwały go czyjeś kroki. Po chwili w drzwiach gabinetu stanęła Tekla. Spodziewał się bury za tak późny powrót, lecz żona podeszła do niego bez słowa i delikatnie pogłaskała go po głowie, jakby był małym, niesfornym dzieckiem, po czym życząc



mu dobrej nocy, udała się na spoczynek.

– Świat się kończy – skwitował Jan dziwne zachowanie żony. Kilka minut później, nie zastanawiając się głębiej nad powodem zmiany w zachowaniu swojej połowicy, podniósł się ciężko z fotela i ruszył w ślad za Teklą.

\*\*\*

Słońce powoli kryło się za domami, oblekając się w strużki siwego dymu, które leniwie wzbijały się z kominów. Ciepły wrześnieowy dzień ustępował miejsca chłodnemu wieczorowi. Eleonora siedziała z matką w salonie, delektując się mocną, świeżo zaparzoną herbatą. Tekla Schramm z pasją oddawała się stawianiu tarota. Ojciec wciąż był w banku, a Stefania, skarżąc się na ból głowy, poszła się położyć. Starsza córka Schrammów czytała jedną z książek, które pożyczyła z biblioteki wuja, kiedy dzwonek do drzwi zakłócił błogą ciszę przerywaną jedynie szelestem obracanych kartek i westchnieniami matki, kiedy wróżba z krzyża celtyckiego nie wychodziła po jej myśli. Po chwili do salonu wkroczył Szymon.

– List do panienki – zwrócił się do Eleonory, podając jej kopertę.

Eleonora zerknęła na adres nadawcy. Spokojne do tej pory serce zaczęło bić jak oszalałe. Na policzki wystąpiły delikatne rumieńce. Drżącymi palcami rozerwała kopertę i wyciągnęła pojedynczą kartkę skreśloną nienagannym, prawie kaligraficznym pismem. Czytała powoli, ale z każdym kolejnym akapitem czuła się coraz bardziej przygnębiona i zrezygnowana.

– Czy coś się stało? – Tekla Schramm uniosła głowę znad kart. Przestraszyła ją błądź córki.

– Nic takiego, mamó. – Eleonora starała się zachowywać naturalnie, lecz głos załamał jej się niebezpiecznie. Nie była już w stanie powstrzymać łez, które zalały jej policzki. – Odrzucili moją kandydaturę. Odrzucili mnie, rozumie mama?

Po tych słowach porzuciła list na kanapę i pobiegła do pokoju, chcąc zakopać się w pościeli i schować przed całym światem. Wydawało jej się, że matka już zaczęła komentować całą sytuację, ale nie zamierzała wysłuchiwać jej tyrady. Na samą myśl o tryumfującej minie Tekli Schramm robiło jej się niedobrze.

Przez kilka dni odmawiała wychodzenia z pokoju. I pewnie siedziałaby tam dalej, gdyby nie usłyszała słów matki, która plotkowała na jej temat z jedną ze swoich towarzyszek od stawiania kart i wróżenia.

– Od razu wiedziałam, że cała ta sprawa z nauką zawodu to banialuki. Czasami się zastanawiam, dlaczego ja zawsze muszę mieć rację?

Komentarz Tekli postawił Eleonorę na nogi. Jeszcze tego samego dnia wyszła na spotkanie do wujostwa. Tylko tam mogła liczyć na zrozumienie i konstruktywną poradę.

– Usiądź, dziecko. – Ciotka Leokadia patrzyła na smutną twarz Eleonory, czując ból w sercu. Miała szczerą nadzieję, że siostrzenica jej męża bez problemu zostanie przyjęta do szkoły pielęgniarek. Nawet przez chwilę w to nie wątpiła. Kiedy więc Eleonora pojawiła się na progu ich mieszkania z drżącym podbródkiem, starając się z całych sił powstrzymać łzy, pomyślała, że niechybnie coś złego stało się w domu Schrammów. Dziewczyna szybko rozwiała obawy Leokadii, zalewając się łzami podczas tłumaczenia powodów, dla których zjawiła się nieoczekiwanie wieczorową porą. – Nic się nie martw. W końcu Władysław może wstawić się w twojej sprawie.

– Ależ, ciociu, za nic w świecie – zachnęła się Eleonora. – To byłoby upokarzające. Albo dostanę się do szkoły sama, albo wcale nie będę się tam uczyć.

– Co zatem zamierzasz? – włączył się do rozmowy profesor Bobrzyński.

– Chciałam wuja prosić o pomoc w znalezieniu pracy. Najlepiej w szpitalu. Poczekam rok na nowy nabór. Nie zamierzam jednak trwonić czasu. Zamiast tego zdobędę doświadczenie, które z wiedzą, jaką już zdążyłam przyswoić i jaką jeszcze zdobędę, da mi przewagę nad innymi kandydatkami. Wobec tego nikt nie może pozostać obojętnym.

Władysław obiecał, że popyta wśród znajomych lekarzy, czy byłaby możliwość przyjęcia młodej, niedoświadczonej, lecz chętnej do nauki dziewczyny w szpitalu. I kiedy Eleonora powoli traciła nadzieję, że znajdzie się dla niej odpowiednie miejsce, przyszła dobra wiadomość od Bobrzyńskiego.

\*\*\*

A teraz na samą myśl, że jednak nie podołała, Eleonora czerwieniła się sama przed sobą. Wystarczyły niespełna dwa tygodnie. Zaledwie dwanaście dni, żeby zrozumiała, że nie podoła. Nie miała siły wracać do szpitala na oddział psychiatryczny. Wydawało jej się, że postarzała się o kilka dobrych lat. Nie popadła w melancholię tylko dzięki pewnej młodej dziewczynie, z którą połączyła ją nie porozumienia już drugiego dnia pracy. Alina Czajka, pracująca na oddziale od dwóch lat, przyciągnęła ją pod swoje skrzydła. Starła się, żeby Eleonora pracowała razem z nią. Tłumaczyła, uczyła, pokazywała, dodawała otuchy, poklepywała po ramieniu, wyganiała na krótkie przerwy, przypominała o jedzeniu i zabierała do siebie po skończonym dyżurze na dłuższe i krótsze szczerze rozmowy, którym często towarzyszył absynt, dający wytchnienie i pozwalający zapomnieć o tragicznym losie pacjentów.

– Dobrze się zastanów, Norciu – mówił Władysław, kiedy przekazywał siostrzenicy informację, gdzie miałyby pomagać. – To nie jest praca dla delikatnych, młodych i niedoświadczonych dziewcząt, ale ponieważ personel jest tam niezmiernie potrzebny, ordynator zgodził się przyjąć cię do pracy.

– Jestem wujkowi bardzo wdzięczna. Nie jestem aż tak naiwna, aby spodziewać się pracy lekkiej i przyjemnej. Jednakże mam zamiar podjąć tę, którą udało się wujkowi dla mnie zdobyć.

Na samą myśl, że zrezygnowała, było jej wstyd, a kiedy jeszcze przypominała sobie słowa zapewnienia, że nic jej nie zniechęci, czuła, że policzki palą ją żywym ogniem, tak mocno się czerwieniła. Nie miała nawet odwagi pójść do wujostwa i przyznać się, że nie zdierży już ani jednego dnia dłużej na oddziale. Niemniej była to Bobrzyńskiemu winna.

– Nie musisz niczego tłumaczyć. – Profesor był jak zwykle wyrozumiały. – Norciu, kochanie, i tak jestem z ciebie dumny. Przepracowałaś tam prawie dwa tygodnie.

– A jednak wstyd mi, że tak szybko się poddałam. Czuję się jak tchórz. Ale niech mi wujek i ciocia wierzą, że moje nerwy nie wytrzymałyby tego dłużej. – Na chwilę zrobiła przerwę. Potem zaczęła opowiadać, a słowa płynęły z jej ust niczym rwący potok. – Pewnie poszłabym tam jeszcze kilka razy, gdyby nie wydarzenia z ostatniej soboty. Czy wujek może sobie wyobrazić, że najbliższa rodzina wstydzi się chorego? Pielęgniarki wspominały, że najczęściej tak jest, co zresztą potwierdzało się w czasie odwiedzin, kiedy przychodziły raptem dwie, trzy osoby. Nie przypuszczałam jednak, że ten absurdalny wstyd może prowadzić do tragedii gorszych niż sama choroba. W sobotę, kiedy już kończyłam, matka z ojcem, w wieku wujka i cioci, siłą przyciągnęli na oddział syna. Nic by nie było w tym dziwnego, gdyby nie stan tego chłopaka. Był tak chudy, że jego skóra wyglądała jak przezroczysta. Za duże ubrania były brudne, cuchnące, chyba ubrudzone fekaliami i dziurawe. I chociaż nie stałam za blisko, to widziałam wyraźnie, że w jego skołtunionych włosach łązi robactwo. Okazało się, że ci ludzie przez lata trzymali swoje własne dziecko w komórce. Odcięte od świata. Od ludzi. Głodzone, skazane na samotność. Miałam nadzieję, że w szpitalu wreszcie zazna nieco ciepła i dobroci, ale bardzo się myliłam. Kiedy tylko jego opiekunowie odeszli, chłopak wpadł w szał. Płakał, szamotał się, bił głową o ścianę. To wszystko zapewne ze strachu. Czekałam, aż ktoś go uspokoi, przemówi do niego łagodnie, lecz zamiast tego sanitariusze zaciągnęli go do łazienki i siłą wsadzili do wanny z ciepłą wodą. Myliłby się jednak ten, kto myślałby, że zrobiono to, aby zmyć z niego brud i pozbyć się robactwa. Jedna z pielęgniarek powiedziała mi, że oni w ten sposób uspokajają nadpobudliwych, agresywnych pacjentów. Godzinami przetrzymują ich w wodzie. Kiedy zaczyna robić się zimna, dolewają ciepłej i siłą trzymają pacjenta w wannie. Jeżeli jednak i to nie pomaga, owijają go w mokre, nasączone solą prześcieradła i kładą na łóżku niczym mumię do sarkofagu. To straszne. To uwłacza człowiekowi. Nie mogłam na to patrzeć. Nie mogłam już dłużej słuchać tych krzyków, jęków i prośb o powrót do domu. Nawet jeżeli ten dom był tylko obskurną, zatęchłą komórką.

W salonie Bobrzyńskich zapadła głucha cisza. Tego wieczoru Eleonora zdecydowała, że przyjmie propozycję matki i zacznie bywać w towarzystwie, bo najwyraźniej praca i nauka nie były jej pisane.

\*\*\*

– Jak ja nienawidzę zimy – utyskiwała Stefania. – Nie dość, że za chwilę mróz stanie się jeszcze większy, to znowu spadnie śnieg, który tylko przez chwilę będzie cieszyć oczy bielą, a potem zmieni się w burą breję rozjeżdżaną przez dorożki i automobile. Znowu nie będzie można doprać sukien, a od popiołu, który gospodarze domów tak chętnie sypią na ulice, zniszczą mi się trzewiki.

Tymczasem Eleonora miała odmienne zdanie na ten temat. W tym roku mroźno zrobiło się już pod koniec listopada, a kilka dni temu, kiedy mróz nieco zelżał, w nocy spadł pierwszy śnieg, przykrywając obficie krakowskie dachy.

– Mam wrażenie, jakby kamienice nagle zmieniły się w słodkie, apetyczne pierniczki ozdobione grubym białym lukrem. – Eleonora podziwiała świat z okna ich wspólnej sypialni, chcąc przekonać siostrę, że miasto wygląda baśniowo. – Wiem, że nie znosisz zimna, ale może wybierzesz się jutro ze mną na biały plener? – Dziewczyna zerknęła na Stefanię, która o dziwo zgodziła się wyjść razem z nią.

Od wielu lat każdego roku na krakowskich placach powstawały naturalne ślizgawki, które mieszkańcy nazywali białym plenerem. Z czasem stały się one nie tylko miejscem zabaw i odpoczynku, lecz także spotkań towarzyskich, przyciągających coraz więcej ludzi. Tego roku można było poślizgać się w kilkunastu miejscach. Na stawie Zwierzynieckim, w ogrodzie Macewiczów przy Łobzowskiej, w ogrodzie Potockich na Olszy, na Karmelickiej naprzeciwko zakładu dla osieroconych chłopców albo przy Dworku Łowczego na Kościuszki, które to lodowisko wybrała Eleonora.

– Musiałś wybrać akurat to? – Stefania wlokła się za starszą siostrą. Zaraz po wyjściu z domu pożałowała, że zdecydowała się na ten wypad. Dzień był wyjątkowo mroźny i na dodatek zaczął padać śnieg.

– Oj, Stefcu, czy chociaż raz mogłabyś się cieszyć, zamiast wiecznie marudzić? A skoro okazywanie prawdziwej radości jest ponad twoje siły, to zrób to dla mnie w imię siostrzanej miłości i postaraj się choć trochę poudawać. – Eleonora przystanęła, czekając, aż siostra zrówna z nią krok. Stefania uśmiechnęła się sztucznie, ale nie powiedziała już nic więcej. – Wybrałam akurat Dworek, ponieważ poleciał mi go dobry znajomy, którego spotkałam przy okazji wizyty u wujka Władysława. Dzięki niemu wiem, że lodowisko jest pięknie oświetlone i jakby tego było mało, łyżwiarzom i innym wizytującym przygrywa mała, pięcioosobowa orkiestra. Mówię ci, Stefcu, zakochasz się w tym miejscu. Kiedy zapadnie zmrok, poczujesz się tam jak w bajce.

Resztę drogi przebyły w milczeniu. Kiedy wreszcie dotarły na miejsce, twarze miały zaróżowione od szybkiego, rozgrzewającego marszu i od mrozu. Na ślizgawce zebrało się już spore towarzystwo. Ustawione wokół lodowiska ławki, na których ułożono grube derki, były wypełnione rozmawiającymi.

– Mam nadzieję, że nie zrobisz tej swojej miny i nie wypalisz: „A nie mówiłam”, ale muszę przyznać ci rację. Tu jest pięknie. – Stefania nie miała ochoty przyznawać się przed Eleonorą, jak bardzo spodobało jej się to miejsce, lecz widząc rozanieloną twarz starszej siostry, z radością podzieliła się z nią swoimi emocjami i spostrzeżeniami.

– Spójrz, te lampiony są przepiękne. Kiedy byłam tu ostatnio, jeszcze ich nie było.

– Lepiej odwróć się i zerknij tam, tuż obok bufetu, który, jak głosi napis, jest ogrzewany, są nie tylko damskie garderoby, ale i karuzela precudnej urody. Raz jeden widziałam taką na zdjęciu w gazecie, której prenumeratę prowadzi ciotka Leokadia. Zdaje się, że napis pod tamtym zdjęciem mówił, że było to w Paryżu, tuż obok wieży Eiffla.

– A więc po co nam jeździć do Francji, kiedy pod nosem mamy takie atrakcje? – Roześmiała się Eleonora i pociągnęła Stefanię w stronę wypożyczalni łyżew.

Jeździły tak długo, aż zabrakło im tchu. Wówczas robiły krótką przerwę, siadając na ławce. Napiły się ciepłej herbaty, a na zakończenie pokusiły się o przejażdżkę karuzelą.

– Dziękuję, że mnie zabrałaś – powiedziała Stefania w drodze powrotnej do domu. – Dobrze, że wzięłyśmy dorożkę. Nie czuję nóg, ale już dawno nie bawiłam się tak dobrze. Zwłaszcza zimą.

– Jak widać, w dobrym towarzystwie przy dziarskiej muzyce nawet zimą można zaznać prawdziwej przyjemności na wolnym powietrzu.

\*\*\*

Nie był to jedyny raz, kiedy siostry odwiedziły lodowisko i jeździły na łyżwach do późnych godzin wieczornych, pysznie się bawiąc. Właśnie tam niedługo przed świętami Bożego Narodzenia Julian odnalazł Eleonorę, z którą z powodu nawału pracy nie widział się od dłuższego czasu.

Począł, aż panny zejść z lodowej tafli. Miał nadzieję, że Eleonora nie będzie się na niego dąsać, ale wystarczyło jedno spojrzenie w jej chmurne oczy, żeby stracić wszelką nadzieję. Zanim przeszedł do sedna sprawy, z jaką tu przyszedł, przeprosił ją, żałując swojego zachowania na balu, kiedy tak nagle zniknął jej z oczu.

– Już dobrze, przyjmuję przeprosiny, tylko nie patrz na mnie takim zbolałym wzrokiem. – Wreszcie w jej oczach zaczęły pojawiać się znajome radosne chochliki. – Jak mnie znalazłeś? – zapytała po chwili.

– Szukałem cię w szpitalu, lecz kiedy powiedziano mi, że już tam nie przychodzisz, zajrzałem do profesora Bobrzyńskiego. Nie mogłem uwierzyć, kiedy powiedział mi, że zrezygnowałaś nie tylko z pracy, ale także z chęci podjęcia nauki.

– A więc uwierz. Próbowałam. Sam wiesz. Naiwnie wierzyłam, że wystarczy wiedza i szczere chęci, żeby zostać przyjętym. I wierzyłam w to do niedawna, czas jednak spojrzeć prawdzie w oczy. Tu nie chodzi o wiedzę, o pragnienie niesienia pomocy, o chęć spełnienia misji, jaką jest praca pielęgniarki. Julianie, tu chodzi o znajomości. O koneksje.

– Wiem, że to trochę nie w porządku, ale dlaczego miałabyś nie skorzystać z propozycji wuja. W końcu sama mówiłaś, że zaoferował, iż porozmawia z Marią Epstein. Nie będzie nic złego w tym, jeżeli zostaniesz przyjęta do szkoły z polecenia, ponieważ pragniesz zostać pielęgniarką. I zasługujesz na to jak nikt inny.

– To nepotyzm. – Eleonora spojrzała na Juliana, który zauważył, że w jej oczach nie było już takiego gniewu i uporu, jaki widział jeszcze chwilę temu.

– Niech więc będzie nepotyzm. Może choć raz zostanie wykorzystany dla właściwej osoby i w słusznej sprawie.

Tamtego dnia nie rozmawiali już więcej o planach Eleonory. Bawili się doskonale we własnym towarzystwie, jeżdżąc na łyżwach i popijając gorącą czekoladę, którą szczególnie upodobała sobie Stefania.

\*\*\*

Eleonora ponownie spotkała Juliana zaraz po świętach, kiedy ten przyszedł do domu Schrammów złożyć noworoczne życzenia i zaprosić ją na spacer.

– Dziękuję ci za tamte ostre słowa. – Przechadzali się Plantami wśród innych spacerujących par. Tekla była dziś w tak wyjątkowo pogodnym nastroju, że zgodziła się na wyjście Eleonory tylko w towarzystwie Juliana. – Gdyby nie ty, Julianie, pewnie wciąż dawałabym się matce ciągnąć z jednego przyjęcia na drugie.

– Na nic zdałaby się moja perswazja, gdybyś nie miała ochoty jej słuchać. – Julian mocniej przycisnął jej dłoń do siebie, dając tym samym do zrozumienia, że wierzył w nią od samego początku. – Wiem, że nic cię nie powstrzyma i prędzej czy później zrealizujesz swoje plany.

Julian miał rację. Eleonora wzięła się w garść i chociaż gardziła sobą za tę słabość, już następnego dnia udała się do wujka Władysława.

– Gdybym nie musiała, za żadne skarby świata nie prosiłabym cię o przysługę. – Bobrzyński słuchał Eleonory z uwagą. – Nie rozumiem postępowania kapituły szkoły, bo najwyraźniej wolą przyjmować panny z polecenia niż te, które oprócz protekcji mogą pochwalić się jeszcze wiedzą. Brzydzi mnie nepotyzm, ale skoro nie można sprawy załatwić inaczej, postanowiłam i ja z niego skorzystać. Dlatego jestem tu dziś i proszę wuja o wstawiennictwo, które już wcześniej mi wuj oferował.

Bobrzyński obiecał porozmawiać z Marią Epstein i wstawić się za siostrzenicą.

– Jestem gotowa poczekać do następnego poboru – powiedziała Eleonora, licząc się

z możliwością porażki. – Obiecałam sobie, że skończę tę szkołę, i chcę dotrzymać słowa. W czasie kiedy przyjdzie mi czekać na rozpoczęcie nauki, zamierzam skończyć z balami i zacząć pracować. Już nawet znalazłam miejsce. Przyjmą mnie na opiekunkę pewnej starszej pani. Mam nadzieję, że będzie mi to zaliczone na plus przy staraniach o przyjęcie do szkoły.

Tekla Schramm nie była zachwycona decyzją córki. Nie omieszkała powiedzieć na ten temat kilku gorzkich słów. Wspomniała nawet o ewentualnym ponownym rozczarowaniu, lecz Eleonora okazała się nieugięta. Opieka nad starszą przemiłą panią, która w latach młodości towarzyszyła w wielu zagranicznych podróżach swojemu mężowi dyplomacie, była dla niej czystą przyjemnością. Eleonora tak się zżyła ze swoją podopieczną, która raczyła ją cudownymi opowieściami o swoich zagranicznych wjazdach, że nawet kiedy się dowiedziała, że przyjęto ją do szkoły, chociaż semestr już się rozpoczął, nie zrezygnowała z pracy.

– Jeżeli się pospieszysz, możesz zabrać się ze mną. – Słowa ojca przywróciły Eleonorę do rzeczywistości. Schramm jak co dzień rano stał przed lustrem w przedpokoju, oceniając schludność swojego wyglądu. W dłoni trzymał przygotowane wcześniej skórzane rękawiczki i kapelusz. Zerknął na Eleonorę, która tak jak on szykowała się do wyjścia.

– Dziękuję, ale chciałabym się przejść. Mam zamiar wstąpić po drodze do Wielanda.

– Jak uważasz. – Schramm rzucił jeszcze ostatnie spojrzenie, a potem już w drzwiach odwrócił się, żeby pożegnać się z rodziną. – Wrócę jak zawsze pod wieczór. Mam dziś jeszcze spotkanie z Idą Goldbaum. Do widzenia. A tobie, córeczko – zwrócił się do wkładającej płaszcz Eleonory – powodzenia w pierwszym dniu nauki.

Chwilę później z matką i wciąż zaspaną Stefanią pożegnała się także Eleonora. Chwyciła teczkę, którą kilka dni wcześniej kupiły z matką podczas wizyty u Ziembickiego na placu Mariackim. Do torby zapakowała zeszyty i przybory do pisania. A wszystko nowe i pachnące świeżością.

Była szczęśliwa, że wreszcie nadszedł dzień, w którym będzie mogła rozpocząć naukę, chociaż radość przysłaniał jej nieco fakt, że musiała się uciekać do koligacji z wujem Władysławem, aby zasiąść w szkolnej ławie.

Przełożyła teczkę do drugiej ręki i zmarzniętą dłoń schowała do kieszeni płaszcza, w której znalazła kilka drobnych. Wzdrygnęła się z zimna i przyspieszyła kroku, chcąc się nieco rozgrzać. Zaczęła właśnie żałować, że odrzuciła propozycję ojca, kiedy usłyszała dźwięk dzwonka nadjeżdżającego tramwaju, który zmierzał do przystanku tuż przy Bramie Floriańskiej. Postanowiła skorzystać i podjechać trzy stacje. Pomyślała, że wysiądzie na Kleparzu, i już sama myśl, że choć na chwilę schroni się przed silnym, mroźnym wiatrem, dodała jej otuchy.

– Na Kleparz – powiedziała, podchodząc do konduktora.

– Pierwsza czy druga klasa?

– Druga.

– Osiem centów się należy.

Trzymając bilet w dłoni, Eleonora przeszła do wyznaczonej części. Mimo tak wczesnej pory w tramwaju było sporo ludzi. Większość tak jak ona zmierzała na Kleparz, na targ. Stanęła przy oknie, spoglądając na mijaną Bramę. Najwyraźniej coś w spojrzeniu Eleonory i westchnieniu sprawiło, że stojąca tuż obok starowinka postanowiła zagaić rozmowę.

– Jakie to szczęście, że udało się Bramę uratować, nieprawdaż? – Eleonora skierowała wzrok w stronę mówiącej kobiety. Na twarzy starszej pani malował się ciepły uśmiech. Twarz miała pomarszczoną tak samo jak ręce, w których trzymała duży wiklinowy kosz. Jej plecy przygarbiły się nieco pod naporem czasu i lat, ale w oczach wciąż widać było blask.

– Tak, to prawda. Mój wuj mówił mi, że to nie pierwszy raz, kiedy zamierzano się na nią.

– Wuj panienki ma rację. Byłam wtedy dużo młodsza i pamiętam doskonale, jak książe Czartoryski stawał w jej obronie. Podobno kiedy nie pomogły prośby, powoływanie się na historię, że Brama powinna zostać, postanowił otworzyć w niej rodową kaplicę. Ile tu było ludzi, gdy kardynał Dunajewski prowadził jej konsekrację. Na samo wspomnienie łza się w oku kręci. I niech panienka patrzy, po zaledwie kilku dekadach znowu chcieli się jej pozbyć. Z powodu tramwaju. Och, jakich

czasów przyszło dożyć człowiekowi. – Z tymi słowami staruszka przepchnęła się do wyjścia. Chwilę później tramwaj zatrzymał się w pobliżu Rynku Kleparskiego. Eleonora wysiadła z tłumem innych ludzi i szybko ruszyła w stronę Krzywej. Wreszcie stanęła na ulicy św. Filipa 15 przed parterowym, murowanym budynkiem, który należał kiedyś do siostr szarytek. Nad wejściem widniał napis „Szkola Zawodowa Pielęgniarek Stowarzyszenia Pań Ekonomek św. Wincentego a Paulo”.

W sali, do której skierowano Eleonorę, w dwóch pierwszych rzędach siedziało już kilka panien pogrążonych w cichej rozmowie. Rozpoznała Marię Epstein i Annę Rydlównę, siostrę Lucjana, którego raz jeden miała okazję widzieć w domu wuja Władysława. Sala wypełniała się w okamgnieniu. Dziewczęta zajmowały swoje miejsca, najwyraźniej siadały na nich od początku roku szkolnego. Eleonora poczuła się nieswojo. Zauważyła, że uczennice zerkają na nią z ciekawością. Najwyraźniej musiała mieć nietęgą minę, ponieważ jedna z siedzących w pierwszym rzędzie panien uśmiechnęła się do Schrammówny zachęcająco, wskazując jej miejsce obok siebie. Eleonora usiadła tam akurat w momencie, kiedy do sali weszła niewysoka kobieta w towarzystwie starszego mężczyzny. Najwidoczniej wszystkie uczennice były już na miejscu. Eleonora naliczyła dwadzieścia kursantek.

– Nazywam się Ambroży Kołodziejski i będę miał przyjemność prowadzić wykłady z higieny w zastępstwie waszego dotychczasowego wykładowcy. Dodam, że jakiś czas temu uzyskałem tytuł doktora wszech nauk lekarskich, a po swoim niedawnym powrocie z praktyk w Paryżu obejmuję stanowisko asystenta w Zakładzie Higieny. – Eleonora słuchała z zainteresowaniem. Doktor Kołodziejski zrobił przerwę, rozglądając się po sali. – Niemniej jednak dzisiaj pragnę oddać głos naszemu gościowi, Zofii Szlankierównie, która etos niesienia pomocy wyniosła z domu rodzinnego. Przez pewien czas pobierała nauki na wydziale lekarskim w Genewie. Później wiedzę i umiejętności pogłębiała w Szkole Pielęgniarstwa Florence Nightingale w Londynie. Proszę więc słuchać jej uważnie. – Po tych słowach Ambroży Kołodziejski ustąpił miejsca drobnej brunetce, która nieśmiało uśmiechnęła się do zebranych kobiet wpatrujących się w nią wyczekująco.

– Praca pielęgniarki jest ciężka, ale przynosi satysfakcję, jakiej próżno szukać gdzie indziej. Uśmiech, który rozpromienia twarz chorego na nasz widok, jest bezcenny i potrafi przynieść ukojenie nawet w najtrudniejszych chwilach. Bycie pielęgniarką wymaga dobra, które jest niczym drogowskaz i intuicyjnie pokazuje, jak traktować pacjentów, bo do każdego należy podchodzić indywidualnie. Na co dzień nie zdajemy sobie z tego sprawy, lecz każdy człowiek jest małym światem. Mamy inne potrzeby, pragnienia, marzenia, upodobania, przyzwyczajenia, które wynosimy z domu, ze środowiska, w którym wzrastamy i z którym się utożsamiamy. Nie wolno wam wywyższać jednych ponad drugich, chociażby ze względu na środowisko, z jakiego pacjenci pochodzą. Możecie wyróżnić tylko jeden rodzaj chorych i jedynie wówczas wasze zachowanie zostanie usprawiedliwione. To ciężko chorzy i umierający. – Zofia zamilkła na chwilę, dając zebranych czas na przyswojenie wypowiedzianych przed chwilą słów. – Podobnie jak lekarzy, tak i nas, pielęgniarki, obowiązuje tajemnica zawodowa. W czasie pracy będziecie z pacjentami rozmawiać nie tylko o ich chorobach, o tym, jak bardzo cierpią i co im najbardziej doskwiera. Pacjenci lubią się zwierzać. Czasami czując, że nadchodzi ich koniec, powierzają nam tajemnice, z którymi zmagali się całe życie. To swoista spowiedź, a my na krótko przejmujemy jakby obowiązki księdza. Powierzone wam opowieści i tajemnice nigdy nie mogą wydostać się dalej, ponieważ mogą wyrządzić krzywdę zarówno choremu, jak i jego rodzinie. Będziecie przywiązywać się do pacjentów, a oni do was. Będą wam wdzięczni. Ich rodziny za opiekę, jaką im zagwarantujecie, będą chciały was wynagrodzić. Tylko od waszego sumienia i waszej moralności zależy, czy przyjmować będziecie prezenty za coś, co jest waszą powinnością, a nie uprzejmością. – Zofia mówiła jeszcze długo. Eleonora starała się zapisywać co ważniejsze informacje. Chłoneła każde słowo niczym gąbka wodę. Na jej twarzy pojawiły się rumieńce, a serce przyspieszyło jak podczas biegu. – Na zakończenie dodam, że my, pielęgniarki, nie możemy i nie powinniśmy wyręczać lekarzy, chociaż zdarzą się wam i takie sytuacje, że lekarze będą tego od was oczekiwać. Naszą powinnością jest współpraca. Współpraca – powtórzyła, cyzelując każde słowo. – Nie podważamy kompetencji ani umiejętności lekarza, nie konkurujemy tam, gdzie nasze zadania się zająbiają. Wykonujemy polecenia. I zawsze pozostajemy lojalne. Wobec siebie, koleżanek, lekarzy, a przede wszystkim wobec pacjentów. – Zofia lekko skinęła

głową, dziękując za wysłuchanie. Kiedy schodziła z podwyższenia, jedna z dziewcząt zaczęła bić brawo. Po chwili do jej nieśmiały oklasków dołączyły kolejne i w końcu w sali rozległa się burza oklasków.

Na dworze zrobiło się już prawie zupełnie ciemno, kiedy Eleonora zmęczona, ale szczęśliwa i podekscytowana wyszła z innymi dziewczętami z gmachu szkoły. Przez chwilę stały jeszcze w niewielkich grupkach, dzieląc się wrażeniami, aż w końcu zaczęły się powoli żegnać i rozchodzić każda w swoim kierunku. Eleonora ruszyła w stronę Rynku Kleparskiego, gdzie zamierzała poczekać na tramwaj. Nie miała ochoty na przechadzkę. Była na to zbyt zmęczona fizycznie i psychicznie. Nadmiar wrażeń zabrał jej dziś całą energię. Na dodatek burczało jej w brzuchu i nie potrafiła przestać myśleć o ciepłym rosolu, który z pewnością czekał na nią w domu. Z nadmiaru emocji i z głodu zaczęła ją boleć głowa. Bezwiednie powiodła wolną ręką do skroni i zaczęła ją lekko masować, chociaż wiedziała, że nie powinna tego robić, ponieważ w ten sposób może tylko wzmocnić uczucie bólu. Wiatr wzmagał się z minuty na minutę, przeszywając ją chłodem i zwiększając dyskomfort, jaki odczuwała z powodu braku rękawiczek i za cienkiego płaszcza. Marzyła o ciepłym posiłku i chwili odpoczynku.

– Eleonoro! Noro, zaczekaj! – Dopiero za drugim razem usłyszała, że ktoś ją woła. Odwróciła się powoli, zwalniając nieco kroku. Po chwili zdała sobie sprawę, że to Julian zmierza w jej kierunku. Za każdym razem, kiedy na niego patrzyła, wydawał się jej przystojniejszy. Od razu pomyślała o swoim wyglądzie. Przemknęło jej przez myśl, że w tej chwili na pewno nie przedstawia sobą ciekawego widoku.

– Julian? – zapytała z niedowierzaniem, odruchowo poprawiając opadające na twarz kosmyki, które po intensywnie spędzonym dniu wymknęły się ze zwykle starannie uczesanego koka.

– Powiniennem powiedzieć, że przechodziłem tędy przez przypadek, ale nie zamierzam. Czekam tu już od jakiegoś czasu. Twój wuj powiedział, że dziś pierwszy dzień twojej nauki. Podał mi adres, tylko niestety nie wiedział, kiedy kończą się zajęcia. Więc przyjechałem... – przerwał, spoglądając na zegarek – trzy godziny temu i czekam. – Zamilkł z lekkim uśmiechem na ustach, ale w jego oczach czaiła się niepewność. Z niecierpliwością oczekiwał jej reakcji. Nie zamierzał się narzucać, kiedy jednak dziś przez przypadek spotkał na Starym Mieście Bobrzyńskiego, nie omieszkał zapytać o Eleonorę. Starszy pan, widząc jego żywotne zainteresowanie siostrzenicą, bez ogródek zdradził, że Eleonora cały dzień ma spędzić na zajęciach w szkole pielęgniarek. Gdy Julian zdobył już adres przy ulicy św. Filipa i się tam znalazł, postanowił odprowadzić Eleonorę po wykładach do domu. A teraz trwali w ciszy, wpatrując się w siebie.

– Jestem głodna, zmarznięta i zmęczona, a ty zjawiasz się jak rycerz w zbroi i ratujesz mnie z opresji. Więc nie każ mi dłużej stać na zimnie, tylko wieź mnie do domu, Lancelocie. – Roześmiali się prawie jednocześnie.

– Pani, pozwolisz zatem. – Julian podjął grę Eleonory. Skłonił się nisko, a potem podał jej ramię. Eleonora, siedząc już w aucie, zmitygowała się, że może się narazić na niewybredne plotki, była jednak zbyt zmęczona i zmarznięta, żeby przejąć się nimi jak należy.

– Zatem pierwsze koty za płoty. Jakie wrażenia? – zapytał już całkiem poważnie, kiedy jechali w stronę Rynku.

– Jestem przerażona. Szczęśliwa, podekscytowana i przerażona. Boję się, że nie podołam. Czekam na tyle pracy. Gdybym nie uniosła się dumą po pierwszym niepowodzeniu i posłuchała wuja, mogłabym już dawno uczyć się na zajęciach, a tak pozwoliłam omotać się matce i zamiast do szkoły dać się prowadzić na prośzone kolacyjki. Tak przy okazji muszę przyznać, że moje wyobrażenie o pielęgniarstwie było takie naiwne. Łapię się na tym, że zachowałam się jak Stefania, która zaczytuje się w romansach. Praca pielęgniarki wydawała mi się taka romantyczna. Boże, jakie to żalosne – jęknęła. – Wystarczyło raptem kilka godzin suchej teorii, żeby zweryfikować wyobrażenia. Praktykować zaczniemy dopiero w przyszłym roku, więc będę miała czas na naukę. Przez sześć pierwszych miesięcy obowiązują nas tylko zajęcia teoretyczne. Zaznajomimy się z anatomią, fizjologią, higieną, a także z dietetyką odpowiednią dla pacjentów, niesieniem pierwszej pomocy i pielęgnowaniem umysłowo chorych, z którymi w czasie przyszłej pracy także się zetkniemy. Praktyki będą w Szpitalu św. Łazarza oraz w szpitalu w Kobierzynie. – Eleonora zamilkła. Kiedy odezwała się po chwili, w jej głosie było

słysząc lekkie drżenie. – A co, jeżeli się do tego nie nadaję? – Obróciła się w stronę Juliana spokojnie prowadzącego samochód.

– Nie będę cię przekonywać, że podolasz, bo to jest oczywiste, w dodatku wierzę, że zrobisz wszystko, żeby skończyć naukę z jak najlepszymi wynikami, które pozwolą ci zostać bardzo dobrą pielęgniarką. I wierz mi, większość z nas ma mylne wyobrażenia o zawodzie, który wybiera. Kiedy studiowałem prawo, chciałem bronić jedynie słabych, biednych i pokrzywdzonych. Dziś już wiem, że nic nie jest tylko czarne albo tylko białe. Życie jest pełne szarości. Jesteśmy na miejscu – powiedział Julian, zatrzymując się przed jej okazałą kamienicą.

Chciał otworzyć drzwi od strony pasażera i pomóc Eleonorze wysiąść, ale ona nie zamierzała czekać. Zanim Julian obszedł samochód, już zamykała drzwi.

– Jesteś zmęczona, więc nie będę dłużej cię zatrzymywał – powiedział, chociaż trudno mu było tak szybko się pożegnać. – Do widzenia. – Wyciągnął ciepłą dłoń w stronę Eleonory.

– Do widzenia. – Podała mu dłoń w mocnym, prawie męskim uścisku, po czym nie cofnęła jej od razu. Stali chwilę, trzymając się za ręce. – Czy wiesz, że złamaliśmy wszystkie zasady dobrego wychowania według mojej matki? – zapytała Eleonora, na co Julian lekko uniósł brwi. – Tekla Schrammowa wciąż hołduje nakazom z poradników *savoir-vivre* 'u z ubiegłego stulecia. Po pierwsze, nie powinienes mnie zatrzymywać na drodze, tylko skłonić się i, broń Boże, nie zaczynać rozmowy, zwłaszcza że oboje jesteście młodzi. Nie powinienes pierwszy wyciągać ręki, tylko czekać, aż ja podam ci swoją. Mój uścisk zaś powinien być delikatny, ale przecież ja nie znoszę takich miękkich dłoni. Uścisk musi być pewny i mocny, nie uważasz? Zresztą wdowa Wielogłowska, którą odwiedzam, z ubolewaniem muszę przyznać, że coraz rzadziej, jest tego samego zdania. A w końcu kto jak kto, ale ona z pewnością wie, o czym mówi.

– W rzeczy samej – skwitował Julian.

– I już z pewnością nie powinienes pojawiać się pod szkołą, ponieważ czeka mnie teraz sporo nauki i roztargnienie nie jest wskazane, lecz mógłbyś, przez przypadek oczywiście, pojawić się na najbliższym wykładzie Lucjana Rydla w jego domu w Bronowicach, o którym wspomniała dzisiaj jego siostra Anna, kiedy dowiedziała się, że jestem siostrzenicą wuja Władysława. To za niecałe pięć dni. – Z tymi słowami odwróciła się na pięcie i z uniesioną głową skierowała się w stronę drzwi budynku. Zanim zniknęła w sieni, raz jeszcze spojrzała na Juliana. – Rzecz będzie o greckiej sztuce – dodała, śmiejąc się cicho.

„Sama siebie nie poznaję – pomyślała. – Gdybym nie wiedziała, że jestem sobą, przysięgłabym, że jestem Stefanią”.



## Rozdział 7

– Dzień dobry, Eleonoro. Miałam nadzieję, że mnie dzisiaj odwiedzisz, chociaż z każdą upływającą godziną nadzieja gasła. A jednak nie zapomniałaś o mnie, starowince. – Marianna Wielogłowska, wdowa po Adamie Wielogłowskim, radcy stanu Wolnego Miasta Krakowa, siedziała jak zwykle przy oknie w obszernym salonie. Wygodne krzesło inwalidzkie, skonstruowane z myślą o niej, skrzypnęło delikatnie, kiedy kobieta odwróciła się w stronę Schrammówny.

– Dzień dobry, pani Marianno. Jak zwykle trzymają się pani żarty. Gdybym nie wiedziała, że za kilka miesięcy skończy pani dziewięćdziesiąt lat, dałabym jej o dwie dekady mniej, Bóg mi świadkiem. I przepraszam za spóźnienie, ale ogrom nauki i praktyk nieco mnie przytłacza.

– Tym bardziej jestem ci wdzięczna za wizytę.

– Proszę mi wierzyć, to dla mnie czysta przyjemność. Z utęsknieniem czekam na nasze spotkania i za każdym razem zastanawiam się, jaką ciekawą historią mnie pani uraczy.

– A wiesz, że jeszcze chwilę przed twoim przyjściem zastanawiałam się nad tym. I kiedy już wydawało mi się, że opowiedziałam ci wszystko, mój wzrok spoczął na bibliotecznych regałach. Wstań, kochaneńka, z łaski swojej, i podejdź do książek. – Wielogłowska wskazała na biblioteczny regał, który podobnie jak pozostałe ugiął się pod ciężarem opasłych tomów. – Podaj mi tę trzecią od lewej – komenderowała, wskazując na książkę, którą pragnęła pokazać Eleonorze, a z którą wiązała się pewna historia.

– *Winnetou* – przeczytała Eleonora, podając tom właścicielce. – Nie miałam przyjemności jej czytać, ale mój przyjaciel, który swego czasu przygotowywał mnie do egzaminów z anatomii, czytał ją w oryginale, po niemiecku, i był nią zachwycony.

– I słusznie, bo ta książka to doskonała rozrywka. Na twoje szczęście, kiedy tylko pojawiło się wydanie polskie, zamówiłam je u znajomego księgarza i mam zamiar ci ją pożyczyć, lecz zanim to zrobię, opowiem ci o moim i mojego męża spotkaniu z jej autorem.

– Proszę poczekać. Zanim zaczniesz pani opowiadać, poproszę o herbatę. – I z tymi słowami Eleonora udała się do kuchni. Kilka minut później na niewielkiej tacy przyniosła świeżo zaparzoną, esencjonalną herbatę i kilka ciastek, które kucharka ułożyła na talerzyku.

– Mojego małżonka, który zresztą, jak wiesz, był ode mnie znacznie starszy, na początku lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku trudno już było namówić na podróż. W końcu jednak po wielu namowach uległ moim prośbom i udaliśmy się do Drezna, gdzie mieszkała moja siostra, która swego czasu poślubiła niemieckiego adwokata. Nie widziałam jej od dawna, a listy to przecież nie to samo co rozmowa przy dobrej kawie. Bawiliśmy tam już dobrych kilka tygodni, kiedy Jakub, mąż mojej siostry Joanny, postanowił wydać proszoną kolację. Jednym z gości miał być jego klient, człowiek wykształcony i bardzo utalentowany, którego przeciwności losu zmusiły do drobnych kradzieży i za nie trafił do więzienia. To właśnie w trakcie jednego z procesów Jakub poznał tego człowieka. Mowa oczywiście o Karolu Mayu, autorze powieści. – Marianna potrząsnęła trzymaną w dłoni książką. – Pisarz został usadzony pomiędzy mną a moim mężem. Kiedy dowiedział się, że mieliśmy okazję podróżować po Stanach, zasypał mojego małżonka dziesiątkami pytań. A Adam był doskonałym bazarzem. Uwielbiał opowiadać o miejscach, które zwiedził. Ze szczegółami opisał mu podróż koleją, krajobrazy, różnorodność fauny i flory, uczucia towarzyszące nam na widok stada bizonów i fascynację, z jaką oglądaliśmy indiański rezerwat. Do dziś pamiętam, z jakim skupieniem pan May przysłuchiwał się mojemu mężowi. Spijał z jego ust każde słowo.

– Czy mieliście państwo jeszcze kiedyś przyjemność go spotkać?

– Niestety, nie. Muszę się przyznać, że na wiele lat zapomniałam o tamtym spotkaniu. Przypomniałam sobie o nim dopiero, kiedy na początku wieku trafiła w moje ręce ta powieść, oczywiście w oryginale. I chociaż pan May nie wspominał o moim mężu, od którego usłyszał opowieści o podróży koleją przez dzikie tereny Stanów, to miło myśleć, że część z tego, co zasłyszał od Adama, znalazła się w jego książce.

Eleonora posiedziała z wdową jeszcze dwa kwadransy, po czym się pożegnała, solennie obiecując, że niebawem znowu wpadnie. Tymczasem kolejne tygodnie miała wypełnione nauką i chociaż pragnęła złożyć Mariannie Wielogłowskiej wizytę, musiała skupić się na książkach i zajęciach praktycznych.

\*\*\*

– Jak zapewne panie wiedzą, całkiem niedawno śmiertelność pacjentów, szczególnie po operacjach chirurgicznych, a także położnic, była zastraszająca. – Eleonora słuchała z uwagą i robiła notatki. – Zgony były tak powszechne, że francuski chirurg Guillaume Dupuytren powiedział: „Cóż z tego, że wykonujemy wspaniałe operacje, skoro nie wychodzą one ludziom na zdrowie”. Dziś może się to wydawać śmieszne, chociaż zapewniam, że było tragiczne. Ówczesni lekarze za nic mieli bowiem higienę, ponieważ absolutnie nie wiązali jej ze śmiertelnością swoich pacjentów. Jednym z pierwszych, którzy podjęli zaciętą walkę o czystość, był węgierski położnik Ignaz Semmelweis. Otóż lekarz ten zauważył, że zgony położnic zdarzają się znacznie częściej na oddziałach, gdzie praktykowali lekarze i studenci medycyny, nie zaś tam, gdzie porody odbierały akuszerki. Po dogłębnych obserwacjach Semmelweis doszedł do wniosku, że jest tak z powodu niskiego poziomu higieny i przenoszenia tak zwanej cząsteczki zwołok na położnice. Musicie wiedzieć, że często zdarzało się, iż lekarze najpierw przeprowadzali sekcje zwołok, a potem odbierali porody. – Szmer dezaprobaty i niedowierzania towarzyszył ostatnim słowom wykładowcy. – Tymczasem wystarczyło wprowadzić zwyczaj mycia rąk przed każdym badaniem. Do tego celu stworzono wodny roztwór wapna chlorowanego. Nikt nie spodziewał się aż tak zaskakujących i zadowalających rezultatów. Śmiertelność z prawie trzydziestu procent spadła do zaledwie dwóch procent. Do dwóch procent. – Lekarz powtórzył te słowa i przerwał na chwilę, żeby uzmysłowić słuchaczkom postęp w walce ze śmiertelnością. – Semmelweis poszedł o krok dalej. Wprowadził nakaz częstszego prania brudnej bielizny, co w efekcie dało niespodziewanie dobre efekty. Śmiertelność wśród pacjentów spadła o kolejny procent. – Profesor zrobił krótką przerwę. Eleonora odłożyła pióro i wykonała kilka ruchów dla rozluźnienia dłoni zmęczonej długim pisaniem. – Cóż, drogie panie, czas poświęcony na dzisiejszy wykład dobiegł końca, co nie znaczy, że skończyliśmy temat higieny oraz opatrywania ran. – Wymownie zerknął na zegarek. – Za pół godziny macie się panie stawić na czerwonej chirurgii, gdzie będziecie miały okazję zapoznać się w praktyce z tym, o czym przed chwilą mówiłem. I pamiętajcie... – Krótka wymowna przerwa sprawiła, że dziewczęta wbiły wzrok w profesora, który pogroził im palcem, jak matka grozi niegrzeczному dziecku. – Higiena, higiena i jeszcze raz higiena.

Eleonora odetchnęła z ulgą. Przed chwilą skończyła pierwszy dzień praktyk na oddziale chirurgii Szpitala św. Łazarza, w budynku, który z uwagi na charakterystyczną czerwoną cegłę, z jakiej został wzniesiony, nazywano potocznie „czerwoną chirurgią”. Bolały ją wszystkie mięśnie, każda nawet najdrobniejsza kość, a powieki same opadały na oczy. Na myśl, że czeka ją długa droga do domu, chciało jej się płakać.

Stała przed drzwiami szpitala i wzięła głęboki oddech. Potrzebowała świeżego powietrza. W nozdrzach zagnieździł się przykry szpitalny aromat. Połączenie zapachu chorych i środków dezynfekujących. Siłą woli powstrzymała się, żeby nie powąchać także sukienki. Miała wrażenie, że całe jej ciało oraz ubranie przesiąknęły nieprzyjemnie.

– Zmęczona? – Eleonora odwróciła się gwałtownie na dźwięk znajomego głosu.

– Julian? Skąd się tu wzięłaś? Nie widziałam cię przed szpitalem.

– Zaszedłem do środka zasięgnąć informacji, czy pilne uczennice pielęgniarstwa już skończyły, czy może wciąż się szkolą. Całe szczęście, że zauważyłem cię, jak wychodzisz. Przypuszczam, że marzysz o tym, żeby jak najszybciej dostać się do domu. Chodź, podwiozę cię.

– Ciągle ratujesz mnie z opresji. Uważaj, bo się przyzwyczaję. – Przez chwilę szli w milczeniu. Zanim wsiedli do forda, Eleonora uśmiechnęła się szeroko. – Czyż to nie dziwne? Jestem śmiertelnie wykończona, a jednak wyjątkowo szczęśliwa. Spójrz! – powiedziała nieco głośniejszym głosem. – Mój pierwszy czepek. Dostałyśmy go dziś zaraz po złożeniu przysięgi. Kiedy wypowiadałam jej słowa, miałam łzy

w oczach. Nie chciałam, żeby dziewczyny pomyślały, że jestem takim słabeuszem, dlatego opuściłam głowę i tylko kątem oka obserwowałam koleżanki. Niektóre tak jak ja też powstrzymywały się od płaczu. To był taki niezwykły, wzniósł moment.

– Mój dziadek zawsze powtarzał, że nie powinniśmy wstydzić się łez i ich ukrywać, chyba że to łzy wściekłości. Żadne inne nie są powodem do wstydu, ponieważ nie mówią o naszej słabości, ale o sile, o tym, że mamy odwagę pokazać innym naszą wrażliwą naturę.

– Moja matka zawsze wychodziła z innego założenia i to ona wpoila we mnie i w Stefanię przekonanie, że nie powinniśmy publicznie pokazywać łez, bo one obligują innych do pocieszania nas, a nie każdy chce to zrobić. Chętnie podziękowałabym twojemu dziadkowi za tak mądre słowa i zdrowe podejście do uczuć i wzruszenia.

– A ja z przyjemnością posłucham przysięgi. Powtórzysz ją dla mnie? – zapytał Julian. Na chwilę odwrócił głowę od przedniej szyby i spojrzał na Eleonorę.

– Naprawdę chcesz jej posłuchać?

– Gdybym nie chciał, nie prosiłbym o to.

– „Przyrzekam uroczyście przed Bogiem w obecności wszystkich tu zebranych, że w życiu moim będę zawsze postępować nieskazitelnie, a w pracy zawodowej zawsze będę zasługiwać na zaufanie. Będę daleka od tego wszystkiego, co szkodliwe i zgubne, nigdy sama nie zażyję ani też nikomu nie podam tego, co mogłoby mu szkodzić. Będę dokładać wszelkich starań, aby przyczynić się do podnoszenia poziomu mojego zawodu, a także będę zachowywać w tajemnicy wszystkie informacje dotyczące spraw osobistych i rodzinnych pacjenta, które zostaną mi powierzone w czasie praktyki zawodowej. Będę lojalnie pomagać lekarzowi w jego pracy oraz pracować z poświęceniem dla dobra tych, którzy będą powierzeni mojej opiece”\*. – Eleonora wypuściła z płuc wstrzymywane powietrze.

– Miałaś rację, to piękne i wzniósł słowa.

– Zbyt wzniósł. Boję się, że nie sprostam. Że w którymś momencie okażę się za słaba, zbyt ułomna na to, aby dochować lojalności czy tajemnicy.

– Wierzę, ba, wiem, że sobie poradzisz. Że dotrzymasz złożonej obietnicy.

– Jak możesz być tego pewien, skoro nawet ja mam wątpliwości? Skąd wiesz, że nie złamię danego słowa? – Eleonora odwróciła się w stronę Juliana. Wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczami. Oddychała płytko i szybko, jakby przebiegła spory odcinek drogi. Była wzburzona.

– Serce mi to mówi – odpowiedział Julian spokojnie.

Nawet nie zauważyli, kiedy dojechali na miejsce. Julian zatrzymał samochód, a potem nachylił się w stronę Eleonory, nie pozwalając jej na kolejne uwagi. Wyciągnął dłoń i delikatnie przyciągnął do siebie, składając na jej lekko rozchylonych ustach pocałunek. Najpierw ledwo wyczuwalny, niczym muśnięcie muślinu, niczym powiew wiosennego wiatru. Potem zrobił się bardziej stanowczy, zaborczy, zachłanny, jakby od dawna wyczekiwał tej chwili. Eleonora, zaskoczona gestem Juliana, w pierwszej chwili chciała się wyrwać, spoliczkować bezczelnego kawalera i wybiec z samochodu, ale kiedy pierwsze emocje opadły, zachwyił ją dotyk męskich ust. Ich słodycz pomieszana z zapachem wypalonego jakiś czas temu papierosa. Poddała się Julianowi, rozchylając usta i obejmując go za szyję. Westchnęła i przytknęła oczy. Mogłaby na zawsze zostać w jego objęciach. I nagle wszystko się skończyło. Poczwała chłód powietrza ocierający się o jej wilgotne wargi, teraz osamotnione i już tęskniące za ustami Juliana. Spojrzała na niego z pretensją. Uśmiechnął się do niej.

– Obiecuję, że nie był to ostatni raz. Miałbym ochotę całować cię godzinami, ale obawiam się, że któraś z twoich sąsiadek dostrzeże nas tu prędzej niż później.

– Od razu wszczałaby larum, a moja matka gotowa by jeszcze zemdleć na ulicy. – Po tych słowach sięgnęła do klamki u drzwi. Jak zwykle nie czekała, aż Julian je dla niej otworzy, a ponieważ zdążył ją już poznać od tej strony, nie fatygował się nawet, żeby wyjść z samochodu, co jego matka nazwałaby zachowaniem prostackim, ojciec zaś manierami gbura, a nie arystokraty. Eleonora tymczasem nachyliła się do środka i uśmiechnęła szelmowsko do Juliana. – Trzymam pana za słowo, panie hrabio Michałowski. Trzymam pana za słowo – powtórzyła i odmaszerowała z wysoko uniesioną głową, machając ręką, w której mocno trzymała biały pielęgniarski czepek. Trzask zamykanych drzwi

stłumił głośny śmiech Juliana.

\*\*\*

Julian zerknął na zegarek. Dochodziła dziewiętnasta. Na dworze zrobiło się prawie szaro, zresztą od kilku dni niebo zasnuwane było gęstymi, nabrzmiętymi od deszczu chmurami. Deszcz lał się z nieba strumieniami, a mocny wiatr smagający policzki przechodniów tylko wzmagił poczucie zimna, przesywając przemykających ulicami Krakowa mieszkańców do szpiku kości. Spoglądając na ociekające wodą ogromne okno, przez które latem podziwiał błękit nieba, Julian pomyślał o Eleonorze. Zapewne już od jakiegoś czasu była w domu. Zastanawiał się, jak tam dotarła. Czy szła pieszo, chowając twarz w połach płaszcza i zasłaniając się parasolką przed strugami lejącej się z nieba zimnej wody? A może pojechała tramwajem? Miał nadzieję, że tak właśnie zrobiła. Żałował, że nie mógł podjechać dziś pod szpital i, jak już się zdarzało wcześniej, służyć jej pomocą. Rola rycerza na białym rumaku ratującego damę z opresji przypadła mu do gustu, a szeroki uśmiech, który gościł na twarzy Eleonory za każdym razem, kiedy pojawił się niezapowiedziany, tylko utwierdzał go w przekonaniu, że warto ją zaskakiwać.

– Niestety, nie tym razem – powiedział cicho i sięgnął po teczkę, do której przed chwilą włożył dokumenty.

Był zmęczony i głodny. Cieszył się, że ten ciężki i wyjątkowo męczący dzień nareszcie dobiegł końca, chociaż wolałby zakończyć go spotkaniem z Eleonorą. Chciał jej opowiedzieć o swojej pracy, tak jak ona opowiadała mu o szpitalu.

Na myśl o tym, że snułyby opowieść o swojej praktyce, przypomniała mu się dzisiejsza trudna rozmowa, jaką przyszło mu przeprowadzić z żoną byłego żołnierza oskarżonego o dezercję.

– Niech pani spocznie, pani Maciągowa. Proszę powiedzieć, co panią do mnie sprowadza. – Począł, aż kobieta usiadła wygodnie.

– Chodzi o mojego męża Jana. On jest niewinny, a chcą go wsadzić do więzienia – mówiąc to, kobieta sięgnęła do kieszeni, wyciągając z niej czystą, wykrochmaloną chusteczkę, którą przyłożyła do oczu błyszczących od wzbierających łez. Julian westchnął na ten widok. Nie przepadał za płaczącymi klientkami, a miał już z kilkoma do czynienia. Kobieta musiała zauważyć jego zmieszanie, ponieważ wzięła głęboki oddech, zamrugła kilka razy i kiedy zaczęła ponownie mówić, wyglądała już na bardziej opanowaną. – Do wojska poszedł, będzie już ze siedem lat, w dziewięćset piątym. Dopiero co wzięliśmy ślub. Wszystko byłoby dobrze, ale na świat dwoje dzieci przyszło miast jednego. W naszej rodzinie to pierwsze bliźniaki są. Jakby tego było mało, jakoś tak pod koniec dziewięćset szóstego obora nam się spaliła. Całe szczęście, że zwierzęta były wtenczas na polu, ale straciliśmy siano na zimę i trza było kupić. Zaczęło być krucho z pieniędzmi. Na początku następnego roku dzieciaki zaczęły chorować. Janek napisał prośbę, coby go czasowo z wojska zwolnili, ale co tam komu po kilku dniach czy tygodniach, co to je dali. Trza było miesięcy, żeby coś odratować, a że Janek ma rodzinę za oceanem, to wsiadł na statek i popłynął tam do roboty, coby resztki naszego dobytku ratować. Do domu wrócił z wiosną tego roku. Nie ukrywał się, Boże broń. Jeszcze sam się stawiał od razu u naszej zwierzchności gminnej, a tu żandarmi wzięli go z chałupy pod eskortą i przewieźli do Wadowic, a potem zamknęli w areszcie. – Julian chciał coś powiedzieć, lecz Maciągowa nie pozwoliła mu dojść do głosu. – Od razu wzięłam się do roboty. Napisałam list do Jego Wysokości cesarza z prośbą o darowanie kary, bo przecie nie zrobił tego na złość cesarzowi, tylko rodzinę chciał ratować, ale odpowiedź nie przyszła, bo pewnie i list do cesarskiej mości nie dotarł. Gdzieżby cesarz zawracał sobie głowę jakimś żołnierzem z Galicji. Takich jak mój Janek pewnie jest pełno wszędzie.

– A czy od tamtej pory otrzymała pani jakieś pisma? – Julian zapytał, wyrzucając szybko słowa jedno po drugim w obawie, że nie będzie mu dane otworzyć ust.

– No pewnie. O, to – podała mu wymiętą kopertę, którą wcześniej ścisnęła w ręce. – Niech mecenas czyta.

– Zwierzchność gminna zeznaje, że obywatel Maciąg Jan – Julian czytał na głos, chociaż zapewne żona oskarżonego знаła treść pisma na pamięć, o czym zaświadczał jego mocno sfatygowany

wygląd – po rocznej służbie w 1. Dywizji został zwolniony z powodów rodzinnych i problemów finansowych. Okazało się bowiem, że matka Maciąga, obywatelka w podeszłym wieku, kaleka, oraz żona i dwaj synowie żyć za co nie mają i w nędzy żyją, a starszy brat Maciąga, przebywający w Budapeszcie na robocie, nie może powrócić do domu, aby dać kobietom i dzieciom opiekę. Dlatego też Maciąg Jan został czasowo zwolniony ze służby wojskowej. Ale nie stawił się do dywizji po zakończeniu zwolnienia, ponieważ przebywał wówczas w Ameryce, gdzie wyjechał na roboty, nie uprzedziwszy o tym władz. Niemniej żona wystosowała do Najwyższego Tronu prośbę o darowanie kary, do której to prośby przyłącza się także zwierzchność gminna. – Julian skończył czytać.

– Myślałam, że to pismo z wiadomością, że kara darowana, a tu rozprawa ma się zacząć w przyszłym tygodniu przed sądem garnizonowym. Męża trza ratować, to i gotowa jestem dać na to wszystko, co my uciuli, choć nie ma tego dużo. Czy mecenas będzie go bronił? – Kobieta przyglądała się Julianowi z nadzieją.

– Pewnie bym i zechciał podjąć się tej sprawy, ale powinna pani udać się do adwokata wojskowego. Mąż jest żołnierzem, a żołnierzy, czy to na służbie czynnej, czy w spoczynku, reprezentować może adwokat wojskowy, bo i sprawę prowadzić będzie sąd wojskowy. – Każde słowo Juliana powodowało, że oczy Maciągowej robiły się coraz bardziej szkliste. – Proszę się nie martwić. Z tego, co udało mi się usłyszeć od pani i przeczytać, mogę wnioskować, że sprawa zakończy się zaraz po postępowaniu badawczym, czyli śledztwie, jakie zostanie przez sąd zlecone. Nie przypuszczam, aby doszło do rozprawy. Pani mąż powodowany troską o rodzinę, wiedząc, że po powrocie niechybnie czeka go areszt, zdecydował się na opuszczenie kraju, do którego powrócił i niezwłocznie stawił się przed odpowiedni urząd, nie ukrywając się i nie unikając odpowiedzialności. Sędzia weźmie te okoliczności pod rozwagę i mniemam, a nawet jestem pewny, że wyrok będzie ułaskawiający, a kara oddalona. – Żona Jana Maciąga zerwała się z fotela, okrążyła biurko i już miała objąć Juliana, gdy zreflektowała się, że to nie wypada. Skłoniła się zatem tylko, dziękując za dobre słowo. Podziękowaniom nie było końca, wreszcie kobieta pożegnała się i Julian opadł na fotel szczęśliwy, że było to ostatnie spotkanie tego dnia.

Teraz, na samą myśl o wylewnych podziękowaniach, uśmiech pojawił się na jego twarzy. „Dla takich chwil człowiek został prawnikiem”, pomyślał, zbiegając po schodach kamienicy przy ulicy Szlak 21, gdzie mieściła się jego kancelaria.

\*\*\*

Sala sądowa powoli się wypełniała. Ludzie szeptali gorączkowo między sobą, a ponieważ zebrano się ich tu sporo, wydawało się, że w izbie panuje rozgardiasz niczym na targowisku. Julian zatrzymał się w drzwiach, starając się pośród morza głów znaleźć tę należącą do Edmunda Szalita. Ten najwyraźniej na niego czekał, ponieważ nagle uwagę Juliana przyciągnęła ręka machająca z przodu sali. Młody Michałowski wspiał się nieco na palce, chcąc dostrzec, czy to aby na pewno Edmund, i upewniwszy się, że dłoń należy do jego przełożonego, przeciskając się pomiędzy stłoczoną publicznością, ruszył w jego stronę.

– Nareszcie, już myślałem, że nie przyjdiesz. Że coś pilnego zatrzymało cię w kancelarii.

– Przepraszam za spóźnienie. Właściwie się nie mylisz. Byłem już w drzwiach, kiedy nieoczekiwaną wizytą zaskoczyła mnie Maciągowa. Opowiadałem ci o jej mężu. Przyszła raz jeszcze podziękować za dobre i, jak się wyraziła, prorocze słowa, ponieważ jej mąż został od kary za dezercję uwolniony. Musiałem wysłuchać relacji z przebiegu zdarzeń, a potem przyjąć niekończące się podziękowania. Julian chciał jeszcze coś dodać, lecz do sali weszli właśnie sędziowie, a zaraz potem na ławie oskarżonych w towarzystwie obrońców, doktora Moskwy i doktora Drobnera, pojawili się Augustyn Wróblewski i Kazimierz Czechowicz, obaj oskarżeni o działania anarchistyczne i podżeganie do takowych.

Po drugiej stronie na ławie oskarżyciela usiadł doktor Makowski. Rozprawie przed ławą przysięgłych przewodniczył radca Olszewski, który nakazując ciszę, przywołał do odpowiedzi pierwszego z oskarżonych.

– Proszę się przedstawić sądowi i pozostałym zebrany.

– Augustyn Wróblewski, z gminy Kraków, bezwyznaniowy. – Na te słowa przez salę przeszedł szmer niezadowolenia. Z dezaprobatą głowami pokiwali także sędziowie przysięgli, co zdaniem Juliana nie wróżyło dobrze oskarżonemu. Ten zaś mówił dalej. – Pozostaję w związku małżeńskim. Zatrudniony jestem jako literat. Ukończyłem odpowiednio szkołę średnią, uniwersytet, a następnie uzyskałem stopień doktorski.

– A gdzie oskarżony studiował?

– Szkołę średnią skończyłem w Wilnie. Następnie pobierałem nauki na uniwersytecie i politechnice w Petersburgu, Rydze, Zurychu i Berlinie, gdzie uzyskałem stopień doktora chemii. – W sali ponownie rozległ się szmer, ale tym razem był to szmer uznania. – W tysiąc dziewięćset pierwszym habilitowałem się dodatkowo z fizjologii.

– I nie pomyślał oskarżony, żeby posiadając tak gruntowne wykształcenie, będące, co tu dużo mówić, rzeczą rzadką, oddać się spokojnemu żywotowi naukowca? – Najwyraźniej nie tylko Juliana frapowało to pytanie, skoro zadał je także przewodniczący Olszewski, unosząc przy tym wysoko brwi, co miało podkreślić zdziwienie, że tak się nie stało.

– Przez pewien czas skupiałem się na sprawach naukowych, czego dowodem mogą być moje liczne prace z dziedziny chemii spożywczej i fizjologii, jednakże intrygi na uniwersytecie skierowane w moją osobę, zapewne wskutek zazdrości i zawiści, spowodowały, że zostałem zwolniony z etatu i ubezwłasnowolniony, co poskutkowało, że wysłano mnie do szpitala psychiatrycznego.

– I jakiż był wynik tych badań?

– Uznano, że cierpiałem na chroniczne pomieszanie umysłu. Leczone mnie tu w Krakowie, ale i w Tworkach, a po tym, jak opuściłem szpital, sam, bez niczyjego przymusu poddałem się leczeniu w szpitalu w Szwajcarii. Badali mnie jeszcze biegli z Wiednia i to oni wydali orzeczenie, że jestem zdrowy.

– Tym gorzej dla oskarżonego. Pomieszanie zmysłów tłumaczyłoby bowiem udział w grupach anarchistycznych, lżenie Jego Cesarskiej Mości i podżeganie do nieporządku publicznego. Za co zresztą oskarżony był już wcześniej karany, czyż nie?

– Tak, poprzednio ukarano mnie grzywną dziesięciu koron za przekroczenia prasowe – przyznał Wróblewski.

– A więc recydywa – podsumował jeden z prokuratorów. Mówił niby do siebie, lecz zrobił to jednak na tyle głośno, że ława przysięgłych musiała go usłyszeć, co resztą kilka osób potwierdziło, uśmiechając się z aprobatą i kiwając głowami.

Przewodniczący zadał doktorowi Wróblewskiemu jeszcze kilka pytań. Następnie jego miejsce zajął Czechowicz, któremu zadano podobne pytania.

– Oddaję głos oskarżycielom – powiedział radca Olszewski i usiadł wygodniej w swoim fotelu.

– Chciałbym prosić doktora Wróblewskiego o kilka odpowiedzi. – Jako pierwszy podniósł się doktor Makowski. – Po powrocie do Krakowa nie zajął się pan, zgodnie z wykształceniem, nauką i badaniami, ale zaczął organizować wokół siebie grupę anarchistyczną. – Makowski mówił głośno, żeby wszyscy, nawet ciekawscy cisnący się z tyłu przy drzwiach, mogli go usłyszeć. – Z tego, co nam wiadomo, do pana współpracowników, a może lepiej nazwać ich sympatykami, należeli między innymi Stanisław Łańcucki, Jan Wiktor, notabene pisarz, Tadeusz Seweryn, etnograf. Czy tak?

– Nie pamiętam – odparł Wróblewski. – Pan prokurator wybaczy, ale głowa dziś nie ta. – Na te słowa sala rozbrzmiała śmiechem. Julian także się uśmiechnął.

– W tym roku zaczęliście wydawać dwa pisma. – Makowski podszedł do stołu i sięgnął po gazetę, którą potrząsnął przed oczami oskarżonego. – „Sprawę Robotniczą” i „Przyrodniczy Pogląd na Świat i Życie”. Do kogo skierowane były te czasopisma?

– Do robotników. – Kolejna odpowiedź wywołała salwę śmiechu.

– A robotnicy czytają odezwy „Arcyksiążę w Krakowie”. I za niewinne porady rolnicze został oskarżony osadzony w więzieniu na siedem tygodni i opuścił je dopiero po wpłaceniu kaucji w wysokości pięciuset koron?

– Oskarżenie było anonimowe, co brzydko świadczy o mieszkańcach Krakowa, którzy nie mają

odwagi osobiście postawić zarzutów człowiekowi niewinnemu, bo przecież winnemu powiedziano by prosto w twarz, o jaki czyn się go posądza. – Wróblewski wyzywająco spojrział na Makowskiego. W sali zapanowała cisza.

– Doktorze Wróblewski, ludźmi niewinnymi policja się nie interesuje, a więc proszę nie przeinaczać faktów i nie skarżyć się na anonimowe powiadomienia. Na razie nie mam więcej pytań. – Makowski wrócił na miejsce.

Tego dnia prokurator oskarżający przedstawił Wróblewskiemu i Czechowiczowi jeszcze jedną odezwę, której byli autorami, pod tytułem „Antymilitaryzm”.

– Otóż, szanowni przysięgli, oskarżeni przywołują w niej szereg kłamliwych twierdzeń dotyczących c.k. armii. Twierdzą, że wojsko demoralizuje, wynaturza młodzież, że ćwiczenia nakłaniają do zbrodni, a przez to armia staje się wylęgarnią morderców. – Makowski zrobił krótką przerwę. Po chwili zwrócił się do doktora Wróblewskiego. – Czyż nie wystosowali panowie apelu, aby przeciwstawić się istnieniu armii i unikać służby wojskowej?

– Odmawiam składania dalszych wyjaśnień – odpowiedział Augustyn Wróblewski i z zaciętym wyrazem twarzy, z ustami zaciśniętymi w prostą, wąską kreskę spojrział na przewodniczącego Olszewskiego, który z kolei dyskretnie zerknął na zegarek. Najwyraźniej pora była już stosowna i można było zarządzić przerwę w obradach, co też przewodniczący uczynił niezwłocznie, zapowiadając kontynuację przesłuchań w dniu jutrzejszym.

– I co sądzisz? – zapytał Edmund Juliana, kiedy wracali do kancelarii.

– Dla mnie sprawa jest absurdalna. Gdybym był obrońcą Wróblewskiego, poszedłbym w stronę niepoczytalności, na którą przewodniczący Olszewski niepotrzebnie zwrócił uwagę. To dla doktora doskonała linia obrony. W końcu żaden zdrowy człowiek nie siedzi w szpitalu dla obłąkanych pół roku, aby zaraz po wypisaniu z własnej nieprzymuszonej woli dać się zamknąć na powrót.

– Muszę ci przyznać rację. Zresztą sam Olszewski przyznał, że Wróblewski został uznany za człowieka uzdolnionego, lecz przy tym impulsywnego i niezrównoważonego psychicznie. To doskonała linia obrony. Doskonała – skwitował Szalit, akurat kiedy wchodzili do kamienicy pod numerem 21 przy ulicy Szlak.

\*\*\*

Kiedy wyszli z teatru, było już ciemno. Towarzysząca im Rozalia została gdzieś z tyłu. Choć niebo było bezchmurne, w powietrzu unosił się zapach wilgoci, a to zapewne dlatego, że jeszcze godzinę temu padał rześisty deszcz. Eleonora zadarła głowę i spojrzała w czarne jak smoła niebo usiane błyszczącymi gwiazdami.

– Uwielbiam się w nie wpatrywać. Jest to takie urzekające, tajemnicze, pociągające i niewyjaśnione. – Zwróciła się w stronę Juliana, który poszedł za jej przykładem. Powoli oderwał wzrok od błyszczących gwiazd. Spojrzął na rozpromienioną, zarumienioną z zimna albo z emocji twarz Eleonory, która nie przestawała mówić. – Zastanawiasz się czasami nad naszą marną egzystencją? Czymże jesteśmy w porównaniu z wszechświatem, którego zapewne nigdy nie poznamy. Zawsze będzie dla nas zagadką. Często zastanawiam się nad tym, czy jest tam życie takie jak nasze. Czy ludzie tam tak jak my zakochują się, cierpią z powodu nieszczęśliwej miłości, tak jak Solwejska za Peerem. A może nie mają uczuć? Są do bólu racjonalni.

– Chyba nie ma człowieka, który od czasu do czasu nie zadawałby sobie takich pytań. Pociąga nas to, co tajemnicze i nieodgadnione. Tak jest dziś, tak było dawniej. Jedni szukają nowych gwiazd i planet, inni podchodzą do tego w sposób bardziej filozoficzny. – Julian objął Eleonorę i przyciągnął do siebie, żeby ochronić ją przed zimnym wiatrem, który miarowo poruszał koronami drzew. Ich cichy szum przydawał tej chwili tajemniczości. – Nie wierzę, że jesteśmy sami we wszechświecie. Pewnie gdzieś tam jest druga taka planeta. Może nawet żyje tam para taka jak my, która stoi przed budynkiem teatru i zastanawia się, czy gdzieś w tej nieskończoności planet i gwiazd są ludzie podobni do nich.

– Masz rację. To w końcu byłoby zwykłe marnotrawstwo przestrzeni. – Eleonora delikatnie wyswobodziła się z objęć Juliana, słysząc zbliżające się kroki Rozalii, i ruszyła powoli naprzód. –

Przepraszam za te filozoficzno-melancholijne pytania. To chyba przedstawienie tak mnie natchnęło. – Przystanęła i spojrzała Julianowi prosto w oczy. Rozalia, chcąc zapewnić im trochę prywatności, szła nieco z tyłu, nie na tyle jednak, aby narazić Eleonorę i Juliana na krzywe spojrzenia przechodniów. – Dziękuję ci, że zaprosiłeś mnie do teatru. Stefcia opowiadała o tej sztuce i wręcz błagała matkę, żebyśmy poszli na *Peer Gynta* całą rodziną, ale mama stanowczo sprzeciwiła się temu, by Stefania o tak późnej porze przesiadywała w teatrze. Nie wiem, skąd Stefcia dowiedziała się o tym spektaklu. Zapewne od naszej pokojówki, która wciąż podrzuca jej książki o nieszczęśliwej miłości. Przez to Stefania cały czas chodzi rozmarzona. Nawet sobie nie wyobrażasz, jaka była szczęśliwa, kiedy przyszedłeś do nas poprosić ojca o pozwolenie zabrania mnie dziś do teatru. Wychwalała cię przez kilka kolejnych dni, a bukiet kwiatów, który jej podarowałeś, chyba nigdy nie zostanie wyrzucony. Jesteś jej bohaterem.

– Wolałbym być twoim bohaterem. – Julian patrzył na Eleonorę intensywnie. Nie spłoszyła się i nie opuściła wzroku. Odwróciła głowę dopiero wtedy, kiedy zrobił niewielki krok w jej stronę. Spojrzała w bok i delikatnie wskazała na mijających ich ludzi, którzy wciąż opuszczali gmach teatru. Julian zmitygował się. Chciał ją pocałować i pewnie zrobiłby to, gdyby nie trzeźwa postawa Eleonory i ciche chrząknięcie jego siostry. Nie chciał, żeby znalazła się w niezręcznej sytuacji. – Skoro więc mowa o spektaklu, ja też go nie znałem – przyznał po chwili. – Poleciała mi go moja siostra Rozalia, która była na nim już dwa razy. Uwielbia historie o miłości, podobnie jak Stefania. Myślałem, że dramat nie przypadnie mi do gustu, ale to było coś pięknego. I pouczającego.

– Peer był albo głupi, albo ślepy. Miał na wyciągnięcie ręki miłość i szczęście u boku pięknej dziewczyny, która kochała go całym sercem, a jednak odrzucił jej uczucie dla innej kobiety, która zresztą nie należała do niego. Myślisz, że kochał Ingridę tak mocno, że niepomny na niebezpieczeństwo porwał ją innemu mężczyźnie, a może chciał sobie tylko coś udowodnić?

– Może myślał, że ten czyn sprawi, że przestanie być jedynie prostym wieśniakiem. Może wcale nie kochał Ingridy, tylko chciał wzniecić w Solwejdze uczucie zazdrości. Któż to wie? Z pewnością nie przypuszczał, że za swój czyn zostanie wygnany. Ale dzięki podróżom zmądrzał i koniec końców w obliczu śmierci, przed którą uratowała go Solwejga, odnalazł siebie i szczęście u jej boku.

Przez jakiś czas szli w milczeniu. Julian podał Eleonorze jedno ramię, Rozalię chciał wziąć pod drugie, lecz siostra nie skorzystała. Eleonora czuła ciepło bijące od Juliana, które ogrzewało nie tylko jej ciało, ale i serce. Już dawno zdała sobie sprawę, że tęskni za nim, kiedy nie widzi go dłużej. Że wychodząc z zajęć, czy to teoretycznych, czy praktycznych w szpitalu, rozgląda się, szukając jego sylwetki wśród przechodniów, i za każdym razem, kiedy jej nie widzi, czuje ogromne rozczarowanie. Zauważyła, że od kilku dobrych minut na ulicy oprócz nich nie było nikogo, dlatego przystanęła, zmuszając Juliana, aby też się zatrzymał.

– Pamiętasz, kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy? – zapytała.

– Oczywiście. Podjechałem po mamę, która zabrała Rozalię na zakupy. Stały wówczas przed sklepem z damską bielizną i rozmawiały z twoją matką. Nie mógłbym zapomnieć tej chwili. Pięknie wyglądałaś w tamtym kapelusiku.

– Nigdy nie zapomnę tej wyprawy – odezwała się cicha do tej pory Rozalia. Roześmiali się w trójkę.

– Och nie, nie o tym spotkaniu mówię. – Eleonora podjęła wątek. – Miałam na myśli nasz spacer na balu, który zorganizował mój ojciec. Powiedziałaś mi wówczas, że pragnę się uczyć, że nie jestem taka jak inne dziewczęta. I tak mi się wydawało. – Nagle odwróciła się w stronę siostry hrabiego. – Mam nadzieję, że nie zgorszą cię moje słowa, ale jest coś, o czym chciałabym powiedzieć Julianowi. Czy pozwolisz? – Rozalia z uśmiechem skinęła głową i znowu zwolniła kroku. Eleonora spojrzała na Juliana. Jej oczy błyszczały jak gwiazdy na niebie. – Zawsze uważałam, że jestem ponad wszelkie uczucia. Że w moim życiu będzie się liczyć tylko nauka i praca. – Dostrzegła, że Julian zaczął głębiej i szybciej oddychać. – Lecz od dłuższego czasu wiem, że tak nie będzie. Nie powinnam tego mówić. Pewnie to nie jest na miejscu i nie w dobrym tonie. I przede wszystkim nie wypada, żeby dziewczyna mówiła o takich rzeczach mężczyźnie, ale wiesz już, że nie jestem jak inne, dlatego przyznam się, że tęsknię za tobą. Nie wiem jeszcze, jak nazwać to uczucie, chociaż może i wiem, w każdym razie boję się mówić o tym



głośno, jednak czekam na ciebie każdego dnia, kiedy kończę zajęcia. Lubię cię, Julianie. – Podeszła do niego bliżej i wspięła się na palce. Złapała poły jego płaszcza i przyciągnęła do siebie. Pochylił głowę, żeby ją pocałować, ale nie zrobił tego, chociaż Bóg mu świadkiem, że powstrzymał się z całych sił. Usłyszał jeszcze słowa Eleonory: – Lubię cię aż za bardzo.

Julian przytulił ją mocno do siebie. Byli tak blisko, że Eleonora wyczuła jego szybko bijące serce. Rozalia szukała czegoś w torebce, starając się nie patrzeć w stronę Juliana i Eleonory.

– Dzięki Bogu – szepnęła jej do ucha, a ona odchyliła nieco głowę i roześmiała się głośno niepompna na późną godzinę. Roześmiała się tak jak wtedy na balu. Bez skrępowania, że ktoś ją może usłyszeć i zbesztać za brak wychowania.

\*\*\*

– Pamiętam, jak przychodziłem tu z twoim dziadkiem, kiedy byłem chłopcem. – Aleksander hrabia Michałowski zajął wygodne miejsce w restauracji „Hawełka”, która mieściła się w lokalu w Rynku Głównym pod numerem 34. – Wtedy był tu jeszcze sklep kolonialny „Pod Palmą”. Do dziś pamiętam ten korzenno-czekoladowy aromat, który się wyczuwało zaraz po przekroczeniu drzwi przy dźwięku dzwonka. Lubiłem ten charakterystyczny wysoki dźwięk oznajmiający, że do sklepu wszedł nowy klient albo że ktoś opuszcza jego progi. Czasami, ale tylko czasami, bo mój ojciec nie pozwalał na żadne swawole, pozwalano mi otwierać drzwi kilka razy z rzędu jedynie po to, abym mógł nacieszyć się tym dźwiękiem. Antoni Hawełka, właściciel sklepu, który z powodu swojego czeskiego pochodzenia miał swoisty, nazwałbym go dziecinnym, sposób wysławiania się, pozwalał dzieciom na różne figle. Nie przeszkadzało mu, że otwieramy drzwi raz za razem ani że wachamy korzenne przyprawy, ściągając je z półek, gdzie leżały w wielkich słojach. Lubiłem zapach goździków, lecz w okresie Bożego Narodzenia najbardziej ciągnęło mnie do cynamonu. – Hrabia westchnął, spoglądając na syna, który słuchał z uwagą. – Zanudzam cię.

– Wcale nie. Nie pamiętam, kiedy ostatnio tak dobrze nam się rozmawiało. Chętnie słucham. – Julian był zdziwiony, kiedy prawie w samo południe do kancelarii, gdzie akurat przyjmował klienta, wszedł jego ojciec, pragnąc zaprosić go na obiad. Pomyślał, obserwując ojca, że właściwie nigdy dotąd nie miał przyjemności zjeść z nim obiadu sam na sam w restauracji.

– Dziadek twój nie mógł się nachwalić Hawełki. Był to człek obrotny i pomysłowy. Zawsze w biegu. Miał głowę pełną pomysłów. I nie wahał się ich realizować, dlatego nie trwało długo, a jego sklep stał się ulubionym miejscem krakowian. Tu pierwszy raz zobaczyłem i skosztowałem owoców granatu. Były i inne, jeszcze bardziej egzotyczne, których nazw już nie pamiętam. Ale mój ojciec najczęściej zachodził tu po wino i piwo. Z kolei matka posyłała kucharki po dziczyznę, a Hawełka, wiedząc, że Michałowscy ją uwielbiają, zawsze posyłał umyślnego z informacją, że przyszła świeża dostawa. Jego sklep wnet stał się sławny. Tak sławny, że dowiedzieli się o nim nawet w Wiedniu. Co rusz wysyłano towar do cesarskiego pałacu, a Hawełka, znając się na reklamie, nie omieszkał się tym chwalić, co od razu przysporzyło mu kolejnych klientów.

– Od sklepu kolonialnego daleko jeszcze do tak wykwintnej restauracji. – Julian powiódł wzrokiem po bogatym wnętrzu, podziwiając wysokie, masywne kolumny podtrzymujące sklepienie restauracji. Jego uwagę zwróciły także obrazy porozwieszane na ścianach. Ciasno, jeden przy drugim.

– Najpierw Hawełka wpadł na pomysł, żeby na zapleczu sklepu wydzielić strefę na „handelek”, taki lokal śniadaniowy, gdzie można było pomimo nazwy zjeść nie tylko śniadanie, ale i późnym wieczorem coś przekąsić i czegoś się napić. Kiedy Hawełka zmarł, ludzie wróżyli sklepowi i lokalowi rychły koniec, bo gdzie tu szukać drugiego takiego gospodarza z taką charyzmą, jaką miał Antoni. Okazało się jednak, że Macharski, jego najstarszy subiekt, też nie był w ciemię bity, a może i całkiem obrotny, bo wystarczyła mu dekada, żeby dorobić się takiego majątku, który pozwolił na zakup pałacu Spiskiego i otwarcie w nim restauracji, w której mamy dziś przyjemność siedzieć i rozmawiać – zakończył wspomnienia Michałowski.

– Dziękuję, że ojciec zechciał się ze mną podzielić tą ciekawą historią, lecz przypuszczam, że to nie ona sprowadziła ojca dziś do kancelarii, czyż nie? – Julian sięgnął po kartę, ale jeszcze jej nie

otworzył, czekając na odpowiedź hrabiego.

– Przyznam się szczerze, że to był impuls. Wraciałem właśnie od Ochockiego, który, jak wiesz, ma udziały w cukrowni księcia Lubomirskiego, ponieważ chciałem porozmawiać z nim na ten temat, i przejeżdżając przez centrum, pomyślałem, że może wspólny obiad to doskonały pomysł, skoro od jakiegoś czasu nasze stosunki znacznie się poprawiły.

– Ma ojciec rację. Od kiedy nie rozmawiamy o polityce i różnym widzeniu świata, można powiedzieć, że osiągnęliśmy niejaki porozumienie. Widać cukrownia ma na nas zbawienny wpływ. A skoro już o tym mowa, czego się ojciec dowiedział?

– Do Ochockiego wybrałem się po tym, jak przyszło mi się spotkać z Janem Schrammem, od którego dowiedziałem się, że potrzeby finansowe będą nieco większe. Schramm zasugerował, żeby idąc za przykładem Lubomirskiego, pozwolić inwestować w cukrownię okolicznym ziemianom i co bogatszym chłopom, a w zamian dać im udział w zysku, co będzie z korzyścią dla nas, dla cukrowni i dla okolicznych mieszkańców. Chodzi o to, aby produkować jak najwięcej i uniezależnić się możliwie szybko od sprowadzanego cukru. Dzięki nam i podobnym przedsiębiorcom nasz rynek lokalny mógłby zrezygnować z kupna obcego produktu. Ochocki przytaknął takiemu pomysłowi, wskazując, że tak właśnie prosperuje cukrownia Lubomirskiego.

– To bardzo mądre posunięcie. Pozwala także na uniezależnienie się od kapitału austriackiego. Z tego, co widzę i słyszę, wyprawa się powiodła?

– Jak najbardziej. Omówiliśmy wszystkie ważne kwestie, kilka pomniejszych, a na koniec powspominaliśmy stare dobre czasy. Od słowa do słowa i ani się obejrzałem, jak zaprosiłem Ochockich na przyszłoroczny bal karnawałowy, który matka postanowiła zorganizować zaraz na początku stycznia. Jeszcze nie powiedziałem jej, że będzie miała kilku nieoczekiwanych gości, mam jednak nadzieję, że sympatia, jaką Józefa darzyła żoną Ochockiego, zmniejszy niezadowolenie z niespodzianki. A wiesz przecież, jak matka ich nie lubi. – Michałowski położył dłoń na karcie, ale podobnie jak Julian jeszcze jej nie otworzył. Zamiast tego zerknął na syna, przyglądając się mu badawczo. – Pamiętasz córkę Ochockich, Helenę? – rzucił jakby od niechcienia, wciąż wpatrując się w Juliana.

– Oczywiście. Ten mały rudowłosy brzdąc był swego czasu moim utrapieniem. Doskonale pamiętam, jak płątała mi się pod nogami podczas ich letnich wizyt w naszym majątku. Ileż ona może mieć lat? To już zapewne duża dziewczynka?

– Toż to dorosła panna na wydaniu – sprostował starszy Michałowski. – Niedawno miała osiemnaste urodziny. Debiut ma już za sobą. Tylko patrzeć, jak ustawi się do niej sznur kawalerów. To piękna młoda kobieta.

– Czyżby ojciec bawił się w swata? – Julian przechylił nieco głowę i uśmiechnął się delikatnie. Tego się po hrabim nie spodziewał. Prędeż po matce, ale po ojcu?

– O takie rzeczy mógłbyś ewentualnie posądzać matkę, nie mnie. Stwierdzam tylko fakt, a zresztą nie sądzę, abyś był na tyle uległy, żeby sugerować się moim zdaniem w tym względzie. Poza tym nie zasłiśmy aż tak daleko w zakresie poprawiania stosunków ojciec – syn, żebym swatał cię z panną, którą ostatni raz widziałeś kilka lat temu. – Po tych słowach hrabia, nie czekając na odpowiedź syna, otworzył kartę dań i zagłębił się w lekturze.

– Co ojciec poleca? – zapytał Julian, zdając się na opinię hrabiego.

– Tutaj na ogół wszystko jest wyśmienite. – W tym momencie do stołu podszedł kelner, gotowy przyjąć zamówienie. Hrabia zerknął raz jeszcze do karty, a potem zwrócił się do oczekującego młodego mężczyzny. – Poproszę zupę borowikową na początek, a potem niech będzie sandacz pieczony na pierożkach warzywno-borowikowych ze świeżym szpinakiem.

– Ja pozwolę sobie tylko na jedno danie. Po dwóch byłbym zbyt ospały, a czeka mnie jeszcze powrót do kancelarii i sporo pracy. Niech zatem będzie stek z polędwicy wołowej z bukietem warzyw, pieczonymi ziemniaczkami i świeżym masłem tymiankowym.

– A skoro mowa o kancelarii... – Michałowski zaczął, kiedy kelner oddalił się po przyjęciu zamówienia. – Zauważyłem tę broszurę na twoim biurku. Czyżbyś popierał tego typu zapędy?

– Mówi ojciec o tej odezwie? – Julian czytał niedawno apel wzywający do gotowości do walki

o wolność i niepodległość. – Jestem w stanie poprzeć tego typu działania, a nawet wziąć w nich udział. A ojciec ich nie popiera? – Julian z niecierpliwością oczekiwał ojcowskiej odpowiedzi, bojąc się, żeby obiad nie skończył się kolejną katastrofą.

– Cóż mam ci na to odpowiedzieć? – Hrabia zrobił krótką przerwę, szukając właściwych słów. – Nasza administracja działa nad wyraz sprawnie i jak sam pewnie wiesz z doświadczenia, przeważnie jest bezstronna. Podobnie rzecz ma się z sądami, które to środowisko dobrze znasz, więc nie muszę ci tłumaczyć, że prawa obywatelskie są u nas szanowane i gdzie indziej na polskiej ziemi za taką ulotkę poszedłbyś siedzieć lub zostałbyś zesłany na katorgę, a u nas co najwyżej zapłacisz grzywnę. Nawet ci, co publicznie pozwalają sobie na krytykowanie rządu i cesarza, nie są szykanowani ani pociągani do odpowiedzialności. Sam niedawno opowiadałeś mi o żołnierzu, któremu darowano karę za dezercję. Czy wyobrażasz sobie, że potraktowano by go tak na przykład w Rosji albo w Prusach? Podatki są dość niskie, drogi mamy niezłe, a wciąż buduje się nowe. Pytam więc, czy uważasz, że ludzie zdecydują się zrezygnować z tego wszystkiego?

– Myślę, że tak. Wolność jest najważniejsza – powiedział Julian z zapałem.

– A czy czujesz jej brak? – Pytanie ojca było retoryczne i Julian musiał się z nim niechętnie zgodzić. Nie czuł się zniewolony. – Synu, ludzie, którzy pamiętają prawdziwą wolność, taką, która wynika z samodzielności kraju, z faktu, że państwo i naród nie podlegają innemu państwu i narodowi, już nie żyją. Pomarli. A my i młodsze pokolenie znamy tylko to, co tu i teraz. I wątpię, żeby obywatele zechcieli zaryzykować i stracić to, co posiadają, na rzecz wymagowanej, wychwalanej przez poetów wolności. To smutne, kiedy człowiek uzmysłowi sobie, że Polska już nie wróci na mapy świata, trzeba się z tym pogodzić.

– A więc nie poprze ojciec sprawy?

– Źle mnie zrozumiałeś, Julianie. Nie będę jej zaprzeczał, ale nie będę w niej brał czynnego udziału, chyba że bezsprzecznie zobaczę, że jest szansa na wygraną. Wówczas jestem gotowy się do niej przyłączyć.

Dalszą konwersację przerwał im kelner, przynosząc supę zamówioną przez starszego Michałowskiego. Obiad zjedli w milczeniu. Przyjemnym, błogim milczeniem.

\*\*\*

Tekla Schramm komenderowała już od rana. Zaglądała do najmniejszych zakamarków, sprawdzając, czy aby nie zaległy gdzieś kwapcie kurzu. Gładziła dłonią serwety i obrusy rozłożone na stołach i stoliczkach, na próżno szukając niewidzialnych zagieć, gdyż pokojówka spędziła prawie cały wczorajszy dzień na rozprasowywaniu nawet najdrobniejszych fałdek. Patrzyła kucharce na ręce i co rusz próbowała potraw, rzucając krytyczne uwagi o ich smaku.

– Toż to niejadalne! – krzyknęła, kosztując rosółu, czym sprawiła kucharce dużą przykrość. – Nie żałuj przypraw. Ludzie pomyślą, że u Schrammów oszczędzają na czym popadnie. Tego mi jeszcze brakowało, żeby krytykowali nas po mieście i palcami wytykali za brak wykwintnego smaku. Jałowizna nigdy nie smakuje dobrze. Zapamiętaj! – Z tymi słowami i ponurą miną wyrażającą dezaprobatę dla dotychczasowej pracy kucharki i jej pomocnicy Tekla Schrammowa opuściła kuchnię.

– Janie! – zawołała, kierując się w stronę gabinetu, gdzie ojciec Eleonory i Stefanii zaszył się z samego rana. Najchętniej udałby się do swojego biura w banku, ale nawet on miał na tyle przyzwoitości, aby nie robić tego w drugi dzień świąt Bożego Narodzenia. – Wiedziałam, że tu cię zastanę. – Tekla stanęła w drzwiach, trzymając się pod boki. Minę miała bojową. – Pamiętasz, że goście zaczną się schodzić około czwartej. Niebawem wybije południe. Proszę, nie zasiedź się tu jak zawsze. Przypilnuj Stefcie. Gotowa jeszcze ubrać się niestosownie. Drzę na samą myśl, co może na siebie włożyć, idąc za przykładem tych aktorek, które podziwia. Czy ty w ogóle zdajesz sobie sprawę, że twoja młodsza córka pragnie występować na scenie? Oby tylko nie wspominała tego przy stole w obecności gości, bo jak mi Bóg miły, zapadnę się pod ziemię ze wstydu. – I nie czekając na odpowiedź, ruszyła z powrotem do kuchni spróbować po raz wtóry rosółu. Zatrzymała się jednak w pół kroku i znowu zajrzała do gabinetu, zmuszając Jana, aby spojrział na nią. – Nie wyobrażam sobie, abyś o tym nie

pamiętał, lecz wolę zapytać i z wyprzedzeniem zapobiec katastrofie. Zamówiłeś na dziś kolędników, prawda?

– Ależ oczywiście, kochanie – odpowiedział z pokorą i skupił całą uwagę na liście wydatków, jakie już poczyniono w związku z budową cukrowni Michałowskiego. Miał nadzieję, że uda mu się dziś wieczorem zamienić z hrabią słów kilka na ten temat.

Zaprosił na dziś także Idę Goldbaum, ale ta uprzejmie odmówiła, tłumacząc, że święta tego roku spędzać będzie z siostrą i jej rodziną.

– Proszę przekazać, że wyjeżdżam z Zakrzówka na dzień przed Wigilią i wracam dopiero po Nowym Roku – mówiła, oddając krótki list umyślnemu, który przyniósł zaproszenie na dwa dni przed jej wyjazdem.

„Szkoda – pomyślał Schramm. – Wielka szkoda”. Siedział jeszcze jakiś czas nad dokumentami, w końcu, chcąc nie chcąc, schował je do szuflady. Nie zamierzał narażać się małżonce, więc skierował swe kroki do pokoju dziewcząt.

– Będziecie dziś pięknie wyglądać – skomplementował córki, przyglądając się ich odświętnemu uczesaniu i sukienkom, które pokojówka po starannym uprasowaniu powiesiła na drzwiach szafy. – Serce mi rośnie, kiedy patrzę na was. – Z tymi słowami podszedł najpierw do Stefanii, a potem do Eleonory, która przeglądała się akurat w lustrze. Złożył na ich czołach ojcowski pocałunek i wruszony udał się do swojej garderoby, w której zapewne czekał już na niego stosowny strój przygotowany przez Franciszka.

Kilka godzin później cała rodzina Schrammów oraz ich goście w osobach hrabiego i hrabiny Michałowskich z Julianem i jego siostrą Rozalią zebraли się w jadalni. Czekala ich iście królewska kolacja. Najpierw na stół wjechały zupy: rosół, grzybowa i barszcz, do którego pomocnica kucharki ulepiła małe uszka z grzybowym farszem. Potem podano przystawki: zrazy z kaszą oraz pierogi z mięsem, które pasjami uwielbiała gospodyni przyjęcia. Na danie główne Tekla Schramm wybrała sztukę mięsa w jarzynach, comber sarni, udka zajęcze i sałatę z kartofli oraz pieczone ziemniaczki, polane zeszlona cebulką i delikatnie przypieczonym czosnkiem. Do kolacji podano czerwone wino, a na koniec po kieliszeczku wódki kminkowej na dobre trawienie.

Po tak obfitym posiłku goście nie kwapili się z wstawaniem od wielkiego stołu. Efekt rozleniwienia wzmagał się z powodu przyjemnego ciepła, jakie zapewniał elegancki kaflowy piec. Korzenne aromaty dochodzące z kuchni utwierdzały gości w przekonaniu, że czeka ich jeszcze delektowanie się delikatnymi piernikami i świątecznymi babami, i podkreślały świąteczny nastrój.

Hrabina Michałowska raczyła się wytrawnym winem, komplementując w myślach efektowne wysokie okna jadalni, które częściowo zasłonięto wymyślnie udrapowanymi, ciężkimi aksamitnymi storami. Pomiędzy nimi stała ozdobna choinka, której złoto-srebrne ozdoby mieniły się w świetle migoczących świeczek niczym diamenty w jubilerskich gablotach. Na ścianach zawieszono mnóstwo obrazów w mniej lub bardziej ozdobnych ramach z gipsu lub drewna. Pośród tej malarskiej różnorodności eksponowane miejsca znalazły rodzinne portrety fotograficzne.

– Piękna fotografia – zauważył Julian, wskazując tę, na której uwieczniono Eleonorę i Stefanię.

– W rzeczy samej – potwierdziła Tekla, podążając wzrokiem za młodym Michałowskim. – Mieliśmy to szczęście, że wykonał ją osobiście sam Ignacy Pretzel, właściciel zakładu „Adela”. Nie wiem, czy jest państwu wiadomo – odwróciła wzrok od Juliana, do którego tymczasem dołączyła Eleonora – że „Adela” otrzymała wiele nagród za swoje prace. Cztery lata temu w Paryżu, Londynie i Karlsbadzie. A w tym roku ponownie w Paryżu. – Było widać, że Tekla odczuwa swoistą satysfakcję, ciesząc się, że portrety z tak renomowanego zakładu fotograficznego wiszą na ścianie jej jadalni.

– Matka nie byłaby sobą, gdyby nie opowiedziała całej historii od powstania zakładu aż do dziś. Ktoś gotów jeszcze pomyśleć, że mamy w nim jakieś udziały i dlatego tak bardzo go zachwala. – Eleonora spojrzała na fotografię, której wciąż przyglądał się Julian.

– Może Pretzel i zebrał nagrody w Londynie czy Paryżu, ale żadna fotografia nie jest w stanie uchwycić koloru twoich oczu. Tu w sukurs może przyjść tylko artysta malarz. – Uśmiechnął się do niej zawadiacko. Na policzkach Eleonory pojawił się delikatny rumieniec. Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale

nie zdążył, bo Schramm poprosił zebranych o uwagę.

– Moi drodzy, proszę, abyśmy wszyscy przeszli do salonu obok, gdzie już od jakiegoś czasu szykują się kolędnicy. Uraczą nas bożonarodzeniowym przedstawieniem. Zapraszam państwa.

Całe towarzystwo chwilę później rozsiadło się wygodnie na ustawionych wcześniej fotelach i sofach. Przed nimi, niczym na małej scenie, ostatnie przygotowania kończyli kolędnicy. Julian spoglądał po ich twarzach. Dwie z nich nie były mu obce. Młody człowiek przebrany za pastuszką pracował w kamieniołomach w Zakrzówku, a jego ojciec ubrany w grube futro, upodobniające go do niedźwiedzia, to miejscowy murarz, który swego czasu był pracownikiem w ich rodzinnym majątku. Chociaż nie rozpoznawał innych uczestników tej kolędniczo-teatralnej grupy, był pewny, że wszyscy oni pracują jako murarze, cieśle czy robotnicy na budowie, a w wolnych chwilach zajmują się występami i budową szopek sprzedawanych potem jako gwiazdkowe prezenty pod choinkę. Sam w ubiegłym roku nabył jedną dla matki, z czego hrabina Michałowska było niezwykle rada, zaskakując tym Juliana.

Przez kolejną godzinę z niewielkim okładem oglądali z zaciekawieniem przedstawienie opowiadające o narodzinach Pana. Tekstom towarzyszyła muzyka i kolędy, które, zachęceni przez aktorów amatorów, śpiewali wspólnie z nimi.

Zaraz po zakończeniu jasełek gospodyni ponownie zaprosiła gości do jadalni, gdzie czekały już ciasta oraz owoce i bakalie. Popijając kawę i aromatyczną czarną herbatę, towarzystwo dobrało się w pary, konwersując cicho, tak aby nie przeszkadzać innym. Jan Schramm zaszył się z hrabią Michałowskim w kącie tuż pod oknem. Debatowali o budowie cukrowni i kosztach, jakie już poniesiono, a jakich jeszcze trzeba się spodziewać. Tekla Schramm wraz z hrabiną przeszła do salonu, gdzie rozsiadły się wygodnie, oddając się niegroźnym ploteczkom. Stefania siedziała wciąż przy stole, zajadając się piernikiem z polewą czekoladową. Była zmęczona i nie miała ochoty na rozmowy. Najchętniej położyłaby się już do łóżka, lecz z jakiegoś względu nie chciała jeszcze się żegnać. Niedaleko od Stefanii siedzieli Eleonora i Julian. Rozmawiali przyciszonymi głosami. Eleonora opowiadała o praktykach.

– Ostatnio asystowałam z koleżanką lekarzom przy badaniach wenerycznych – mówiąc to, nachyliła się w stronę Juliana, jeszcze bardziej ścisząc głos, tak aby nie dosłyszała jej Stefania.

– Cóż za zbieg okoliczności. – Zaśmiał się Julian. – Edmund zaledwie kilka dni temu przyniósł do kancelarii „Regulamin zachowania prostytutek”. – Dopiero kiedy z jego ust padło ostatnie słowo, zmitygował się, że nie powinien tego tematu poruszać z Eleonorą, a już tym bardziej na przyjęciu świątecznym.

– Regulamin? – zapytała Eleonora, czerwieniąc się nieco, ale na jej twarzy pojawiło się wyraźne zainteresowanie, którego Julian nie mógł zignorować. Tymczasem dziewczyna z jednej strony czuła się zawstydzona, lecz z drugiej wmawiała sobie, że nie powinna się rumienić, rozmawiając o rzeczach ludzkich, bo przecież nic, co ludzkie, nie powinno jej być obce, zwłaszcza że zamierzała zostać pielęgniarką. Nie było tu miejsca na fałszywą skromność, a już tym bardziej na pruderię, z którą obnosiła się jej matka. „*À propos* matki”, pomyślała Eleonora, rozglądając się po jadalni w poszukiwaniu Tekli Schrammowej. Matka byłaby gotowa zemdleć, a następnie dostać spazmów, gdyby usłyszała, o czym rozmawia jej starsza córka. Na dodatek z mężczyzną.

– Nie inaczej – mówił Julian. – Też byłem zdziwiony, ale władze wyszły z założenia, że skoro walka z nierzędem jest niczym walka z wiatrakami, lepiej jest zapobiegać roznoszeniu chorób, które lekarze muszą później leczyć, niż nic nie robić i narażać mieszkańców na zarażenie. W takich przypadkach nie ma co udawać, że przedstawicielki najstarszego zawodu świata nie pracują i nie mieszkają w mieście. Takie podejście byłoby lekkomyślne.

– Więc skoro czegoś nie można zwalczyć, zakazać lub unicestwić, należy wyjść temu naprzeciw – podsumowała Eleonora.

– Przypuszczam, że już niebawem będziecie nie tylko leczyć choroby weneryczne, ale także sprawdzać stan zdrowia pań, które świadczą wiadome usługi. W regulaminie stoi bowiem, i to w pierwszym punkcie, że są one zobowiązane do sprawdzania stanu zdrowia. – Eleonora pokiwała głową ze zrozumieniem, a potem zaczerwieniła się na samą myśl, że Julian mógłby korzystać z usług

prostytutki. Rzecz ta była tak niepokojąca, że ostatkiem sił powstrzymała się, aby o to nie zapytać.

Julian najwyraźniej nie zauważył zmiany w jej nastroju. Nadal opowiadał o regulaminie, opisując punkty, które się w nim znalazły.

– Nie wolno im zdradzać tajemnic klientów. Jeżeli mężczyzna korzysta z usług damy lekkich obyczajów, może być pewny, że nic nie wyjdzie poza ściany pokoju, w którym odbywają się swawole i harce. Niczym u księdza na spowiedzi. – Zaśmiał się cicho, ale od razu spoważniał. – Jedno cieszy mnie najbardziej w tym całym regulaminie. Nie wolno tym kobietom trzymać u siebie dzieci, a jeżeli któraś już ma własne pociechy, musi urządzić mieszkanie, w którym przyjmuje mężczyzn, tak, aby dziecko nie było narażone na zgorzenie.

Eleonora słuchała jednym uchem, ponieważ w jej umyśle zaległa się niewygodna myśl, że Julian korzysta z usług prostytutek. Czy miałyby prawo złościć się na niego, gdyby tak było? Dzięki studiom i praktykom oraz wcześniejszym korepetycjom z anatomii, a także przeglądaniu stosownych podręczników, jakie znajdowały się w zbiorach wuja Władysława, i wbrew temu, co sądziła matka, Eleonora знаła budowę kobiety i mężczyzny oraz potrzeby fizyczne, zwłaszcza płci przeciwnej. Julian był młody, przystojny i zapewne miał kochanki. Napomniała się szybko, że nie powinna o tym myśleć, lecz niepokój, że tak właśnie było, a może i jest obecnie, bo przecież nie są po słowie ani nawet nie rozmawiali o tym, co ich łączy, oprócz tego jednego razu po wizycie w teatrze, nie dawał jej spokoju. Żeby się uwolnić od natrętnych, niestosownych obrazów przedstawiających Juliana w objęciach obficie obdarzonych przez naturę kobiet, zagadnęła go o plany na kolejne dni.

– Chciałbym zaprosić cię do Cukierni Lwowskiej, gdzie ma się odbyć przedstawienie kabaretu Zielony Balonik.

– To cudowne! Zobaczyć występ Zielonego Balonika! Zawsze chciałam posłuchać ich szopki, tylko że bez stosownego zaproszenia nie mogłam uczestniczyć w przedstawieniu.

– Ja dotąd też nie, ale mam znajomego, który należy do elitarnego grona szczęśliwców zapraszanych co roku na szopkę bożonarodzeniową. Pewnie wybrałby się i tym razem, ale jakieś kłopoty rodzinne mu w tym przeszkodziły. Zapytał mnie raptem, czy nie zechciałbym pójść. Byłbym głupcem, gdybym nie skorzystał z takiej okazji.

– Raz jeden byłam tam, w cukierni. Zaprosił mnie wuj Władysław. Już nie pamiętam, czy była ku temu specjalna okazja, czy po prostu mieliśmy ochotę na coś wykwintnego. Jakież te meble są piękne. – Zachwycała się Eleonora, wspominając wystrój wnętrza lokalu przy ulicy Floriańskiej. – Te zielone obicia, których nigdzie indziej nie zobaczysz. Te wspaniałe witraże, które tworzą wyjątkową atmosferę. Freski, lamperie, rysunki i niezliczone karykatury, pięknie oświetlone mosiężnymi kinkietami. To niezwykle miejsce, a odkąd odbywają się w nim spektakle kabaretu, jeszcze zyskało na elitarności.

– Ich teksty są dosadne, czasami mocno przerysowane, a jednak trudno się z nimi nie zgodzić, prawda? – zagadnął Julian.

– „Fatalny naszych czasów znak – zaczęła nucić Eleonora – niemiłą staje się ojczyzna: ta wzrastająca dziś drożyzna jest najstraszliwszą z wszystkich plag”... – urwała, widząc uśmiech na ustach Juliana. – Czasami coś przedostaje się do szerszej publiczności.

– „Kochany panie, co za cios – podjął Julian. – Okropnie mnie doświadczył los, albowiem od jutrzejszego dnia zamiast guldenu zapłacisz dwa”. – Kiedy skończył, Eleonora zaczęła bić brawo.

Rozmawiali jeszcze chwilę, zanim Józefa Michałowska dała sygnał do pożegnania. Podziękowaniom za mile spędzony czas oraz wykwintne jedzenie nie było końca. Wreszcie towarzystwo zaczęło się z wolna rozchodzić, radując Stefanię, która udała się wprost do łóżka, nie bacząc na uwagi matki o braku wieczornej toalety, i smucąc Eleonorę, która najchętniej w dalszym ciągu prowadziłyby rozmowę z Julianem.

– Spotkamy się niebawem – szepnęła, całując jej dłoń.

„Niebawem”, pomyślała i udała się w ślad za siostrą.

\* Tekst ślubowania Florence Nightingale opracowany w 1893 roku, <http://www.wmppp.org.pl/pl/symbole-pielegniarskie/%C5%9Blubowanie.html> (dostęp: 12.11.2019).

## Rozdział 8

– Ach, mówię ci, Leokadio, to było straszne. – Tekla Schramm wpadła w swój zwyczajowy, egzaltowany ton, który rodzinie i bliższym znajomym był aż nazbyt dobrze znany. Od jakiejś godziny gościła u siebie bratową, którą zaprosiła na przedpołudniową herbatkę, żeby podzielić się bardzo złą wiadomością. – Jak tylko zaczął się nowy rok, powiedziałam Janowi, że ta trzynastka nie zapowiada nic dobrego. I moje słowa się sprawdziły. Rok dziewięćset trzynasty jeszcze na dobre się nie rozgościł w kalendarzu, a tu już nieszczęście. Kiedy przysłali umyślnego z informacją, że Jan jest w szpitalu, niechybnie upadłabym zemdlna, gdyby nie Franciszek. Zanim wysłuchałam stojącego w drzwiach młodzieńca, musiałam się na chwilę położyć. Myślałam, że ten głupiec, oczywiście mowa o Janie, a nie tym Bogu ducha winnym gońcu, niczym jakiś nieokrzesany młodzieniaszek wdał się w jakiś pojedynek, ale potem przyszło otrzeźwienie. Jan nigdy się nie pojedynkował. Nawet jako kawaler. W końcu, kiedy doszłam już do siebie, wysłuchałam posłańca. Okazało się, że Janowi zachciało się galopować na koniu, a że nie jeździł już ze dwie dekady, zapomniał, jak należy postępować z narowistym ogierem. To się ponoć stało w okamgnieniu. Żaden z bardziej doświadczonych jeźdźców nie zdążył zareagować. Koń stanął dęba, wysadzając Jana z siodła. Mój szanowny małżonek, jak powiedział jeden z uczestników polowania, leciał niczym wystrzelony z katapulty. Upadł tak niefortunnie, że nawet w zamieszaniu, jakie wówczas powstało, słyhać było trzask pękającej kości, która... – Tekla Schramm przerwała na chwilę. Sięgnęła po leżący na stoliczku wachlarz, z którym od jakiegoś czasu się nie rozstawała, i dopiero po dłuższej przerwie podjęła wątek. – Która przerwała mięśnie i skórę, wylazłszy na wierzch niczym szydło z worka. Mój Jan krzyczał jak opętany, ale nikt nie miał mu tego za złe.

– Na Boga, to straszne. – Leokadia Bobrzyńska westchnęła głośno. – Jak ten biedak się teraz czuje? Czy nadal jest w szpitalu?

– Pewnie jeszcze jakiś czas tam pobędzie. Konieczna była operacja. Leży na... Na... Zapomniałam. Na jakiejś chirurgii.

– Na czerwonej chirurgii? – podsunęła bratowa.

– Tak, właśnie tak wyraziła się Eleonora, która stara się zaglądać do ojca jak najczęściej, co nie jest łatwe, ponieważ biedactwo całe dni spędza albo na nauce w szkole, albo na praktykach. Niebawem egzaminy końcowe, których moja Norcia bardzo się obawia. A wiesz przecież, że kto jak kto, lecz ona nie powinna się o nic martwić. Niejeden lekarz, którego lepiej byłoby nazwać konowalem, jest mniej wyedukowany niż ona. Ale dość już o tak przykrych rzeczach. Nie opowiadałam ci jeszcze o afrontie, do którego doszło na balu u Michałowskich – mówiąc to, Schrammowa ściszyła głos, jakby obawiała się, że ktoś może je podsłuchiwać.

– O czym ty mówisz? Jaki afront? Nic nie wiem. – Leokadia była zaciekawiona i jednocześnie oburzona. Ciekawość nie pozwoliła jej na okazanie obojętności, oburzenie zaś brało się z faktu, że to nie ona przyniosła pikantną zapewne ploteczkę.

– Komendant, wiesz, o kogo chodzi, prawda? – Spojrzała wyczekująco na Leokadię, która po głębszym namyśle skinęła głową. – No więc komendant także został zaproszony na bal. On pasjami uwielbia bale. Może się na nich najeść i napić za darmo. Do woli albo do upadłego, jak rzecz ma się w jego przypadku. – Zaśmiała się cicho, zadowolona z żartu. – Otóż kiedy zaczęły się tańce, okazało się, że będzie postępować w drugiej parze, bo w pierwszej szedł Julian jako syn gospodarza, prowadząc Eleonorę. Komendant tak się rozgniewał, że zaczął krzyczeć, wymachując przy tym zabawnie rękami, że to zniewaga. Mówił tak głośno, że nawet orkiestra nie zdołała go zagłuszyć. Zrobił się czerwony z oburzenia, widziałam nawet, że moja Eleonora stanęła w oczekiwaniu. Potem, kiedy ją o to zapytałam, odpowiedziała, że gdyby dostał jakiejś palpacji czy czegoś tam, próbowałaby udzielić mu pierwszej pomocy.

– I co? Pozwolono mu postąpić w pierwszej parze?

– A skąd! – zakrzyknęła Tekla. – Nikt nawet nie kwapił się do takiego pomysłu. Zresztą komendant po chwili obrócił się na pięcie i wyszedł. Zanim jednak na dobre opuścił majątek

Michałowskich, zapewnił ich, że jego noga nigdy więcej u nich nie postanie. A że stałam blisko Juliana i Eleonory, usłyszałam, jak syn hrabiego przyjął tę deklarację z wielką ulgą.

Jeszcze jakiś czas Tekla opowiadała o balu. O strojach, potrawach, jakie zaserwowano, o Józefie Michałowskiej, opisując ją jako kobietę dumną i wyniosłą. Nie byłaby sobą, gdyby nie opowiedziała o Eleonorze i Julianie, którzy zatańczyli ze sobą aż cztery razy.

– Cztery razy. Zapewniam cię, że gdyby to miało miejsce jeszcze jakieś dziesięć lat temu, byłby niezły skandal. Wówczas takie jawne okazywanie pannie zainteresowania było nie do pomyślenia. Ale cóż, kiedy chciałam Eleonorze zwrócić uwagę, że to nie wypada, roześmiała się tylko i powiedziała, żebym otworzyła oczy, bo kobiety już dawno przestały przejmować się konwenansami.

– Eleonora zawsze miała swoje zdanie na każdy temat.

– Owszem, i na Boga, czy wiesz, że ona zapisała się do jakiegoś kółka emancypantek? Nic więcej nie wiem, bo nie chciała o tym powiedzieć nawet ojcu.

– Powinnaś ją popierać. Zresztą nie tylko ją, ale wiele tych odważnych kobiet, które walczą w imieniu nas wszystkich.

– Leokadio, zadziwiasz mnie. Czyżbyś uważała, że one robią coś dobrego?

– Myślę, że tak, ale wiem, że w tej kwestii nie podzielasz mojego zdania.

– Oczywiście, że nie podzielam. I nie popieram także postawy Nory, lecz cóż mogę począć. Jeżeli jej czymś zagrozę, gotowa się wyprowadzić z domu. Do was zapewne.

Leokadia nie odpowiedziała na tę zaczepkę. Była jednak przekonana, że tak właśnie by się stało. I nie miałyby nic przeciwko, bo kochała tę dziewczynę jak własną córkę.

\*\*\*

Pogoda nie nastrojała do spacerów, lecz pomimo zimnego wiatru i zacinającego od czasu do czasu deszczu ze śniegiem Eleonora w towarzystwie Marty Kwiatkowskiej, z którą zaprzyjaźniła się zaraz na początku nauki w szkole pielęgniarskiej, ruszyła dziarsko z czerwonej chirurgii, gdzie niecałe pół godziny wcześniej skończyła praktykę, w stronę ulicy Wolskiej.

Dziewczęta zmierzały do gmachu Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół”, gdzie miało się niebawem odbyć zebranie kandydatek chcących przystąpić do Koła Kobiet. Osłaniając się parasolkami przed uderzającym w twarz lodowatym deszczem, szybkim krokiem przecięły Planty, skręcając w ulicę Dominikańską. Chociaż Eleonora od zawsze mieszkała w Krakowie, uwielbiała spacerować po mieście i oddychać jego niepowtarzalną atmosferą. Nie zaliczała się do obieżyswiatów, bo po prawdzie poza rodzinnym miastem była tylko kilka razy nad Bałtykiem, ale pomimo to miała dziwne przeczucie, że żadne inne miasto nie ma tego nieuchwytnego, niesamowitego ducha, który przenika domy, ulice, ludzi i całą okolicę. Za to właśnie tak bardzo kochała Kraków.

– Aż trudno uwierzyć, że jeszcze wczoraj świeciło słońce i było nieprzyzwoicie ciepło – rzuciła Marta, zerkając spod parasola.

– Moja pokojówka zawsze powtarza, że kwiecień plecień, bo przeplata, trochę zimy, trochę lata – odparła Eleonora, chowając głowę w postawiony kołnierz płaszcza.

Zamilkły, przyspieszając nieco kroku. Szybki spacer je rozgrzał, a poza tym miały świadomość, że jeżeli się nie postarają, to niechybnie się spóźnią, a obie uważały, że przyjście po umówionym czasie stwarza nie tylko złe wrażenie, ale jest także wyrazem braku szacunku dla innych.

W końcu ujrzały przed sobą pałac Potulickich, gdzie mieściło się Towarzystwo Jeździeckie oraz Kasyno Końskie, do którego ojciec Eleonory chętnie zaglądał. To tam zaprzyjaźnił się z miłośnikami jazdy konnej i polowań, z którymi udał się na ostatnią, tak niefortunnie dla niego zakończoną wyprawę.

Dalej już prawie w biegu minęły ukończoną niecałą dekadę temu piękną secesyjną kamienicę, którą zaprojektował nie kto inny jak Benjamin Torbe, mający na swoim koncie inne fascynujące krakowskie budynki.

– Wiesz, że to ponoć setna kamienica Torbego? – zagadnęła Eleonora. Dowiedziała się tego od Juliana, kiedy pewnego grudniowego popołudnia, ciesząc się przedświąteczną atmosferą, spacerowali po mieście.



– Doprawdy? – wykrzyknęła Marta, lecz nie dodała nic poza tym, skupiając się bardziej na utrzymaniu szybkiego tempa niż podtrzymaniu konwersacji.

Eleonora westchnęła, oddychając głęboko. Bolały ją stopy i czuła, jak po plecach ścieka jej wąska strużka potu. Była wykończona i sapała jak parowóz, a przecież dopiero miały pałac Czapskich.

– Muszę odpocząć – powiedziała, zatrzymując się na wysokości budynku Drukarni Związkowej przy Wolskiej 19. Marta przystanęła bez sprzeciwu. Otworzyła usta, łapczywie wciągając powietrze. – Jeszcze tylko parę domów i już będziemy.

Eleonora uśmiechnęła się do przyjaciółki. Faktycznie na wyciągnięcie ręki był pałacyk Ostaszewskich, a potem gmach towarzystwa, do którego zmierzały.

Wreszcie stanęły przed budynkiem „Sokoła”. Spotkanie miało się odbyć w sali gimnastycznej. Kiedy weszły do środka, napotkały ciekawskie spojrzenia innych uczestniczek. Eleonora jednak, zamiast przyglądać się dziewczętom, zadarła głowę, podziwiając wysokie okna, które oświetlały salę.

– Piękne, prawda? – Eleonora spojrzała na brunetkę, która podeszła do niej i Marty. – Mówię o ornamencie na suficie, który stworzył Antoni Tuch. – Widząc pytanie we wzroku Eleonory, dodała gwoli wyjaśnienia: – Przepraszam za brak manier. Jestem Gabriela Grabowska, kuzynka Stanisława Gabriela Żeleńskiego, który jest właścicielem Zakładu Witrażów. Kuzyn znał Antoniego. – Podeszła do dziewcząt bliżej i ściszyła głos, jakby to, co miała zaraz powiedzieć, było zakazane i nieodpowiednie dla damskich uszu. – Sztuka jest moją pasją – mówiąc to, położyła dłoń na piersi, podkreślając swoją miłość do niej. – Stanisław pozwala mi przesiadywać w pracowni, chociaż swoim gadulstwem i ciekawością okropnie mu przeszkadzam. Kochany Staś jest jednak cierpliwy i wyrozumiały. On pracuje, a ja mu przeszkadzam, wypytując go o to i owo. Stąd wiem, kto popełnił te wspaniałe ornamenty.

– Rzeczywiście są rzadkiej urody. O, a tam! – Eleonora podniosła rękę, wskazując na pas z cytatami z Mickiewicza. – A ten drugi napis: „Ze słabością łamać uczmy się za młodu. Razem młodzi przyjaciele – w szczęściu wspólnem wszystkich cele. Wspólna moc zdoła tylko nas ocalić oraz odwaga, siła, wytrwałość, równość, męstwo, dzielność, karność, sokoli lot”, to też cytat? – zapytała Eleonora, spoglądając na nowo poznaną dziewczynę.

– To sokole hasło. Ale chodźmy już. Zebranie zaraz się zacznie.

Pod rękę z Martą Eleonora ruszyła za Gabrielą, dołączając do pozostałych panien oczekujących na wystąpienie przewodniczącej Koła Kobiet.

– Usiądźcie. – Wanda Popławska wyszła na przód zgromadzonych i nie bacząc na odzienie, jakie miała na sobie, usiadła na podłodze sali gimnastycznej. Dziewczęta poszły za jej przykładem. – Nie ma potrzeby, żebyśmy stały. – Uśmiechnęła się szczerze, zdobywając sympatię Eleonory i rozpraszając jej obawy, które ta dusiła w sobie przez całą drogę. – Dziękuję, że skorzystałyście z zaproszenia waszych koleżanek i zdecydowałyście się przyjść tu dzisiaj. Może będę się powtarzać, może już to wiecie, ale chciałabym przedstawić wam nasze cele. Jednym z najważniejszych jest zwerbowanie jak największej liczby ochotniczek. Kolejnym jest działalność propagandowa, a mówiąc tak, mam na myśli działania związane z pozyskiwaniem funduszy dla Polskiego Skarbu Wojskowego. Oczywiście w sferze naszych zainteresowań pozostaje także walka o równouprawnienie kobiet. Organizowanie wieców, apelów, pisanie odezw i ulotek, które mają trafić do jak największej liczby kobiet i przekonać je, że nasza praca to nie tylko fanaberie niewiast niemających co zrobić z wolnym czasem, ale praca, która kiedyś przyniesie wymierne korzyści naszym córkom i kolejnym pokoleniom. Od jakiegoś czasu rozważamy możliwość uczestniczenia w manewrach i ćwiczeniach, tak abyśmy w każdej chwili potrafiły utworzyć patrole wywiadowcze, sanitarne czy po prostu podjąć się zadania gotowania w polu. – Wanda mówiła z pasją, a każde kolejne słowo tej niesamowitej kobiety zapadało głęboko w umyśle Eleonory, która słuchała Popławskiej z wypiekami na twarzy.

Była podekscytowana wizją ćwiczeń. Wizją patrolu sanitarnego, w którym pragnęłaby się znaleźć. Tak bardzo chciała się z kimś podzielić swoją decyzją, obawiała się jednak, że nawet przychylnie nastawiony do ruchu sufrażystek i feministek wuj Władysław czy Julian nie byłiby zadowoleni, gdyby powiedziała im, że zamierza ćwiczyć się niczym żołnierz. A tego właśnie chciała.

Widziała się w oddziałach sanitarnych. W końcu niedługo stanie się pełnoprawną pielęgniarką. Pomyślała, że gdyby tylko mogła wykorzystać swoją wiedzę i umiejętności na prawdziwym polu walki, jej nauka miałaby głębszy, wymierny sens, i postanowiła, że jeszcze bardziej, o ile w ogóle było to możliwe, będzie przykładać się do praktyk.

– Moje drogie. – Donośny głos Popławskiej wyrwał Eleonorę z zamyślenia. – Pod koniec kwietnia, a może na początku maja, jeszcze nie ustaliliśmy dokładnej daty, odbędą się drugie ćwiczenia. Pierwsze, jak niektóre z was wiedzą, bo miały przyjemność w nich uczestniczyć, były na początku marca. Mam nadzieję, że wszystkie stawicie się na polu ćwiczebnym, kiedy nadejdzie pora.

Dziewczęta jednym głosem potwierdziły swoją gotowość do odbycia służby. Nie tylko Eleonora była pełna zapału. Inne dziewczyny siedzące na zimnej posadzce sali gimnastycznej gmachu „Sokoła”, podobnie jak starsza latorośl Schrammów, marzyły o wielkich zadaniach i trudnościach, z jakimi przyjdzie im się zmierzyć.

\*\*\*

Jan Schramm zerknął na zegarek. Do godziny ósmej wieczorem, kiedy to apteki kończyły dyżur dzienny, zostało jeszcze sporo czasu, a że pogoda była zachęcająca, co stwierdził, wyglądając przez okno swojego gabinetu, postanowił się przespacerować. Na Zwierzyniecką, pod jedenastkę, nie było zresztą daleko. Kiedyś pasjami lubił spacerować, lecz od kiedy złamana noga nie dawała mu spokoju, starał się wykorzystać każdą nadarżającą się okazję, gdy ból był mniejszy i z łatwością mógł o nim zapomnieć. Po wizycie na Zwierzynieckiej miał zamiar udać się na Bernardyńską. Nie zamierzał dziś wracać do domu zbyt wcześnie. Zresztą wychodząc rano do banku, zapowiedział Tekli, żeby na niego nie czekała.

– Wrócę późno, więc nie czekajcie na mnie z kolacją. – Podeszedł do stojącej w progu salonu małżonki i złożył na jej chłodnym zafrasowanym czole pożegnalny pocałunek.

– Zdecydowanie za bardzo się forsujesz. Wprawdzie od wypadku minęło już sporo czasu, ale lekarz odradzał ci zbytnie nadwyrężanie organizmu.

– Kochanie, złamałem nogę, a nie kark. – Uśmiechając się przymilnie, raz jeszcze pocałował ją w czoło i nie dając dalszej sposobności do narzekań, zamknął drzwi i tyle go widzieli.

Wcale nie zamierzał się przemęczać. Jakiś czas temu znalazł doskonały sposób na odprężenie i zrelaksowanie umęczonego bólem ciała oraz przemęczonego nadmierną pracą umysłu. I pomyśleć, że wszystko dzięki aptekarzowi, którego polecił mu jeden z klientów banku, z którym notabene miał przyjemność spotykać się nie tylko podczas rozmów o finansach i ich inwestowaniu, ale także na gruncie towarzyskim, gdzie mogli omawiać sprawy całkowicie odbiegające od męczących zagadnień ekonomicznych.

Jan Schramm zamknął drzwi swojego gabinetu i wolno, opierając się na lasce z ozdobną srebrną rączką, zszedł wyściełanymi dywanem schodami wprost do sali operacyjnej banku, w której wciąż jeszcze sprawy załatwiali klienci obsługiwani przez uprzejmych, zawsze chętnych do pomocy pracowników. Skinął głową na pożegnanie, po czym opuścił budynek, korzystając z wyjścia od ulicy Brackiej.

Zaczerpnął świeżego powietrza. Uśmiechnął się na myśl o czekających go przyjemnościach i nałożywszy kapelusz, który niedawno dostarczono mu z pracowni Schwarza, na co Tekla z politowaniem pokiwała głową, ruszył w stronę kamienicy na Zwierzynieckiej. Mieściła się tam apteka „Pod 11-stką”, w której od dłuższego czasu zaopatrywał się w środki uśmierzające ból. Nie chcąc martwić Tekli, na pytania małżonki, czy z nogą wszystko w porządku, zawsze odpowiadał twierdząco z szerokim uśmiechem na twarzy. Za dobrze znał swoją połowicę, aby zdobyć się na wyznanie prawdy, że cierpi. Tekla prowadziłaby go po wszystkich doktorach, zaciągnęłaby go do każdego poleconego znachora, a na koniec zorganizowałaby seans spirytystyczny, mając nadzieję, że uda się wypędzić złe emocje z jego ciała. Nie miał siły i ochoty, aby zmagać się z pomysłami Tekli, dlatego dla świętego spokoju utrzymywał ją w przekonaniu, że czuje się wyśmienicie i w zasadzie dzięki małej pomocy aptekarza i właściciela lokalu na Bernardyńskiej, którego swego czasu poznał w kasynie, a do którego dziś także zamierzał zajrzeć, tak właśnie było.

Jan Schramm był tak zaaferowany własnymi myślami, że nie zwrócił uwagi na młodego mężczyznę idącego w ślad za nim, który zresztą nie po raz pierwszy towarzyszył bankierowi w wyprawach na miasto. Młodzieniec miał nie lada wprawę, wtapiając się w otoczenie i między innych przechodniów tak, że idąc tuż za Schrammem, nie wzbudzał jego podejrzeń. Obserwował bankiera od paru tygodni. Znał na pamięć rozkład jego dnia i wieczoru.

Wczesnym rankiem właściciel banku, którego siedziba mieściła się w kamienicy Pod Ewangelistami, zjawiał się w swoim gabinecie, gdzie przez kolejne godziny przyjmował interesantów. Około południa udawał się na obiad do domu, tam spędzał nieco ponad dwie godziny. Po tym czasie ponownie udawał się do banku, który opuszczał wieczorem. Co drugi dzień kazał się wieźć na Bernardyńską, do kamienicy pod numerem ósmym. Dwa razy w ciągu tych dwóch tygodni umówił się w aptecę „Pod 11-stką” na Zwierzynieckiej, tak jak dziś. W pozostałe wieczory wracał do domu.

\*\*\*

Tekla Schramm wskazała swojemu długo wyczekiwanemu gościowi miejsce w gabinecie Jana po drugiej stronie ogromnego rzeźbionego biurka, za którym Jan uwielbiał zasiadać, pracując w ciszy i skupieniu.

W pierwszym odruchu chciała zaprosić gościa do swojego pokoju, który nie przypominał wprawdzie typowego buduaru, lecz nosił wyraźne ślady kobiecej ręki. Po głębszym zastanowieniu zdecydowała jednak, że odpowiedniejszym miejscem do załatwienia interesów jest gabinet.

Pomieszczenie miało na wskroś męski charakter. Biblioteczne regały sięgające aż do sufitu wykonano z dębowego drewna. Głębokie, wygodne fotele obite ciemnozieloną tkaniną ustawiono pod oknami. Na niskim stoliku pomiędzy siedziskami leżały książki i gazety. Stała tam także popielniczka, na której Tekla z wielkim pietyzmem ułożyła lufkę mającą świadczyć, że pani domu nie stroni od tytoniu, który zdobywał coraz większe rzesze zwolenniczek, chociaż palenie papierosów przez kobiety było uważane za niestosowne. Pewnie Eleonora miałaby na ten temat swoje zdanie i nie omieszkałaby wytknąć matce, że będąc przeciwniczką feministek, jednak wykorzystuje ich sposób bycia do uzyskania odpowiedniego wrażenia.

Ściany gabinetu wyłożono welurową tapetą w odcieniu głębokiej zieleni, dzięki czemu osoby przebywające w pokoju czuły się komfortowo.

– Długo kazał pan na siebie czekać. – Tekla zmierzyła gościa surowym wzrokiem. Od dłuższego czasu czekała na wieści od niego, co tylko potęgowało jej rozdrażnienie, którego nie potrafiła ukryć. – Mam nadzieję, że opłaciło się być cierpliwą.

– To już nie mnie oceniać.

– Proszę zatem zdradzić, co udało się panu ustalić, a potem wydam dalsze wskazówki.

– Zapewne doskonale się pani orientuje, że jej mąż to człowiek niezwykle punktualny, skrupulatny i wyjątkowo przewidywalny ze względu na swoje upodobania i nawyki. – Młody człowiek od razu przeszedł do rzeczy. Kilka lat pracy z ludźmi takimi jak Tekla Schramm nauczyło go, że nie lubią niepotrzebnych ozdobników. Są na to zbyt niecierpliwi. Wolał jej nie drażnić długimi opisami. – Chociaż ostatnio rozkład jego dnia uległ zmianie, ponieważ pani mąż zaczął pozwalać sobie na większą swobodę w kwestii opuszczania pracy przed czasem. Jeszcze kilkanaście dni temu pierwszy przychodził do banku i ostatni z niego wychodził. Wszystko zmieniło się w chwili, kiedy w kasynie, do którego zagląda coraz częściej, natknął się na pewnego człowieka, podobnie jak on uskarżającego się na powtarzające się, uciążliwe i przewlekłe bóle. Człowiek ten przekazał panu Schrammowi adres apteki, w której ludzie im podobni, a więc cierpiący, zaopatrują się w specyfiki uśmierzające ból. Apteka znajduje się na Zwierzynieckiej pod numerem 11. Zajrzałem tam swego czasu i nic niestosownego nie wpadło mi w oko. Apteka jak apteka, lecz mając na uwadze, że niektóre specyfiki nie mogą być z pewnych względów sprzedawane w aptecznym okienku, poszedłem tam za szanownym małżonkiem wieczorem. Otóż aptekarz przyjmuje interesantów po zakończonym dyżurze, wpuszczając ich do środka tylnymi drzwiami. Przydybałem chłopaka na posyłki, pracującego dla aptekarza, i za niewielką kwotę na zachętę, żeby rozwiązał mu się język i polepszyła pamięć, wywiedziałem się, że pan Schramm

zaopatruje się tam w kokainę, rzadziej w morfinę, a także specyfiki na bazie maku.

– Uzależnił się zatem – podsumowała Tekla zaskakująco, powiedziec można nawet niepokojąco spokojna. Tylko delikatnie drgający mięsień na policzku oraz lekkie rumieńce mogły świadczyć o mocnym wzburzeniu. Próbowwała się uśmiechnąć, maskując zakłopotanie, ale nie był to uśmiech przyjemny.

– Najwyraźniej uzależnienie postępuje, albowiem w towarzystwie gościa, z którym spotykał się w kasynie, do którego notabene zagląda coraz częściej i zostawia tam coraz większe sumy, co kilka dni odwiedza pewien przybytek. Dwa dni temu na przykład najpierw udał się na Zwierzyńską, potem spotkał się ze znajomym na Bernardyńskiej i stamtąd obaj udali się dorożką na ulicę Krakowską. Woźnicy kazali zatrzymać się zaraz na początku ulicy, pomimo że dom, do którego zmierzali, stoi u jej wylotu. Jest to kamienica podła, obskurna, w której mieszka sama biedota. Dzieci obszarpane i najwyraźniej głodne, bo na widok dwóch dobrze ubranych gości podbiegły do nich z wyciągniętymi rękami. Mikrusy bawiły się na ulicy, taplając się w wielkiej kałuży. Najpierw chciałem trzymać się z tyłu, aby mnie nie zauważono. Na Rynku łatwo wtopić się w tłum i pozostać anonimowym, na ulicy podobnej do Krakowskiej rzecz to niezwykle trudna, gdyż każdy lepiej ubrany od razu rzuca się w oczy. Potem jednak zmieniłem zdanie i ruszyłem otwarcie w ślad za pani mężem i jego towarzyszem, nie kryjąc się wcale. Ba, podążałem dokładnie tam, gdzie oni, mając nadzieję, że dopisze mi szczęście i nie zmierną do miejsca, w którym trzeba wylegitymować się zaproszeniem. Jakież było moje zdziwienie, kiedy okazało się, że w mieszkaniu jednej z tych biednych czynszówek urządzono palarnię opium na modłę londyńską.

– Palarnia opium? Cóż pan powie? – Tekla była autentycznie zdumiona. Słyszała o tego typu przybytkach, ponieważ mąż jej znajomej miał kiedyś przyjemność spędzić w jednym z nich wieczór lub dwa, ale nigdy nie posądzała Jana, że będzie korzystał z ich usług. I to najwyraźniej regularnie.

– Najprawdziwsza. Miałem okazję odwiedzić taką podczas swojego pobytu w Londynie kilka lat temu i muszę powiedzieć, że nasza krakowska w niczym od niej nie odstaje. Skoro więc znalazłem się tam razem z obu paniami, wypadało zasiąść na miękkich poduchach i uraczyć się opiumową kulką. Na wspomnienie niedawnej wizyty w palarni na twarzy przystojnego człowieka siedzącego naprzeciwko Tekli pojawił się uśmiech zadowolenia. Mężczyzna przypomniał sobie to błogie uczucie, które rozlało się po jego ciele po pierwszej wypalanej fajce. Odprężenie poczuł od razu po przekroczeniu przybytku gęstego od opiumowych oparów. Szczelnie zamknięte pomieszczenie, otwierane tylko z konieczności, aby wpuścić lub wypuścić gości, przesiąknięte było narkotykowym dymem. Przez jakiś czas starał się nie przerywać obserwacji. Palił swoją fajkę leniwie, wolno, delektując się nią. Dzięki temu zauważył, że w czasie kiedy on wciąż spalał pierwszą gorącą kulkę opium, Schramm sięgał już po kolejną.

– Najwyraźniej pani mąż nie przychodzi tam po chwilę relaksu, ale po wizje. One są przyjemne, nawet bardzo, i zdecydowanie szybko uzależniają – powiedział, podsumowując swoją relację. Tekla milczała dłuższą chwilę. Czuli się upokorzona i bezsilna i przerażała ją świadomość, że wstydlivy nałóg jej męża niebawem stanie się tajemnicą poliszynele, co z pewnością mogło zaszkodzić jego interesom.

– Spisał się pan znakomicie. To więcej, niż oczekiwałam – skwitowała Tekla chłodno, przesuując w stronę mężczyzny pokazną kopertę. Przez chwilę trzymała ją przed nim, nie zabierając z niej zgrabnej, wypielęgnowanej dłoni. Na środkowym palcu połyskiwał pierścienek z imponującym brylantem, który otrzymała od Jana w dniu oświadczeń.

Wreszcie pchnęła kopertę w jego stronę. Młody człowiek schował ją do wewnętrznej kieszeni płaszcza, nie zaglądając do środka. Podniósł się, skinął swojej gospodyni na pożegnanie i ruszył w stronę wyjścia.

– Mam nadzieję, że więcej się nie spotkamy – dodała Tekla na odchodnym.

Mężczyzna nie odwrócił się, lecz Schrammowa była pewna, że na jego twarzy pojawił się uśmiech zrozumienia.

\*\*\*

– Wiedziałem, że skończysz naukę z najlepszą notą. Nie mogło być inaczej. – Wuj Władysław

przytulił Eleonorę, która znowu zajrzała do Bobrzyńskich, żeby skorzystać ze zbiorów ich pokaźnej biblioteki. – Jakie masz plany, Norciu? – zagadnął po chwili.

– Sama nie wiem. Chciałabym pracować. W końcu po to uczyłam się pilnie przez tyle miesięcy. Chociaż mama lubi czasami insynuować, że zrobiłam to na złość, bo chciała znaleźć mi kandydata na męża i mnie wyswatać, żebym nie daj Boże nie została starą panną. Nie dalej jak wczoraj z troski przypomniała mi, że skończyłam już dwudziesty rok życia i chociaż spotykam się z Julianem, to żadne wiążące słowa z jego strony nie padły, co bardzo ją niepokoi. Podobno nie wypada, żebym tak wciąż włączyła się po mieście z obcym mężczyzną. No i oczywiście dodała, że nie robię się młodsza. Zresztą po co ja to wszystko wujkowi mówię, skoro doskonale zna wuj swoją siostrę. – Eleonora westchnęła głęboko. Chciała jeszcze coś powiedzieć, kiedy usłyszeli odgłos dzwonka, który rozniósł się po całym mieszkaniu.

Chwilę później ciotka Leokadia stanęła w drzwiach, prowadząc ze sobą gościa. W pierwszej chwili Eleonora myślała, że to Kacper Wielowieyski, który swego czasu dawał jej korepetycje z anatomii, ale przypomniała sobie, że Kacper już jakiś czas temu wyjechał do Szwajcarii, żeby studiować na tamtejszym uniwersytecie. Niemniej jednak młody mężczyzna był do jej dawnego korepetytora nieco podobny, lecz z pewnością nie miała okazji spotkać go wcześniej.

– Jesteś. Wejdz. – Wuj wstał i z uśmiechem na twarzy, wyciągając dłoń na powitanie, podszedł do przybyłego. – Eleonoro, pozwól, że ci przedstawię. Dawid Bloch, lekarz chorób dziecięcych. Zaprosiłem go do siebie, wiedząc, że nas odwiedzisz, ponieważ jakiś czas temu podczas spotkania z Dawidem na uczelni opowiedziałem mu o tobie. I ten oto młody mężczyzna chciałby z tobą porozmawiać.

Najwyraźniej Eleonora musiała zrobić nietęgą minę, gdyż Dawid, podchodząc do niej, uśmiechnął się szeroko i nie czekając, aż ona wyciągnie rękę, podał jej dłoń na przywitanie.

– Proszę się nie martwić, nie mam zamiaru prosić panny o rękę. – Eleonora uściśnęła jego dłoń. Spojrzała na niego i kiedy dotarł do niej sens wypowiedzianych przez Dawida słów, wybuchnęła głośnym, serdecznym śmiechem.

– Przepraszam, lecz słowa wuja wprawiły mnie w konsternację. Zapewniam, że nie miałabym tak zszokowanej miny i zapewne tak przerażonej, gdyby chciał pan zapytać, czy zostanę jego żoną. W zasadzie mogłabym nawet rozważyć możliwość akceptacji i powiedzenia „tak”. Jest pan nie tylko miły dla oka, ale zapewne także dobrego charakteru, bo wuj nigdy nie przedstawiłby mi kogoś podłego. Taki mąż jest na wagę złota. Skoro jednak doszliśmy już do porozumienia, że nie przyszedł pan tu w celu matrymonialnym, to proszę wyjawić cel swojej wizyty.

– Wuj uprzedzał, że panna jest nieprzewidywalna. – Dawid zerknął w stronę Bobrzyńskiego, który z uwagą przysłuchiwał się wymianie zdań pomiędzy nim a jego siostrzenicą. – Zastanawiam się, kiedy już pannę poznałem, czy aby nie zmienić powodu, dla którego tu przyszedłem.

– Bądźmy poważni, bardzo proszę, i przejdźmy do rzeczy. – Eleonora nie wyglądała na zachwyconą słowami doktora.

– Usiądźmy – odezwał się profesor.

– Jak już pani wie, jestem lekarzem. Praktykuję pod okiem doktora Mieczysława Kosińskiego w szpitalu ortopedycznym dla dzieci na Filipa. Zajmujemy się tam dziećmi do czternastego roku życia. Chociaż jesteśmy placówką prywatną, nie odmawiamy pomocy także mniej zamożnym pacjentom, a między Bogiem a prawdą przyjmujemy również tych całkiem biednych, ponieważ doktor Kosiński uważa, że dzieci nie są winne temu, w jakim domu się wychowują.

– Znam wasz szpital, chociaż nigdy nie miałam okazji być w środku. Nieopodal odbywały się moje lekcje w szkole pielęgniarskiej. Praktykowałyśmy, niestety, tylko w placówkach państwowych. A postawa doktora Kosińskiego jest godna wielkiej pochwały, bo nieczęsto zdarzają się takie bezinteresowne odruchy – skwitowała Eleonora.

– Słusznie. Niemniej jednak z powodu nawału pracy mamy kłopot z brakiem wykwalifikowanego personelu. Z tego powodu czasami musimy odmówić przyjęcia małego pacjenta. Spotkanie profesora było dla nas zrzędzeniem losu. Kiedy dowiedziałem się o pani, podzieliłem się

swoją wiedzą z doktorem Kosińskim. I jestem tu, żeby zaproponować pani pracę w naszym szpitalu.

Eleonora przyglądała się to Dawidowi, to wujowi, nie wiedząc, co powiedzieć. Ta propozycja spadła jej jak manna z nieba. Wciąż nie mogła uwierzyć we własne szczęście, kiedy głos Dawida wyrwał ją z zadumy.

– Czy pani przyjmie naszą propozycję? Jeszcze dziś mogłaby pani porozmawiać z doktorem Kosińskim i zapewniam, że to tylko czysta formalność. Oczywiście z naszej strony. Wszystko będzie zależec od tego, czy wyrazi pani zgodę na warunki, jakie zostaną jej zaproponowane.

– Chyba wujek rozumie, że muszę się pożegnać i zakończyć wizytę przed czasem, ale przecież czeka mnie najprawdziwsza pierwsza rozmowa o pracę. – Eleonora gwałtownie zerwała się z kanapy, wywołując uśmiech na twarzy Bobrzyńskiego.

Dwie godziny później córka Schramma w towarzystwie Dawida wracała do domu. Kiedy wyszli z budynku szpitala, Dawid chciał wezwać dorożkę, lecz Eleonora wołała spacer.

– Jest tak pięknie, że szkoda marnować każdą minutę. Już niebawem znowu nastaną chłodne, ulewne dni. Przejdźmy się. I skoro będziemy niebawem pracować razem, może przestańmy być tak oficjalni. Eleonora – mówiąc to, podała Dawidowi dłoń, którą on pewnie ujął.

– Dawid – odpowiedział, po czym ruszyli wolno w stronę ulicy Długiej.

– Noro! Noro! – Znajomy głos zatrzymał Eleonorę w miejscu.

Odwróciła się w kierunku, skąd dochodził, i zobaczyła Juliana zmierzającego szybko w jej stronę.

– Dzień dobry, Julianie. Nie przypuszczałam, że dziś się spotkamy. Cóż za niespodzianka!

– Wracałem właśnie do kancelarii ze spotkania z klientem, kiedy z daleka zobaczyłem cię w drzwiach szpitala. Mam samochód tu w pobliżu. Pojedziesz ze mną? – Julian patrzył cały czas na Eleonorę, ignorując młodego mężczyznę, który najwyraźniej jej towarzyszył.

– Cóż za gapa ze mnie. – Zreflektowała się Eleonora, spoglądając to na Dawida, to na Juliana, którzy wreszcie zmierzili się wzrokiem. – Wybaczcie, panowie, to *faux pas*. Julianie, to jest doktor Dawid Bloch, dzięki niemu wracam właśnie z pierwszej rozmowy o pracę, którą z radością przyjąłem. Od przyszłego tygodnia zacznę w tutejszym szpitalu.

– Gratuluję. – Julian pochylił się i złożył na policzku Eleonory pocałunek. Miał nadzieję, że ten gest da stojącemu obok niej kawalerowi do myślenia. Żałował, że nie miał kwiatów. Postanowił, że szybko to nadrobi, zapraszając Eleonorę na spacer, oczywiście za przyzwoleniem jej rodziców. Jeszcze dziś zamierzał wysłać umyślnego z zapytaniem.

– Dawidzie, a to jest mój przyjaciel, Julian hrabia Michałowski, prawnik. – Julian wyciągnął dłoń na powitanie. Miał nadzieję, że ani Eleonora, ani doktor Bloch nie zauważyli, jak skrzywił się na wzmiankę, że jest przyjacielem Eleonory. Nie żeby nim nie był, szkopał w tym, że chciał być kimś więcej niż przyjacielem.

Od dłuższego czasu nosił się z zamiarem szczerego porozmawiania z Eleonorą o tym, co ich łączy. O jakichś rozstrzygających ustaleniach. Widząc, jak doktor spogląda na Eleonorę, zdał sobie sprawę, że nie powinien zwlekać.

– Dziękuję ci za propozycję, ale przejdziemy się. – Słowa Eleonory wyrwały go z zamyślenia. – Pogoda jest tak urzekająca, że szkoda chować się w autach lub dorożkach.

– Jeżeli tak, nie będę przeszkadzał – powiedział Julian. Skłonił się sztywno i skierował w stronę swojego forda.

– Julianie! – zawołała Eleonora. – Mam nadzieję, że niebawem się spotkamy.

– Szybciej, niż ci się wydaje – odpowiedział z uśmiechem, po czym dotknął róna kapelusza i lekkim krokiem odszedł w swoją stronę. Zmienił zdanie. Sam pójdzie dziś do Schrammów.

\*\*\*

Eleonora zaraz po przyjściu zajrzała do ojcowskiego gabinetu, mając nadzieję zastać go nad dokumentami. Było późno i Jan Schramm powinien był już wrócić do domu. Czas przed kolacją zazwyczaj spędzał w ciszy własnego gabinetu, przeglądając umowy i przygotowując oferty dla

interesantów.

Jednakże zamiast pracującego ojca Eleonora zastała w gabinecie pogrążoną w myślach matkę, która ocknęła się z zadumy dopiero wtedy, kiedy córka stanęła obok niej z pytaniem, czy dobrze się czuje. Z ust matki popłynął istny potok słów. Mówiła wzburzona, ciągle się powtarzając, przez co Eleonora nie potrafiła pojąć sensu zdań wypowiedzianych przez rodzicielkę.

– Mamo, o jakich tarapatkach mówisz? Czyżby ojciec miał znów kłopoty ze zdrowiem? – Eleonora z trudem przerwała ten potok słów.

– Gdyby tylko chodziło o jego nogę! – wykrzyknęła Tekla. – Już od dłuższego czasu chodził jakiś przygaszony, zamknięty w sobie, wciąż powtarzał, że pracuje do późna, i pewnie wierzyłabym w te wierutne bzdury nadal, gdyby nie czysty przypadek. Kochana, kłamstwo ma krótkie nogi, zapamiętaj to sobie. Zawsze wyjdzie na wierzch jak szydło z worka. Jakiś czas temu odwiedziła mnie Leokadia i ni z tego, ni z owego zagaduje mnie, jakichże to klientów może mieć Jan na Krakowskiej, bo widziała go tam, kiedy odwiedzała chorą kucharkę, która gotowała u nich do tej pory.

– Mamo, nie dzielmy ludzi ze względu na miejsce, w którym mieszkają. Każdy ma prawo korzystać z banku. To nie grzech mieszkać na Krakowskiej.

– Oczywiście, że nie grzech. Na Boga, dziecko drogie, kiedy zapytałam ojca, co tam porabiał, i to w godzinach wieczornych, gdy powinien wracać do domu, spłonił się jak niewinna panna całowana pierwszy raz, i to ukradkiem. No i, rzecz jasna, coś tam mówił o spacerowaniu. Ale za długo jesteśmy małżeństwem, abym nie wiedziała, że kłamie albo co najmniej kluczy w zeznaniach. Wiedziałam, że jeśli go przyprę do muru, zamknie się jak małż w skorupie. Postanowiłam działać inaczej. Zatrudniłam detektywa. Boże, zniósłabym wszystko, nawet gdyby twój ojciec miał kochankę. Toż to mniejszy wstyd od tego, czego się dowiedziałam. Twój ojciec chodzi tam do palarni opium. Boże, o Boże! – Tekla Schramm złapała się za serce, sapiąc głośno. Na sam dźwięk słowa „palarnia” dostawała spazmów.

– Ojciec jest uzależniony od opium? – Eleonora spojrzała na matkę, jakby chciała się upewnić, że dobrze usłyszała.

– Żeby tylko. Ten detektyw był wart swojej ceny. Okazuje się, że ojciec zachodzi do jakiejś podejrzananej moim zdaniem apteki, gdzie kupuje morfinę. Przypuszczam, że to z powodu nogi. Cierpi biedaczysko, ale kiedy pytałam, czy dobrze się czuje, z uśmiechem na twarzy odpowiadał, że niczym nowo narodzony. Kłamca, kłamca. Za jakie grzechy mam dźwigać ten wstyd na barkach? Pewnie już wszyscy w mieście wiedzą.

– Ojciec morfinistą? – Eleonora wydawała się nie słuchać matki, wstrząśnięta jej rewelacjami. Nie była naiwną dziewczuszką i doskonale wiedziała, że używka ta jest bardzo popularna, szczególnie wśród artystów i krakowskiej bohemy, ale żeby wśród bankierów? Szybko się jednak zreflektowała. Pomyślała, że nie ma prawa osądzać ojca. Sama przecież chętnie sięgała po absynt, ciesząc się jego działaniem rozluźniającym ciało i umysł. „Zielona wróżka” dodawała jej odwagi. Może mamiała, może łudziła, lecz chociaż przez chwilę Eleonora czuła się kobietą, jaką chciała być. Silną, samodzielną, a jednocześnie uwodzicielską i pociągającą. Tylko pod wpływem absyntu miała odwagę przyznać sama przed sobą, że potrzebuje męskiego zainteresowania. Że pełne podziwu spojrzenia przystojnych mężczyzn łechcą jej próżność i dodają skrzydeł. Rozumiała ojca, który w opium szukał zapewne tego, co ona znalazła w absyncie.

– Czy słyszałaś, co powiedziałam? – Ostry jak brzytwa głos matki przywrócił Eleonorę do rzeczywistości. – Mało tego. Dowiedziałam się, że klienci zaczynają opuszczać nasz bank. Ponoć tylko w ubiegłym tygodniu czterech wieloletnich interesantów przyszło, żeby ze skutkiem natychmiastowym, nie bacząc nawet na ewentualne straty, wycofać swoje poręczenia, wkłady i zerwać umowy.

– Ale dlaczego? Przecież ojciec nie jest jedynym, który odwiedza takie miejsca. Czyżby ludzie ci byli aż takimi hipokrytami?

– W jakim ty świecie żyjesz, moje dziecko. Otóż po mieście zaczęła krążyć plotka, którą przekazał mi detektyw. Zresztą nie tylko on. Przez przypadek podsłuchałam wczoraj naszą pokojówkę,

jak w kuchni szeptała do kucharki, że ojciec jest uzależniony nie tylko od opium i morfiny, na które przeznaczają niebotyczne kwoty, lecz także od hazardu. Klienci banku mogą się obawiać, że człowiek, któremu powierzają oszczędności całego życia, a nawet poprzednich pokoleń, nie panuje nad własnym umysłem. Jeżeli ojciec się nie opamięta i nie umknie przed nadciągającą katastrofą, to Bóg mi świadkiem, że pójdziemy z torbami. Wspomnisz moje słowa.

Eleonora chciała coś odpowiedzieć, ale w drzwiach gabinetu pojawił się służący ojca z bilecikim wizytowym.

– Hrabia Michałowski? – przeczytała Tekla, unosząc brwi ze zdziwienia. – U nas? O tej porze? – Zerknęła na zegar, była dokładnie za pięć szósta. – Poprosiłeś go do salonu?

– Oczywiście, jak zawsze, proszę pani – odparł nieco urażonym tonem, ponieważ pytanie Schrammowej sugerowało, że nie zna się na swoich obowiązkach, które wszak wykonywał skrupulatnie od wielu lat.

– Możesz odejść. Albo nie, zaczekaj. – Tekla była wyraźnie rozdrażniona, przez co nie potrafiła się skupić, a brak skupienia w sprawach tak dla niej istotnych jak odpowiednie przyjęcie gościa stanowił nie lada problem. – Zajdź do kuchni i przekaż, żeby przygotowali herbatę i przekąski. Coś słodkiego oraz kanapki. No, idźże już! – Machnęła zdenerwowana, widząc, że służący się nie rusza. Służący wzruszył ramionami i odszedł do kuchni. Tymczasem Tekla spojrzała na córkę. – Znam twoje poglądy na temat małżeństwa, ale na Boga, pomyśl czasami o rodzinie, która stoi na skraju przepaści. Nie unieś się dumą, niezdrowymi poglądami o równouprawnieniu i wolności kobiet, tylko choć raz posłuchaj matki, która ci mówi, żebyś nie odtrącała młodego Michałowskiego.

– Mamo, skąd przyszło ci... – Eleonora chciała coś jeszcze dodać, lecz Tekla przerwała jej w pół słowa.

– Nie udawaj, że nie widzisz jego zainteresowania. Żaden mężczyzna nie poświęca obojętnej kobiecie tyle czasu, ile hrabia poświęca tobie. I nie graj przede mną naiwnej dziewczuszki. Egzaltację zostaw Stefci. Chcesz być świadomą, światową i samostanowiącą o swoim losie kobietą, więc miej odwagę być szczerą wobec samej siebie. – Eleonora odwróciła wzrok, bo matka, niestety, miała rację.

Eleonora doskonale zdawała sobie sprawę, że nie jest Julianowi obojętna, a i on nie był obojętny jej, co dawała mu już nieraz do zrozumienia. Miała nadzieję, że dobrze poznała zapatrywania Juliana na sprawy kobiet. Jak dotąd nigdy nie dał jej odczuć, że walka, którą toczyły sufrażystki, dla niej tak ważna, jest mu niemiła. Wręcz przeciwnie, towarzyszył jej swego czasu podczas pochodu, nie bacząc na to, co ludzie powiedzą. Nie miał jej też za złe, że została członkinią Koła Kobiet, chociaż kręcił nieco nosem, kiedy powiedziała mu, że zamierza wziąć udział w ćwiczeniach polowych. Nigdy jej nie odwoził od chęci podjęcia nauki. Ba, kibicował jej podczas tych dwóch lat oraz zapewniał, że poradzi sobie doskonale jako wykwalifikowana i doskonale wykształcona pielęgniarka. Bywało, że miewał więcej wiary w jej zdolności niż ona sama. Ani przez chwilę nie wątpił, że egzaminy kończące studium okażą się dla niej zwykłą formalnością, co zresztą było zgodne z prawdą. Eleonora zdała z najlepszym wynikiem, a kiedy podzieliła się z nim informacją o pracy, pogratulował jej ze szczerym entuzjazmem.

Takim nastawieniem powoli, ale konsekwentnie zmieniał jej zdanie na temat ewentualnego związku, przed którym broniła się jeszcze trzy lata temu. Wówczas to mówiła ewentualnym spotkaniom stanowczo „nie”, a o małżeństwie nie chciała nawet słyszeć. Najwyraźniej dorosła do zmiany zdania. Przestała być egzaltowaną buntowniczką, a stała się świadomą swoich pragnień i możliwości kobietą, która znajdowała pociechę w adoracji, jakiej nie szczędził jej przystojny hrabia Michałowski.

– Idź więc do salonu i porozmawiaj z Michałowskim. Przepróż go za nieobecność ojca i powiedz, że matka zaraz do was dołączy. Niemniej dam wam nieco swobody. Rozmowa o uczuciach i chęci zacieśnienia luźnego związku jest wystarczająco krępująca, aby na dodatek odbywać ją w obecności osób trzecich. Wiem, co mówię. W końcu sama kiedyś byłam młoda, chociaż czasami mam wrażenie, że od tamtej pory minęły wieki. – Po tych słowach Tekla poklepała dłoń córki i odprawiającym skinieniem wskazała jej drogę do salonu, gdzie od jakichś dziesięciu minut czekał Julian Michałowski.

– Julianie! – Eleonora wkroczyła do pokoju na dziwnie miękkich nogach. Słowa matki nieco ją zaniepokoiły. Sama nie potrafiła dociec, czy niepokój ten związany jest z tym, że Julian przyszedł



porozmawiać o tym, co ich łączy, czy nie daj Boże, przyszedł złożyć tylko kurtuazyjną, nic niewnoszącą do jej życia wizytę. – Cóż za niespodzianka! Nie przypuszczałam, że zobaczymy się tak szybko.

– Przecież ostrzegałem, nieprawdaż? – Pytanie było retoryczne, dlatego Eleonora nie odpowiedziała. Julian podszedł do niej i stanął bardzo blisko. Tak blisko, że poczuła się lekko skrępowana. Uniosła głowę, aby na niego spojrzeć. – Mam nadzieję, że nie gniewasz się na mnie za to najście? Chciałem z tobą porozmawiać i doszedłem do wniosku, że nie mam ochoty już dłużej czekać.

– Rozmawiaj więc ze mną – odpowiedziała, uśmiechając się szeroko. Uśmiech ten miał zatuszować jej niepewność, rozedrganie i oczekiwanie.

– Tęsknię za tobą, kiedy nie ma cię w pobliżu. Kiedy nie widzę cię dłużej niż dzień, dwa, czuję się niepełny i samotny, dlatego starałem się odbierać cię ze szkoły albo ze szpitala, gdzie mieszałaś praktyki. Udawałem, że nasze spotkania są przypadkowe, żebyś nie myślała, że cię osaczam, ale nie mam ochoty dłużej udawać i grać. Pewnie wiesz, że nie jesteś mi obojętna, i ja czuję, że nie jestem obojętny tobie, chyba że źle odebrałem twoje słowa czy gesty. Jeżeli tak było, to powiedz, że się mylę, i skończmy tę zabawę w kotka i myszkę, ponieważ chciałbym postawić sprawę jasno. Pragnę się z tobą spotykać. Chciałbym, żebyś uczyniła mi ten zaszczyt i pozwoliła oficjalnie o ciebie zabiegać. Chyba że nie czujesz do mnie nic poza zwykłą przyjacielską sympatią? – Julian zawiesił głos i czekał niespokojny na odpowiedź Eleonory.

I tym razem Eleonora go zaskoczyła, jak przystało na wyzwoloną pannę, która chciała otwarcie mówić o swoich uczuciach i pragnieniach. Zamiast odpowiedzieć Julianowi na zadane pytanie, przysunęła się do niego jeszcze bliżej, wspięła nieco na palce, zarzuciła mu ręce na szyję, wplotła dłonie w jego gęste, ciemne włosy, a na ustach złożyła głęboki, namiętny pocałunek. Tak go tym zaskoczyła, że w pierwszej chwili stał jak wryty, nie odwzajemniając pieszczoty. Zreflektował się dopiero po chwili. Przygarnął ją do siebie, objął ciasno i ustami zmusił, aby delikatnie rozwarła swoje. Pocałunek był namiętny i zaborczy. Nie tylko Julian pokazywał, jakie emocje nim targają. Eleonora wcale nie była mniej zaangażowana. Westchnął cicho, ciesząc się tą namiętnością, żałując jednocześnie, że nie są sami, a on stara się pozostać dżentelmenem, ponieważ miał ochotę pokazać jej, że całowanie może być doskonałym preludem do większej, przyjemniejszej i mocno zbliżającej dwoje ludzi intymności.

Eleonora z wielką niechęcią delikatnie wysunęła się z objęć Juliana. Miała zaróżowione policzki, iskierki namiętności wciąż błyszczały w jej rozszerzonych źrenicach, oddech był szybszy, jakby niedawno zakończyła forsowny bieg, a usta zrobiły się pełniejsze i bardziej tkliwe. Julian uśmiechnął się do niej. Wziął drżącą z emocji dłoń Eleonory i złożył pocałunek po wewnętrznej stronie, co wywołało w dziewczynie przyjemne mrowienie. Miała ochotę ponownie wtulić się w Michałowskiego, ale była boleśnie świadoma, że matka zaraz zjawi się w salonie. Jakby czytając w myślach córki, Tekla Schramm wmaszerowała do pokoju. Za nią podążała pokojówka, niosąc tacę z przekąskami.

Julian odsunął się od Eleonory na stosowną odległość. Nie chciał nikogo wprawiać w zakłopotanie, bo miał przeczucie, że żona bankiera poczułaby się niezręczniejszą niż Eleonora. Poczynił bowiem już jakiś czas temu obserwację, że starsza Schrammówna jest osobą emocjonalną, pełną namiętności, zapalającą się do idei, nieukrywającą swoich uczuć. Już nieraz dała temu wyraz, chociaż – zapewne pod wpływem napomnień matki – próbowała się zachowywać bardziej powściągliwie. Julian uśmiechnął się do własnych myśli, bo właśnie uświadomił sobie, że starania Schrammowej, żeby ukształtować córki na własne podobieństwo, na nic się zdają, ponieważ i starsza, i młodsza są pełne życia, radości, namiętności i energii, które napędzają je do działania, i to najczęściej nie po myśli matki.

– Herbaty? – Pytanie gospodyni wyrwało Juliana z chwilowej zadumy.

– Poproszę – odpowiedział, siadając na fotelu stojącym tuż obok dużej, wygodnej sofy, na której spoczęła Tekla Schramm.

– Cóż więc pana do nas sprowadza, hrabio?

– Na wstępie chciałbym prosić, żeby zwracała się pani do mnie po imieniu. Kiedy ktoś mówi do mnie „hrabio”, zawsze zastanawiam się, czy mój ojciec nie urzęduje gdzieś w pobliżu.

– Skoro pan nalega, Julianie.

– A czy pan Schramm dołączy do nas? Przyznam, że sprawa, z jaką przychodzę, wymagałaby

także jego obecności jako głowy rodziny.

– Proszę wybaczyć, ale niestety mąż jak zwykle przesiaduje w banku. Od zawsze namiętnie oddawał się pracy, lecz od kiedy zajął się budową i powołaniem do życia cukrowni, trudno doprawdy zastać go w domu. Nie mamy mu tego za złe, lecz czasami po prostu brakuje nam jego towarzystwa. Tak jak teraz. Ale zapewniam, że nie ma sprawy, z którą nie mógłby się pan zwrócić do mnie. To, co zyskuje moją aprobatę, ma ją także w oczach mojego małżonka.

– Cieszę się niezmiernie. Dzięki pani taktowi, mając czas tylko dla siebie, udało nam się z Eleonorą zamienić kilka słów. Bez jej zgody na nic zdałaby się moja dzisiejsza wizyta u państwa. Otóż poprosiłem Eleonorę o możliwość oficjalnego widywania się z nią. Mam nadzieję, że pani i jej mąż nie będą mieli nic przeciwko i wyrażą zgodę, abym zabierał państwa córkę do kawiarni, restauracji czy na wycieczki poza miasto częściej niż do tej pory? – Julian przyglądał się Tekli uważnie.

Nie przewidywał sprzeciwu, lecz dopóki matka Eleonory tajemniczo milczała, czuł lekki dyskomfort. Chwilę później Schrammowa klasnęła w dłonie i ku zdziwieniu Juliana zerwała się z sofy, żeby ucałować najpierw córkę, a potem jego. W ten oto sposób uzyskali błogosławieństwo Tekli radośnie zacierającej dłonie i niemogącej się doczekać, aby tak doniosłą informacją podzielić się z Leokadią. Przekazując wiadomość bratowej, mogła mieć pewność, że niebawem wszyscy w Krakowie będą wiedzieli, że jej córka oficjalnie spotyka się z synem hrabiego Michałowskiego.

Wizyta Juliana nieco ją uspokoiła po rewelacjach na temat męża. Mimo późnej pory postanowiła zaczekać na Jana. Wiedziała, że musi z nim poważnie porozmawiać. Musi nim potrząsnąć. Ta sytuacja nie mogła trwać dłużej.

Usiadła zatem w salonie, oddając się jak zwykle tarotowi. Czas płynął szybko, chociaż pogrążona we wróżbach Schrammowa tego nie zauważyła. Do rzeczywistości przywrócił ją dopiero odgłos zamykanych drzwi, charakterystyczny dźwięk przekręcanego w zamkach klucza i wreszcie zegar wybijający w pół do dwunastej.

Jan wszedł do salonu pewnym krokiem. Miał ochotę jeszcze chwilę posiedzieć. Wciąż był odurzony opiumowym dymem, który tak przyjemnie rozluźniał jego ciało i umysł. Już miał zamiar zasiąść w fotelu, kiedy jego wzrok napotkał ostre, karcące spojrzenie żony.

– Nie śpisz jeszcze? – Beztroska, z jaką się odezwał, sprawiła, że krew zawrzała w żyłach Tekli. Miała ochotę wykrzyczeć swoje pretensje, ale była na to zbyt dobrze wychowana.

– Nie kłopotz się i nie wymyślaj powodów, dla których wracasz do domu o tej porze. – Wziąwszy głęboki oddech, zaczęła mówić tonem ostrym i karcącym. – Kłamstwo ma krótkie nogi, o czym zresztą wspomniałam dziś naszej córce.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz. – Schramm nadal był rozluźniony i najwyraźniej nic nie robił sobie ze wzburzenia żony.

– Przypadek. Przypadek sprawił, że doszły do moich uszu wielce niepokojące plotki. Kiedy nie chciałeś mi wyjawiać, gdzie podziewasz się do tak późnej pory, albo wręcz przeciwnie, mamieś mnie kłamstwami, zapragnęłam skonfrontować twoje słowa. Och, nie patrz na mnie takim cielecym wzrokiem. Tak, mój drogi, wiem wszystko. Detektyw, którego zatrudniłam, powiedział mi o twoim uzależnieniu. Jesteś słabym człowiekiem, Janie. Jak mogłeś narazić mnie i swoje córki na taki afront? Czy nie zdajesz sobie sprawy z konsekwencji? Klienci zaczynają od nas odchodzić. A ty, jakby nigdy nic, chadzasz sobie do palarni opium i z wesołym, beztroskim uśmiechem wkraczasz do salonu, próbując mi wmówić, że pracowałeś do późna. Gdzie twoja godność?

– Pogrzebałaś ją, kiedy zatrudniłaś obcego człowieka, aby mnie śledził. – Nagle wzrok bankiera stał się czujny i ostry. Po opiumowym zamroczeniu nie było śladu. – Dziś nie czas, aby roztrząsać twoje postępowanie, które odbieram jako zdradę. Idź spać, Teklo. Ja przenocuję tutaj. Nie, proszę, nic już nie mów. – Schramm podniósł dłoń, żeby uciszyć żonę. – Powiedziałaś już dość. Jutro porozmawiamy.

Podbródek Tekli zadrzał podejrzenie. Miała ochotę jeszcze coś powiedzieć, ale zacięta mina Jana skutecznie ją od tego odwiodła. Po chwili ciężkiej, krępującej ciszy, jaka nie zdarzyła się między małżonkami nigdy wcześniej, Schrammowa wzruszyła ramionami i wyszła z salonu.

Jan opadł ciężko na kanapę. Siedział tak pół godziny, godzinę, dwie. Nieruchomo, ze wzrokiem

utkwionym w przesuwające się nieubłagane wskazówki zegara. Najpierw nie myślał absolutnie o niczym. Nawet o zajściu, które dopiero co miało miejsce. Dopiero z upływem czasu w jego umyśle zaczęły formować się wspomnienia i myśli.

Wrócił w nich aż do dnia ślubu z Teklą. Poślubił ją, ponieważ ich rodzice przyjaźnili się od lat i naturalne się wydawało, że ich córka zostanie jego żoną. Nikt nie pytał go o zdanie. Tekli zapewne też nie. Kiedy ojciec zasugerował, że powinien się oświadczyć, kupił pierścionek i spełnił swój obowiązek. „Czy zrobiłbym tak, gdybym wtedy kochał inną kobietę?”, pomyślał Jan, wciąż obserwując wskazówki zegara. „Pewnie nie”, nasunęła mu się odpowiedź, lecz nie było wówczas u jego boku nikogo takiego. Tekla też nie miała innego adoratora. Może zawsze wiedziała, że wyjdzie za niego, i podświadomie unikała flirtów i zauroczeń.

W ich małżeństwie nigdy nie było fajerwerków, gorącej namiętności, zazdrości czy kłótni z powodu błahych podejrzeń o flirty z innymi. Jan doszedł do wniosku, że ich uczucia były letnie, nijakie. W oczach postronnych osób mogli wyglądać na wspaniałe dobrane małżeństwo. Na ludzi, którzy nie tylko się kochają, ale i przyjaźnią. Zapracowali w końcu na taką opinię. Nikt nigdy nie widział ich kłócących się ze sobą. Nigdy nie bywali na siebie obrażeni. Zawsze uprzejmi w stosunku do siebie, zwracający się do siebie czule jak para zauroczonych nastolatków.

„A przecież to wszystko nieprawda”, przemknęło Schrammowi przez myśl. O tym, że ich małżeństwo trwało już tylko z czystego przyzwyczajenia, świadczyło to, że w ostatnim czasie znacznie się od siebie oddalili. Wprawdzie Tekla zmarła, kiedy po wypadku znalazł się w szpitalu, ale – Jan był tego boleśnie świadom – jej troska była spowodowana raczej przyzwyczajeniem niżeli głębokim uczuciem. I chociaż Tekla wielokrotnie pytała go później o samopoczucie i zdrowie, powtarzając, że martwi ją jego cierpienie, to nie zrobiła nic, aby mu jakoś pomóc.

Zegar wybił czwartą nad ranem, wrywając bankiera z otępienia. Jan westchnął głośno. Niebawem czekała go trudna rozmowa z żoną, która podobnie jak on od wielu godzin nie zmrużyła oczu.

Kiedy kilka godzin później spotkali się w jego gabinecie, Jan obawiał się wybuchu hysterii, ale, o dziwo, Tekla była nad wyraz spokojna i powściągliwa. Usiadła w wygodnym fotelu, czekając, aż Jan zrobi pierwszy krok.

– Nie będę ukrywał, że obawiałem się tej rozmowy. Dobrze, że postanowiliśmy odłożyć ją na później i nie upierałaś się, żeby przeprowadzić ją wczoraj w nocy, ponieważ obydwoje byliśmy zbyt wzburzeni. Złość i nerwy nigdy nie są dobrymi doradcami, dlatego proszę cię, Teklo, abys pozwoliła mi powiedzieć to, o czym długo wczoraj rozmyślałem. – Jan przerwał, czekając na reakcję małżonki. Tekla skinęła głową. – Naszły mnie wczoraj wspomnienia. Wróciłem w nich aż do dnia naszego ślubu. Czy myślałaś kiedy o tym, że mogłaś być żoną innego mężczyzny?

– Gdy ojciec zapytał mnie, czy chcę zostać twoją żoną, nawet przez chwilę nie brałam pod uwagę odmowy. Zналиśmy się od lat. Na Boga! – Tekla zaśmiała się cicho. – Zналиśmy się od kołyski. Nawet kiedy wyjechałaś do szkoły, a potem na studia do Niemiec, pisaliśmy do siebie regularnie. Byłaś dla mnie jak brat. Byliśmy przyjaciółmi.

– I nie przeszkadzało ci, że miałaś zostać moją żoną?

– A tobie nie przeszkadzało, że miałeś zostać moim mężem?

Na dłuższą chwilę w gabinecie Schramma zapanowała cisza, którą po chwili przerwał spontaniczny wybuch śmiechu małżonków.

– Wczoraj zdałem sobie sprawę, że w naszym małżeństwie nie ma namiętności. Bo nie ma, prawda? – Nie czekał na odpowiedź. Pytanie było retoryczne, toteż Tekla milczała. Zresztą przyznawała Janowi całkowitą rację. – Żyjemy nie ze sobą, lecz obok siebie. Doskonale gramy rolę szczęśliwych małżonków. Nawet nasze córki uważają, że nie ma drugiego tak kochającego się małżeństwa.

– Zgadzasz się z tobą, ale tylko w części. To, że nie ma w naszym związku namiętności i ognia, nie znaczy, że nie darzę cię uczuciem.

– To naturalne, że się kochamy, ale przyznaj, moja droga, że ta nasza miłość ma raczej braterskie zabarwienie. – Tekla skinęła głową. Przez chwilę milczeli, każde pograżone we własnych myślach. – Uraziłaś mnie tym, że wynajęłaś detektywa, który z brudnymi buciarzami wszedł w moje, ba, nasze życie.

Jednak byłbym niesprawiedliwy, zrzucając całą winę na ciebie. Gdybym zawczasu ci o wszystkim powiedział, wówczas nie musiałabyś się posuwać do tak desperackiego kroku, a znając twój porywczy charakter, mogłem przypuszczać, że wpadniesz na jakiś szalony pomysł. Nie, nie, pozwól mi dokończyć. – Poprosił, widząc, że Tekla zamierza mu przerwać. – Czas sprawił, że emocje opadły. Nie oznacza to jednak, że łatwo przyjdzie mi zapomnieć o tym incydencie. Ale coś on na mnie wymusił. Postaram się ograniczyć swoje wizyty w palarni i kasynie, a z czasem całkiem z nich zrezygnować, chociaż to kasyno jest doprawdy niewinną rozrywką.

– Możliwe, że powinnam cię przeprosić, lecz nie zamierzam, bo jak sam powiedziałeś, wina leży po obu stronach. Poza tym gdybym nie wynajęła detektywa, twój nałóg mógłby się pogłębić. Tak więc nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło.

– I tu masz rację. Wreszcie po latach widzimy nasze małżeństwo bez żadnych upiększeń.

– Czy to coś zmienia? Nie wydaje mi się. – Tekla wstała i podeszła do drzwi.

– Chyba jednak zmienia. – Na głos Jana zatrzymała się z ręką na klamce. – Może kiedyś któreś z nas zechce żyć pełną piersią.

– A skoro mowa o małżeństwie... – Tekla zawróciła spod drzwi. Jan spojrzał na nią z zaciekawieniem. Najwyraźniej miała coś jeszcze do dodania. – Otóż z tego wszystkiego prawie zapomniałam. Odwiedził nas hrabia Michałowski. Nie, nie stary hrabia. – Schrammowa uprzedziła pytanie męża, widząc jego minę. – Julian. Otóż poprosił oficjalnie o możliwość starania się o naszą córkę.

– Stefcię? – Schramm wydawał się mocno poruszony, ponieważ nie wiedzieć czemu nagle przypomniały mu się słowa młodszej latorośli, która jakiś czas temu próbowała go przekonać, że spotkania Juliana z Eleonorą są tylko sprytnym wybiegiem młodzieńca, aby pobyć w jej towarzystwie.

– Cóż też przyszło ci do głowy?! – Tekla z dezaprobatą pokiwała głową i mrużąc coś pod nosem, wyszła z gabinetu.

## Rozdział 9

Julian zerknął nerwowo na zegarek. Czas biegł nieubłaganie. Jeżeli się nie pospieszy, spóźni się na spotkanie z Eleonorą. Zdziwił się niepomiarowo, kiedy dziś w godzinach przedpołudniowych do kancelarii wpadł siedmio- lub ośmioletni umorusany dzieciak z pilną wiadomością od panny Schrammówny. Nie żeby się nie ucieszył, ponieważ na każde spotkanie z Eleonorą wyczekiwał z niecierpliwością. Od dnia, w którym zaczęli się oficjalnie spotykać, widywali się tak często, jak to było możliwe. Czasami nawet kilka razy w tygodniu, kiedy Julian, chcąc sprawić Eleonorze niespodziankę, czekał na nią pod szpitalem ortopedycznym dla dzieci, który mieścił się niedaleko kancelarii. Dziś jednak zamiast na św. Filipa miał się udać do budynku ujeżdżalni koni na Rajskiej 12, naprzeciwko koszar im. Cesarza Franciszka Józefa I. Od chwili, w której przeczytał krótki liścik skreślony zgrabnym kobiecym pismem, zachodził w głowę, coż takiego porabia Eleonora pod wskazanym adresem.

– Edmundzie, skończyłem na dziś – zawołał Julian, wpadając do gabinetu Szalita, który siedział pochylony nad dokumentami procesowymi. – Wybacz, ale nie przedyskutujemy sprawy Golińskiego, ponieważ jeżeli za chwilę nie wyjdę, spóźnię się niechybnie, a tego bym nie chciał.

– Mamy czas. Sprawa wchodzi na wokandę dopiero za tydzień, nie, za prawie dwa tygodnie. – Edmund podniósł głowę znad pisma, które jeszcze przed chwilą czytał z uwagą. – Idźże już. Nie pozwolimy przecież, żeby panna Schrammówna czekała. Nie godzi się czynić kobiecie takiego afrontu.

Pożegnawszy się szybko, Julian popędził na dół, wprost do zaparkowanego niedaleko forda. Jeżeli nic nieprzewidzianego nie wydarzy się po drodze, powinien być nawet odrobinę przed czasem.

Najwyraźniej szczęście mu sprzyjało. Wprawdzie spóźnił się niecałe dziesięć minut, lecz Eleonory nie było jeszcze nigdzie widać. Zaczął się już nawet martwić, że minęli się po drodze, kiedy po kwadransie od przybycia wciąż nie dostrzegał znajomej sylwetki. Chodził koło auta tam i z powrotem, z minuty na minutę coraz bardziej zdenerwowany. W końcu jednak los oszczędził mu dalszych nerwów, ponieważ drzwi ujeżdżalni otworzyły się na oścież i wysypała się z nich gromadka roześmianych kobiet.

– Nie, to niemożliwe! – zawołała jedna z nich. Panny były czymś mocno zaaferowane. Miał szczęście, gdyż stanęły dość blisko i dzięki temu nawet wtedy, kiedy mówiły normalnie, mógł słyszeć, co je tak zajmuje.

– Zareagowałam tak samo jak ty – powiedziała korpulentna brunetka. – I pewnie też bym nie uwierzyła, gdyby mi ktoś o tym opowiadał, ale mam dowód. Spójrzcie. Wczoraj tę ulotkę przyniosła do domu nasza pokojówka. Zastanawiam się, czy czasem nie zamierza skorzystać – roześmiała się nerwowo. – Posłuchajcie, bo to ciekawe. – Sięgnęła po zadrukowaną kartkę i zaczęła czytać. Julian wytężył słuch. – „Przyjmijcie, Panie, ode mnie to drukowane zaproszenie: na śledczynie płciowego życia. Zaproszenie do zbierania zdarzeń, widzianych lub słyszanych. Przy grach i zabawach, na przechadzkach, zebraniach itp. zbierajcie, co się zebrać da. A potem nie zapominajcie o ubogim kwestarzu-płciowniku, kwestującym na tak ważne i zbawienne cele, jak poznanie duszy płciowej u mężczyzny, a jeszcze więcej u kobiety, poznanie ludzkich najróżniejszych grzechów płciowych, ich częstości, uporu w popełnianiu tychże, chytryści i podstępności w popełnianiu sposobów płciowych”\*\*\*. Któż mógł wpaść na coś takiego? – Panna była mocno wzburzona.

– Ach, to przecież pismo Kurkiewicza – odparła młoda blondynka. – Słyszałam o nim już jakiś czas temu. Dziwię się, że nic nie wiecie na jego temat. Jest bardzo popularny w mieście, chociażby z powodu tych ulotek. Większość pań się burzy, pomstuje, wyzywa go od perwertów, tymczasem panowie żalują, że to nie do nich skierowana jest ta odezwa. – Po ostatnich słowach zażywej panny dziewczęta roześmiały się głośno.

Przez jakiś czas dyskutowały jeszcze na temat Stanisława Kurkiewicza, lekarza chorób wewnętrznych, który przejawiał wręcz niezdrowe zainteresowanie życiem płciowym mieszkańców Krakowa, a który ponoć swoje obserwacje czynił w prywatnym gabinecie na Biskupiej.

Julian czekał cierpliwie. Oparł się nonszalancko o maskę samochodu. W końcu panie pożegnały

się wylewnie, zapewniając się nawzajem, że niebawem znowu się spotkają.

– Przepraszam, że czekałeś, ale zawsze jest tyle spraw niecierpiących zwłoki. A dziś poza tym odwiedziła nas Sara Schenirer. – Eleonora mówiła podekscytowana, najwyraźniej emocje związane ze spotkaniem jeszcze nie opadły, chociaż ani słowem nie wspomniała o Kurkiewiczzu, a przecież musiała przypuszczać, że Julian słyszał ich rozmowę. On tymczasem nie zamierzał dopytywać, żeby nie wprawić jej w zakłopotanie. Zamiast o lekarzu Eleonora z zachwytem rozprawiła o Sarze Schenirer. Dopiero po chwili zauważyła, że Julian nie ma pojęcia, kim jest Sara. – Nawet nie pytam, czy wiesz, o kim mówię. Wystarczy na ciebie spojrzeć. Sara może być przykładem dla każdej z nas. Pochodzi z żydowskiej rodziny, była najmłodszym dzieckiem. Rodzice, widząc, jak bardzo Sara chce się uczyć, posłali ją do polskiej szkoły, bo przecież dziewczynki z rodzin chasydów nie mogą chodzić do szkoły żydowskiej, żeby tam pobierać nauki z religii i nauk świeckich, tak jak robią to chłopcy. – Julian słyszał wyrzut w głosie Eleonory, lecz nie podjął rzuconej rękawicy. – Sara uważa, że najważniejsze to wierzyć w siebie, i potrafi mówić o swoich osiągnięciach bez fałszywej skromności, dlatego pochwaliła się, że zawsze była w szkole najlepsza i otrzymywała promocję z wyróżnieniem.

– Ten opis kogoś mi przypomina – zauważył Julian, wpatrując się w idącą obok niego starszą Schrammównę.

– Nie śmiem przyrównywać się do Sary – oponowała Eleonora. – Nie jestem aż tak pilna i pracowita, bo widzisz, Sara po lekcjach przychodziła do domu, gdzie pomagała w gospodarstwie, a przy tak licznej rodzinie zawsze było dużo pracy. Potem czytała Torę i jakby tego było mało, uczyła się szycia. Zawsze była obowiązkowa w przeciwieństwie do swojej siostry, która uwielbiała spędzać czas na śpiewie i tańcu. – Julian nie mógł się powstrzymać i chociaż zdawał sobie sprawę, że Eleonora może poczuć się urażona jego zachowaniem, zaczął się śmiać. – Naprawdę, Julianie, myślałam, że jesteś poważniejszy – powiedziała, ale w jej głosie nie było urazy. Kiedy na nią zerknął, zauważył, że starała się zachować poważny wyraz twarzy, jednak kąci jej ust niebezpiecznie unosiły się do góry. W końcu Eleonora zaczęła mu wesoło wtórować, dając przy okazji kuksańca w bok. – To nie dlatego Sara wzbudza mój podziw. Na pewno nie dlatego. I zaznaczam, że wszelkie podobieństwo między nią i jej siostrą a mną i Stefcją jest przypadkowe. Podziwiam ją za wytrwałość, którą musiała pokonywać na każdym kroku, a miała znacznie gorszą sytuację niż ja. Jej rodzina była biedna, nie waham się powiedzieć, że uboga, dlatego Sara nauczyła się szyc, żeby dzięki krawiectwu pomóc rodzicom. Jej rodzice w kwestii nauki, zwłaszcza religii, którą Sara bardzo chciała zgłębiać, nie byli tak postępowi jak mój ojciec. Sara boleje nad sytuacją żydowskich dziewcząt, lecz wie, że walka z systemem jest jak walka z wiatrakami. Dlatego stara się wspierać inne kobiece inicjatywy, ale to nie wszystko. Widząc biedotę w licznych, zbyt licznych żydowskich rodzinach, pomaga im, szyjąc dla dzieciaków, żeby nie musiały chodzić jak ostatnie obdartusy. Otworzyła nawet zakład krawiecki na św. Katarzyny. I wyobraź sobie, że pomimo nawału pracy zgodziła się wesprzeć naszą ostatnią inicjatywę. – Eleonora przerwała, chcąc zaczerpnąć powietrza.

– Przypuszczam, że właśnie w tej sprawie, to jest tej waszej inicjatywy, chciałaś się zobaczyć dziś ze mną, nieprawdaż?

– Czy nie przychodzi ci do głowy myśl, że może po prostu stęskniłam się za tobą i nie mogąc się doczekać naszego spotkania za dwa dni, poprosiłam o nie dziś?

– Wierzę, że tak było jeszcze rano, kiedy wysyłałaś do mnie tego małego urwisa, ale spotkanie zmieniło postać rzeczy. Cóż to więc za inicjatywa? – Julian zapytał raz jeszcze.

– Chcemy uświadamiać rodziców, zwłaszcza tych z biednych dzielnic, ale też z okolic wiejskich, jak zapobiegać gruźlicy wśród dzieci, bo ta ostatnimi czasy szerzy się jak najgorsza plaga. – Eleonora przystanąła przed Julianem. Policzki miała delikatnie zaróżowione, co przydawało jej dziecięcego uroku. Dopiero teraz Julian zdał sobie sprawę, że wciąż stali obok jego samochodu. Eleonora wydawała się tym niewzruszona.

– Przepraszam, czy nie miałabyś ochoty na spacer? Matka prosiła, abym wstąpił pod dwunastkę na Retoryka.

– A co z twoim samochodem?

– Mam nadzieję, że nikomu nie będzie tu przeszkadzał. Odbiorę go później. A wracając do tematu... – Julian zawiesił głos, czekając, aż Eleonora podejmie wątek.

– Pozwól, że najpierw opowiem ci o ostatnim wydarzeniu, jakiego byłam świadkiem. – Eleonora zatrzymała się tak nagle, że idący za nią jegomośćomal jej nie przewrócił, wpadając na nią z impetem. Oburzony jej zachowaniem, nie omieszkał wyrazić głośno swojego niezadowolenia. Eleonora była jednak tak zajęta rozmową z Julianem, że nie zwróciła na starszego pana najmniejszej uwagi, czym rozsierdziła go jeszcze bardziej. Julian, nie chcąc zwoływać zbiegowiska, ponieważ inni przechodnie zaczęli już jawnie spoglądać w ich stronę, uklonił się wzburzonemu spacerowiczowi, przepraszając go w swoim i Eleonory imieniu.

– Słuchasz mnie, Julianie? Wydajesz się dziś dziwnie rozkojarzony.

– Oczywiście, że słucham – odparł, kiwając przepraszająco oddalającemu się mężczyźnie, który wciąż mamrotał coś pod nosem.

– Dawid, który po pracy odwiedza dzieci z biednych dzielnic, zazwyczaj żydowskich, pozwolił, żebym mu towarzyszyła, chociaż na początku za nic nie chciał się zgodzić. – Eleonora ruszyła dalej. Była tak pochłonięta opowieścią, że nie zwróciła uwagi na grymas, jaki pojawił się na twarzy Juliana w momencie, kiedy z jej ust padło imię Dawida. Nie miał okazji bliżej poznać doktora Blocha, lecz nie darzył go sympatią. Musiał przyznać, że chyba był po prostu zazdrosny. Tymczasem Eleonora ciągnęła dalej: – Nie dałam się jednak zbyć. Przypuszczam, że nie chciał mnie zabrać, żebym nie widziała, w jakich warunkach mogą mieszkać ludzie tu, w Krakowie. Jestem przerażona, że można tak żyć. Nie żeby mnie to zniechęciło do niesienia pomocy. Oburza mnie jednak, że władze nic nie robią. Dawid mówi, że rząd daje jakieś pieniądze na walkę z gruźlicą, ale to ciągle za mało.

– Żyjemy w swoim świecie – zgodził się Julian. – Nie zastanawiamy się, jakie mamy szczęście, że urodziliśmy się w takiej, a nie innej rodzinie. Nie martwimy się o jutro. Coś tam dajemy na tacę, rzucamy parę groszy i uważamy, że sprawa załatwiona. Sumienie mamy spokojne. Wiem to, bo sam tak postępuję, ale podziwiam ludzi, którzy stale komuś pomagają. Zdażyłem poznać cię już na tyle, żeby wiedzieć, że jeżeli zapalisz się do czegoś, to będziesz chciała w tym uczestniczyć za wszelką cenę, dlatego nie mam zamiaru odwozić cię od pomagania, tylko proszę cię, uważaj na siebie. Zwłaszcza jeżeli masz mieć kontakt z chorymi na gruźlicę.

– Julianie, przecież zawsze na siebie uważam, ale pracuję w szpitalu i na co dzień stykam się z chorymi. Nie muszę wychodzić poza jego mury, aby się zarazić, i masz rację, nie zrezygnuję, chociaż jestem świadoma zagrożenia. Jestem pielęgniarką i taka jest moja praca. Zresztą, jak mówiła jedna z nas na czerwonej chirurgii, to nie praca, tylko powołanie i służba drugiemu człowiekowi. Składałam przysięgę, którą zamierzam wypełniać tak długo, jak zdrowie mi pozwoli.

– Dlatego proszę cię, uważaj na siebie i nie narażaj się bez powodu.

– Oczywiście, ale słuchaj, bo jeszcze nie skończyłam. Mówię ci, to wszystko jest takie okropne. Najgorsze są te mieszkania, w których okna albo się w ogóle nie otwierają, albo są to małe lufciki i w dodatku wychodzą na latryny w podwórzu. A te znowu są przepełnione, cuchnące i pewnie od lat nieopróżniane. Tak sobie wyobrażam ciemne średniowiecze i zastanawiam się, czy nikomu nie przeszkadza, że tak się upadła drugiego człowieka. Jak wejdiesz gdzieś do środka, czujesz taki smród, że chcesz natychmiast uciec, bo oni się prawie nie myją. Ale jak mają to robić, skoro dostęp do wody jest tak ograniczony? Zresztą zauważyłam, że większość tych ludzi tak już zubożała na wszystko, że nie przeszkadza im ten odór.

– To bieda sprawia, że człowiek obojętnieje. Przestaje się przejmować. Ostatnio Edmund pomagał rodzinie mieszkającej na osiedlu robotniczym, chodziło o jakieś paskudne oszustwo ze strony pracodawcy. Nie jest tam może tak tragicznie jak u Żydów, ale dobrze też nie. Ci ludzie pracują po piętnaście godzin dziennie, czasami nawet więcej. Jedzą głównie ziemniaki, kaszę albo chleb. O mięsie mogą pomarzyć, bo przecież zarabiają grosze. No i dlatego gruźlica się szerzy, a najsłabsze są dzieci i je najtrudniej wyleczyć.

– Ktoś kiedyś powiedział, że gruźlica zniknie, jeśli pozbedziemy się biedy. Jeżeli tak ma być, to gruźlica zawsze będzie zabijać, bo bieda nigdy nie zniknie. – Julian pokiwał smutno głową. Jego słowa

sprawiły, że na chwilę zamilkli pogrążeni w niewesołych myślach.

– Wiem, że może jesteśmy naiwne, lecz panie z Towarzystwa Dobroczynnego i my, dziewczyny z Koła Kobiet, wierzymy, że trzeba robić cokolwiek, dlatego chcemy zacząć od zwykłego uświadamiania, co robić, żeby było choć trochę lepiej. Pragniemy uczyć podstaw higieny, może czegoś o odżywianiu, przypominać, że alkohol to ich najgorszy wróg, a na wsi zwierzęta powinny być jednak oddzielone od ludzi, bo przenoszą choroby.

– Może to i racja, że trzeba od czegoś zacząć. W końcu każda akcja z czasem wywołuje reakcję. Jak to mówią, woda drażni skałę.

– Tak, ale to nie wszystko. Chciałam się z tobą spotkać, ponieważ mam prośbę. Nie chcę, żebyś mnie źle zrozumiał. Nie wiem, jak to powiedzieć, żeby cię przypadkiem nie urazić.

– Noro! – Julian spojrział na nią z powagą. – Pamiętaj, że nic, co powiesz, nie może mnie urazić, chyba że nie masz ochoty już dłużej się ze mną spotykać, bo to złamie mi serce.

– Żartownis jesteś. A więc powiem bez ogródek. Czy mógłbyś popytać wśród swoich... – Eleonora zrobiła krótką przerwę, przygryzając przy tym wargi. Nieśmiało zerknęła na młodego Michałowskiego, ale jego roześmiane oczy zachęciły ją do podjęcia tematu. – A więc czy mógłbyś coś zrobić w naszej sprawie. Szukamy domu, najlepiej gdzieś w górach, który można by przeznaczyć na sanatorium dla dzieci chorych na gruźlicę.

– Słyszałem, że przebywanie na świeżym, czystym powietrzu może zdziałać cuda w przypadku tej choroby. To doskonały pomysł.

– Dziękuję. Musiałam z kimś o tym porozmawiać. Stefci to nie interesuje, ojciec jest zajęty, a matka udaje, że nie ma problemu. – Eleonora zatrzymała się i nie bacząc na przechodniów, pocałowała Juliana w policzek. – Dziękuję ci za twoją cierpliwość.

– Jeżeli będziesz mi tak dziękować, to rozważę wybudowanie nowego domu z własnej kieszeni i przekazanie go towarzystwu. Spójrz, jesteśmy na miejscu. – Ich oczom ukazała się niezwykła kamienica, którą krakowianie zwykli nazywać Domem Egipskim.

– Uwielbiam ją – powiedziała Eleonora. – Józef Kulesza, właściciel, był swego czasu klientem mojego ojca. Byłam jeszcze dzieckiem, kiedy składał wniosek o dofinansowanie do zakładu kamieniarskiego, który otwierał przy cmentarzu Rakowickim. Najwyraźniej Kulesza jest nie tylko świetnym przedsiębiorcą, ale także doskonałym rzeźbiarzem, bo kamienica jest wyjątkowo oryginalna.

– Miałem kiedyś okazję opowiadać o niej znajomym Anglikom, którzy z kolei przyjaźnią się od lat z Howardem Carterem biorącym udział w wykopaliskach w Egipcie. Po raz kolejny utwierdziłem się wówczas w przekonaniu, że świat jest mały. Otóż Kulesza, podróżując po Egipcie, spotkał ich na stanowisku archeologicznym w Sakkarze. Ponoć doszło tam do nieprzyjemnego incydentu z turystami z Francji. Władze Egiptu, szukając kozła ofiarnego, zarzuciły Carterowi brak właściwej reakcji i pozbawiły go stanowiska. Niestety, nie wiem, co się z nim teraz dzieje. Niemniej jednak, jak widać, Egipt zapada w pamięć.

Zatrzymali się, żeby dokładnie przyjrzeć się fasadzie ozdobionej figurami sfinksów i faraonów zasiadających na tronach w towarzystwie swoich małżonek. Były też obeliski, pylony i niezliczone płaskorzeźby przedstawiające egipskie bóstwa oraz święte skarabeusze.

– Matka prosiła, żebym zajrzał do profesora Bunscha, u którego jakiś czas temu zamówiła medalion z portretem Rozalii. Ma to być jeden z prezentów ślubnych. Profesor prosił o konsultację, a matka niestety coś źle się czuje. – Julian przytrzymał ciężkie drzwi prowadzące na korytarz równie zaskakujący jak cała kamienica.

– Rozalia wychodzi za mąż? – Eleonora zerknęła przez ramię, spoglądając na idącego za nią Michałowskiego. Wchodzili na piętro, na którym znajdowało się obszerne mieszkanie artysty. Schody były eleganckie, lecz to poręcz z misternie rzeźbionymi tralkami przyciągała wzrok panny Schrammówny.

– Jesteśmy na miejscu. Porozmawiamy później, dobrze? – Eleonora skinęła głową, zgadzając się z Julianem, który zdążył już zadzwonić do mieszkania.

Pół godziny później spacerowym krokiem zmierzali w stronę Rynku. Julian odprowadzał



Eleonorę do domu. Słońce chowało się za domami, umykając przed zbierającymi się od wschodu ciemnymi chmurami, zwiastującymi nadejście wieczoru.

– Tak, Rozalia wychodzi za męża. Za Mikołaja Tojewa. – Julian podjął przerwany wcześniej wątek. – Ku mojemu niezadowoleniu i niezadowoleniu samej Rozalii. Siostra niestety nigdy nie potrafiła stawać w obronie swoich racji i własnego dobra. Zawsze i we wszystkim zgadzała się z matką. Kiedy byliśmy mali, to ja stawałem w jej obronie, ale później z powodu mojego wyjazdu najpierw do szkoły, potem do Paryża nasze stosunki się rozluźniły i kiedy ostatnio chciałem wstawić się za nią, obruszyła się i nie rozmawiała ze mną przez kilka dni. Oznajmiła potem, że nie jest już małą dziewczynką i nie muszę, a nawet nie powinienem zabierać głosu w jej imieniu. Że jeżeli będzie potrzebowała adwokata, to sama przyjdzie z tym do mnie.

– Czyli jednak wstawiłeś się za nią? – spytała Eleonora.

– Oczywiście. Małżeństwo to poważna sprawa, a ja nie mam dobrego zdania o Tojewie. Matka uważa go za znakomitą partię. Gdyby brać pod uwagę jego majątek, a ten jest ogromny, to z pewnością Rozalia biedy nie zazna. Ma także wszędzie poważne wpływy z tej racji, że jest politykiem, czyli faktycznie wygląda na wymarzonego kandydata na męża i każda panna powinna być zadowolona.

– Ale? – Eleonora weszła Julianowi w słowo.

– Ale rozpytałem trochę o niego. I może są to tylko złośliwe plotki zawistnych ludzi, których kłuje w oczy jego bogactwo i władza, którą Tojew lubi się chwalić, lecz jak to mówią, w każdej plotce jest ziarno prawdy. Otóż Tojew był już raz żonaty. Jest rozwodnikiem. Rozwód nastąpił z jego inicjatywy. Rozstał się z żoną, ponieważ ta popadła najpierw w melancholię, która zamiast ustępować, tylko się pogłębiała, i to tak bardzo, że zamknięto ją w szpitalu psychiatrycznym. Przebywała tam ponad dwa lata. Kiedy ją wypisano, zamiast wrócić do męża, pojechała do domu rodzinnego. Tojew twierdził, że nie wyleczyli jej do końca. Dziwnie się zachowywała, a on z powodu nawału pracy nie mógł się nią opiekować. Są jednak tacy, którzy twierdzą, że jego małżonka na wzmiankę o powrocie do domu męża dostała znowu ataku hysterii.

– Czyżby źle ją traktował?

– Nie wiem, w co wierzyć. Jak już powiedziałem, to mogą być plotki, ale nie chcę ryzykować zdrowia Rozalii, dlatego przekazałem te informacje rodzicom, mając nadzieję, że znajdą powód, dla którego można by zerwać zaręczyny i nie dopuścić do zaślubin. Niestety, ojciec nie chciał się wtrącać, sugerując, że kwestia wyswatania córki należy do matki, która z kolei obstaje przy swoim, twierdząc, że Tojew to świetny kandydat, a Rozalia raczej nie może się spodziewać lepszej propozycji.

– To absurd! – wykrzyknęła wzburzona Eleonora. – Twoja siostra to piękna kobieta pochodząca ze znakomitego domu. Nie rozumiem, jak twoja matka może uważać, że Tojew, którego widziałam raz i który podobnie jak tobie i mnie nie przypadł do gustu, jest najlepszym kandydatem?

– Masz rację, lecz to nie jest takie proste. Rozalia to piękna, mądra i dobra dziewczyna, ale chorobliwie nieśmiała. Nie potrafi przełamać tej nieśmiałości w obecności obcych ludzi, a szczególnie w obecności młodych mężczyzn, którzy pragną ją adorować. Ich atencja zbytnio ją krępuje. Staje się małomówna, przez co wydaje się mrukliwa i gburowata. Nie potrafi także rozluźnić się w tańcu. Usztywnia się, nie daje się prowadzić i taniec z nią staje się prawdziwą katorgą, a nie przyjemnością. Nie tańczy, nie konwersuje. Kawalerowie obchodzą ją z daleka, nie mając świadomości, jaką cudowną jest osobą.

– To przykre. Ale to żaden powód, żeby oddawać jej rękę pierwszemu lepszemu mężczyźnie z podejrzaną przeszłością. I między innymi właśnie o tym rozmawialiśmy dziś na spotkaniu, na które notabene zaprosiła mnie pani Bujwidowa, którą spotkałam jakiś czas temu u wuja. Moja matka dostałaby pewnie apopleksji, wiedząc, że uczestniczę w takich zebraniach, lecz przynajmniej nie zmusza mnie do zamążpójścia, chociaż jeszcze do niedawna zapowiadała czekające mnie staropanieństwo. Nigdy jednak, powtarzam, nigdy ani ona, ani ojciec nie napomknęli choćby słowem, że poszukują kandydata na mojego męża. – Eleonora przerwała swój wywód, aby zaczerpnąć powietrza. Po chwili znowu zaczęła mówić. – Gdyby traktowano kobiety na równi z mężczyznami, Rozalia mogłaby sama wybrać sobie narzeczonego, a nie czekać, aż zrobią to za nią rodzice. To niesprawiedliwe. Mamy dwudziesty wiek,

na Boga, a wciąż traktuje się nas jak podludzi, których trzeba pilnować, niańczyć, kierować nimi. A najgorsze jest to, że większość kobiet pozwala na takie traktowanie, nas zaś uważa za wichrzycielki burzące stary, dobry porządek.

\*\*\*

Julian zatrzymał się w pewnej odległości od domu, żeby nacieszyć oczy jego architektonicznym pięknem. Dwupiętrowy dwór z cegły na kamiennej podmurówce, z frontem wychodzącym na stronę zachodnią, z obszernym balkonem na słupach, stał pośród wysokich, kilkusetletnich drzew. W pogodę tak wietrzną jak dziś ich rozłożyste korony szumiały niespokojnie. Od dziecka lubił ten swoisty szept, który z kolei w Rozalii wywoływał uczucie strachu. Może dlatego siostra upodobała sobie ogród angielski założony swego czasu przez ich prababkę, nad którym pieczę, oczywiście pośrednio, sprawowała matka, pilnując dbających o niego ogrodników.

Ogród rozkwitał cudownie na wiosnę, lecz przyciągał wzrok także jesienią. Józefa Michałowska lubiła siadać na rozległym drewnianym tarasie od południowego wschodu i cieszyć oczy bujną zielenią.

W drewnianej parterowej oficynie z prawej strony głównego budynku znajdowała się prywatna kaplica, w której pod koniec życia godzinami przesiadywała babka Michałowska, wznosząc prośby do Boga o spokojną, łagodną i szybką śmierć.

Dla zachowania symetrii po drugiej stronie postawiono oficynę murowaną, do której dawno temu, jeszcze zanim Julian przyszedł na świat, przeniesiono dworską kuchnię, spiżarnię i pokoje dla służby. W piwnicach, ciągnących się pod całym budynkiem, wygospodarowano pralnię, lodownię i piwnicę warzywną.

Oczkiem w głowie hrabiego Michałowskiego była oranżeria z gipsowymi sztukateriami i frontową ścianą zrobioną w całości ze szkła. Nieopodal dworu znajdowały się jeszcze wozownia, gdzie ojciec trzymał nie tylko swój samochód, ale także powóz i sanie, z których często korzystano zimą przy okazji kuligów, a także w dni powszednie, kiedy prościej było wyjechać saniami, niż korzystać z powozu lub samochodu. Był tam również skład na narzędzia i piwnica owocowa. W skład folwarku oprócz dworu i budynków gospodarczych w jego najbliższym sąsiedztwie wchodziły jeszcze stajnia, stodoła, spichlerz i magazyn pałacowy. Do majątku należały rozległe grunty orne, pastwiska i las. Dwór zaś był otoczony płotem, który jakiś czas temu ojciec kazał zmienić z murowanego na drewniany, wykonany z solidnych sztachet pomalowanych na głęboki odcień brązu.

Julian przyglądał się miejscu, w którym przyszedł na świat i w którym spędził dość szczęśliwe dzieciństwo. Kochał ten dom i otaczające go tereny, ale od jakiegoś czasu nie czuł się tu komfortowo, dlatego kiedy tylko nadarzyła się okazja, wynajął mieszkanie w Krakowie. Pomysł ten nie spodobał się matce. Uśmiechnął się na wspomnienie przeprowadzonej wówczas rozmowy. Dziś już potrafił się z niej śmiać, lecz wtedy czuł tylko złość. Kiedy hrabina Michałowska oburzona krzyknęła, że nie pozwoli, aby jej syn mieszkał sam, Julianowi zrobiło się ciepło na sercu. Przez chwilę myślał, że to troska o niego spowodowała matczyne wzburzenie. Rozczulił się i już chciał spieszyć z wyjaśnieniami, że poradzi sobie doskonale, wszak miał okazję mieszkać poza domem, i to znacznie dalej, bo w Paryżu, kiedy matka wykrzyczała, że zapewne potrzebuje mieszkania, żeby sprowadzać do niego swoje kochanki. Reakcja Józefy Michałowskiej przelała czarę goryczy i chociaż ojciec, o dziwo, przepraszał go za cierpkie i niepotrzebne słowa matki wypowiedziane, jego zdaniem, z powodu wielkiego wzburzenia i rozczarowania, że ich opuszcza, prosił, żeby Julian jeszcze rzecz przemyślał, ten nie zmienił zdania. Z powodu reakcji matki nie pojawiał się w domu przez parę tygodni, ponieważ na samą myśl o uwłaczających mu słowach rodzicielki czuł wzbierającą wściekłość.

Od kilku dobrych miesięcy zajmował eleganckie, obszerne mieszkanie w jednej z kamienic na ulicy Lubicz, skąd miał blisko do parku Strzeleckiego i do mieszczącego się nieopodal Celestatu, gdzie mieściła się siedziba Bractwa Kurkowego i strzelnica. Zwykle bywał tam okazjonalnie, za to od kiedy został członkiem Polskich Drużyn Strzeleckich, pojawiał się w Celestacie regularnie. Miał pójść tam i dziś, ale rankiem w kancelarii odwiedził go pokojowy ojca z informacją, że rodzice oczekują go dziś wieczorem na kolacji, ponieważ matka chciałaby z nim zamienić kilka słów.

I tak zmierzał do domu, ciesząc się szczególnie na spotkanie z siostrą i nieszczególnie na wykład matki. Cały dzień zastanawiał się nad tematem konwersacji, lecz nic nie przychodziło mu do głowy. Gdyby list przysłał ojciec, sprawa z pewnością dotyczyłaby szybko postępującej budowy cukrowni i rozwiązania problemu związanego z transportem buraków, a tak zachodził w głowę, cóż może być pilnego, aby wzywać go na kolację, skoro i tak miał się pojawić w domu za kilka dni.

– Raz kozie śmierć – mruknął, wsiadając do forda i kierując się w stronę dworu.

\*\*\*

Julian za rodzicami i Rozalią skierował się do jadalni. Po drodze minął salon, do którego zajrzał, aby sprawdzić, czy coś się w nim zmieniło. Nadal stały w nim masywne meble, kanapy i fotele w żółtym, nieco już przygaszonym kolorze po wielu latach używania. Na ścianie między oknami wisiało lustro w bogatej czarnej ramie. Firanki, dostosowane kolorystycznie do kanap, mocno udrapowane, spływały od sufitu aż po podłogę wyłożoną barwnym dywanem. W kącie stał fortepian, na którym grywał kiedyś od czasu do czasu, chociaż gdy był małym chłopcem, matka katowała go lekcjami, których nie znosił. Na ścianach wisiały obrazy – najczęściej pejzaże i martwe natury.

– Julianie! Czekamy. – Józefa Michałowska stanęła w drzwiach jadalni.

Dopiero na dźwięk ponaglącego głosu matki Julian zdał sobie sprawę, że zatrzymał się w drzwiach salonu, poświęcając mu znacznie więcej uwagi niż zwykłe rzucenie okiem.

Wszedł do jadalni i przystanął na chwilę, zaskoczony obfitością potraw na stole.

– Spodziewamy się gości? – zapytał, chociaż nie zauważył dodatkowych nakryć.

– Nie. Skąd ten pomysł? – zapytał ojciec.

– Tak tylko pytam. Chciałem mieć pewność, że to kolacja w gronie rodzinnym.

Lubił ten pokój, większy od innych, a jednak bardzo przytulny. Gruby dywan, na którym stał stół, wyciszył dźwięk odsuwanych krzeseł, kiedy rodzina Michałowskich wreszcie zasiadła do kolacji. Białe firanki obok ciężkich zasłon zdobiły wysokie okna wpuszczające do pokoju sporo dziennego światła. W rogu ustawiono piec z jednym dużym wypukłym kaflem, na którym dla wygody można było postawić talerz. Kredens i witrynę na porcelanę Julian pamiętał od zawsze. Podobno miały już prawie dwieście lat, choć nie dlatego nadzwyczajnie mu się podobały. Lubił je ze względu na kunszt wykonania i talent stolarza, który z największą starannością wyrzeźbił najmniejsze detale.

W odróżnieniu od salonu ściany jadalni zdobiły fotografie rodzinne i ryciny. Julian miał ochotę odświeżyć sobie pamięć i przejrzeć je dla czystej przyjemności powspominania czasów, kiedy były zrobione.

– Rosół jak zawsze przepyszny. – Słowa ojca sprawiły, że skupił się na tym, co działo się przy stole.

– Ma się rozumieć. Nasza Adela to najlepsza kucharka na świecie. – Julian skwitował pochwałą wypowiedź hrabiego. – Zostawiając jednak tematy kulinarne na boku, ciekawi mnie, ojcze, jak postępują sprawy z cukrownią?

– Dobrze, dobrze. – Julian przyjrzał się ojcu z zaciekawieniem, ponieważ ten najwyraźniej nie przejawiał ochoty, aby podjąć wątek. Było to dość dziwne, ponieważ do tej pory budowa cukrowni zajmowała go bez reszty i chętnie o niej mówił. – Lepiej zdradz nam, co u ciebie? – Hrabia zmienił temat. – Odkąd mieszkasz w mieście, niewiele wiemy o twoich sprawach.

– Nie narzekam – odparł Julian, podejmując wątek. Nie miał jednak zamiaru porzucać tematu cukrowni. Postanowił poruszyć go po kolacji. – Praca w kancelarii daje mi dużo satysfakcji, chociaż pochłania mnie bez reszty i sam łapię się na tym, że poza pracą spędzam niewiele czasu, a wierzcie mi, chciałbym teraz mieć go jak najwięcej. Z różnych powodów.

– A cóż to za powody? – zapytała matka. Julian zerknął na nią badawczo, ponieważ wyczuł w jej głosie złość, a może sarkazm.

– Powiem od razu, gdyż sprawa i tak kiedyś ujrzy światło dzienne. Ojciec zna moje zapatrywania na sprawy wolności ojczyzny, więc nie powinien się dziwić, że jestem członkiem Polskich Drużyn Strzeleckich. Niebawem wyjeżdżamy za miasto. Będziemy ćwiczyć na poligonie. Dzięki Komendzie

Dostaw, którą kieruje Kozubski, wszyscy mamy takie same mundury i maciejówki w szarym kolorze. Jedyne kłopot jest z zakupem pasów, menażek, manierek, noży, namiotów i broni. – Chociaż Julian się roześmiał, grymas na jego twarzy nie miał nic wspólnego z radością. Wręcz przeciwnie, jego słowa były pełne goryczy. – O! – zawołał po chwili, jakby sobie o czymś przypomniał, i sięgnął do kieszeni marynarki. – Otrzymałem ją dziś. – Wyciągnął na stół metalową odznakę w kształcie orła. – Mamy obowiązek noszenia jej na czapce. W czasie ćwiczeń oficerowie przywiązują sobie do mundurów czerwone wstążki, a podoficerowie, tacy jak ja, zielone.

– Słyszałem o tych oddziałach. Wiem nawet, że na początku tego roku powołano sztab naczelny, którego szefem został Biskupski. Macie tam ponoć kilka wydziałów. Mobilizacji, intendentury, żeński, kierownictwa wyszkolenia i... – Michałowski zawiesił głos, próbując sobie coś przypomnieć.

– I inspekcji oraz wydawnictwo – podpowiedział Julian. – Jak na niezainteresowanego sprawą ojciec wie bardzo dużo.

– Lubię wiedzieć, co się dzieje. Twój dziadek mawiał, że wiedza to potęga. Słowa te odnosił jednak do wiedzy książkowej. Pochłaniał książki. Potrafił dyskutować na każdy temat. Znał historię wielu krajów. Geografia, astronomia, zwyczaje, tradycje, mity. Te wszystkie tematy nie były mu obce. Ja zmodyfikowałem nieco sens tego powiedzenia. Owszem, wiedza książkowa jest ważna, ale wiedza na temat tego, co cię otacza, co jest ci bliskie i co dzieje się tu i teraz, jest jeszcze ważniejsza. Dlatego, Julianie, mam wiedzę na temat twojej organizacji. I chociaż nie przyłączę się do niej osobiście, nie wesprę jej także finansowo ani nawet nie poprę jej swoim głosem, to w skrytości ducha będę kibicował wszystkim razem i każdemu z osobna, kto będzie walczył o odzyskanie wolności dla Polski.

– Zadziwia mnie ojciec. Gdybyśmy odbyli tę rozmowę przed moim wyjazdem na studia, jestem pewny, że zdanie ojca byłoby zdecydowanie inne. Raczej potępiające niż popierające.

– Ludzie się zmieniają, Julianie. I ich poglądy także. Moje też uległy modyfikacji. Może nie diametralnie, lecz zawsze.

– Może wystarczy na dziś tych rozmów o polityce, wolności i żołnierce. – Józefa Michałowska wstała od stołu, dając tym samym znak, że kolacja zakończona.

Rozalia, milcząca jak zawsze, także podniosła się ze swojego miejsca.

– Rozalio. – Hrabina zwróciła się do córki. – Ja i ojciec chcielibyśmy z Julianem porozmawiać na osobności.

– Oczywiście, mamo – powiedziała Rozalia i już miała wyjść z jadalni, kiedy w drzwiach zatrzymał ją głos brata.

– A cóż to za tajemnice? – Julian poczuł wzbierający w nim gniew. Nie potrafił ścierpieć sposobu, w jaki matka zwracała się do cichej i uległej Rozalii, wciąż traktując ją jak małą, nieznaczącą dziewczynkę.

– To sprawy między tobą a nami. Nie dotyczą Rozalii, więc nie ma potrzeby, aby nam towarzyszyła. – Józefa Michałowska nie ustępowała.

– Proszę, Julianie, nie utrudniaj. Jeżeli uznasz za stosowne podzielić się tym, o czym z tobą rozmawialiśmy, z Rozalią, nie będziemy ci przecież tego zabraniać. – Ojciec przybrał bardziej pokojową postawę aniżeli matka. Julian milczał chwilę, po czym skinął głową. Jednocześnie odwrócił się w stronę Rozalii i uśmiechnął szeroko, zapewniając tym samym, że wszystko jej przekaze.

– Przejdźmy zatem do gabinetu. – Matka ruszyła przodem.

Gabinet ojca, nazywany czasami także kancelarią, znajdował się od strony ogrodu. Ściany wyłożone były ciemnozieloną tapetą. Najważniejsze miejsce zajmowało ogromne biurko, które hrabia Michałowski otrzymał w spadku po swoim dziadku. Przywieziono je aż ze Stanów Zjednoczonych, a rodzinna legenda mówiła, że stało swego czasu w pałacu prezydenckim w Waszyngtonie. Błat biurka zarzucony był dokumentami, nad którymi ojciec przesiadywał godzinami. Z tyłu stała obszerna szafa, a w niej piętrzyły się nie tylko książki, ale przede wszystkim teczki z aktami, należycie i starannie opisane, niczym w archiwum urzędowym. Na małym stoliczku, do którego dostawiono dwa fotele, stały popielniczka, karafka z wodą oraz kieliszki.

Julian podszedł do biurka. Zawiodła go tam ciekawość. Chciał wiedzieć, nad czym pracuje

ojciec.

– Jak idą sprawy z cukrownią? – zapytał raz jeszcze, zastanawiając się, czy i tym razem rodzic zrećnie wymiga się od odpowiedzi.

– Cóż, nie najlepiej. – Hrabia usiadł w fotelu za biurkiem. Matka zajęła ten stojący przy stoliczku. – Pewnie już o tym wiesz, że po mieście krążą od jakiegoś czasu niezbyt przyjemne informacje na temat Schramma.

– Chciał ojciec powiedzieć: plotki – sprostował Julian.

– Nie, chciałem powiedzieć informacje, ponieważ muszę z przykrością stwierdzić, że są prawdziwe. Jan Schramm od dawna sięga po niebezpieczne używki oraz oddaje się nałogowi palenia opium, odwiedzając pewien podejrzany przybytek. Jakby tego było mało, kupuje morfinę u aptekarza na Zwierzynieckiej. Ponoć dla uśmierzania nieznośnego bólu, jaki wciąż odczuwa po wypadku. Może mógłbym tę słabość jakoś przeboleć i wybaczyć, ale hazardu nie zdzierzę. Nie godzi się, żeby bankier, do tej pory powszechnie szanowany, grywał namiętnie w karty. Dziś jeszcze się miarkuje, lecz czy jutro będzie miał dość silnej woli, osłabionej zresztą morfiną i opium, żeby dobrze zarządzać naszymi pieniędzmi? Co się stanie z naszymi finansami, jeżeli przyjdzie mu do głowy postawić cały swój majątek?

– Skąd ojciec o tym wie?

– A zatem potwierdzasz, że to prawda? – wtrąciła się Michałowska.

– Nie, pytam tylko, skąd ojciec o tym wie. Zawsze źródło takich rewelacji jest bardzo ważne.

– To sprawdzone źródło. Dowiedziałem się o tym od naszego wspólnego znajomego, który podobnie jak ja korzysta z usług banku Schramma. Ani on, ani ja nie chcielibyśmy, żeby majątek, na który ciężko pracowało kilka pokoleń, tak po prostu przepadł. Zdajesz sobie doskonale sprawę, nawet jeżeli z jakichś powodów nie chcesz tego przed nami przyznać, ale te wieści, coraz szerzej krążące po mieście, mogą zniweczyć moje plany względem cukrowni. Lękam się, że jeżeli Frau Goldbaum o tym się dowie, zacznie się obawiać ryzyka i zechce wycofać swój wkład. Wówczas cukrownia nigdy nie powstanie, a my możemy popaść w koszarne długi, ponieważ nie sądzę, aby Schramm dysponował środkami, które pozwoliłyby spłacić od razu i wdowę Goldbaum, i nas, a nie daj Boże i innych klientów swego banku.

– Obiecuję, że postaram się sprawdzić te rewelacje. Nie potrzebuję wynajmować detektywów czy Bóg wie kogo. Zasięgnę języka u jego córki. Eleonora zapewne... – Julian chciał jeszcze coś dodać, ale hrabina weszła mu w słowo.

– *À propos* córki Schramma. Czy to prawda, że postanowiłeś spotykać się z nią oficjalnie? Mówiła mi o tym jedna z moich znajomych, która zresztą nie omieszkła mnie od razu poinformować o tym, co widziała, kiedy spotkała was w Krakowie. Całowałaś pannę Schrammównę w miejscu publicznym. Czy nie masz za grosz wstydu? I ona zresztą też nie?

– Tak, matko, spotykam się z Eleonorą. I tak, całowałem ją w miejscu publicznym. Był to pocałunek elegancki, delikatny i nieobrażający uczuć przechodniów. Pocałunek zakochanego mężczyzny żegnającego się z kobietą, z którą się spotyka. Nie bądźmy bardziej papiescy od papieża. Czas, kiedy ludzie bali się złapać za ręce, aby nie być posądzonymi o bezeceństwa, dawno już minął. Gdyby mama nie zauważyła, mamy dwudziesty wiek, dzięki Bogu od ponad dekady. Czasy się zmieniają. Ludzie też idą z postępem.

– Jeżeli nasz syn nazywa całowanie kobiety na ulicy postępem, to chyba czas umierać, Aleksandrze! – Michałowska po raz pierwszy od bardzo dawna podniosła głos. Na chwilę w pokoju zapanowała cisza. W końcu hrabina ponownie zwróciła się do syna: – W związku z nieprzyjemnymi plotkami na temat ojca panny Schrammówny, chcielibyśmy, abyś zakończył ten cudaczny związek nieprzystający zresztą do twojego urodzenia. Ta panna nie jest partią dla ciebie. A plotki mogą nam znacznie zaszkodzić.

– Mama chyba raczej żartować! – Julian parsknął prawie histerycznym śmiechem. – Toż to hipokryzja w najczystszej postaci. Chcecie, abym zerwał z Eleonorą, bo jej ojciec rzekomo uprawia hazard i zażywa morfinę lub opium, a może jedno i drugie, co zresztą nikogo nie dziwi, bo połowa

Krakowa tego używa? A co ze sprawą Tojewa? To, że jego żona skończyła w szpitalu psychiatrycznym, nie jest istotne? Mówi się, że przez niego tam trafiła. Że nie był, oględnie rzecz biorąc, mężem delikatnym i nie raz zostawił ślad dłoni na jej twarzy, a na ciele sińce i zadrapania.

– To plotki! – krzyknęła Michałowska.

– Mamo, ojcze, żegnam. – Julian wstał i skierował się do wyjścia. – Uważam rozmowę za zakończoną. Nie będę wysłuchiwał, wybaczenie, że to powiem, takich bzdur. Nigdy nie interesowały mnie banialuki. Jeżeli nie dostrzegacie hipokryzji w tej sytuacji, to najlepiej będzie, jeżeli się pożegnamy. Pozdrówcie ode mnie Rozalię. Zajrzę do domu za jakiś czas i wszystko jej wyjaśnię. Dobranoc. – I nie czekając na odpowiedź rodziców, Julian ruszył do sieni, gdzie zostawił kapelusz i płaszcz.

\*\*\*

Julian był tak wzburzony, że postanowił zostawić samochód w Zakrzówku i przejść się do domu pieszo, żeby ostudzić nieco emocje, które buzowały w nim niczym ogień w kominku. Wieczór zapadł już dawno i gdyby nie pełnia, z pewnością nie odważyłby się na spacer w iście egipskich ciemnościach, jakie zazwyczaj panowały w Zakrzówku. Myśli kłębiły mu się w głowie, a im dłużej myślał, tym bardziej był zdenerwowany. Nie potrafił zrozumieć hipokryzji rodziców. Z pewnością nie uniósłby się tak bardzo z powodu insynuacji, których musiał dziś wysłuchać, gdyby z powagą potraktowali informacje, jakie przekazał im na temat Mikołaja Tojewa, i nie dopuścili do jego ślubu z Rozalią, aby uchronić ją przed ewentualnymi przykrościami ze strony przyszłego męża. Czymże było niewinne uzależnienie, o ile w ogóle mowa o takowym, Schramma w porównaniu z porywczym mężem, który nie potrafił trzymać rąk przy sobie i z byle powodu krzywdził Bogu ducha winną żonę, zastanawiał się Julian, idąc wolno od Skalek do głównej ulicy Zakrzówka, która od ubiegłego roku nosiła imię legendarnego mistrza Twardowskiego, mającego tu ponoć swoją pracownię. W innej sytuacji wyznałby rodzicom, że i do niego dotarły wiadomości, że bankier Schramm nadużywa środków przeciwbólowych, tłumacząc się cierpieniem z powodu urazu, jakiego doznał podczas wypadku na polowaniu. Możliwe, że poruszyły także sprawę jego możliwego uzależnienia od hazardu, zwłaszcza że ojciec współpracował z nim przy uruchomieniu cukrowni. Nie chciał jednak oskarżać i szkalować człowieka, nie mając pewności co do słów, jakie zasłyszał przez przypadek. Do tej pory wahał się, czy poruszyć ten temat z Eleonorą, ale może powinien zapytać? Bynajmniej nie po to, aby wziąć pod rozwagę, jak sugerowała matka, zerwanie z nią, lecz żeby poinformować ją, że plotki na temat jej ojca krążą po Krakowie. Z doświadczenia wiedział bowiem, że najczęściej ten najbardziej zainteresowany żyje w błogiej nieświadomości, nie mając pojęcia, że ludzie za jego plecami wytykają go palcami, uśmiechając się przy tym szeroko, choć nieszczerze, podczas spotkań i rozmów.

Zasmuciła go dzisiejsza sytuacja. Od jakiegoś czasu żył szczerą nadzieją, że jego stosunki z ojcem, notabene ostatnio całkiem poprawne, by nie rzec wręcz doskonałe, o ile nie poruszali kwestii politycznych, znowu ulegną pogorszeniu. Gorzej, bo i z matką miał od teraz na pieńku, a hrabina Michałowska należała do osób, które czuły się urażone, kiedy im się przeciwstawiano i nie zgadzano z ich opinią, chociażby nawet nie miały racji. Obawiał się, że jego rzadkie dotąd wizyty w domu staną się jeszcze rzadsze, przez co ucierpi głównie Rozalia, która już niedługo na zawsze opuści rodzinny dwór w Zakrzówku. Nie miał jednak zamiaru korzyć się i przeproszać, bo i nie było powodu. Uważał, że przeprosin powinien się spodziewać raczej ze strony rodziców, choć wiedział, że prędzej nastąpi koniec świata, niż z ich ust usłyszy stosowne słowa.

Tak bardzo się zamyślił, że ani się obejrzał, kiedy postawił pierwszy krok u zbiegu ulic Dietla i Stradomskiej, gdzie niedawno zakończono budowę okazałej, pięciokondygnacyjnej kamienicy zwieńczonej kopułą z iglicą, na zlecenie kupca win Mojżesza Ohrensteina i jego żony Róży. Budynek zaprojektował Jan Zawiejski, którego Julian miał okazję poznać swego czasu w kancelarii Edmunda, kiedy ten złożył wizytę Szalitowi, będąc akurat w okolicy.

– Wpadłem złożyć uszanowania – powiedział, witając się z Edmundem. – Byłem akurat pod piątym. Lubię od czasu do czasu sprawdzić, czy moim dzieciom, to znaczy zaprojektowanym domom,

niczego nie brakuje. – Po tych słowach roześmiał się głośno, wchodząc do gabinetu Szalita.

Julian zadarł głowę, żeby lepiej przyjrzeć się budynkowi. Musiał przyznać, że budowla prezentowała się znakomicie. Uroku dodawała jej księżycowa poświata, sprawiając, że gmach wyglądał, jakby wyjęto go z bajki. Stał jeszcze przez chwilę w miejscu, po czym uśmiechając się pod nosem, skierował się do Rynku. Zdawał sobie sprawę, że nadłoży spory kawałek drogi, żeby dotrzeć do domu, ale jakaś irracjonalna siła ciągnęła go w stronę kamienicy pod numerem 26. I choć wiedział doskonale, że Eleonora o tej porze zapewne smacznie śpi, zmęczona pracą w szpitalu, to jednak chciał choćby przejść pod oknami jej pokoju.

Szedł powoli, kiedy nagle usłyszał jakieś lamenty, krzyki i nawoływania. Był już prawie na końcu Wiślnej. Przyspieszył kroku i po chwili stanął pod numerem 26. Odruchowo zadarł głowę, żeby zerknąć w okna mieszkania zajmowanego przez Schrammów. Wszędzie paliły się światła. Zresztą nie tylko u nich. Kolejny krzyk sprawił, że Julian spojrział w stronę, skąd dolatywały niepokojące odgłosy. Zaledwie trzy numery dalej, pod kamienicą Kromerowską, w której uwielbiała przesiadywać Eleonora, zebrał się spory tłum. Czym prędzej ruszył w tamtą stronę.

– Julianie! Julianie! – Cienki, drżący głos Stefanii przebijał się przez głosy innych ludzi zbitych w ciasną gromadkę. Wydawało się, że wszyscy chcą się dostać na tyły kamienicy.

– Stefcia? Co ty tutaj robisz? O tej porze? A gdzie... – Już chciał zapytać, gdzie rodzice i Eleonora, kiedy zauważył przeciskającą się w jego kierunku dziewczynę, a w pobliżu także jej ojca.

– Julian!?! – Oczy Eleonory były dziwnie zaczerwienione. Zastanawiał się, czy to z powodu przerwane snu, czy z powodu płaczu. – Nie mogę w to uwierzyć... Jeszcze dziś, kiedy wychodziłam z antykwariatu, zaszłam do księgarni pana Gebethnera, żeby zamienić kilka słów z jego zięciem, panem Ferdynandem, który był tu kierownikiem od wielu lat i swego czasu tak pięknie opowiadał o księgarni. A teraz pan Świszczewski nie żyje. – Dolna warga Eleonory zaczęła drżeć, a oczy zaszkliły się od łez.

Julian przyciągnął dziewczynę do siebie i przytulił, Stefania odruchowo przysunęła się w ich stronę. Hrabia Michałowski przygarnął ją z drugiej strony. Stali tak przez chwilę, wpatrując się w głośno rozmawiających mieszkańców okolicznych kamienic i policjantów wyrzucających ze sklepu co bardziej ciekawskich i żądnych sensacji.

– Nie rozumiem, co się stało? – zapytał, kiedy wszyscy siedzieli już w salonie Schrammów, popijając ciepłą herbatę.

– Wszyscy spaliśmy, tylko ojciec, jak to ma w zwyczaju, siedział w gabinecie, wertując dokumenty – mówiła Eleonora, która zdążyła już nieco ochłonać. – Nagle usłyszał nawoływania. Jakaś kobieta dobijała się do drzwi nieopodal. Nie zwróciłby pewnie na to uwagi, ale kiedy po niecałym kwadransie usłyszał przerażający krzyk najpierw kobiety, a potem mężczyzny, czym prędzej zbiegł na dół, żeby zobaczyć, czy ktoś nie potrzebuje pomocy. Po pewnym czasie i my dołączyliśmy do ojca i do, jak sam widziałeś, sporej grupy ciekawskich. Och, wstyd to przyznać, sami byliśmy gapiami jeszcze przed chwilą.

– Gdy zbiegłem na dół, przed kamienicą Kromerowską stał lamentujący wniebogłosy stróż. Wydawało mi się, że bredzi, ponieważ w kółko powtarzał o rzece krwi. Już chciałem zająć na tył budynku, żeby się przekonać, o czym mówi, kiedy w moją stronę nadbiegła rozhisteryzowana kobieta, w której rozpoznałem małżonkę Ferdynanda. Była zszokowana. Tymczasem zebrał się już spory tłum. Okazało się, że kiedy Ferdynand nie zjawił się w domu jak zwykle koło dziewiątej, jego żona dwie godziny później przyszła na Rynek w towarzystwie służącej, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku. Stróż wpuścił ją od tyłu do księgarni i wtedy w wąskim pokoiku znalazły zabitego Ferdynanda. Wokół jego ciała zdążyła się już utworzyć kałuża zastygłej krwi. Biedny księgarz miał zakneblowane usta, a ręce skrępowane z tyłu. Zaciśnięty na szyi drut wpił mu się w gardło i zapewne je przeciął. Stąd tyle krwi na podłodze.

– To straszne. – Stefcia otarła łzę, która spływała po jej jasnym policzku.

– Nic jeszcze nie jest pewne, ale podobno skradziono osiem tysięcy koron. – Eleonora włączyła się do rozmowy.

– To ogromna kwota, zresztą pan sam musi przyznać, że robi wrażenie. – Julian skierował swoje

słowa do Jana Schramma.

– Niebanalna. Wszak przyzwoita pensja to dwieście koron. Złodzieje musieli wiedzieć, że Ferdynand trzyma w księgarni tyle pieniędzy, i postanowili zrobić użytek ze swojej wiedzy. To bardzo lekkomyślne z jego strony. Od czegoż mamy banki? – Padło retoryczne pytanie, po którym w pokoju zapanowała cisza.

Na dworze zaczęło z wolna świtać. Julian właśnie podnosił się z fotela, chcąc się pożegnać, kiedy na dworze rozległo się szczekanie psa i okrzyki mieszkańców wciąż stojących przed kamienicą.

Chwilę później w towarzystwie Eleonory i jej ojca stanęli przed księgarnią obok innych ciekawskich. Dowiedzieli się, że policja sprowadziła policyjnego psa, dobermana imieniem Prinz. Pies węszył, szukał, kręcił się. Podchodził do zebranych. Przy niektórych zatrzymywał się dłużej, co powodowało, że pozostali wstrzymywali oddech, zastanawiając się, czy morderca i złodziej w jednej osobie byłby na tyle bezczelny, aby pozostać na miejscu zbrodni i napawać się widokiem swojego czynu. Potem pies odchodził jednak i węszył dalej. W końcu puścił się biegiem, lecz w połowie Wiślniej stracił trop, rozkojarzony zbyt wieloma zapachami i panującym pod miejscem zbrodni rozgardiaszem. W końcu Eleonora, ziewając szeroko, pożegnała się z Julianem, zostawiając go w towarzystwie ojca, co było młodemu hrabiemu bardzo na rękę.

– Raczy pan wybaczyć moją śmiałość, ale chciałbym o coś zapytać – zwrócił się Julian do Schramma, odsuwając się na stronę, z dala od uszu zebranych. Choć mógł podejrzewać, że jego rozmowa z pewnością nie wzbudziłaby zainteresowania, skoro kilka kroków dalej rozgrywał się dramat lamentującej żony zamordowanego.

– Proszę pytać. Jeżeli pytanie nie będzie niedyskretne, chętnie odpowiem.

– Sam nie wiem, czy powinienem. To raczej nie wypada, ale jeśli już o tym wspomiałem, równie niegrzecznie byłoby się teraz wycofać. Od razu proszę o wybaczenie za swoistą obcesowość. Proszę mi jednak wierzyć, to nie wścibstwo, tylko sympatia i troska mną kierują. – Julian zamilkł na chwilę. Wziął głęboki wdech i dopiero po dłuższym milczeniu odważył się zapytać: – Otóż jakiś czas temu przez przypadek do moich uszu dotarły niepocholebne informacje, które dziś podczas rodzinnej kolacji powtórzyli mi rodzice, co niestety wywołało małe spięcie między nami. Czy to prawda, że zachodzi pan do palarni opium, zażywa morfinę i coraz częściej wizytuje kasyno?

Schramm milczał dłuższą chwilę. Na jego nieco wymizerowanej twarzy pojawił się grymas niezadowolenia czy może zaszepienia. Julian stracił już nadzieję, że bankier da mu szczerą odpowiedź, kiedy Schramm westchnął głęboko i zaczął mówić:

– Niestety, plotki, które sam miałem okazję usłyszeć na swój temat, są prawdziwe. Przez pewien czas udawałem przed sobą, że nikt o niczym nie wie, a jeżeli już, to w końcu nie jestem pierwszy i nie ostatni, który stosuje używki, zwłaszcza że mną powoduje ból, a nie zwykła ciekawość czy chęć rozrywki. Ostatnia rozmowa z żoną otworzyła mi jednak oczy i zmusiła do trzeźwej oceny sprawy. Co do kasyna, to przyznaję, że chodzę tam czasami, ale nie grywam bezmyślnie i nigdy wysoko. Zresztą kiedy odeszli moi pierwsi wieloletni klienci, na co z pewnością miały wpływ plotki krążące po mieście, zacząłem omijać Krakowską, czyli palarnię, z daleka. I nie byłem tam już od dawna. Cóż, z powodu bólu, który niekiedy jest wręcz nie do zniesienia, nie potrafię sobie odmówić morfiny, lecz zapewniam, że jej zażywanie ma charakter czysto leczniczy i w żaden sposób nie wpływa na moją pracę i decyzje finansowe, jakie podejmuję. A pomówienia, jakobym nie panował nad swoim bankiem, to czyste kalumnie. – Schramm skończył swoje dość ostre przemówienie, wpatrując się w Juliana, który kiwał głową ze zrozumieniem. Stali jeszcze przez chwilę w milczeniu, ramię w ramię, aż w końcu hrabia Michałowski wyciągnął rękę i pożegnał się serdecznie z ojcem Eleonory.

Kilka dni później Julian poinformował Eleonorę, że sprawcy morderstwa w kamienicy Kromerowskiej zostali ujęci. Było ich czterech. Dwóch, chcąc odsunąć od siebie podejrzenia, zgłosiło się na policję z donosem, jednak nie udało im się umknąć przed karzącą ręką sprawiedliwości.

– Edmund będzie bronił najmłodszego z zabójców, Jana Łyżwińskiego. Niedawno skończył dziewiętnaście lat. Najprawdopodobniej z tego tytułu uniknie kary śmierci, co raczej nie uda się dwóm



starszym. Ich obrona ma charakter czysto symboliczny. Będę pomagał Edmundowi, chociaż wyraziłem swoją opinię, że nie podoba mi się ta sytuacja. Niestety, muszę przyznać Szalitowi rację, że nie jesteśmy Janosikami, którzy bronią tylko słabych i dobrych, jesteśmy adwokatami, a w związku z tym powinniśmy zapewnić sprawiedliwy proces także tym stojącym po stronie występku.

– To nedorzeczne! – bulwersowała się Eleonora.

– Moja droga, lincz może przybrać różne formy. Rolą adwokata jest między innymi to, aby nie dopuścić do niego w sali sądowej. Nie chodzi nam o uwolnienie sprawców, ale o sprawiedliwe wyroki, stosowne do popełnionego czynu.

\*\* Zob. <https://ciekawostkihistoryczne.pl/2018/06/05/dla-dobra-nauki-placil-setkom-kobiet-by-podgladaly-jak-polacy-uprawiaja-seks-ten-lekarz-przyjmowal-w-krakowie-ponad-100-lat-temu-18/#3> (dostęp: 18.11.2019).

## Rozdział 10

Stefania kręciła się na łóżku. Nie mogła zasnąć już którąś noc z rzędu.

– Chyba się nie wysypiasz? – zapytała matka tego ranka, przyglądając się ciemnym sińcom widniejącym pod załzawionymi oczami córki. – Wcale się nie dziwię – perorowała dalej, nie zwracając już uwagi na ziewającą Stefanię. – Wszystkiemu winne te latarnie.

– Moja droga, przecież stoją tu od jakiegoś czasu. – Jan Schramm sięgnął po filiżankę kawy z mlekiem, która przed chwilą pojawiła się na stole wraz z maślaną bułeczką posmarowaną masłem. Służąca tuż obok postawiła spodeczek, na który wyłożyła trzy łyżeczki konfitury śliwkowej.

– I ja od jakiegoś czasu borykam się z bezsennością – fuknęła Tekla. – Czy wiesz, że ponoć w całym Krakowie jest zaledwie dwieście osiemdziesiąt siedem lamp żarowych? Mówię zaledwie, bo w gazecie piszą, że jesteśmy najmarniej oświetlonym miastem, chociaż aspirujemy do miana miasta europejskiego. Nie wyobrażam sobie, jak bym się czuła, gdyby tych lamp było więcej. I tak mam wrażenie, że połowa z tej dwusetki stanęła na Rynku.

Oświetlenie nie było jednak powodem bezsenności, na jaką od pewnego czasu cierpiała młodsza latorośl bankiera.

Przez chwilę Stefania leżała na wznak z szeroko otwartymi oczami, wodząc wzrokiem po suficie. Westchnęła ciężko. Zaczęła nasłuchiwać. Oddech Eleonory był równy i spokojny, najwyraźniej siostra smacznie spała, czemu Stefania się nie dziwiła. Od kiedy Eleonora podjęła pracę w szpitalu, przychodziła wymęczona, ale jak sama mówiła, szczęśliwa. Stefania przewróciła się na prawy bok. Potem na lewy i znowu na prawy, żeby po kilku minutach położyć się na wznak.

– Śpisz? – zapytała cicho, nasłuchując odpowiedzi.

Westchnęła. Usiadła na łóżku i podeszła do okna. Lampy oświetlały opustoszały Rynek. Aż trudno było uwierzyć, że zaledwie kilka godzin wcześniej panował tutaj taki gwar i rozgardiasz. Ludzie spieszyli we wszystkich kierunkach. Popychali się, przepaszali za nieuważę albo ofukiwali się wzajemnie, oskarżając o brak dobrego wychowania i zanik wszelkich manier. Kwiaciarki zachwalały piękne, pachnące róże, którymi zachwycęły się spacerujące kobiety tęsknym wzrokiem zerkające na towarzyszących im mężczyzn, ci jednak nie bardzo kwapili się do zakupu ku zmartwieniu kwiaciarek i zawiedzionych dam. Wszędobylskie gołębie wydziobywały okruszki spadające z jedzonych precli. Ale teraz, kiedy zegar już dawno wybił dwunastą w nocy, Rynek był cichy i opustoszały. Wyglądał na osierocony, jakby marniał, tęskniąc za dziennym harmidrem.

– Śpisz? – Stefania powtórzyła pytanie, odwracając się w stronę pokoju. Nadal stała oparta o parapet.

– Na litość boską – odezwała się Eleonora. Dźwignęła się na łokciu i zerknęła w stronę siostry, przyglądając się zarysowi jej sylwetki. – Teraz już nie śpię. Zresztą, kto mógłby przy tobie zasnąć. Wiercisz się, jakbyś miała owsiki.

– O Boże! – odpowiedziała Stefania podniesionym głosem i ruszyła szybkim krokiem w stronę łóżka siostry.

Nie czekając na zaproszenie, położyła się obok, ciągnąc kołdrę w swoją stronę.

– Potrafisz wyprowadzić człowieka z równowagi. – Eleonora szarpnęła nieco, ale Stefania trzymała mocno. Starsza Schrammówna dała za wygraną. – A więc o co chodzi? Bo z pewnością nie chciałaś się poprzytulać. – Dodała z sarkazmem, który uaktywniał się u niej zawsze, kiedy była śpiąca.

– Wszystko ci opowiem, tylko musisz przysiąc, że nie powiesz mamie ani słowa. Tatce zresztą też. Jest bardziej postępowy niż matka, lecz obawiam się, że pewnych rzeczy raczej by nie przyjął.

– Twój wstęp sprawia, że pierwsza rzecz, jaką chcę zrobić, to obudzić rodziców i wszystko im powiedzieć. Nie brzmi to najlepiej.

– Daj spokój, Eleonoro. – Stefania dźwignęła się z posłania i oparła o ścianę, zmuszając tym samym, aby siostra poszła za jej przykładem. – To było jakiś czas temu, jeszcze latem. Byłaś jak zwykle w szpitalu, ojciec przesiadywał w banku, a matka z ciotką Leokadią plotkowały w salonie. Nie wiem,

jak to się stało, ale w domu ze służby pozostał tylko Franciszek, a wiesz, jaki on jest. – Stary zrzęda – dodała Stefania. – I leń, bo kiedy u drzwi rozległ się dzwonek, ani myślał podejść i je otworzyć. Chciałam zignorować intruza, lecz był tak natarczywy, że w końcu otworzyłam. Wiem, że zabrzmie jak mała, egzaltowana panna, jednak zakochałam się od pierwszego wejrzenia.

– To było do przewidzenia. Zresztą, czy to pierwszy raz? Jeżeli dlatego mnie zbudziłaś, to bardzo mnie rozczarowała twoja opowieść. Wróć z łaski swojej do siebie, przestań się emocjonować, śpij i daj spać innym, którzy w odróżnieniu od ciebie mają ważniejsze rzeczy na głowie niż wymyślone uczucie.

– Nie tak prędko. – Stefania zrobiła krótką przerwę. – Okazało się, że to syn Teofila Grabowskiego, aptekarza. – Opowiadała dalej niezrażona postawą siostry. – Mikołaj przyniósł leki dla ojca, który miał je odebrać dzień wcześniej, ale z jakichś powodów tego nie zrobił. Zabrałam medykamenty, zapytałam o koszty i okazało się, że wszystko zostało już z góry uregulowane. Co miałam robić, pożegnałam się i z ciężkim sercem zamknęłam drzwi. Przez kolejną godzinę, a może dwie, nie mogłam dla siebie znaleźć miejsca. Cały czas wypominałam sobie, że chociaż wtedy powinnam była wykazać się odwagą, z jaką chociażby zagadywałam Juliana, kiedy ledwo odrosłam od ziemi, to teraz, gdy matka uważa mnie za pannę na wydaniu, w ogóle jej nie mam. W końcu postanowiłam pospacerować. I chyba opatrność mną kierowała, bo kiedy tylko skręciłam w ulicę św. Anny, Mikołaj podszedł do mnie i powiedział, że już stracił wszelką nadzieję, że uda mu się dziś jeszcze ze mną porozmawiać. Zastanawiał się nad pretekstem, który pozwoliłby mu ponownie się u nas pojawić.

– Jego też trafił piorun?

– Żebyś wiedziała. Nie musisz być taka złośliwa. Może kiedyś uwierzyłabym ci, że śmiesz cię opowieści o miłości i związku dwóch serc, ale od kiedy patrzysz na Juliana maślanym wzrokiem i wdychasz, jakbyś usychała z tęsknoty niczym konar drzewa pozbawiony dostępu do wody, na nic zdadzą się twoje ironiczne komentarze.

– Przepraszam. – Eleonora musiała przyznać siostrze rację. – Ostatnio nie jestem w dobrym nastroju. Tęsknię za Julianem, który jakiś czas temu wyjechał na zgrupowanie związków strzeleckich do Tyńca, gdzie mają ćwiczenia. Nie ma go zaledwie od paru dni...

– Wybaczam ci, tylko słuchaj dalej. Mikołaj zaprosił mnie do cukierni na lody. Przy okazji opowiedział mi, że jeszcze nie tak dawno ich produkcja była ograniczona, ale od kiedy coraz więcej lokali posiada lodownie, to i lody stają się coraz bardziej popularne. Wiesz, że nigdy się nad tym nie zastanawiałam. Teraz, kiedy wiem, jakim są rarytasem i ile trzeba było włożyć w nie pracy, żeby ostatecznie pochłonąć je w kilka minut, mój podziw dla wszystkich kucharek świata rośnie. Ale to nie na temat. No więc okazało się, że mamy ze sobą wiele wspólnego. Pociąga nas świat kina, teatru, rewii czy kabaretu, ale ja w odróżnieniu od Mikołaja tylko marzę, tymczasem on jest pod tym względem całkiem inny.

– Czymże jest życie bez marzeń. Musimy je mieć.

– Ależ, Norciu, on ma marzenia, tylko w przeciwieństwie do większości dąży do ich realizacji, a kiedy przestają być marzeniami, wyznacza sobie nowe. Dzięki niemu ja też zaczęłam realizować jedno z nich. Zapisałam się do amatorskiej grupy teatralnej, która niebawem wystąpi w kawiarni „Secesya”. Kiedy lokal jest zamknięty dla gości, odbywamy w nim próby. Na razie chcemy wystawić sztukę jednoaktową *Muza w kłopotach* Zofii Mellerowej. Słyszałaś o niej?

– Stefciu, nie podążaj tą drogą. – Eleonora pozostawiła zadane pytanie bez odpowiedzi. – Wiesz, że gdy matka dowie się o twojej aktywności, dostanie hysterii. Zresztą gdyby tylko. Jej histeria byłaby zapewne twoim najmniejszym kłopotem. Przymykała oczy na twoją fascynację aktorami, przedstawieniami, bohemą, ponieważ uważała to za rzecz niegroźną. Byłaś małą, egzaltowaną dziewczynką, która miała swoje kaprysy i dziwactwa, a matka wierzyła, że z nich wyrośniesz. O ile ją znam, to powoli szuka dla ciebie kandydata na męża. Niedawno skończyłaś piętnaście lat, więc staropanieństwo może jeszcze ci nie grozi, ale zdaniem matki trzeba dmuchać na zimne. Nie będzie szczęśliwa, kiedy dowie się o twojej aktywności, a dowie się na pewno. Chociaż nie ode mnie. Tekla Schrammowa nie byłaby jednak sobą, gdyby nie wiedziała wszystkiego o wszystkich i wszystkim.

– Nie interesuje mnie to. Chcę robić to, co kocham. Czy ty ugięłaś się przed matką? Odpowiedź jest oczywista, a przecież miałaś zaledwie dwa lata więcej ode mnie. Nie poddam się, prędzej wyprowadzę się z domu. Niedawno Mikołaj zabrał mnie na operetkę *Cygańska miłość*. Mogliśmy oglądać ją zza kulis. Mikołaj ma wielu znajomych wśród aktorów, charakteryzatorów i ludzi związanych z teatrami. To było takie niezwykle patrzeć, jak aktorzy występują przed publicznością, a jednocześnie być z tyłu sceny i czuć się, jakbym była jedną z nich i czekała na swoją kolej.

– Pamiętam, że kiedyś podczas balu karnawałowego, jaki wyprawił ojciec, Julian powiedział, że matka będzie miała z ciebie pociechę, skoro ja jestem buntowniczką i ma z tego powodu zszargane nerwy. Czy wiesz, co mu wówczas odpowiedziałam? – Eleonora przerwała na moment, ale Stefania czekała na jej słowa w milczeniu. – Że z tobą to dopiero będą kłopoty, bo od zawsze wiedziałam, że masz niespokojną krew.

– Matka o niczym nie wie i sama zadaję sobie pytanie, jak to możliwe, że żadna życzliwa dusza jeszcze jej o tym nie doniosła. Mam nadzieję, że po tym, co przeżyła z tobą, będzie bardziej wyrozumiała, chociaż stawiam na to, że raczej dostanie palpacji. Ojciec zapewne najpierw się rozzłości, zagrozi, że zamknie mnie w pokoju albo wyśle gdzieś do szkoły klasztornej, a potem, zajęty bankiem, zapomni o wszystkim. – Na chwilę w pokoju zapadła cisza. W końcu Stefania zaczęła mówić dalej. – Od dwóch miesięcy nie tylko chodzimy na próby, ale pobieramy także nauki. Jednego razu wykład prowadził sam Lucjan Rydel, który opowiadał o historii teatru. Oprócz zajęć teoretycznych, które odbywają się najczęściej w bibliotekach, mamy też zajęcia praktyczne, na których uczymy się nie tylko aktorstwa. Ja najbardziej polubiłam charakteryzację. Nie uwierzysz, czasami także wykonujemy ćwiczenia gimnastyczne, żeby rozciągnąć mięśnie. Liczy się gibkość ciała, poczucie rytmu, lekkość, elegancja w poruszaniu. Miałam nawet okazję odtańczyć kankana. – Stefania zaczęła się cichutko śmiać, kiedy usłyszała, jak Eleonora bierze głębszy oddech.

– Mam nadzieję, że matka nigdy się o tym nie dowie.

– Ależ dowie się. Postanowiłam, że w stosownym czasie sama jej wszystko wyjaśnię. Zresztą czas ten zbliża się nieubłaganie, ponieważ premiera naszego przedstawienia zaplanowana jest na początek przyszłego roku w okresie karnawałowym.

– Czy aby na pewno wiesz, co robisz? – Wydawało się, że Eleonora jest przerażona. – Znasz matkę i słyszałaś, jakie ma zdanie o aktorach. Nie zrozum mnie źle, nie zamierzam brać jej strony. Każdy ma prawo do własnego życia i własnych wyborów. Był czas, kiedy sama myślałam przenieść się do wujostwa, gdyby matka postawiła ultimatum: dom albo nauka. Na szczęście do tego nie doszło.

– Uważasz, że gorzką pigułę twojego pielęgniarstwa jeszcze potrafiła przełknąć, ale mojego aktorstwa z pewnością nie zdzierży?

– Obawiam się, że aktorstwa może nie zdzierżyć nawet ojciec, zwłaszcza teraz, kiedy jego reputacja jest nadwątlona. Słyszałam, że z usług naszego banku zrezygnowało kilku klientów. Inni ponoć się wahają, a trzyma ich przy ojcu tylko jego inwestycja w cukrownię Michałowskiego. Hrabia i Frau Goldbaum stanowią swoiste zabezpieczenie interesów ojca i nie chcę myśleć, co mogłoby się stać, gdyby i oni podjęli decyzję o rozstaniu z bankiem Schramma. Pewne jest, że informacja, iż córka właściciela jest aktorką, nie tylko nie przyniesie ojcu chluby, ale może dodatkowo nadszarpanąć wiarygodność.

– Myślisz, że doczekamy chwili, kiedy to wszystko runie?

– Nie wiem, Stefciu. Nie wiem. Mam nadzieję, że strach ma tylko wielkie oczy.

\*\*\*

Julian zatrzymał się przy ażurowym ogrodzeniu, które oddziało posiadłość Mikołaja Tojewa od chodnika i ulicy. Misterna konstrukcja płotu umożliwiała wspaniały widok na romantyczny park, za drzewami było widać zarysy pałacyku. Michałowski zerknął na rozłożyste drzewa, które nie tylko dodawały domowi uroku, lecz także wartości z uwagi na swój wiek. Były tam kwitnące o tej porze roku magnolie, których liście z wolna tworzyły barwny dywan, czerwone dęby, kasztanowce białe, które zakwitną jak zwykle w maju, graby, jesiony, szumiące brzozy i lipy.

Wzrok hrabiego z wolna przesunął się w stronę dworku, który, jak mówił Tojew, został

wzniesiony pod koniec ubiegłego wieku i zaledwie po dekadzie znalazł się w rękach jego rodziny, a ta odkupiła go od pierwszego właściciela. Budynek wzniesiono w stylu neogotyckim, z elementami secesji.

– Dom jest murowany – opowiadał Tojew podczas kolacji, jaką rodzice Juliana wydali na kilka dni przed ślubem Rozalii – parterowy, z dwuspadowym dachem, pod którym znajdują się dodatkowe pomieszczenia. Boleję, że architekt zaplanował tylko częściowe podpiwniczenie. Jakaż to strata miejsca. Za domem rozciąga się ogród, którego nie powstydziliby się koronowana głowa. Kiedy pogoda dopisuje, można go podziwiać, siedząc na tarasie. Swego czasu było to ulubione miejsce mojej pierwszej żony.

Julian skrzywił się na wspomnienie ostatnich słów Tojewa. Od tego czasu minęło już kilka miesięcy, a on był tu dopiero po raz pierwszy. Od ojca dowiedział się, że Rozalia zazwyczaj zostaje w domu sama, nie licząc służby, ponieważ Mikołaj czynnie zajmujący się polityką oraz doglądający interesów najczęściej przebywał w Wiedniu.

Julian zamierzał właśnie podejść do furtki, kiedy jego uwagę przykuła znajoma sylwetka w oddali. Wyteżył wzrok, nie dowierzając własnym oczom. Spojrzał raz jeszcze dla pewności, ale nie mógł się mylić. Oto na rowerze w jego kierunku nadjeżdżała Rozalia. Ubrana w dopasowany krótki zakieciak kończący się na linii bioder oraz spódnicospodnie, które może nie były najwygodniejszym ubiorem dla tego typu rekreacyjnych rozrywek, lecz z pewnością okazały się dużo lepsze niż obszerne spódnice i gorsety, pedałowała z energią, jakiej się po niej z pewnością nie spodziewał.

– Julianie! – wykrzyknęła Rozalia, zeskakując zgrabnie z roweru. – Julianie, braciszku, jakże się cieszę. Co za niespodzianka! Nie spodziewałam się ciebie.

– I całe szczęście. Gdybyś wiedziała, że zjawię się dziś pod twoim domem, zapewne nie wybrałaś się na rowerową przejażdżkę, a ja nie miałbym okazji, żeby to zobaczyć.

– Cóż, niektórzy wciąż uważają, że to nie przystoi. – Rozalia, prowadząc rower, skierowała się w stronę tylnego wejścia do domu. Julian podążył obok niej. – Wyobraź sobie, że nie dalej jak przedwczoraj usłyszałam rozmowę na swój temat. Jechałam wolno, nie spiesząc się zbytnio, a byłam akurat w okolicach kopca Krakusa, kiedy oburzone głosy dwóch matron doleciały do moich uszu. Jedna z nich myślała, że widok palącej papierosa kobiety był najgorszą rzeczą, jaką miała okazję oglądać, ale okazało się, że była w błędzie. To widok kobiety na rowerze jest nie do zniesienia.

– Zdziwiasz mnie, Rozalio. Gdzie schowałaś moją siostrę? – zapytał Julian, rozglądając się dookoła.

– Sama się zastanawiam. – Głos Rozalii posmutniał. – Gdybym jeszcze kilkanaście miesięcy temu potrafiła wyzwolić w sobie te pokłady odwagi i niezależności, o które nawet się nie podejrzewałam, a które pewnie zawsze we mnie drzemały, nie musiałabym wychodzić za mąż za Tojewa.

– Jaki on jest?

– Nie wiem. – Rozalia wzruszyła ramionami. – A może właśnie dlatego, że jestem jego żoną, odkrywam się na nowo. Jesteśmy po ślubie kilka miesięcy, a wątpię, czy udałoby się policzyć na palcach dwóch rąk czas, jaki spędziliśmy razem. Zaledwie trzy dni po weselu spakował walizy i wyruszył do Wiednia. Spędził tam kilka tygodni, dzwoniąc kilka razy, żeby zapytać, czy w domu wszystko w porządku. Wrócił na dwa dni i znowu wyjechał. Najpierw w interesach do Warszawy, stamtąd do Poznania i wreszcie do Wiednia, gdzie siedzi do teraz. Zapowiedział się z wizytą na Wielkanoc. A więc mam jeszcze trzy tygodnie wolności.

– Nie martwi cię to?

– Że cały czas jestem sama? Nie, w żadnej mierze. Raz jeden odwiedziła mnie matka Mikołaja. Akurat wracałam z wycieczki rowerowej. Kiedy mnie zobaczyła, zrobiła się biała jak prześcieradło. Szarpnęła za kierownicę z takim impetem, że omal nie spadłam z siodła. Jak na osobę w jej wieku porusza się nadzwyczaj szybko. Wierz mi, musiałam biec, żeby ją dogonić, tak szybko uciekała. Do domu nie weszła, chociaż ją zapraszałam. Krzyczała coś o moim braku wstydu, o tym, że uprzedzała Mikołaja, ale on, biedak, myślał, że jestem cicha i spokojna, że jak tylko mąż wyjeżdża, to ja dosiadam tego diabelstwa! Mówię ci, zachowywała się tak, jakby zobaczyła diabła. Dowiedziałam się, że rower spowoduje problemy z płodnością, że będę przeklinać dzień, w którym na niego wsiadłam, ponieważ

nigdy nie zostanę matką, mając uszkodzone narządy kobiece. Kiedy myślałam, że już przestała pomstować i może jednak zechce ze mną wypić herbatę, ona warknęła, że zna takie jak ja, co to używają rowerów do niecznych celów. Po tych słowach odwróciła się na pięcie i tyle ją widziałam. Zapewne o wszystkim opowiedziała synowi, lecz Tojew nie wspomniał nic o rowerze, chociaż zadzwonił do domu już po wizycie swojej matki.

– Nie wiem, czy się śmiać, czy płakać. To straszne, że wciąż się powtarza przesady z ubiegłego stulecia. A wiesz, że Eleonora też marzy o rowerze. Uważa, że dzięki niemu kobiety stają się wolne i niezależniają się od mężczyzn. Ojciec chciał jej go sprezentować na Wielkanoc, ale stanowczo odmówiła. Powiedziała, że albo sama uezbiera potrzebną kwotę, albo nadal będzie jeździć tramwajem lub chodzić piechotą. Swoją drogą, skąd masz ten rower?

– Znalazłam go w piwnicy. Służąca powiedziała, że należał do pierwszej żony Tojewa. Miał go ponoć przywieźć z Warszawy. Zapłacił za niego ponad trzysta rubli, sporo. Gdybym nie słyszała tych wszystkich rewelacji na temat ich małżeństwa, pomyślałabym, że musiał ją bardzo kochać, spełniając aż tak kosztowne życzenia.

– Może myliłem się co do niego? Wiesz przecież, że plotki potrafią wyrządzić wiele złego. Jeżeli tak jest, sam go osobiście przeproszę za insynuacje, jakie czyniłem rodzicom, namawiając ich do zerwania twoich z nim zaręczyn.

– Rozmawiamy wciąż o mnie, a ty nie wyjawileś mi jeszcze powodu wizyty?

– Czy brat musi mieć powód, żeby odwiedzić siostrę? – odpowiedział pytaniem Julian.

– Nie dam się nabrać, Julianie. Mów jak na spowiedzi.

– Naprawdę nie przyjechałem z żadnego konkretnego powodu. Chciałem cię odwiedzić, a przy okazji zabrać do miasta. Zakładałem bowiem, że siedzisz w czterech ścianach i się zamartwiasz. Jak widać, założenie było błędne. – Rozalia uniosła brwi, czekając na dalsze wyjaśnienia. – Poza tym rzeczywiście chciałbym, żebyś mi pomogła w zakupach. Już przed Bożym Narodzeniem nosiłem się z pewnym zamiarem, lecz nawał pracy sprawił, że plany nie doszły do skutku. Postanowiłem jednak, że tym razem, choćby nie wiem co, zrealizuję postanowienie. Zamierzam odwiedzić zakład Siemaszki. Byłem tam kiedyś z matką. Pamiętam, że zaraz po opuszczeniu budynku zadałem jej pytanie, czy jeszcze tam wrócimy, ale zbeształa mnie, mówiąc, żebym więcej nie zadawał głupich pytań. Powiem szczerze, że zapomniałem o tym miejscu na wiele lat, jednak ostatnio przystanąłem w pobliżu, przyglądając się chłopcom, którzy grali w piłkę. I obiecałem sobie, że odwiedzę ten dom jeszcze nie raz, bo muszę coś zrobić dla jego wychowanków.

– To dobry pomysł. Oczywiście że pojedę z tobą do miasta, ale rower mam tylko jeden. – Śmiech Juliana towarzyszył wybuchowi radości Rozalii.

\*\*\*

Julian i Eleonora od dobrych trzech godzin siedzieli w jadalni Zakładu Wychowawczego im. ks. Siemaszki, przyglądając się, jak jego wychowankowie cieszą się z zabawek, które hrabia Michałowski przywiózł w prezencie z okazji Świąt Wielkanocnych.

– Nie wiem, jak mam dziękować. To rzecz całkiem niezwykła, bo jak sami państwo wiecie, gesty takie są dziś dość rzadkie i jeżeli już można ich oczekiwać, to raczej w okresie Bożego Narodzenia. Wtedy ludzie stają się wrażliwsi na biedę i cierpienie innych. Serca kruszeją i zdarza się, że dostajemy z tej okazji różne dary. Nigdy jednak nie otrzymaliśmy ich na Wielkanoc i nigdy w takiej ilości. – Wychowawca ekscytował się prawie tak samo jak chłopcy, którzy wciąż byli zajęci rozpakowywaniem kartonów z zabawkami.

Julian uśmiechał się szeroko. Był moment, że oczy zalśniły mu od łez, kiedy dzieci w podziękowaniu rzuciły się do niego i do Eleonory. Starsi chłopcy, bardziej powściągliwi i już nie tak skorzy do rozdawania uścisków, potrząsali w podziękowaniu ich dłońmi. Mniejsi, spragnieni nie tylko zabawek, ale przede wszystkim czułości, ciasno przywierali to do Juliana, to do Eleonory, drżąc z emocji i tuląc się do nich.

– Szkoda, że Rozalia nie mogła być tu dziś z nami – mówił Julian, kiedy jakiś czas później

spacerkiem ruszyli z Eleonorą w stronę Plant. – Odwiedziłem ją niedawno i to ona mi podpowiedziała, gdzie i jakich szukać zabawek. W pewnym momencie pomyślałem, że nie uda mi się wykonać planu. A wszystko z powodu braku czasu. W kancelarii nawarstwiło nam się mnóstwo spraw związanych z wielogodzinnym przesiadywaniem w sądach. Udało się jednak znaleźć pomoc w osobie żony Edmunda. Kiedy opowiedział jej o moim pomysłe, zadeklarowała bezinteresownie pomoc. To ona zamówiła te wszystkie zabawki, które firmy dostarczały do kancelarii. Wyobraź sobie, że zapłaciłem za nie kwotę symboliczną. Producenci nie skąpili zabawek na szczytny cel. Szczególnie szczodry był Janikowski, lecz i inni w niczym mu nie ustępowali. Powiedziałem o tym dyrektorowi zakładu, który obiecał wystosować specjalne podziękowania.

– To najmiłsza rzecz, w jakiej miałam okazję uczestniczyć od dłuższego czasu. Tak mało jest wśród nas ludzi bezinteresownych. Dziękuję ci, Julianie, że pomyślałeś o tych dzieciach. – Eleonora zatrzymała się, zmuszając hrabiego, żeby poszedł za jej przykładem, a potem niepomna na spacerujących wspięła się na palce i pocałowała go namiętnie.

Przez jakiś czas szli w milczeniu. Julian miał dla Eleonory jeszcze jedną niespodziankę. Wyczekiwał tylko stosownej chwili. Zastanawiał się, czy Planty są dobrym miejscem, żeby poprosić ją o rękę. Miał nadzieję, że nie wystawią się na ciekawskie spojrzenia.

– Wyobraź sobie, że na tydzień przed świętami ojciec poprosił mnie o radę. – Eleonora przerwała milczenie. – Do tej pory nigdy nie wręczaliśmy sobie prezentów na Wielkanoc, ale najwyraźniej poczucie winy nie daje mu spokoju, bo postanowił udobruchać matkę pięknym naszyjnikiem. Zaprowadził mnie do znajomego jubilera, prosząc o pomoc w wyborze stosownego prezentu. – Julian słuchał Eleonory, śmiejąc się w myślach ze zbiegu okoliczności. Czyżby los podpowiadał mu w ten sposób, że czas i miejsce na oświadczyzny były jak najbardziej stosowne? Tymczasem Eleonora opowiadała dalej. – Przeglądaliśmy akurat złote naszyjniki różnego kształtu i rozmiaru, kiedy do zakładu wszedł policjant, prosząc właściciela na słowo.

Eleonora przypomniała sobie dokładnie tamten moment. Funkcjonariusz skłonił się im nisko.

– Przepraszam, że zajmę na chwilę właściciela, lecz rzecz jest nagląca. – Złotnik również ich przeprosił, pokazując kilka innych modeli, a sam tymczasem stanął w niedalekiej odległości, słuchając uważnie policjanta. – Sporządzono dziś rano listę rzeczy skradzionych Marcelowi Starowieyskiemu z jego dworu. Są to: chochła srebrna wazowa z literami gotyckimi próby dwunastej, łyżka wazowa podłużna bez próby, sześć widelców srebrnych z literami gotyckimi J.G., sześć srebrnych łyżek z literami gotyckimi J.G. próby dwunastej, wykonanych u Nitscha, sześć srebrnych widelców bez próby, sześć srebrnych łyżek bez próby i jednaście srebrnych łyżeczek do kawy z literami J.G. próby trzynastej, dwie srebrne solniczki w kształcie pary łabędzi oraz cztery pary noży z widelcami bez próby. – Funkcjonariusz skończył wymieniać skradzione przedmioty, kładąc spis na ladzie.

– Nie wiedziałam, że takie informacje przekazuje się jubilerom – mówiła Eleonora, idąc pod ramię z Julianem. Już od kilkunastu minut spacerowali po Plantach.

– Chodzi o to, że jeśli jubilerzy już mają taką listę, są zobowiązani natychmiast zawiadomić stosowne władze, jeżeli pojawi się u nich klient chcący sprzedać jakieś rzeczy po okazyjnej cenie. Najczęściej łupy trafiają w ręce paserów. Pomimo spisów i przekazywanych złotnikom informacji rzadko udaje się odzyskać skradzione dobra, ponieważ paserzy mają swoich wieloletnich i zaufanych kupców tu, na miejscu. W ostateczności przerzucają łup poza granice miasta, a nawet regionu, mając w ten sposób pewność, że są bezpieczni – wyjaśnił Julian.

– Usiądziemy? – zaproponowała Eleonora.

Zajęli miejsce na uboczu, z dala od głównych alejek, zapewniając sobie odrobinę prywatności, której tak łaknął Julian. – Chciałbym... – zająknął się Michałowski, co raczej mu się nie zdarzało, dlatego Eleonora wpatrywała się w niego z ciekawością. Hrabia tymczasem gorączkowo się zastanawiał, czy powinien uklęknąć. W końcu zdecydował, że pominie ten element oświadczyzny, mając nadzieję, że Eleonora nie poczuje się urażona. Sięgnął do kieszeni marynarki i wyciągnął z niej małe zielone aksamitne pudełko przewiązane złotą wstążką. – Widać czas Wielkanocy to okres wizytowania jubilerów. Odwiedziłem niedawno, w towarzystwie Rozalii, Czaplickiego. – Zrobił krótką przerwę,

nabrał powietrza w płuca i zapytał: – Eleonoro, czy zostaniesz moją żoną? – Po czym otworzył puzderko. Oczom dziewczyny ukazał się piękny pierścionek z białego złota. Diamentowe oczko osadzono w sześcioramiennej koronie.

– Julianie... – Głos Eleonory drżał z emocji. W jej oczach zalśniły łzy, a na policzki wystąpił rumieniec. – Jest piękny. – Wyciągnęła rękę i delikatnie dotknęła opuszkami palców pierścionka. – Tak, wyjdę za ciebie – odpowiedziała po chwili, która Julianowi wydawała się wiecznością. A potem, nie czekając, aż Julian włoży jej pierścionek na palec, zarzuciła mu ręce na szyję i mocno do niego przywarła.

Hrabia objął ją ramieniem, wtulając twarz w jej włosy.

– A co, jeżeli powie „nie”? – zapytał Rozalię, kiedy opuszczali sklep Czaplickiego w Rynku.

Siostra nie brała w ogóle takiej możliwości pod uwagę, lecz Julian aż do teraz, pomimo zapewnień Rozalii i podświadomego głosu, który także podpowiadał mu, że nie ma się czym martwić, bał się odpowiedzi Eleonory. Odetchnął z ulgą i ucałował czubek jej głowy.

\*\*\*

– Zaczekaj. – Stefania próbowała wysunąć dłoń z uścisku Mikołaja. Zauważyła, że kilka starszych kobiet spojrzało z dezaprobatą na ich złączone ręce. Czowała się nieswojo.

– Nawet nie próbuj – szepnął Mikołaj z szerokim uśmiechem na twarzy, splatając mocniej ich palce. – Gdybym sam nie był świadkiem, nigdy bym nie uwierzył, że Stefania Schrammówna, wolna dusza, która nie boi się występować na deskach teatralnych, obawia się trzymać chłopaka za rękę. Spójrz tam. – Skinął delikatnie głową w stronę innej pary, która tak jak oni zwarła swoje dłonie w ciasnym uścisku. – Nie przejmuj się krzywymi spojrzeniami starych matron, które już dawno zapomniały, jak to jest cieszyć się życiem.

I nie bacząc na dalsze delikatne protesty Stefanii, pociągnął ją w stronę kościoła św. Wojciecha. Tam przy studni zbierali się dorożkarze, aby napoić spragnione konie, a czasami umyć zabłocone powozy.

Stefania miała nadzieję, że uda im się wynająć dorożkę. Zaledwie kilka dni temu dorożkarze demonstrowali swoje niezadowolenie, ustawiając się z samego rana od komisariatu policji na ulicy Mikołajskiej przez Planty aż do ulicy Kopernika. Około trzydziestu woźniców dorożek jednokonnych udało się do radcy dykcji policji, doktora Banacha, domagając się dopuszczenia na stanowiska na Rynku Głównym. Skargę na niesłuszne kategoryzowanie składali głównie właściciele dorożek „żelaznych”, uważanych za gorsze, którym wyznaczono miejsca postojowe na bocznych ulicach i przedmieściach, rezerwując Rynek Główny dla dorożek „gumowych”.

– Ależ drodzy panowie! – Doktor Banach mówił nieco podniesionym głosem, aby usłyszeli go wszyscy zebrani. – Sami wiecie, że wasze dorożki bez gum na kołach są nie tylko mniej wygodne, ale i mniej eleganckie, a korzystający z usług dorożek za te wygodniejsze i ładniejsze płacą tę samą cenę co za wasze, zatem wy straty nie ponosicie żadnej. A skoro cena ta sama, to rozumie się samo przez się, że klient wybierze tę wygodniejszą dorożkę. Zasadne jest zatem, aby zostawić wszystko tak, jak jest. Pierwszorzędne na pierwszorzędne miejsca, czyli na Rynek Główny, a drugorzędne na miejsca drugorzędne.

Na nic zdały się protesty, groźby i prośby, skoro radca Banach był nieprzejednany.

Już z daleka Stefania zauważyła kilka czekających dorożek.

– Pan wolny? – zapytał Mikołaj.

– Żonaty, ale jak kawaler chce, to mogę jego i pannę podrzucić we wskazane miejsce.

Chwilę później rozsiedli się wygodnie, ciesząc się swoim towarzystwem i piękną, słoneczną pogodą.

– Wiele razy jechałam dorożką, ale zawsze z rodzicami lub Eleonorą. Raz jeden z wujem Władysławem i ciotką Leokadią. Nigdy jednak podróż nie sprawiała mi takiej przyjemności. – Stefania nachyliła się w stronę Mikołaja i ściszyła nieco głos, mając nadzieję, że dorożkarz jej nie usłyszy. – To takie romantyczne. – Zachichotała, rumieniąc się lekko.



– Pewna panna ze Lwowa też tak sądziła – odezwał się woźnica. – Nie dalej jak kilka tygodni temu... – Mężczyzna przerwał. Obrócił się nieco, żeby zerknąć na siedzących z tyłu. – Nie wiem, czy mogę opowiadać, bo rzecz to wesoła nie jest, a panna może być słaba duchem.

– Zapewniam, że może pan spokojnie dokończyć – zapewniła go Stefcia.

– Nie dalej jak kilka tygodni temu o zdarzeniu tym opowiedział mi mój brat mieszkający we Lwowie. Nad ranem do jego powozu wsiedli mężczyzna i kobieta. On był mocno wskazujący, znaczy się nietrzeźwy, ona wesolutka, ale nie pijana. Przez jakiś czas gruchali jak dwa gołąbki. Brat nie ma w zwyczaju podsłuchiwać, dlatego zdziwił się bardzo, kiedy radosne głosy nagle stały się podniesione. Kiedy zamilkli na chwilę, brat pomyślał, że się godzą i przepraszają. A tu wtem ciszę przerwał odgłos wystrzału. Zatrzymał konie i zajrzał do środka. To, co zobaczył, było straszne. Kobieta pochylała się nad ciałem mężczyzny. Z jego skroni lała się krew, plamiąc ubranie i wnętrze powozu. Policja przybyła natychmiast. Okazało się, że para pokłóciła się o buty, których od kawalera zażądała panna. Jej prośba nie spodobała mu się tak bardzo, że najpierw strzelił do niej, lekko raniąc ją w czoło, a potem wymierzył do siebie. Ze znacznie lepszym skutkiem, bo śmiertelnym.

– To straszne. – Stefania westchnęła głęboko. – Nie musi się pan jednak martwić. Nie zamierzam prosić o buty, a Mikołaj, o ile mi wiadomo, nie ma broni.

Mikołaj zerknął na siedzącą obok niego dziewczynę i zapewne roześmiałyby się na głos, gdyby nie poważna mina dorożkarza i tragedia, o której usłyszeli przed chwilą.

Dalsza przejażdżka minęła im w ciszy. Dorożkarz nie zagadywał więcej, z czego szczególnie zadowolona była Stefania. Mikołaj kazał zatrzymać dorożkę wcześniej, niż początkowo zamierzali. Resztę drogi przebyli spacerkiem. Wreszcie dotarli pod kopiec Krakusa. Było stosunkowo wcześnie, więc i spacerujących niewielu.

– Lubię to miejsce – odezwał się Mikołaj. – Ojciec mój interesuje się historią miasta, a matka uwielbia wszelkie legendy i podania. Jest w nim coś magicznego.

– Zadziwiasz mnie, Mikołaju. – Stefania przyglądała mu się badawczo. Po chwili dodała: – Ja jednak wolę kopiec Wandy, chociaż ubolewam nad nią. To taka smutna historia bez szczęśliwego zakończenia.

– Szczęśliwe zakończenia zdarzają się głównie w książkach.

Usiedli w cieniu drzewa, spoglądając na zielone wzgórze.

– Mówisz jak moja siostra. – Mikołaj spojrział na Stefanię, której oczy błyszczały niczym gwiazdy w ciemną, bezchmurną noc, a policzki pokryły się lekkim rumieńcem emocji. – Eleonora powiada, że czytam za dużo romansów, które zaburzą moją ocenę rzeczywistości, ale ja wierzę, że jest w nich ziarno prawdy. – Stefania mówiła szybko, głęboko oddychając. Intensywnie wpatrywała się w Mikołaja, który miał wrażenie, że chciała coś jeszcze dodać, lecz zabrakło jej odwagi.

– Twoja siostra jest w błędzie. – Mikołaj ujął delikatnie twarz Stefanii w swoje dłonie, pragnąc patrzeć jej prosto w oczy. – Można się zakochać od pierwszego wejrzenia, tak jak w tych romansach. Wierz mi. – I nie bacząc na spacerowiczów, którzy akurat ich mijali, złożył na ustach Stefanii głęboki, namiętny pocałunek, wyrażając nim to, czego nie potrafił wyrazić słowami.

– Wierzę ci, Mikołaju. Wierzę.

Do miasta wracali pieszo. Niespiesznie. Szli blisko siebie, trzymając się za ręce. Stefania nie zwracała uwagi na krzywe spojrzenia, jakie zdarzyły się i tym razem. Była zbyt szczęśliwa, żeby przejmować się błahostkami. I wtedy pomyślała, że już niebawem będzie musiała rozstać się z Mikołajem i wrócić do domu. Na myśl o tym poczuła się nieswojo. Od jakiegoś czasu miała wrażenie, że coś się zmieniło. To nie była pewność, raczej podświadomość. Niby wszystko było jak dawniej, a jednak czasami zauważała jakieś różnice w zachowaniu rodziców. Ojciec wciąż pracował do późna, jak miał w zwyczaju, ale matka dla odmiany przestała pomstować i robić mu z tego powodu wyrzuty. Zamiast tego coraz częściej wychodziła z domu. Podobno na spotkania z przyjaciółkami, lecz od dnia, w którym Stefania widziała ją nieopodal domu starej Róży, która zajmowała się nie tylko wróżeniem z kart, ale także organizowała seanse spirytystyczne, przestała matce wierzyć. Na dodatek zbliżały się jej urodziny, a zaraz potem i Eleonory. Każdego roku z tej okazji matka wydawała przyjęcia.

Przygotowania robiła już od wielu tygodni. Najpierw lista gości. Rzecz istotna, ponieważ nie wszyscy otrzymywali zaproszenia na obie uroczystości. Menu. Atrakcje. Zaproszenia. Suknie. Wszystko musiało być zapięte na ostatni guzik. W końcu Tekla Schrammowa słyszeła z przyjęć. Najwyraźniej jednak coś się zmieniło, bo w tym roku matka nie wykazywała ochoty i zainteresowania, aby zacząć przygotowania do tak ważnego wydarzenia.

– Czy bardzo nadwyreżę zaufanie twojego ojca, jeżeli zamiast zaprowadzić cię do domu, porwę cię na tańce do „Indyi”? – Słowa Mikołaja wyrwały Stefanię z zamyślenia.

– Jeżeli już ktoś może je nadwyreżyc, to tylko ja, ale ufam, że ojciec wciąż jeszcze siedzi w banku, a matka pewnie nie odrywa wzroku od tarota.

Mikołaj uśmiechnął się szeroko i zamiast w stronę kamienicy Schrammów skierował się do „Indyi” w Rynku, gdzie jak zwykle było gwarno. Skoczną muzykę było słyszeć już z daleka. Do uszu Stefanii doleciał odgłos zawodzących skrzypiec, któremu towarzyszyły cymbały i basy. Przed wejściem stali młodzi mężczyźni w towarzystwie dziewczyn, które śmiały się głośno ze zbyt sprośnych żartów.

Mikołaj wyminął podchmielone towarzystwo. Trzymając Stefanię mocno za rękę, wszedł do środka. Porwał ją na parkiet, gdzie obracały się inne rozbawione pary. Powietrze było tu przesycone zapachem alkoholu, papierosowego dymu i ludzkiego potu, ale Stefania nie chciała być w tej chwili nigdzie indziej. Tańcząc do skocznej, głośnej muzyki w ramionach Mikołaja, zapomniała o wszelkich zmartwieniach. Nie tylko tych rodzinnych, lecz także o tym, że od kilku dni ludzie rozprawiali o śmierci arcyksięcia Franciszka Ferdynanda, który zginął od strzału zamachowca, i konsekwencjach, jakie może ona przynieść.

\*\*\*

Eleonora zatrzymała się na stopniach gmachu schroniska dla chłopców, które swego czasu ufundował książę Aleksander Lubomirski, przekazując znaczną część swego majątku na ten i podobny do niego dom dla dziewcząt w Łagiewnikach. Zadarła głowę, patrząc na błękitne, bezchmurne niebo. Słońce z wolna kończyło dzienną wędrówkę, ale nawet teraz, późnym popołudniem lub, według Stefanii, wczesnym wieczorem, wciąż grzało przyjemnie, nie pozwalając zapomnieć, że tegoroczne lato należało do nadzwyczaj upalnych. „Nadzwyczaj też udanych”, pomyślała Eleonora, ruszając w stronę cmentarza.

– Zarządzający placówką przy Rakowickiej 27 poprosił mnie o zbadanie kilku chłopców – powiedział kilka dni temu Dawid Bloch, spoglądając pytająco na towarzyszącą mu przy obchodzie Eleonorę. – Zechcesz mi towarzyszyć?

I tak dziś od południa sprawdzali stan zdrowia wychowanków schroniska. Zanim jednak zainstalowali się w jednym z pokoi administracyjnych, dyrektor placówki oprowadził ich po budynku.

– Jak państwo wiecie, książę nie pozostawił po sobie potomków. To bardzo smutne, ale nie ma tego złego... Rozumiecie państwo, prawda? – Nie czekając na odpowiedź, prowadził ich w kierunku schodów. – Mając tak ogromne zasoby finansowe, zdecydował się przeznaczyć je na szczytne cele. Naturalny wydaje się fakt, że nie mając własnych dzieci, chciał w jakiś sposób zapewnić lepszy byt tym, które z różnych względów nie mają rodziców albo rodzice nie chcą się nimi opiekować. Bo mamy u siebie i takich. To bardzo trudni młodzieńcy. Większość z nich niejednokrotnie wchodziła w konflikt z prawem. Bójki, kradzieże. Drobne, większe. – Dyrektor zrobił krótką przerwę, żeby zaczerpnąć tchu, ponieważ wciąż się wspinali. – Jeszcze tylko kilka schodów i będziemy na miejscu.

Wreszcie dotarli do kopuły, która przydawała gmachowi dostojności.

– Pewnie za sprawą kopuły ten budynek zawsze kojarzy mi się z bazyliką św. Piotra w Rzymie, którą raz jeden miałem okazję oglądać, niestety tylko z zewnątrz, podczas mojego krótkiego, ale intensywnego pobytu w Rzymie. – Dawid uśmiechnął się do Eleonory oraz oprowadzającego ich mężczyzny, który otwierał właśnie drzwi pomieszczenia znajdującego się na samej górze.

– Nie wiem, czy tak było faktycznie, ale podobno od samego początku architekci Stryjeński i Ekielski chcieli przeznaczyć tę przestrzeń na kaplicę. Oto i ona. – Po tych słowach cała trójka weszła do środka.

Eleonora zamknęła oczy, chcąc wszystkimi zmysłami poczuć niesamowitą atmosferę tego

miejsca.

– Tu, na górze, człowiek ma wrażenie, że jest bliżej Boga i jego modły trafią do Niego szybciej. – Dyrektor placówki przerwał milczenie. – W każdą niedzielę nasz ksiądz, który zresztą mieszka tu razem z nami, w swojej księżówce, odprawia mszę świętą. Odbywają się tutaj także rekolekcje, a w czasie adwentu każdego wieczoru chłopcy schodzą się na różaniec.

Chwilę później, którą Eleonora wykorzystwała na cichą modlitwę, opuścili kaplicę, kierując się na piętro z sypialniami, w których mieszkało prawie dwustu chłopców w różnym wieku.

– Sypialnie są znacznie większe niż w innych placówkach tego typu – zauważyła Eleonora, przypominając sobie niedawną wizytę w schronisku na Długiej, które odwiedziła wraz z Julianem. Żalowała, że nie ma go z nią także dziś, ale niestety kilka dni temu wyjechał po raz kolejny wraz z oddziałem strzelców w okolice Tyńca na ćwiczenia.

– To wszystko zasługa funduszy księcia Lubomirskiego i talentu architektów, że przemyśleli rozkład pomieszczeń w ten sposób. To zresztą nie wszystkie niespodzianki, jakimi państwa jeszcze zaskoczę. I proszę mi wierzyć, czegoś takiego z pewnością się nie spodziewacie.

Szli powoli, zaglądając na kolejne piętra i do różnych pomieszczeń. Była tam spora jadalnia, w której już trwały przygotowania do obiadu, i sale lekcyjne wyposażone w nowe pomoce naukowe, jakich prędkiej można by się spodziewać w szkole prywatnej niż w schronisku dla bezdomnych chłopców.

– Tu są mieszkania dla personelu. Jest wśród nas kilka osób, które nie mają własnej rodziny i wolą mieszkać tu niż samotnie w wynajętym mieszkaniu na mieście.

Na koniec zajrzeli do amfiteatru, w którym wystawiano przedstawienia i na którego deskach występowały także zapraszane z różnych okazji teatry amatorskie i ludowe. Minęli wielką salę gimnastyczną, w której akurat odbywały się zajęcia, i wreszcie stanęli przed drzwiami tajemniczego pomieszczenia.

– A oto i nasz powód do dumy. – Dyrektor pchnął ciężkie drzwi i oczom Dawida oraz Eleonory ukazał się kryty basen. – A nie mówiłem, że jeszcze państwa zaskoczę?

Eleonora uśmiechnęła się szeroko na wspomnienie dumy, jaka malowała się na jego sympatycznej, jowialnej twarzy na widok ich zaskoczenia i podziwu.

Po zakończonym zwiedzaniu przeszli do jednego z pomieszczeń administracyjnych, które na tę specjalną okoliczność przemieniono w prowizoryczny gabinet lekarski. Przebadali kilku chłopców, u których Dawid zdiagnozował przeziębienie. Dwóm zalecił hospitalizację i gruntowne badanie.

– Obawiam się, że mogą mieć gruźlicę. Zalecam wizytę w szpitalu i kolejne badanie, a w razie potwierdzenia mojej dzisiejszej diagnozy zastosowanie odpowiedniego leczenia.

Tego dnia założyli jeszcze niezliczone opatrunki na mniejsze i większe zadrapania oraz otarcia, zabandażowali lekkie skręcenia u trzech urwisów oraz przepisali proszki przeciwbólowe malcowi, który uskarżał się na ból brzucha po zjedzonym posiłku.

– Gdyby ból nie ustępował, proszę zgłosić się z nim do szpitala – instruował dyrektora Dawid. – Bóle jamy brzusznej mogą być niebezpieczne.

A teraz Eleonora, bardzo zmęczona po wyczerpującym dniu, szła powoli w stronę cmentarza. Lubiała atmosferę tego miejsca, niezakłócaną rozmowami i odgłosami ulicy, a jedynie szumem drzew i śpiewem ptaków wśród rozłożystych konarów. Idąc alejkami, spoglądała na nagrobki. Czasami wyobrażała sobie życie spoczywających tu ludzi. Wymyślała im życiorysy, bolejąc nad ich śmiercią. Dziś jednak marzyła jedynie o jak najszybszym powrocie do domu, lekkiej kolacji, chwili, kiedy zmyje z siebie trud całodziennego pracy, oraz świeżej pościeli. Miała nadzieję, że Stefania ulituje się nad nią, pozwalając jej od razu zasnąć. Obawiała się jednak, że siostra będzie chciała jej opowiadać o kolejnej próbie scenicznej i spotkaniach z Mikołajem.

Zajęta własnymi myślami, dopiero po chwili, kiedy była już prawie pod domem, zauważyła, że ludzie zwyczajowo przemykający przez Rynek lub siedzący w okolicznych lokalach zbili się w ciasne grupki przed stojącymi tu w kilku miejscach słupami ogłoszeniowymi. Nie mogła zdecydować, czy ruszyć w ich stronę, czy machnąć na to ręką i udać się do domu. W końcu jednak ciekawość zwyciężyła.

Postanowiła zerknąć zza pleców zebranych na ogłoszenia. Wspomnienie dziewczyny w hajdawerach, którą swego czasu widziała, wracając do domu, mignęło jej w myślach nieproszone. „Ileż to czasu minęło od tamtej chwili – pomyślała. – Ile niesamowitych rzeczy wydarzyło się w jej życiu”. Tymczasem zebrani ludzie szeptali nerwowo. Eleonora miała wrażenie, że specjalnie nie podnoszą głosu, bojąc się, że to doprowadzi do jakiegoś histerycznego wybuchu, ponieważ na ich twarzach widziała różne uczucia: radość, obawę, strach i wreszcie nadzieję. W końcu udało jej się dotrzeć bliżej słupa. Przeczytała obwieszczenie, na którym wciąż było widać świeże ślady kleju rozmazanego pędzlem, i zamarła.

\*\*\*

W salonie Schrammów zebrała się cała rodzina wraz ze służbą. Jan Schramm czytał na głos najnowsze doniesienia prasowe:

– Na dziejowym zegarze wybija wielka godzina. Nadeszła jedna z tych chwil przełomowych, które wstrząsają do gruntu społeczeństwem, które wymagają od każdego obywatela największych wysiłków i ofiar i które w rozwoju wypadków zmieniają zazwyczaj mapę państw... – Bankier zrobił przerwę, chcąc nadać dopiero co przeczytanym słowom nadzwyczajne znaczenie. Przełknął łyk zupełnie już wystygłej kawy, wziął głębszy oddech i ponownie zagłębił się w lekturze: – W chwili, gdy piszemy te słowa, wiemy, że monarchia rozpoczęła kroki wojenne przeciw niesfornemu państwu sąsiedniemu, które postępowaniem swoim już od roku 1908 zmusza monarchię do ustawicznej czujności i ciągłych ofiar materialnych; wiemy, że Najwyższy Wódz wydał już rozkaz częściowej mobilizacji rezerw i pospolitego ruszenia.

Eleonora wciągnęła głęboko powietrze. Miała ochotę zerwać się z miejsca i biec do Zakrzówka, do majątku Michałowskich, żeby przekonać się, że Julian nie zamierza, przynajmniej na razie, zaciągać się do wojska, ale zdawała sobie sprawę, że płonna jest jej nadzieja. Wiedziała doskonale, jakie nastawienie miał w tej kwestii młody hrabia Michałowski. On i jemu podobni tylko wyczekiwali stosownego momentu. I ta chwila nadeszła, a wraz z nią odżyły nadzieje na niepodległość. Rzecz, która od dziesiątków lat wydawała się niemożliwa, stawała się prawdopodobna.

– Co teraz będzie? – Tekla przerwała milczenie. Jej dolna warga lekko drżała. Była przerażona i najprawdopodobniej to przerażenie odbierało jej mowę, bo Tekli małomówność zdarzała się naprawdę rzadko.

– Nie wiem, moja droga. Bóg mi świadkiem, nie mam pojęcia. Sam zadaję sobie to pytanie od chwili, kiedy się dowiedziałem, że obwieszczenie to jest najprawdziwsze i że nie ma nic wspólnego z plotką.

– Nie martwmy się na zapas – krzyknęła Stefania, która do tej pory siedziała w milczeniu. – Dziś czeka nas jeszcze inne ważne wydarzenie. – Cztery pary oczu zwróciły się w jej stronę.

– Czy ty już na dobre postradałaś rozum, dziecko drogie? – Tekla od jakiegoś czasu nerwowo przemierzała salon, przyglądając się meblom i obrazom na ścianach. W pewnym momencie podeszła nawet do kredensu, zaglądając do środka, żeby sprawdzić, czy rodowe srebra, używane tylko na specjalne okazje, wciąż leżą na swoim miejscu. Słowa młodszej córki doleciały do niej akurat w chwili, kiedy zamykała drzwiczki starego mebla, zapewne równie cennego, jak jego zawartość. – Wojna wisi w powietrzu, nadciąga armagedon, a tobie w głowie tylko rozrywka. Myślisz, że nie wiem, gdzie się włóczysz całymi godzinami i z kim? Przymyślałam na wszystko oko, bo z doświadczenia wiem, że na nic moje starania i perswazje! – Z każdym wypowiedzianym zdaniem Schrammowa podnosiła głos. Stefania wpatrywała się w matkę szeroko otwartymi oczami. – Czekałam, kiedy wreszcie zmadrzejesz i zaczniesz prowadzić się z odpowiednim dla swojego statusu towarzystwem. Może ci się wydaje, że Kraków to duże miasto, lecz mylisz się okrutnie. To wioska. Malutka, tycia wioska, w której każdy zna każdego, a plotka, zwłaszcza dotycząca kogoś z towarzystwa, rozchodzi się lotem błyskawicy. Słyszałam więc o tym synu aptekarza, bo cię z nim widziano na mieście. Taki wstyd, że panna z dobrego domu sama wychodzi z młodym człowiekiem! Chciałam ci zabronić wychodzić, ale wiem, że zakazy działają na ciebie jak płachta na byka i gotowa byłabyś uciec z domu, co zamiast zapobiec skandalowi,

tylko dolałoby oliwy do ognia. Pomyślałam, że przynajmniej masz odwagę Eleonory i podzielisz się swoją tajemnicą z matką albo ojcem, skoro on jest bardziej dla was pobłażliwy, czego skutki widać gołym okiem. Ale ty milczałaś. Dalej spotykałaś się ukradkiem i w końcu zaczęłaś występować na scenie, a ja ze wstydu chowam się w czterech ścianach. – Ostatnie słowa Tekla Schramm wypowiedziała już tak cicho, że usłyszał ją jedynie siedzący blisko niej Jan, który podszedł do żony i zamknął jej drżące ciało w swoich mocnych, wielkich ramionach.

– Już dobrze, Teklo. Nie ma potrzeby tragizować. Nasza córka nie zrobiła niczego, mam w każdym razie taką nadzieję, co musiałoby nas napawać wstydem. Wszak aktorstwo nie przynosi żadnej ujmę, a wręcz przeciwnie, ludzie związani z teatrem stają się niekiedy nawet autorytetami. Artyści zawsze mieli wielki wpływ na społeczeństwo. Byli źródłem wiary i podtrzymywali iskrę polskości. Nie powinniśmy mieć naszej córce za złe, że jej artystyczna dusza pragnie się spełniać na teatralnych deskach. A wojna, kochaneńka, jeszcze nie wybuchła i może nie ma się czego obawiać. Czyż nie jest tak, że strach ma wielkie oczy?

Tekla zaczęła się z wolna uspokajać. Odsunęła się od męża i spojrzała na siedzącą ze spuszczoną głową Stefanię, dziwnie cichą i przygaszoną. Podeszła do córki i mocno ją przytuliła. Trwały tak przez chwilę bez słowa, dopóki Eleonora nie przerwała panującego w salonie milczenia.

– Stefania ma rację, że nie warto się zamartwiać. W końcu dziś ma się odbyć pożegnanie komendanta. Sama mam serce pełne strachu, a kiedy pomyślę, że Julian jak nic odpowie na odezwę mobilizacyjną, robi mi się słabo i najchętniej błagałabym go na kolanach, żeby zaniechał takich pomysłów. Nie mogę jednak tego od niego wymagać, skoro sama, jak tylko będzie możliwość, zaciągnę się do oddziału sanitarnego.

– Ani mi... – Tekla oderwała się od Stefanii i już chciała dalej zakazywać, kiedy Jan podszedł do niej i położył palce na jej ustach, uciszając ją w ten sposób.

– Nie kłóćmy się. Niech panie rozejdą się do swoich pokoi i ubiorą stosownie do wydarzenia, którego nie powinniśmy ominąć.

Jakiś czas potem stali wśród zebranych tłumów na ulicy Potockiego\*\*\*, nieopodal kasyna oficerskiego, do którego swego czasu tak chętnie i często zaglądał Jan Schramm. Ludzie cisnęli się jeden przez drugiego. Każdy chciał stać jak najbliżej drogi, aby wyraźnie zobaczyć przejeżdżającego w samochodzie generała Eduarda Böhma-Ermollego, który pełnił do tej pory funkcję dowódcy I Korpusu krakowskiego, a teraz został mianowany dowódcą c.k. 2 Armii. Na oficjalne pożegnanie przybyły wszystkie jednostki korpusu, w tym pułki piechoty, pułk obrony krajowej, artyleria, ułani i dragoni. Eleonora wyciągała długą szyję, szukając wśród zebranych Juliana, ale chociaż wyteżęła wzrok, nie zdołała rozpoznać jego sylwetki wśród tłumów.

Nad miastem powoli zapadał zmrok. Ludzie stali na trasie przemarszu już od kilku godzin, czekając na punkt kulminacyjny. Wreszcie przed godziną wpół do dziesiątej żołnierze odpalili trzymane w rękach lampiony, których płomienie buchnęły kolorowym światłem. Niektórzy mieli w dłoniach ruchome latarnie i smolne pochodnie. Efekt był oszałamiający. Z ust zebranych wyrwał się okrzyk podziwu. Przed godziną dziesiątą kasyno oficerskie opuścił wreszcie człowiek, dla którego zebrał się tu prawie cały Kraków. Komendant Böhm-Ermolli szedł wolno, dostojnie. Na jego twarzy nie było uśmiechu, minę miał poważną, nieco smutną, a ci, którzy stali dostatecznie blisko, powtarzali, że w oczach błyszczały mu z trudem powstrzymywane łzy. Zatrzymał się przed zaparkowanym samochodem, raz jeszcze spojrzał na budynek, z którego przed chwilą wyszedł, odwrócił się do mieszkańców Krakowa i na pożegnanie skinął głową. W końcu zajął miejsce tuż obok szofera. Ruszyli z wolna, poprzedzani szwadronem ułanów. Ich celem była stacja kolejowa. Wzdłuż całej drogi stali żegnający komendanta mieszkańcy miasta.

– Niech żyje armia! Niech żyje armia! – wołali zebrani głośno i wyraźnie.

Rodzina Schrammów odprowadzała generała wzrokiem. Nie ruszyli za jego samochodem tak jak inni, chociaż mówiło się, że na stacji ma czekać prezydent miasta Juliusz Leo w towarzystwie wiceprezydenta Henryka Szarskiego oraz delegata Namiestnictwa Jana Kantego Fedorowicza.

Byli już w domu, kiedy ściany się z lekka zatrzęsły. To wojskowe armaty, które ustawiono już

z rana na stacji, oddały pożegnalną salwę, strzelając dwadzieścia cztery razy. Pociąg do Wiednia, bogato udekorowany kwiatami, przy dźwiękach marsza Radetzkiego zaczął sunąć po szynach. Swojego poprzednika żegnał generał kawalerii baron Karl Kirchbach auf Lauterbach, stojąc ramię w ramię z przedstawicielami władz krakowskich.

\*\*\* Dzisiejsza ulica Westerplatte.

## Rozdział 11

– Mam wrażenie, że od wczorajszego spokojnego i jakże radosnego wieczoru minęły dekady. – Jan Schramm siedział w swoim fotelu w gabinecie, spoglądając to na przyniesione z banku papiery, to na Teklę, która od rana snuła się po domu w szlafroku, co prawda bardzo eleganckim, ale do tej pory zdarzyło jej się to tylko raz, kiedy przechodziła nadzwyczaj odporne przeziębienie wiele lat temu. – Mam nadzieję, że nie wychodziłaś dziś na miasto i że na jutro też nie zaplanowałaś żadnych eskapad?

– Nie zamierzam wychodzić. Ani jutro, ani pojutrze. Słyszałam, jak Eleonora szeptała Stefanii, że to już nie nasze miasto, lecz jakieś pandemonium. Najwyraźniej wczorajsza niezdrowa i nieprzemyślana euforia minęła. Ludzie zrozumieli, że wojna to nie cyrk. Co rusz można usłyszeć okrzyki grozy lamentujących matek, których synowie gremialnie zgłaszają się na odwach. Wydaje im się, że to romantyczne igraszki. Jakże ta młodzież bezmyślna! Dziękuję Bogu, że mamy córki.

– Nie dziękuj przedwcześnie. Słyszałaś przecież, że Eleonora chce się zaciągnąć do oddziałów sanitarnych, jak tylko powstaną. A powstaną na pewno. Już doszły mnie słuchy, że organizuje się w mieście Czerwony Krzyż.

– A kto miałby na niego łożyć?

– Paweł ksiązę Sapieha, który niedawno przybył do miasta ze Lwowa ze sporymi zasobami. Był u mnie nawet w tej materii, ale z jakichś powodów postanowił ulokować sześćdziesiąt tysięcy u konkurencji.

– Pieniądze nie załatwią wszystkiego – prychnęła Tekla, coraz bardziej zdenerwowana na myśl, że Eleonora może się znaleźć w centrum działań wojennych.

– Oczywiście, że nie, moja droga, lecz bardzo pomagają w organizacji zamierzenia. Wiem z innego źródła, że ksiązę wystosował już odpowiednie pismo i oczywiście stosowną sumę, którą przesłał do Wiednia, skąd lada moment ma nadejść pierwszy transport środków opatrunkowych, instrumentów medycznych, bielizny *etc.* Jak widzisz, wszystko jest do zrobienia.

Tekla właśnie chciała skomentować rewelacje, które przekazał jej mąż, kiedy zauważyła Eleonorę przemykającą w stronę sypialni.

– Noro! – zawołała głosem nieznoszącym sprzeciwu. – Pozwól do gabinetu. Czy to prawda, że ksiązę Sapieha pragnie zorganizować Czerwony Krzyż u nas w mieście? – zapytała po chwili.

– Mamo, ależ on niczego nie zamierza, bo już wszystko zorganizował. Właśnie stałam się częścią personelu izby chorych z siedzibą na dworcu. Mamy nadzieję, tymczasową. Będziemy tam przyjmować rannych przywożonych z frontu, opatrywać ich i jeśli zajdzie taka potrzeba, kierować do leczenia. Na razie wszystko jest dość prowizoryczne, ale z czasem nabierze profesjonalnego wyglądu.

– Jak mogłaś zrobić nam coś takiego?! – krzyknęła Tekla, podnosząc się z fotela.

– Mamo, jestem pielęgniarką. Jak mogłabym tego nie zrobić? Składałam przysięgę. Ile warte byłyby moje słowa, gdybym w pierwszej chwili, kiedy należy wykazać się lojalnością, zdezerterowała i schowała się w domu? Zgłosiły się wszystkie dziewczyny ze szkoły pielęgniarek panny Epstein. Jesteśmy zespołem. Znamy się od dawna. Działamy intuicyjnie. Kierowniczką została Anna Rydlówna, która prowadzi także stację wypoczynkową dla żołnierzy. Będziemy się opiekować wszystkimi potrzebnymi żołnierzami. Bez względu na to, po której stronie walczą. – Po tych słowach, nie czekając na reakcję matki, ruszyła w stronę przymkniętych drzwi gabinetu, w których zatrzymała się jeszcze na chwilę. – Wybaczcie, jestem zmęczona. Pójdę się położyć.

W gabinecie zapanowała cisza, którą zakłócało tylko miarowe tykanie zegara bezlitośnie odmierzającego czas.

\*\*\*

Eleonora, jak co dzień, z samego rana udała się do szpitala dziecięcego. Po zakończonym dyżurze, nie bacząc na zmęczenie, panujący na dworze skwar oraz zmartwienie z powodu Juliana, który niewątpliwie po ogłoszeniu przez komendanta Piłsudskiego mobilizacji organizacji strzeleckich znajdzie

się wśród ochotników, spieszyła do izby chorych na dworcu, chociaż ta wciąż jeszcze świeciła pustkami.

Tymczasem w Krakowie gorączkowy ruch, który rozpoczął się na dzień po obwieszczeniu o rozpoczęciu konfliktu zbrojnego, zwiększał się z dnia na dzień.

– Nie wierzę, że dożyłem dnia, w którym państwo legalnie i bez wypłaty odszkodowania z uwagi na straty materialne, jakie poniosłem, zarekwirowało nasz samochód, a także wóz i konia, którego moglibyśmy używać, kiedy zabrakło automobilu. – Zdenerwowanie wciąż nie opuszczało Jana Schramma, chociaż auto, wóz i konia skonfiskowano z samego rana, a teraz był już późny wieczór.

– Nie jesteśmy jedynymi poszkodowanymi, ojciec – odezwała się Stefania. – To z powodu mobilizacji. Czy nie zauważyłeś, ilu młodych mężczyzn kręci się po mieście?

– Prawdę powiedziawszy, nie zauważyłem. Mam na głowie ważniejsze problemy. Nie wyobrażacie sobie, do jakich scen dochodzi w banku. Dan-tej-skich. Już kilka razy musiałem wzywać straż i policję, żeby uspokoić klientów. Gromadzą się od samego rana pod drzwiami. Nie przyjmują do wiadomości, że władze zamroziły wszelkie operacje na kontach, a co za tym idzie, także wypłaty oszczędności, a oni na potęgę chcą wypłacać to, co złożyli na procent. Nawet gdybym mógł je wypłacić, to nie mogę. I między Bogiem a prawdą, dziękuję władzy za te zarządzenia, bo w innej sytuacji już dawno zostalibyśmy w samych koszulach. Skąd niby miałbym wziąć tyle pieniędzy. Ludzie nie mają pojęcia, na jakich zasadach działają banki. Wydaje im się, że ich pieniądze leżakują spokojnie niczym wino w piwnicach. Toż to obłąd.

Faktycznie miasto powoli zaczynało pękać w szwach, a jakby tego było mało, z uwagi na zwiększoną liczbę ludności zaczynało brakować zarówno miejsc noclegowych dla zmobilizowanych, nadciągających z różnych stron, jak i żywności. Młodzi mężczyźni, którzy gremialnie odpowiedzieli na apel Piłsudskiego, spali na ulicach, trawnikach i Plantach.

W okolicznych wsiach zaczęto rekwirować bydło, które miało zabezpieczyć aprowizację krakowskiej twierdzy. Stada krów spędzono na Błonia, gdzie stały kilkanaście dni. Ich muczenie słyhać było w całym mieście. Nie znalazł się nikt, kto mógłby je zaopatrzyć, wydoić czy napoić. Lejący się z nieba żar zrobił swoje. Zwierzęta zaczęły padać jedno po drugim. Chcąc ulżyć im w cierpieniu, trzeba je było na miejscu zarzynać. Krew, wsiąkając w trawę, zmieniła jej kolor z pożółkłego na soczyście czerwony, a nad Błoniami poczęły unosić się roje much zwabionych psującą się posoką.

Wycinano także drzewa, najwięcej w okolicy kopca Kościuszki, odsłaniając w ten sposób linię ostrzału, który mógł się rozpocząć lada dzień. W końcu jednak mieszkańcy zaczęli się przyzwyczajać. Spiesząc do pracy, sklepu czy szkoły, przestali zauważać wojskowych rekwirujących czyjś automobil albo wydzierających z rąk płaczących lejce z koniem, który stanowił podstawę utrzymania rodziny. Wałęsający się ulicami młodzieńcy nie stanowili już lokalnej atrakcji i coraz częściej zamiast wzbudzać sympatię, wywoływali irytację. Życie toczyło się nadal.

– Mam nadzieję, że nie zapomniłaś i przyjdiesz jutro wieczorem do Teatru Ludowego? – Stefania przyglądała się siostrze, która szykowała się do snu po ciężkim dniu.

– Przepraszam, nie słyszałam, o czym mówiłaś? Zamyśliłam się.

– Pytałam, czy przyjdiesz jutro do Ludowego? Zapraszałam cię na wodewil *Zuch dziewczyna*, w którym mam przyjemność występować. Będę śpiewać i tańczyć. Zresztą Mikołaj również. Chciałabym, żebyś przyszła, skoro na matkę i ojca nie mogę liczyć.

– Jutro? – Eleonora skrzywiła się na myśl, że będzie musiała rozczarować siostrę. Dziś po południu otrzymała list od Juliana, który prosił ją o spotkanie. – Musisz mi wybaczyć, ale nie mogę. Julian prosił o spotkanie, a jeden Bóg wie, kiedy znowu będziemy mieli taką okazję.

– Jak widać, na rodzinę zawsze można liczyć – skwitowała Stefania i dając siostrze do zrozumienia, że zakończyła rozmowę, odwróciła się do niej plecami.

\*\*\*

– Nie możesz tego zrobić! – Stefania odsunęła się gwałtownie od Mikołaja, który odprowadzał ją do domu po zakończonym spektaklu. – Obiecałeś, że nie wyjedziesz! Obiecałeś, że się nie zaciągniesz! Nie rozumiem? A co z przedstawieniami? Co z teatrem? Co ze mną?! Mieliśmy swoje



plany i marzenia, nieprawdaż?

– Stefciu, tak trzeba.

– Trzeba? Trzeba do wojska? Na bitwę? Igrać ze śmiercią? A dlaczego nie zostać w domu?

Ze mną?

– Kiedyś to zrozumiesz... – Mikołaj chciał coś jeszcze dodać, lecz Stefania weszła mu w słowo.

– Nie traktuj mnie protekcyjnie. Nie jestem już małą dziewczynką, której mówi się, że jak dorośnie, to zrozumie. Wy, chłopcy, zawsze lubiliście się bawić w wojenkę, ale czymże jest zabawa w porównaniu z prawdziwym piekłem. Po co wymachiwać patykiem, kiedy można trzymać w dłoni prawdziwą broń? Po co udawać martwego i zrywać się na nogi co chwila, kiedy można dać się zabić? Nic już nie mów, bo wszystko, co powiesz, tylko pogorszy sytuację. Idź już... Idź! – krzyknęła. Chciała odejść bez słowa pożegnania, lecz Mikołaj nie dał za wygraną.

– Nie odchodź w ten sposób. – Odwrócił ją do siebie i przyciągnął, mocno tuląc. Nie zwracał uwagi na szamotanie Stefanii. W końcu się uspokoiła.

– Nie zostawiaj mnie – szepnęła tuż przy uchu Mikołaja.

– Wrócę. Obiecuję, że wrócę. Wiem, że w to wątpisz, ale zapamiętaj moje słowa. Nie zamierzam łamać kolejnej obietnicy. Wierzysz mi? – Spojrzał w szkliste oczy Stefanii. Nie odpowiedziała, tylko lekko skinęła głową.

Od tamtej chwili nie widziała Mikołaja. Wciąż była na niego wściekła, ale nie mogła przecież nie przyjść tu, na Oleandry, i nie spróbować go odnaleźć. Nie mogła pozwolić mu odejść na front bez pożegnania. Musiała mu powiedzieć, żeby na siebie uważał.

Przez plac przebiegł szmer. Wśród zgromadzonych pojawił się długo wyczekiwany Józef Piłsudski.

– Żołnierze! – powiedział głośno, tak aby usłyszeli go nawet ci stojący najdalej. – Spotkał was ten zaszczyt niezmierny, że pierwsi pójdziecie do Królestwa. Do walki za oswobodzenie ojczyzny. Wszyscy, którzy jesteście tu zebrani, jesteście żołnierzami polskimi. Jedynym waszym znakiem jest odtąd orzeł biały.

Po tych słowach rozległa się burza oklasków. Komendant dał czas zebranych żołnierzom na ostatnie chwile z rodzinami. Julian już wcześniej odszukał Eleonorę.

– Uważaj na siebie – powiedział, biorąc jej twarz w dłonie. Przyglądał się jej uważnie, jakby chciał zapamiętać każdy najdrobniejszy szczegół ukochanej twarzy. Jakby chciał wyryć w pamięci jej wizerunek.

– To ty uważaj – odpowiedziała łamiącym się głosem. – Ja na razie zostaję na miejscu.

Julian już otworzył usta, żeby zaprotestować, ale Eleonora położyła mu palec na wargach, zmuszając do milczenia. Nie chciała, żeby ta wyjątkowa chwila została zakłócona przez jakieś słowne przepychanki. Widziała, że walczył ze sobą, bo chciałby jednak zabronić jej wyjeżdżać z patrolem sanitarnym, aż w końcu pokiwał głową z rezygnacją. Nie było sensu kłócić się o to z Eleonorą. Wiedział, że i tak zrobi to, co uzna za słuszne. Przytulił ją mocno. Trwali tak w milczeniu przez dłuższą chwilę.

– Jestem w patrolu konnym – szepnął jej do ucha. – Wziąłem swojego Karego. Będziemy się strzegli nawzajem. – Po tych słowach pocałował ją szybko i powoli się oddalił, oglądając się co jakiś czas przez ramię.

Niedługo potem zarządzone wymarsz. Odchodzących żołnierzy żegnały matki, żony, narzeczone i większość mieszkańców Krakowa. Większość, tak jak Eleonora i Stefania, modliła się za ich szczęśliwy i szybki powrót.

\*\*\*

Jan Schramm wyglądał przez okno swojego gabinetu. Kiedy tylko rano przekroczył próg banku, zabronił sobie przeszkadzać.

– Nie ma mnie dla nikogo, nawet gdyby widzenia zażądał sam cesarz – poinstruował swojego asystenta, po czym nie czekając na odpowiedź, trzasnął drzwiami i zasiadł z ponurą miną za biurkiem.

Chociaż od kilkunastu dni banki i kasy oszczędnościowe przeżywały prawdziwy najazd

klientów, którzy nie zawsze zachowywali się kulturalnie, wciąż nie mógł przywyknąć do tak odczłowieczonych zachowań osób, które znał i o których dotąd nie mógł powiedzieć złego słowa.

„Dzisiaj będzie jeszcze gorzej”, pomyślał, przetykając łyk zimnej, gorzkiej kawy. Kiedy szedł do pracy, zauważył ogłoszenia o ewakuacji Krakowa. Ludzie kłębili się przed obwieszczeniami, wpatrując się w nie tak, jakby ich treść pozostawała dla nich niezrozumiała. Przygnębienie, konsternacja, strach i niepewność wypisane były na twarzach krakowian przemykających w pośpiechu w strugach lejącego się z nieba deszczu. Wrzesień tego roku ich nie rozpieszczał.

„Wszystko przysięgło się przeciwko nam – rozmyślał Schramm. – Cóżemy takiego uczynili, Panie, że karzesz nas w tak okrutny sposób? Czy już nie wycierpieliśmy dość? Od wieku jesteśmy narodem bez ojczyzny. Pod pręgierzem innych władz. Udajemy, że jesteśmy wolni. Udajemy, że życie nas cieszy. Udajemy, że zgadzamy się na dyktat innych. Jesteśmy ulegli i potulni, a mimo to rzucasz nas na głębokie wody, które przybrały kształt wojny”. Powtarzając te słowa w myślach, zwrócił oczy do sufitu, jakby tam szukał odpowiedzi.

Nie pamiętał, kiedy ostatnio zwracał się do Boga. Zapomniał już, jak to jest z Nim rozmawiać. Może dlatego jego słowa były górnolotne, rzecz by można pompatyczne, ale nie potrafił do Boga mówić prosto, zwyczajnie. Zamknął oczy, chcąc odciąć się od tego, co działo się poza murami banku.

Władze podzieliły ludzi na kilka grup. Jedni prawie natychmiast mieli opuścić teren twierdzy, inni mogli wyjechać lub zostać, wedle uznania. Z terenów fortecy oraz z jej najbliższej okolicy wyruszyć musieli wszyscy obcokrajowcy, osoby bez prawa przynależności do Krakowa oraz jednostki podejrzane i niepewne, które posądzano o konflikt z prawem.

Jan Schramm sięgnął po przedruk obwieszczenia. Komendant twierdzy zalecał mieszkańcom, także tym, których nie przymuszono do wyjazdu, dobrowolne opuszczenie miasta. Ci zaś, którzy podejmą decyzję o pozostaniu w swoich domach, zobowiązani zostali do zaprowiantowania domowników na czas trzech miesięcy. Przestrzegano, że wszyscy, którzy nie spełnią tego obowiązku, zostaną przymusowo wydaleny z miasta.

Urząd miasta powiadamiał o nowym rozkładzie ruchu pociągów. Ewakuowani mogli skorzystać z pociągów osobowych, które za zwykłą opłatą odjeżdżały w określonych godzinach z Dworca Głównego, lub darmowych pociągów towarowych używanych do przewozu wojska. Pociągi kursowały do Wiednia oraz do innych miejscowości na terenie Galicji. Czytając tekst, Schramm pomyślał o Idzie Goldbaum, z którą mieli okazję rozmawiać kilka dni wcześniej.

– Zostajecie państwo w Krakowie? – zapytała, spoglądając na milczącą Teklę.

– Tak – odparł Jan – zostajemy. Nie mogę zostawić banku na pastwę losu. Żona i córki też nie zamierzają opuszczać domu. Zresztą Eleonora w pewnym sensie zaciągnęła się do służby.

– Ja wyjeżdżam. I tak chciałam na jakiś czas wrócić do Wiednia. – Po tych słowach pożegnała się z bankierem i jego żoną, zapewniając, że niebawem wróci do Krakowa.

Rozmowa z Frau Goldbaum sprawiła, że wieczorem tego samego dnia Schramm podjął przy stole temat opuszczenia miasta. Spotkał się najpierw z murem milczenia, a potem z oburzeniem, że był gotów nie tylko pomyśleć o czymś tak kuriozalnym, ale powiedzieć o tym głośno. I chociaż ustalili, że zostają, to w czasie kiedy Jan rozmyślał w swoim gabinecie, Stefania drażyła temat wyjazdu.

– Chyba nie wyjeżdżamy? – Stefcia nie odstępowała matki na krok, wciąż zadając jej jedno i to samo pytanie. – Mamo, czy podobnie jak wuj Władysław i ciotka Leokadia wyjedziemy z Krakowa?

Tekla Schramm milczała jednak jak zaklęta, co było do niej niepodobne. Stefania wzruszyła ramionami, zostawiając zamyśloną matkę w salonie. Sama zaś udała się do kuchni, gdzie kucharka przygotowywała skromny obiad.

– Jeszcze takiego ruchu w mieście nie widziałam – odezwała się Stefania, podkradając kilka skwarek do okraszenia kapusty. – Najwięcej ludzi ciśnie się na Basztowej. Zresztą podobnie jest na Lubicz. Powozów i automobilów jakby więcej. Można by pomyśleć, że mieszkamy w jakimś Paryżu albo Wiedniu chociażby.

– Jak wracałam ze sklepu, z ciekawości zaszłam na dworzec. Nawet panienska sobie nie

wyobraża, ile tam narodu. – Kucharka odwróciła się w stronę Stefanii.

– Wyobrażam sobie, bo sama zaszłam tam wczoraj. Chciałam zobaczyć, czy mieszkańcy wzięli sobie obwieszczenie o ewakuacji do serca. I wzięli. Ile tam było pakunków! Przy kasach ścisk, że szpilki nie wcisnąć. A przed dworcem nie lepiej. Jedna dorożka za drugą. Wypakowane po brzegi. Co biedniejsi przyszli pieszo, taszcząc na plecach to, co najcenniejsze. Najśmieszniej wyglądały damy, bo ani myślały zdjąć kapelusze, musiały przecież nawet tutaj dobrze wyglądać. Cisnęły się tak jedna obok drugiej w wielkich nakryciach głowy. Jedną widziałam nawet w węglarce, ale za to w kapeluszu z ogromnym piórem. – Stefania parsknęła śmiechem na wspomnienie wczorajszego obrazka.

Na chwilę w kuchni zapadła cisza. Stefania skupiła się na wskazówce zegara bezlitośnie odmierzającej czas, kucharka zaś na rosole, który wciąż smakował jak woda.

– Martwię się o pana – odezwała się w końcu panna Schrammówna. – Słyszałam, jak ludzie pomstują na bankierów. Zamknięto banki i kasy oszczędności. Nie wypłaca się pieniędzy, to i mieszkańcy boją się utraty dorobku życia. Czy będzie bunt? – zapytała, lecz nie czekała na odpowiedź. Kucharka wzruszyła tylko ramionami i odwróciła się w stronę pieca, gdzie skwierczała podsmażana cebulka, którą zamierzała okrasić ziemniaki.

\*\*\*

Głośnie łomotanie w drzwi sprawiło, że Eleonora podskoczyła przestraszona, odruchowo cofając się w głąb przedpokoju. Zerknęła na Teklę, która skinęła głową, dając córce przyzwolenie na otwarcie.

– Dzień dobry. – Młody mężczyzna w dziwnym uniformie skłonił się nisko, spoglądając to na Eleonorę, to na Teklę, które nie odpowiedziały na powitanie. – Jesteśmy z komisji badającej stan zapasów – mówiąc to, wskazał na stojących za nim dwóch innych urzędników magistratu, jak przypuszczała Eleonora. – Panie pozwolą, że wejdziemy do środka i sprawdzimy, czy mieszkańcy tego domu zaopatrzyli się zgodnie z wytycznymi.

– A jeżeli nie? – Tekla uniosła podbródek, mówiąc dość nieprzyjemnym tonem. W dodatku przysunęła się do drzwi i stanęła w nich tak, że całkowicie zabarykadowała sobą wejście.

– Droga pani – zaczął mężczyzna, który przed chwilą dokonał prezentacji – rozumiemy opór pań i niechęć do wpuszczenia nas do środka, ale zapewniam, że na nic zda się taka buńczuczna postawa. Chcielibyśmy sprawę załatwić szybko i przede wszystkim pokojowo. Po co sobie szarpać niepotrzebnie nerwy w i tak wystarczająco trudnym okresie?

– Niech panowie wejdą. – Eleonora położyła dłoń na ramieniu matki, zmuszając ją do zrobienia miejsca dla niespodziewanych i niemile widzianych przybyszów. – Zaprowadzę panów do kuchni, gdzie znajduje się spiżarnia. Wszystko, co posiadamy, jest albo w kuchennych szafkach, albo w spiżarni.

Chwilę później mężczyźni przystąpili do skrupulatnego liczenia i zapisywania.

– Ile osób jest w rodzinie? Razem ze służbą.

– Siedem – odpowiedziała Eleonora, ponieważ Tekla znowu zamilkła, chociaż bacznie obserwowwała każdy, nawet najdrobniejszy ruch urzędników.

– Informuję panie, że na jedną osobę na okres trzech miesięcy potrzeba: mąki 45 kilogramów, prawie 14 kilogramów ryżu lub kaszy, albo kaszy i ryżu, 11 kilogramów z niewielkim okładem grochu, 23 kilogramy ziemniaków, prawie 3 kilogramy soli, 9 kilogramów słoniny, masła albo sadła. Nieco ponad kilogram kakao, herbaty albo kawy, prawie 5 kilogramów cukru, 2 i pół kilo sera suchego, 9 kilogramów śledzi lub innych ryb. Przypraw, takich jak pieprz, należy mieć 2 gramy na dzień.

– Wszystko to wiemy. Zapoznaliśmy się całą rodziną z rozporządzeniem i w miarę możliwości zaopatrzyliśmy się w podane w nim produkty, co nie było łatwe, jak panowie zapewne wiedzą, ponieważ niektóre sklepy pozamykano, a te, które wciąż prosperują, znacznie zawyżają ceny towarów.

– To niedozwolone praktyki i będą za nie nakładane surowe kary.

– Najwyraźniej kary nie są jednak takie surowe, skoro wciąż opłaca się sprzedawać towar znacznie drożej niż jeszcze kilka dni temu – skwitowała Tekla, wreszcie się odzywając. Zaraz jednak zasznurowała usta i najwyraźniej znowu postanowiła zamilknąć.

– Przeliczone zapasy są prawie zgodne z wytycznymi. Zalecamy zwiększyć zapas ziemniaków

i mąki z uwagi na mniejsze ilości śledzi i ryb, jakie państwo posiadają. Macie państwo na to kilka dni. Po wyznaczonym terminie komisja wróci, żeby sprawdzić, czy zalecenie zostało wykonane. Jeżeli tak się nie stanie, ktoś z państwa zostanie przymusowo ewakuowany, a jak wiecie, nie ma możliwości ucieczki z pociągów ewakuacyjnych, gdyż są pilnie strzeżone.

– Radziłabym bardziej skupić się na obronie miasta niż na nic niewnoszących komisjach i rewizjach oraz przymusowych ewakuacjach. Jak wiecie, człowiek, który nie chce opuścić swojego domu, zawsze znajdzie do niego drogę. – Głos Tekli ciął niczym dobrze naostrzona brzytwa wytrawnego golibrody, wzrok zaś ciskał gromy. – A teraz zapraszam do wyjścia. Żegnam panów oziębłe – dodała Schrammowa na pożegnanie i nie czekając na odpowiedź urzędnika magistratu oraz towarzyszących mu wojskowych, zatrasnęła im drzwi przed nosem.

\*\*\*

Drogi Julianie,

choć nie ma Cię już od tyłu dni, wciąż łapię się na tym, że wychodząc ze szpitala, rozglądam się po ulicach miasta, szukając wśród mrowia ludzi Twojej znajomej postaci, tej kochanej twarzy, na której na mój widok zawsze pojawiał się uśmiech. Zdarzyło się kilka razy, że podbiegałam do mężczyzn ubranych w mundur, zatrzymując ich i prawie siłą odwracając w swoją stronę. Ta sekunda czy dwie, zanim zobaczyłam ich twarze, była jednocześnie najpiękniejszą i najgorszą chwilą, ponieważ z jednej strony dawała nadzieję, że jednak jesteś w mieście. Że zmierzasz do nas, do domu, żeby się przywitać i mnie zaskoczyć, chociaż wiesz przecież, że nie przepadam za niespodziankami. Z drugiej była najgorszą, ponieważ zbyt szybko okazywało się, że to wzrok okrutnie spłatał mi figla, zmuszając mnie, abym uwierzyła pragnieniu, że jesteś na miejscu. To uczucie zniechęcenia, poddania, wszechogarniającego smutku... Nie potrafię opisać go słowami. Czasami mam wrażenie, że moje serce bije inaczej. Wolniej, leniwiej, od niechcenia. Jakby tylko podtrzymywało mnie przy życiu, ale nie dawało energii na życie pełną piersią. Moje oczy są smutne. Nie ma w nich wesołych ogników. Są chmurne jak niebo podczas burzy, a rozczarowanie nie dodaje im uroku.

Za każdym razem obiecywałam sobie, że to już ostatni raz. Że nie pobiegnę za nieznajomym. Tłumaczę sobie, że przecież gdybyś wrócił, czekałbyś jak zawsze pod szpitalem, ratując mnie z opresji niczym rycerz w lśniącej zbroi. Jak wtedy, kiedy po pierwszych zajęciach wyszłam ze szkoły ledwie żywa ze zmęczenia. Byłam głodna, śpiąca i było mi zimno. Uratowałeś mnie przed śmiercią głodową i z niewyspania. A na dodatek nie pozwoliłeś mi zamarznąć. Teraz, kiedy na dworze znowu robi się coraz chłodniej, a słońce wychodzi zza chmur tylko od czasu do czasu, na chwilę dając nam oddech od lejącego się z nieba zimnego deszczu, takie wspomnienia ogrzewają moje ciało i duszę.

Pocieszam się nimi, ponieważ wracam ze szpitala na dworcu zmęczona całodziennym dyżurem i obrazami, czasami tak okrutnymi, że aż niepodobna, żeby były prawdziwe, i zastanawiam się, kiedy świat, jeszcze nie tak dawno piękny, letni, pachnący kwiatami, roziskrzony gwiazdami i śmiechem szczęśliwych ludzi, stał się miejscem szarym, wypełnionym strachem, niepewnością jutra i dymem, który za dnia przysłania niebo.

Zapasy, które zrobiliśmy niebawem po Twoim wyjeździe, a które przeliczono w obecności wysłanników magistratu i wojska, kurczą się błyskawicznie, a nowych towarów kupić niepodobna, jeżeli już, to po cenach tak wysokich, że człowiek dwa razy się zastanawia, czy aby na pewno jest potrzeba ich nabycia. Nie pomagają kary, które miasto nakłada na nieuczciwych kupców szukających w ludzkim nieszczęściu okazji do wzbogacenia się. Żywność jest towarem tak deficytowym, że wciąż lepiej jest płacić grzywny niż sprzedawać ją po cenach, jakie obowiązywały raptem dwa miesiące temu.

Ojciec przesiaduje w banku, choć wszelkie instytucje finansowe zostały tymczasowo zamknięte, a wypłaty oszczędności wstrzymane. Pomimo to pod bankami i kasami oszczędności każdego dnia gromadzą się rozwścieczone tłumy zawiedzionych krakowian, którzy obawiają się o swoje oszczędności. Ja tymczasem lękam się o zdrowie, ba, nawet o życie ojca, który wystawia się na ich wrogość. Tatko powtarza jednak, że nie należy się ukrywać w domowych pieleszach jak struś chowający głowę w piasek, kiedy jest się uczciwym, postępującym zgodnie z prawem i nakazami władz

człowiekiem. Nie sposób się z nim nie zgodzić.

Matka zamknęła się w swoim pokoju i nosa z niego nie wyściubia, poza porami posiłków. Na początku ojciec był z tego wielce rad, ale to trwa już od wielu tygodni, co zaczyna go niepokoić. Kiedy chciał ją swego czasu namówić na spacer wieczorem, jakoś pod koniec września, kiedy pogoda dopisała, nakrzyczyła na niego, że w czasie wojny nie zamierza spacerować i wystawiać się na zbłąkane kule.

Stefania z kolei udaje, że życie nadal toczy się normalnie. Nie zwraca uwagi na śpiących w parkach i na skwerach młodych mężczyzn, którzy wciąż napływają z różnych stron w związku z odezwą mobilizacyjną. Nie zraża jej racjonowanie jedzenia i widmo przymusowej ewakuacji, której wciąż się opieramy, chociaż wuj Władysław i ciotka Leokadia wyjechali. Nie słucha gróźb ojca, że zostanie zamknięta w pokoju, jeżeli nie przestanie wracać do domu tak późno. Na wszystko ma odpowiedź. Że nie wraca sama, ponieważ ktoś z zespołu zawsze odprowadza ją pod sam dom. Że nie może obiecać wczesnych powrotów, ponieważ wciąż wystawiane są sztuki w teatrze amatorskim, w którym grywa z dawną pasją. Ojciec załamuje tylko ręce, modląc się o nią i o mnie zresztą też.

I ja się modłę. O Twój jak najszybszy powrót. O Twoje zdrowie. O Twoje bezpieczeństwo. O to, żeby to wszystko okazało się koszmarnym snem, z którego niebawem się obudzę. Czekam, aż ktoś wyrwie mnie z tego marazmu, ale nie ma poprawy, raczej sytuacja wciąż się pogarsza.

Kilka dni temu po raz pierwszy usłyszeliśmy odgłosy armatnich strzałów pod miastem. Miałam wrażenie, że nigdy się nie skończą i że każdy kolejny wystrzał słychać bliżej. Wraz z ostrzałem nieprzerwanym strumieniem zaczęli napływać ranni żołnierze. Nie wiem, czy ktokolwiek byłby w stanie przygotować mnie na obrazy, których jestem świadkiem każdego dnia. Te okaleczenia, których nie da się wyleczyć. Ta bezsilność, kiedy nie można pomóc, chociaż oczy rannych błagają o ratunek i nadzieję, że jutro nadejdzie. Ale czy muszę o tym pisać? Sam zapewne jesteś świadkiem rzeczy, których rozum nie zdoła pojąć. Takie okrucieństwo nie śniło się filozofom.

Nie poddajemy się jednak. Walczymy o każdego rannego. Pomagamy, nawet jeżeli potrafimy tylko na chwilę ulżyć w cierpieniu. Walczymy z ranami, depresją, szczurami i wszędobylskimi pchłami. Są wszędzie. We włosach, na ubraniach, kocach, ekwipunku. Nadzieja, że zginą wraz z nastaniem chłodniejszych dni, już także umarła.

Nie uwierzysz, ale pod koniec października Kraków po raz pierwszy ubrał się na biało. Świeży śnieg, padający prawie nieprzerwanie, przykrył całe miasto, które znowu wygląda jak z bajki, i gdyby zakryć uszy, żeby odgrodzić się od odgłosów artyleryjskich wystrzałów, można by zapomnieć, że na świecie szaleje pożoga. Czas płynie nieubłaganie. Ani się obejrzymy, a nadejdzie Boże Narodzenie. Na samą myśl, że będziesz z dala od domu w czasie tych najbardziej rodzinnych świąt, ogarnia mnie przemożny smutek. To właśnie o Was, żołnierzach, myślimy w szpitalu. Planujemy małą niespodziankę. Chcemy urządzić wigilię dla rannych. Nie będzie wystawnej kolacji ani prezentów, jednak mamy nadzieję, że uda się ustroić choinkę i wspólnie zjeść skromny posiłek. Barszcz z uszkami, który pewnie będzie smakować lepiej niż zabarwiona na czerwono woda, i mały kawałek ryby w towarzystwie marnie omaszczonych ziemniaków. Po kolacji podzielimy się opłatkiem, życząc sobie zdrowia i spokoju. Potem będziemy śpiewać kolędy, tworząc bożonarodzeniową atmosferę. Mam nadzieję, że Ty też spotkasz na swojej drodze siostry, które urządzią Wam skromną świąteczną wieczerzę, żebyście chociaż na chwilę zapomnieli o wojnie.

Liczę, że Nowy Rok przyniesie zakończenie wojny, bo nie wyobrażam sobie dłuższej z Tobą rozłąki. Modłę się o to z całych sił.

Twoja Eleonora

\*\*\*

W domu Schrammów pogasły już wszystkie światła, tylko z kuchni dochodziły odgłosy przyciszonej krzątaniny. Tekla Schrammowa zasnęła od razu, zbyt wyczerpana rozmyślaniami, co przyniesie kolejny dzień. Jan przewracał się z boku na bok. Od kilku dni martwił się sytuacją

w banku. Nie potrafił myśleć o niczym innym, tak jak teraz, leżąc z mocno zaciśniętymi powiekami i prosząc o nadejście snu, który niestety nie nadchodził. Jan westchnął ciężko i usiadł na łóżku. Siedział tak dłuższą chwilę. Nie potrafił zdecydować, czy wstać i udać się do kuchni, prosząc o przygotowanie ciepłego mleka, które zawsze pomagało mu na bezsenność, czy położyć się na powrót z nadzieją, że zmęczenie wreszcie zmorzy przepracowany umysł. I kiedy już zaczął odpływać w ramiona Morfeusza, do jego uszu doleciał odgłos natarczywego pukania do drzwi.

Najpierw pomyślał, że to już marzenie senne, ale natarczywe walenie nie było tworem jego umysłu, tylko brutalną rzeczywistością, a cały dom stanął na nogi.

– Na Boga, kto może dobijać się o tej porze? – zapytał retorycznie, zdając sobie sprawę, że Tekla również usiadła na łóżku.

– Nie otwieraj – szepnęła dramatycznie, przytrzymując go za ramię. – To niebezpieczne – dodała, widząc sceptyczny wyraz twarzy Jana.

Schramm może i dostosowałby się do prośby żony, lecz odgłosy dobiegające z korytarza świadczyły, że na ostrożność było już za późno. Ubrany w bonzurkę stanął w drzwiach sypialni, zastanawiając się, czy piski i okrzyki radości, które słyszy, na pewno wydaje z siebie Stefania.

– Tato! – Eleonora pojawiła się w korytarzu prowadzącym do pokoju rodziców. – Nie uwierysz, kto nas odwiedził?! – Jego starsza, zazwyczaj opanowana córka była wyraźnie podekscytowana. – Mikołaj! Mikołaj! – krzyknęła i ruszyła w stronę salonu, w którym nieoczekiwany gość został już zainstalowany przez wniebowziętą Stefanię.

Jakiś kwadrans później, kiedy cała rodzina rozsiadła się wygodnie na miękkich sofach, a Mikołaj skończył skromny, ale smaczny domowy posiłek, Eleonora odważyła się jako pierwsza zadać gnębiące ją pytanie:

– Czy Julian też wrócił do Krakowa? – Z bijącym sercem czekała na odpowiedź.

– Nie wiem. Przykro mi, nie mam pojęcia. Widziałem go tylko na początku. – Mikołaj wyglądał na prawdziwie rozczarowanego tym, że nie mógł przynieść Eleonorze radośniejszych wieści. Eleonora pokiwała głową, uśmiechając się uspokajająco do młodzieńca, chociaż w gardle z wolna rosła jej wielka gula trudna do przełknięcia.

– Opowiedz, jak było. – Młodsza siostra przerwała gęstniejącą ciszę. – Umieraliśmy tu ze strachu. Czy to dopiero początek? A może koniec? Wróciłeś na dobre? Czy tylko na chwilę? Nie zniosę kolejnego rozstania. – Stefania była rozgorączkowana. Zadawała jedno pytanie za drugim, nie dając Mikołajowi szansy na odpowiedź.

– Stefanio, moje dziecko, uspokój się. – Jan Schramm ze smutkiem patrzył na bliską płaczu córkę. – Pozwól Mikołajowi odpowiedzieć.

– Najgorzej było podczas pierwszej nocy – zaczął Mikołaj. – Zdaliśmy sobie sprawę, że to wszystko dzieje się naprawdę. Byliśmy z dala od rodzin, domowego bezpieczeństwa i ciepła. Słyszałem jęki, westchnienia i ciche, wstydlive pochlipywanie. Sam miałem łzy w oczach, ale robiłem wszystko, żeby wziąć się w garść, tłumacząc sobie, że to minie. Mój ojciec zawsze mawia, że wszystko mija. I ma rację. Kolejne dni i noce były już inne. Normalne. Przywykliśmy. W Krzeszowicach dali nam stare austriackie karabiny jednostrzałowe, którymi ćwiczyliśmy przez kilka godzin, na dodatek w nocy. Potem wkroczyliśmy do Kongresówki, ciesząc się, że nie zostaliśmy zatrzymani, nikt nie stawiał oporu, a graniczne słupy zostały wykopane i przewrócone. Wtedy było jeszcze dobrze. Powiedziałbym przyjemnie. Przespaliśmy się na trawie, zjedliśmy obiad, na furmankach zawieźli nas do Miechowa, skąd pomaszzerowaliśmy do Książa Wielkiego. Tam zakwaterowali nas w pałacu, podali smaczną kolację i udało nam się w końcu wyspać. I tak kolejne dni upływały albo na podwózkach, albo na marszu, aż pod koniec sierpnia wkroczyliśmy do Kielc, gdzie zaczęli nas szkolić.

– Nie za późno na szkolenie? – prychnęła Stefania.

– Na szkolenie nigdy nie jest za późno, zwłaszcza że okazało się, że wielu z nas nie potrafiło nawet celnie strzelać. Kiedy nie ćwiczyliśmy, kopaliśmy okopy, a służbę pełniła zawsze jedna kompania. Reszta patrolowała okolicę albo stacjonowała w pobliskich budynkach. Dni toczyły się wolno, spokojnie. Jak na mój gust za spokojnie i miałem rację. Braliśmy akurat kąpiel w łaźniach, kiedy

zostaliśmy zaalarmowani przez patrol zwiadowczy, że zbliża się nieprzyjaciel. W okopach czekaliśmy na rozkazy. Po naradzie zarządzono odwrót. Wymaszerowaliśmy w południe w najgorszej spiekocie. – Mikołaj przerwał na chwilę. Sięgnął po filiżankę wystygłej już herbaty. W salonie panowała cisza. Wszyscy czekali na dalszy ciąg opowieści. – Było gorąco, bezwietrznie i sucho. Idący z przodu wzbijali w powietrze tumany kurzu, w którym musieliśmy maszerować. Ten pył miałem wszędzie. W oczach, uszach, nosie. Oddychanie przychodziło nam z takim trudem. Kiedy wreszcie zatrzymaliśmy się w Grabkach Wielkich, najpierw pomyśleliśmy o umyciu twarzy. Kolejne dni zajęły nam marsze i przeprawa przez rzekę w nocy i w deszczu, który wreszcie spadł. W końcu bez walki zajęliśmy Ostrowce, ale patrol donosił, że w okolicy kręciło się pełno Moskali. Dali o sobie znać nad ranem kolejnego dnia. Pod osłoną przedświt, kiedy nie jest jeszcze jasno, lecz noc wciąż trwa i najtrudniej coś wypatrzyć, podeszli nas Kozacy. Niestety, zabili jednego z naszych. – Mikołaj westchnął, a Stefania zaczęła płakać, zdając sobie sprawę, że to mógł być Mikołaj. – Potem zbliżyła się rosyjska artyleria i zaczęła nas ostrzeliwać. Dowództwo zarządziło wycofanie ze wsi i zbliżenie do Wisły. Wycofywaliśmy się powoli. Korzystając z zabudowań, chowaliśmy się w szkole, po domach, budynkach gospodarczych, ostrzeliwując z karabinów wroga, ale ich było coraz więcej i więcej. Nie mielibyśmy z nimi szans. Udało nam się jakoś przedostać płonącym mostem na drugi brzeg Wisły. Dowódcy chwalili nasz pierwszy chrzest bojowy. Nie wyszło najgorzej. Jeden zabity, jeden ciężko ranny, który niestety umarł w szpitalu, i jeden lżej ranny.

– To musiało być straszne – odezwała się Tekla.

– Zapewniam panią, że tylko na początku. Później człowiek przywyka. Gorszy od strachu, którego w czasie walki nawet się nie odczuwa, bo adrenalina tak napędza, że człowiek czuje się niepokonany, był głód dokuczający nam na każdym kroku. Bywaliśmy tak głodni, że głąby kapusty wydawały się cymesem. Godnym królewskiego stołu. Pamiętam, jak raz szliśmy ponad czterdzieści kilometrów. W pełnym obciążeniu, a okolica podła. Nic do jedzenia. Wioski opustoszałe i wyczyszczone z żywności. Wreszcie wymęczeni zatrzymaliśmy się w jakiejś nędznej wsi. Rozlokowali nas po kwaterach i zaczęto dzielić chleb razowy. Nie uwierzycie, ale wypadło po półtora bochenka na pluton. Mój kompan płakał, ponieważ przypadła mu jedna maleńka kromka. Moja zresztą nie była większa. Miałem ochotę rzucić się na nią i pochłonąć ją natychmiast, lecz w takich chwilach trzeba jeść powoli. Trzeba oszukiwać żołądek. – Mikołaj podniósł się. – Będę się zbierał. Czas odwiedzić rodziców.

– Nie byłeś jeszcze w domu? – zapytała szczerze zdziwiona Eleonora.

– Nie. Nogi same zaprowadziły mnie najpierw tu – powiedział z wymownym spojrzeniem w stronę zapłakanej, ale szczęśliwej Stefanii.

– Nie będziemy dłużej zatrzymywać – rzekł przytomnie Schramm. – Zagładaj do nas, kiedy tylko będziesz mógł. Jesteś tu zawsze mile widziany. A teraz pozwól, że się pożegnamy. Życzymy szczęścia.

– Niech Bóg ma cię w opiece – dodała Tekla.

– Uważaj na siebie. – Eleonora podeszła do Mikołaja. – Gdybyś gdzieś przypadkiem spotkał Juliana, przekaż mu, że za nim tęsknię. I niech na siebie uważa. I oczywiście szybko do nas wraca. Stefania odprowadzi cię do drzwi.

Mikołaj ruszył korytarzem do wyjścia. Młodsza córka Schrammów podążyła wolno za nim. Nogi miała jak z ołowiu, a serce biło jej jak oszalałe.

– Nie wracaj tam. – Złapała Mikołaja za ramię, ściskając je palcami niczym orzeł trzymający ofiarę w szponach. – Nie wracaj tam. Ukryj się. Schowaj. Na pewno nie zauważą twojej nieobecności.

– To byłaby dezercja. Za coś takiego grozi śmierć. – Mikołaj przytrzymał Stefanię za ramiona. – Będę uważał. Obiecuję.

– Obiecuj, że wrócisz. – Mikołaj milczał. Stefania przyglądała mu się uważnie. – Obiecuj – nalegała.

– Obiecuję – westchnął. Przyciągnął ją do siebie i mocno przytulił.

Propozycja Stefanii, żeby nie wracać, była kusząca, ale nie brał tego pod uwagę. Nie żeby bał się śmierci, która groziła za dezercję, bo z tą zapewne nieraz zetknie się na polu walki. Na ucieczkę nigdy nie pozwoliłyby mu honor i poczucie obowiązku.

Stali tak jeszcze przez chwilę. W końcu Mikołaj rozluźnił uścisk i delikatnie odsunął się od Stefanii.

– Czekał na mnie. Wróć. Obiecuję.



## Rozdział 12

Julian chuchnął w zmarznięte dłonie. Powoli rozcierał jeden palec po drugim. Robił to tak długo, aż zaczynał odzyskiwać w nich czucie. Przenikający ciało mróz był nie do zniesienia. Z jego powodu nie potrafił się na niczym skupić. Cały czas marzył o ciepłe buchającym z kominka w salonie domu w Zakrzówku. Słyszał strzelające polana i widział buzujący w palenisku ogień tak wyraźnie, jakby siedział w wygodnym fotelu, wysuwając zimne stopy w stronę wesoło płonącego ognia. Zamknął oczy. Żółty płomień zatańczył pod powiekami i na ustach Juliana pojawił się uśmiech. Powróciły miłe wspomnienia. Zobaczył pokój tonący w przyjemnej poświacie. Na niewielkim stoliku niedaleko kominka stała filiżanka z parującą aromatyczną herbatą, którą uwielbiał popijać w mroźne zimowe wieczory. Jeszcze do niedawna należał do ludzi kochających zimę. Teraz jej nienawdził. Jak wiele dałby za kubek ciepłej, rozgrzewającej herbaty. Niestety, ciepło od wielu tygodni pozostawało w sferze marzeń. Dreszcz przeszył jego obolałe, skostniałe ciało. Poruszył się, chcąc przyjąć wygodniejszą, o ile w ogóle było to możliwe, pozycję.

Z kieszeni ciężkiego szynela wyciągnął papier i ołówek. Zmarznięte palce zawisły nad pustą kartką. Zamierzał napisać list do Eleonory. Kolejny list, którego zapewne i tak nie wyśle. Wszystkie poprzednie chował do wojskowej torby. Pomimo że wciąż leżały na jej dnie, czekając na dzień, w którym zdecyduje się je wysłać, sięgał po kolejną kartkę. Zaczął pisać powoli, ostrożnie dobierając słowa, lecz już po chwili zatracił się we wspomnieniach, ogrzewając ciało, umysł i serce wyobrażeniem roześmianej twarzy Eleonory.

Kochana Eleonoro,

zimno, które tu panuje, jest obezwładniające. Nie pamiętam, jak to jest nie marznąć, nie trząść się niczym osika. Zapomniałem o ogrzewających twarz promieniach słońca, bo chociaż i tutaj pojawia się ono na błękitnym niebie, gdzieś po drodze zatraciło całe swoje ciepło. Mam nadzieję, że będzie mi jeszcze kiedyś dane ogrzać się w ich blasku, siedząc na Plantach w Twoim towarzystwie.

Niestety, teraz za towarzyszy mam tylko tak samo jak ja wymęczonych kompanów, wszy i szczury, za nic mające naszą wściekłość, która każe nam je tłuc łopatami, ponieważ rozzuchwaliły się niepomierne. Znowu siedzimy w okopach. Mam wrażenie, że od miesięcy nic się nie zmienia, ale to tylko wrażenie, ponieważ niedawno byliśmy gdzieś przy granicy z Siedmiogrodem, wysoko w górach na Bukowinie. Przerzucili nas tam w liczbie nieco ponad dwóch tysięcy. Mieliśmy zaledwie cztery działa i trzy karabiny maszynowe na szesnaście takowych po stronie Rosjan. Okrutny los sprawił, że dowódcą naszych przeciwników był Polak, generał Lucjan Żeligowski. Nami dowodził generał Karol Durski-Trzaska. Zatrzymaliśmy się w rejonie Kirlibaby. Czekaliśmy na odpowiednią chwilę do ataku. Czekaliśmy i marzliśmy. Rozgrzewałem się, pisząc do Ciebie, bo każda myśl o Tobie sprawia, że serce bije mocniej i rozgrzewa się ciało. Wspomnienia o nas, o naszych spacerach, rozmowach, marzeniach dawały mi także wytchnienie od wiecznego strachu o jutro. Nie było chwili, abym nie myślał, czy jutro nadejdzie. Nie bólu czy śmierci boję się najbardziej, ale tego, że już nigdy się nie zobaczymy. Piszę więc do Ciebie, starając się zapomnieć o miejscu, w które rzucił mnie okrutny los i decyzje urzędników siedzących gdzieś tysiące kilometrów od nas, w ciepłych pokojach.

W końcu nadszedł dzień, w którym zaatakowaliśmy wroga. Przy ponad dwudziestostopniowym mrozie brnęliśmy wolno w świeżym śniegu, który tworzył ponadmetrowe zasy, utrudniając nam przedarcie się do Rosjan. My, ułani, staliśmy się piechotą ochraniającą artylerię. Zostawiliśmy nasze konie niezdolne do przebrnięcia w białym puchu. Parliśmy naprzód z ogromnym trudem. Dzień po dniu. Kawalek po kawalku, krok po kroku. Przez trzy dni. Dniem i nocą. Bez snu, bez jedzenia. Do wyczerpania. Ostatkiem sił, ale z wielką wolą walki. Zagarnialiśmy teren po trochu. Każdy skrawek wydarty Rosjanom był cenny niczym złoto. Najpierw odbiliśmy tak zwany dom dróżnika, potem osadę Papfalwa i wreszcie najcenniejszą – Kirlibaby.

Modliłem się cały czas, prosząc Boga, żeby pozwolił mi na powrót do domu, do Ciebie. Chciałem znowu zobaczyć Twoją twarz. Kiedy tylko nachodziło mnie zwątpienie, że nie wyjdziemy z tego cało,

wspominałem nasze pierwsze spotkanie. To na ulicy, przed sklepem z damską bielizną. Miałaś na głowie mały twarzowy kapelusik. Widząc Cię z daleka, myślałem, że Twoje włosy są jasne jak zboże. Tymczasem tak bardzo się myliłem. Są czarne jak skrzydła kruk. Miękkie, falujące.

Przy moim boku walczył młody chłopak z Zakrzówka. Kapral Jan Strzelecki, syn wdowca, który czasami pracował dla ojca. Wymieniając się pięknymi wspomnieniami, dodawaliśmy sobie wzajemnie otuchy, wierząc, że kule świszczące ponad głowami nie są nam przeznaczone. Niestety, kapralowi los nie oszczędził śmiertelnej rany. Zginął na dzień przed ostatecznym atakiem, w którym rozgromiliśmy cofających się w popłochu Rosjan. Dwudziestego drugiego stycznia zajęliśmy Kirlibabę. Otworiliśmy sobie drogę do powolnego, ale systematycznego wyzwania Bukowiny. Modlimy się, aby niebawem od południa wkroczyć do Galicji.

Do niewoli wzięliśmy ponad trzy setki nieprzyjaciół. Powiększyliśmy zapasy broni i amunicji. To zwycięstwo podniosło nas na duchu. Choć na chwilę zapomnieliśmy o mrozie, niewygodach i wszechogarniającej tęsknocie. Radość sprawiła, że zapomnieliśmy też o głodzie, ponieważ nasze racje żywnościowe dawno się skurczyły.

Nikt z nas już nie liczy na te siedemset pięćdziesiąt gramów chleba. Sucharki i herbatniki pozostały pięknym, słodkim wspomnieniem. Świeże mięso to rarytas, o którym rozprawiamy wieczorami. Póki co zostały jeszcze ziemniaki i warzywa, ale wiemy, że i one skończą się niebawem. Jakby tego było mało, to, co dostajemy do jedzenia, jest zimne i jałowe. Rzecz w tym, że nie wolno nam tu, na pierwszej linii, rozpałać ognia. Dym nad ogniskami mógłby stać się drogowskazem dla nieprzyjaciół. I tak siedzimy cicho, skuleni, jeden przy drugim, trzęsąc się z zimna i marząc nie tylko o ciepłym kącie, towarzystwie ukochanych kobiet, ale po prostu o ciepłym, odpowiednio przyprawionym posiłku.

Czasami wracam wspomnieniami do małego mieszkania, które w czasie studiów na Sorbonie wynajmowałem na poddaszu. Niezależnie od pory roku było w nim niekomfortowo. Latem nagrzewało się tak bardzo, że myślałem, iż korzystam z sauny. Zimą zaś, kiedy czarny dach pokrył się grubą warstwą białego puchu, robiło się w nim zimno niczym w eskimoskim igloo. Wiosna zaś i jesień mijały tak szybko, że trudno było się przyzwyczaić do normalnej temperatury panującej wówczas w kawalerce. Często zmęczony nie tylko zajęciami na Sorbonie, lecz także pracą korepetytora, wykończony gorącem albo zimnem panującym na poddaszu zasypiałem głodny. Głośnie burczenie w brzuchu było moją kołysanką do snu. Dziś też chłód i głód towarzyszą mi coraz częściej. Nie są już jednak elementem przygody, nie kończą się rankiem, kiedy to zaglądałem do którejś z jadalni w drodze na uczelnię. Tu czas się zatrzymał.

Spoglądam na zegarek, który dostałem wiele lat temu od dziadka, i rzucam wściekle spojrzenie wskazówkom, które – wydaje mi się – bezlitośnie stoją w miejscu. Tu sekunda jest minutą, minuta godziną, a godzina całym dniem. Dzień zaś to niekończąca się udręka. Przysiągłbym, że tak wygląda piekło. Przynajmniej moje. Lecz wiem, że skończy się, kiedy znowu się spotkamy.

Twój Julian

\*\*\*

Nareszcie nastąpiła wiosna. Przeszywający chłód odszedł w zapomnienie. Błękitne niebo, po którym leniwie przesuwały się białe, puszyste chmurki, jaśniało od jasnożółtych promieni słonecznych, ogrzewających zaróżowione ze zmęczenia policzki Eleonory, która wykorzystała krótką chwilę przerwy, aby zaczerpnąć świeżego powietrza.

Chociaż dopiero dochodziło południe, już czuła się niewymownie zmęczona. Każdego dnia przychodziła do szpitala na dworcu skoro świt i opuszczała go w późnych godzinach wieczornych. Czasami w ciągu dnia zaglądała jeszcze do małych podopiecznych w placówce dziecięcej na św. Filipa, lecz zdarzało się to ostatnimi czasy coraz rzadziej, co powodowało u Eleonory wyrzuty sumienia. Westchnęła. Zaprzagnęła zaszyć się w ciszy pokoju, który dzieliła ze Stefanią, i zapomnieć o tragedii rozgrywającej się na jej oczach. Kiedy zaczęła się bitwa o Kraków, ranni napływali szerokim

strumieniem. Ona, pozostałe pielęgniarki i zaledwie trzech lekarzy uwijali się jak w ukropie. Pracowali do całkowitego wyczerpania, a jednak wciąż miała wrażenie, że robią za mało i za wolno zajmują się chorymi. Odwróciła się i spojrzała na budynek, który wyrastał za jej plecami. Wreszcie zrobiło się nieco spokojniej, ale nadal pracy było zbyt dużo, jak na tak małą grupę pielęgniarek, sanitariuszy i lekarzy.

Skrzypnęły ciężkie metalowe drzwi.

– Pora wracać. – Słaby głos młodej dziewczyny, która pojawiła się tutaj jako ochotniczka, zmusił Eleonorę do zrobienia kilku kroków w jej stronę.

Prawdę powiedziawszy, miała ochotę wziąć nogi za pas i pobiec przed siebie, byle dalej. Nie zrobiła tego jednak. Przystanąła jeszcze na chwilę, żeby choć przez kilka sekund cieszyć się ciepłem otulającym miasto. Napawała się także czystą, świeżą wybuchającą z pąków zielenią. Od kilku dni było przyjemnie ciepło, a wczoraj wieczorem spadł pierwszy wiosenny deszcz, który sprawił, że krzewy i drzewa w okamgnieniu się zazieleniły. Wszystko było jasne, nasycone świeżością, prawdziwą, kłującą w oczy zielenią, a ta z upływem dni wyblaknie, zszarzeje i zbrązowieje, aby na jesieni stać się tylko cieniem wiosennej okazałości, rozmyślała Eleonora, wchodząc do ciemnego, dusznego pomieszczenia, w którym rozchodził się zapach lekarstw, potu, uryny, starej, zakrzepłej krwi i niegojących się ran. Od ścian odbijały się pojękiwania, sapanie, pochrapywania i prośby o uśmierzanie bólu.

– Noro! – Głos Dawida, lekarza, który tak jak ona pojawiał się w szpitalu z samego rana i wychodził koło północy, przywrócił ją do rzeczywistości, już nie szarej, lecz wręcz czarnej jak smoła. – Podejdz, proszę. Przygotuj się – powiedział, kiedy stanęła obok niego. – Mamy dziś kilka amputacji. Dwóch świeżo przywiezionych rannych. Jeden ze stopą okopową\*\*\*\*. Drugi z postrzałem, który roztrzaskał kolano. Potem trzeba będzie się zająć Ludwikiem. Rana zaczyna mocno się jątrzyć, więc jeżeli chcemy dać mu szansę na przeżycie, trzeba amputować i drugą nogę – mówiąc to, wskazał głową miejsce, w którym leżał ranny.

Eleonora posłusznie skinęła głową. Jeszcze kilka tygodni temu przeżywała każdą amputację, współczując młodym, pełnym życia mężczyznom, którzy stawili się do wojska pełni ideałów i marzeń o walce czystej i honorowej. Z czasem jednak przywykła, zobojętniała. Taka była kolej rzeczy. Nie było czasu i możliwości na długotrwałe leczenie, które może w innych okolicznościach, w innym czasie przyniosłoby efekty i amputacja okazałaby się tylko przerażającą perspektywą, z którą nie trzeba się było mierzyć.

Mijały minuty, godziny. Pracowali bez wytchnienia. W ciszy, odzywając się do siebie od czasu do czasu i tylko w najpotrzebniejszych kwestiach. Słońce powoli kończyło całodzienną wędrówkę po niebie, kiedy Dawid i Eleonora ruszyli na ostatni wieczorny obchód.

Jak zwykle zaczęli od pomieszczenia przeznaczonego na kwarantannę. Leżało w nim zawsze najmniej pacjentów. Po krótkiej wizycie ruszyli do największej sali, gdzie byli najciężej ranni. Po operacjach i amputacjach. Podchodzili do każdego z osobna. Prowadzili krótką rozmowę, sprawdzali opatrunki, kwalifikowali do dalszego leczenia lub, jak w przypadku trzech kolejnych pacjentów, do amputacji z powodu gangreny. Potem przeszli do mniejszego pomieszczenia, gdzie leżeli chorzy z urazami głowy. Najczęściej nieprzytomni, w stanie agonalnym, skreśleni na samym początku, kiedy przetransportowano ich z pola walki.

Wreszcie dobrze po jedenastej, a najczęściej około północy, mogli udać się do domu, żeby chociaż przez kilka godzin oddać się odpoczynkowi i zapomnieniu.

– Odprowadzę cię – powiedział Dawid, kierując się w stronę Rynku.

– Nie ma potrzeby. – Eleonora zatrzymała się w pół kroku. – Dziś nie zamierzam wracać. Jestem na to zbyt zmęczona. Położę się tutaj, w pokoiku, który wydzieliłeś jako gabinet. Chyba nie będziesz miał mi tego za złe?

– Oczywiście że nie, ale wolałbym, żebyś jednak wróciła do domu. Nie martw się o pacjentów. Są pod opieką, a dwóch sanitariuszy na razie wystarczy na nocnej zmianie. – Doktor Bloch uśmiechnął się smutno. Stał naprzeciwko Eleonory, blisko, na wyciągnięcie dłoni. – Nie wiem dlaczego, ale mam wrażenie, że zostawienie cię samej tu, w szpitalu, jest bardziej ryzykowne, niż gdybyś samotnie po nocy wracała do domu. – Po tych słowach przysunął się bliżej do Eleonory. Jego palce delikatnie pogładziły

jej policzek.

Eleonora podniosła dłoń i zamknęła jego rękę w swojej, przez chwilę trzymając ją przy twarzy. Miała ochotę wtulić się w Dawida. Przywrzeć do niego mocno. W takich chwilach potrzeba czułości i bliskości stawała się większa. Pomimo to po chwili odsunęła jego dłoń od policzka, wciąż jednak trzymając ją w swojej.

– Polubiłam cię od pierwszego wejrzenia, kiedy poznaliśmy się w domu mojego wuja. Uwielbiałam pracę z tobą w szpitalu na św. Filipa i lubię tutaj, chociaż czasem mam nadzieję, że to, co teraz, to tylko koszmarny sen, z którego nie potrafię się obudzić. Lubię twoje towarzystwo i ciebie, Dawidzie, dlatego takie gesty odbieram jako zagrożenie. Nie powinienes tego robić. – Dopiero teraz puściła jego dłoń.

Ręka Dawida powoli opadła. Przez chwilę stał jeszcze bardzo blisko Eleonory, spoglądając jej w oczy. W końcu zrobił krok w tył. Przypuszczał, że między nią a Julianem jest jakieś uczucie, lecz nie wiedział, że hrabia oświadczył się jej jakiś czas temu, ponieważ córka Schramma w szpitalu nie nosiła pierścionka zaręczynowego.

– Spóźniłem się, prawda? – zapytał, widząc w jej oczach potwierdzenie.

Nie dodał nic więcej, ale nie musiał. Eleonora wiedziała doskonale, o czym mówi. Skinęła głową, a potem, sama nie wiedząc, dlaczego to zrobiła, podeszła do niego i go pocałowała. Pocałunek był krótki i nie było w nim namiętności, lecz chciała mu go ofiarować.

– Mam nadzieję, że nie popsuję naszej przyjaźni? – zapytał po chwili.

– Nie. Na razie nie. – Eleonora odwróciła się i ruszyła w stronę drzwi szpitala. – Dobranoc – powiedziała, odwracając się po kilku krokach.

– Dobranoc – odparł Dawid. Stał w tym samym miejscu jeszcze długo po tym, jak Eleonora zniknęła w ciemnościach.

Nie poszedł jednak do domu. Krążył jakiś czas po okolicy. Nie myślał o niczym, chociaż jeszcze przed kilkunastoma minutami miał wrażenie, że niespokojne myśli rozsadzają mu czaszkę. Po prostu spacerował, wsłuchując się w odgłosy nocy. Nie był senny. Nie zamierzał się kłaść, dlatego po krótkiej walce ze swoimi słabościami odwrócił się na pięcie i ruszył w stronę szpitala. Czuł, że dostanie od Eleonory srogą reprimendę.

Kiedy wszedł do budynku, odpowiedziała mu cisza, o ile chrapanie, sapanie, pojękiwania i stękania można było uznać za ciszę. Powoli, nie chcąc narobić hałasu, ruszył do służbówki. Zastanawiał się, czy Eleonora już zasnęła.

W pokoju unosił się charakterystyczny zapach. Znał go bardzo dobrze. Zerknął na malutkie zdezelowane krzesło obok nie mniej wysłużonego łóżka, które odgrywało rolę nocnego stoliczka. Od razu zauważył butelkę i stojący obok kieliszek. Wziął go do ręki. Powąchał, aby rozwiać wątpliwości. Laudanum. Mieszanka opium, alkoholu i dodatkowo cynamonu, zawartego akurat w tej nalewce.

Oddech dziewczyny był równomierny, głęboki i spokojny. Bił się z myślami, czy powinien ją obudzić, kiedy Eleonora otworzyła oczy. Uśmiechnęła się sennie. Musiała wyczuć jego obecność. Laudanum wyostrzało zmysły, zwłaszcza słuch, zapach i wzrok. Nie poruszyła się. Leżała wpatrzona w jego twarz, lecz Dawid doskonale zdawał sobie sprawę, że w zasadzie Eleonora go nie widzi.

Chciał nią potrząsnąć. Chciał ją uderzyć i wykrzyknąć narastające w nim pretensje, lecz wszystko to poszłoby na marne. Przynajmniej teraz, dlatego pozwolił jej ponownie zasnąć, obiecując sobie solennie, że jutro rano z nią porozmawia. Srodze go rozczarowała. Może jeszcze dwie dekady temu nie wzięłby jej tego za złe. Wszak laudanum uważano wtedy za cudowny lek. Podawano go nawet dzieciom, ale w końcu wyszła na jaw przykra prawda. Laudanum nie było cudownym lekiem, tylko używką, która otumaniała i uzależniała.

Usiadł pod ścianą na niewygodnym, rozchybotanym krześle i zamknął oczy. Chciał w ten sposób doczekać poranka. Nawet nie zwrócił uwagi, kiedy zmorzył go sen.

– Dawidzie, Dawidzie. – Cichy głos powoli przebijał się do umysłu doktora Blocha. Otworzył oczy. Jego spojrzenie napotkało wzrok Eleonory. Od razu się obudził.

– Jak mogłaś! – wykrzyknął, potrząsając buteleczką, którą schował do kieszeni płaszcza. – Jak często to bierzesz? Jesteś uzależniona? A może używasz nie tylko laudanum? – Nie czekając na odpowiedź, szarpnął ją za prawą rękę, podciągając brutalnie rękaw fartucha, żeby odkryć jej żyły.

– Przestań! – warknęła, zabierając rękę. – Nie musisz się martwić. Nie jestem uzależniona. To był pierwszy raz. Ktoś mi to podarował. Miałam przez to czuć się bardziej odprężona i spokojniejsza.

– I czujesz się bardziej odprężona? – Słowa Dawida ociekały sarkazmem. – Znam wielu lekarzy, którzy na potęgę zażywają laudanum. Ba, znam i takich, którzy gustują w morfinie, ale wierz mi, to odprężenie i uczucie spokoju jest chwilowe. – Przerwał na chwilę, a Eleonora przygotowała się na długi, pouczający monolog. – Miałem cię za rozsądną kobietę i mam nadzieję, że zdania nie zmienię. – Dawid pokiwał głową z dezaprobatą, a widząc, że Eleonora zamierza coś dodać, podniósł tylko dłoń, gestem pokazując, że nie zamierza słuchać jej wyjaśnień. – Będę na sali. – Wyszedł z kantorka, zostawiając ją samą z uczuciem winy, rezygnacji i świadomością, że zawiodła nie tylko zaufanie Dawida, ale także swoje i tych, którzy dotąd nie wiedzieli, że była słaba i podatna na używki.

A przecież była, bo chociaż powiedziała Dawidowi prawdę o laudanum, że spróbowała nalewki po raz pierwszy, to do tej pory świetnie udawało jej się kryć przed wszystkimi swoje uzależnienie od absyntu. Uwielbiała uczucie, które dawała „zielona wróżka”, a ponieważ była za słaba, nie potrafiła dobrowolnie z niej zrezygnować.

\*\*\*

Kolejne dwa tygodnie minęły spokojnie. Ranni wprawdzie wciąż napływali, lecz nie było ich już tak wielu jak w czasie bitwy o miasto. Następnego dnia miał się ku końcowi. Eleonora zakończyła dyżur, a ponieważ Dawid postanowił zostać jeszcze przez jakiś czas, pożegnała się ze wszystkimi, dziękując Bogu, że może wreszcie wrócić do domu. Spojrzała na zegarek i stwierdziła, że pierwszy raz od bardzo, bardzo dawna skończyła pracę przed dwudziestą. Na dworze było wciąż jasno i, co najważniejsze, znowu zrobiło się ciepło. Jak na koniec kwietnia pogoda tego roku była niezwykle kapryśna.

„Nie dziw się, moja droga. Kwiecień plecień, to przeplata, trochę zimy, trochę lata”, słowa matki powracały do Eleonory za każdym razem, kiedy dziwiła się tak szybko zmieniającej się aurze. Powoli ruszyła z ulicy Kamiennej w stronę Kleparza. Chociaż bolały ją nogi, a zmęczenie nie opuszczało jej od wielu dni, cieszyła się na spacer do domu. Szła powoli, radując się piękną, wiosenną aurą. Nie zwracała uwagi na wojskowe patrole, na śpiących na ulicach młodych ludzi, wciąż odpowiadających na odezwę mobilizacyjną. Prawie nie słyszała głośnych pokrzykiwań kupujących, którzy narzekali na drożyznę, ponieważ ceny szły w górę z dnia na dzień, a i tak to, co znalazło się w sklepach i na straganach, znikало tak szybko, jak szybko się pojawiało. Ludzie marudzili, psioczyli, obrzucali sprzedających obelgami, a jednak kupowali, radując się z tego, co udało im się zdobyć. Na myśl o jedzeniu Eleonora głośno zaburczało w brzuchu. Pomyślała o domu i czekającej na nią kolacji. Od dawna nie jadali niczego wystawnego, ale przynajmniej po męczącym, wyczerpującym fizycznie i psychicznie dniu pracy mogła zjeść ciepłą zupę. Wiedziała aż za dobrze, że wielu mieszkańców miasta nie ma i tego.

Nagły impuls zatrzymał ją w pół kroku. Zerknęła na otwarte na oścież, zapraszające do wejścia drzwi kościoła św. Floriana. Usiadła w ostatniej ławce. Kościół był prawie pusty. W dwóch pierwszych ławkach zauważyła trzy modlące się starsze kobiety. Zamknęła oczy, oddając się cichej, wewnętrznej modlitwie. Nawet nie zauważyła, kiedy po twarzy popłynęły jej łzy. Tworzyły na jej lekko zabrudzonych policzkach wąskie ścieżki, prowadzące od zaczerwienionych oczu do drżących ust. Siłą powstrzymywała szloch, który chciał wyrwać się na zewnątrz. Tygodnie traumy, jaką przeżywała wraz z rannymi, tygodnie ciężkiej pracy, zmęczenie, niedojadanie i dręcząca tęsknota za Julianem, od którego wciąż nie miała wieści, załamały ją tu, w kościele. Podniosła atmosfera tego miejsca wyzwoliła w niej uczucia, które skrzętnie skrywała.

– Nie płacz, dziecko. – Cichy, kojący głos dobiegł do Eleonory z boku.

Spojrzała przez łzy na starszego księdza, który musiał przysiąść na jej ławce niezauważony. Może zrobił to, kiedy modliła się z zamkniętymi oczami, a może trochę później, kiedy świat zamazały

jej łzy.

– Staram się być silna, proszę księdza, ale już nie mam siły. Robię to dla matki i siostry, tylko że coraz częściej brakuje mi woli walki. Czy to się kiedyś skończy?

– Wszystko przemija. Wszystko. Pan da ci siłę, bo w twoich oczach widzę dobro. Nie trać nadziei. Nigdy nie trać nadziei.

– Niech się ksiądz pomodli za nas wszystkich, bo Bóg mi świadkiem, potrzebujemy modlitwy jak nigdy wcześniej. – Z tymi słowami Eleonora podniosła się z ławki i ruszyła do wyjścia.

Przystanęła jeszcze na chwilę przed kościołem. Zerknęła na jego strzelistą sylwetkę z dwoma wieżami i kopułą nad wejściem głównym, zastanawiając się, jak wyglądała ona wcześniej.

– To bardzo stary kościół – tłumaczył wuj Władysław, prowadząc Eleonorę do jego wnętrza, kiedy ta miała niecałe dziesięć lat. Lubił zabierać siostrzenicę na spacer po mieście i opowiadać historie niektórych budynków. Eleonora była wdzięczną słuchaczką zadającą mnóstwo pytań, co zmuszało Bobrzyńskiego do ciągłego studiowania historii miasta.

Stojąc teraz w cieniu kościoła i ocierając resztki łez, Eleonora przypomniała sobie, że pierwszy gmach powstał tu pod koniec jedenastego lub na początku dwunastego wieku, a kolegiatę konsekrował sam Wincenty Kadłubek, biskup krakowski i kronikarz w jednej osobie. Obecny kościół powstał kilka wieków później, kiedy to podczas szwedzkiego najazdu Stefan Czarniecki kazał spalić przedmieścia miasta, a pożoga pochłonęła pierwszą budowlę. Na jej miejscu postawiono obecną świątynię. Przeżegnała się i ruszyła dalej.

Była akurat koło Barbakanu, kiedy usłyszała, że ktoś woła ją po imieniu.

– Panno Eleonoro! Panno Eleonoro! – Rozejrzała się dookoła i dopiero po chwili zauważyła, że w jej stronę, machając energicznie ręką, zbliża się młoda kobieta. Eleonora wyteżyła wzrok. Twarz kobiety była dziwnie znajoma.

– Panna mnie może nie poznaje – powiedziała kobieta, kiedy już stanęła przed Eleonorą. – Służę u państwa Michałowskich, w Zakrzówku.

Na dźwięk nazwiska Juliana serce Eleonory podskoczyło w piersi, bijąc niebezpiecznie szybko, a myśli zaczęły galopować jedna za drugą.

– Byłam u pani w domu, ale powiedziano mi, że pani praca do późna w szpitalu polowym na Kamiennej. Musiałyśmy się minąć, bo jedna z pielęgniarek powiedziała, kiedy tam doszłam, że pani dopiero co poszła do domu. I biegnę tak za panią. Już się bałam, że znowu się minimy, ale w samą porę zauważyłam panią pod murami.

– Na Boga! – wykrzyknęła Eleonora, zwracając na siebie uwagę kilku przechodniów. – Czy coś się stało?

– Nie! To znaczy tak. Pan Julian przyjechał wczoraj wojskowym transportem do domu. Został zwolniony na przepustkę z powodu silnego przeziębienia. Podejrzewają nawet zapalenie płuc. Leży w domu w Zakrzówku i dziś rano poprosił mnie, kiedy tylko się ocknął, żebym poszła i powiedziała o tym panience.

– Julian jest w domu? – Eleonora zachwiała się mocno i najpewniej by upadła, gdyby nie refleks służącej Michałowskich, która w porę złapała ją za rękę. – Bóg wysłuchał moich modlitw. – W oczach Eleonory znowu zalśniły łzy, tym razem jednak były to łzy szczęścia i ulgi.

– Co mam przekazać?

– Nic, moja droga, nic – odparła panna Schramm, a widząc zdziwienie malujące się na pulchnej, zaczerwienionej z wysiłku twarzy służącej, uśmiechnęła się szeroko i dodała: – Chodźmy do Zakrzówka.

\*\*\*

Hrabia Michałowski spokojnie przywitał się z Eleonorą, nie robiąc żadnych uwag na temat późnej pory odwiedzin. Hrabina jednak nie zamierzała milczeć.

– Nie wydaje mi się, aby to był dobry pomysł. Julian zapewne śpi, a i panna Schrammówna nie powinna o tej porze... – wymownie spojrzała na stojący w przedpokoju zegar – ... przebywać z dala od

domu. Czasy dziś niepewne to raz, a dwa, nie przystoi, aby panna wieczorami przesiadywała w pokoju młodego mężczyzny. Zwłaszcza że nie są po słowie.

– Hrabina wybaczy, lecz czasy, w których przyszło nam żyć, a niektórym zbyt szybko umierać, nieco zmieniły konwenanse i to, co wypada, a co nie wypada. Jeżeli zatem pan hrabia pozwoli, chciałabym zobaczyć Juliana. Czy mogę? – Jeszcze kilka tygodni temu Eleonora z pewnością nie miałaby śmiałości, żeby w ten sposób zwrócić się do hrabiny Michałowskiej, ale odkąd naocznie przekonała się, jak kruche bywa życie, nabrała pewności siebie.

Nie było czasu, aby przejmować się błahostkami. Nie było czasu, aby się zastanawiać, czy młodej, niezamężnej dziewczynie wypada przysiąść na łóżku chorego młodego mężczyzny, który jest kawalerem. Nie było czasu, aby roztrząsać kwestie zachowania młodych, samotnych ludzi. Wojna zmieniała wszystko.

Eleonora w napięciu spojrzała na ojca Juliana, który wahał się jeszcze chwilę, mierząc się na spojrzenia z małżonką, której wzrok mówił, iż powinien wyprosić córkę Schramma, ale w końcu, po długim i ciężkim milczeniu, które Eleonorze wydawało się niekończącą torturą, hrabia zaprosił ją do środka.

– Katarzyna zaprowadzi panienkę do pokoju syna. Proszę się nie krępować. Może panna zostać tak długo, jak chce.

– Aleksandrze! – Hrabina odezwała się oburzona. – Chyba nie zamierzasz pozwalać, żeby panna Schrammówna przesiedziała u nas całą noc?

– Daj spokój, moja droga. Daj spokój. – Aleksander Michałowski złapał żonę pod rękę i prawie ciągnąc za sobą, powiódł do własnego gabinetu.

Tymczasem Katarzyna otworzyła przed Eleonorą drzwi sypialni Juliana. W pokoju było ciemno choć oko wykol. Malutka lampka na nocnym stoliku nie rozświetlała panującego tam mroku, który potęgowały jeszcze zasłonięte ciężkie kotary, niewpuszczające do środka księżycowej poświaty. W izbie było duszno. Ciężkie, przesycone chorobą powietrze spowodowało, że na czoło Eleonory wystąpiły drobniutkie krople potu. Oddychała z trudem, podobnie jak śpiący niespokojnie Julian.

Eleonora, nie bacząc na wciąż stojącą w drzwiach Katarzynę, podeszła do okna i jednym zamaszystym ruchem odsłoniła ciężkie story. W pokoju od razu zrobiło się jaśniej, chociaż na dworze panował już całkowity mrok. Następnie otworzyła okna, żeby wpuścić do środka świeże wiosenne powietrze. Noc była wyjątkowo ciepła. Lekki wiaterek zaszeleścił w gałęziach rozłożystego drzewa rosnącego za oknem sypialni Juliana. Zwiewne muślinowe firanki zafalowały, kiedy drzwi sypialni zostały delikatnie przymknięte. Eleonora zbliżyła się do łóżka Juliana i położyła chłodną dłoń na jego rozpalonym czole. Westchnął z ulgą. Policzki miał zaczerwienione z gorączki, a czoło mokre od potu. Córkę Schramma akurat podchodziła do drzwi pokoju, kiedy te otwarły się cicho i stanął w nich ojciec Juliana.

– Czy nie należałoby zawiadomić rodziców panienki? – zagadnął z troską, która odbijała się w jego oczach, kiedy ponad ramieniem Eleonory zerkał na łóżko syna.

– Rodzice zdają sobie sprawę, że mogę nie wrócić na noc do domu. Już raz czy dwa musiałam zostać w szpitalu. Mają córkę pielęgniarkę, która pracuje, a w zasadzie służy w szpitalu wojskowym, i musieli się przyzwyczaić, chociaż jak zapewniał ojciec, nie było im łatwo. Niemniej jednak dziękuję za troskę, panie hrabio.

– Życie musi nas czasami okrutnie doświadczyć, abyśmy zrozumieli, co w nim najcenniejsze, prawda?

– Prawda. – Eleonora zamilkła, jakby się nad czymś zastanawiała. – Proszę przeprosić hrabinę za moje słowa, ale od kiedy codziennie stykam się ze śmiercią młodych ludzi, którzy poszli do boju, wierząc, że wrócą do domu cało i zdrowo, przestaję się liczyć z konwenansami. Życie jest za krótkie, aby się nimi przejmować. – Na chwilę zapadła między nimi cisza, którą w końcu przerwała Eleonora. – Czy u Juliana był lekarz?

– Tak, zresztą ma się też zjawić jutro z samego rana. Mam nadzieję, że przyjedzie jak najwcześniej, ponieważ jego lekarstwo na zabicie wysokiej gorączki, która utrzymuje się ponoć u syna

od kilku dobrych dni, już się skończyło.

– Julian jest rozpalony. Obawiam się, że gorączka wciąż rośnie. Musimy sobie jakoś poradzić do przyjazdu doktora. Proszę polecić, aby przyniesiono dużo zwykłej przegotowanej wody. Najlepiej w pokojowej temperaturze. Niech Katarzyna przyniesie także misę z zimną wodą. Jeżeli dysponują państwo lodem, niech nałoży go do misy jak najwięcej. I ręczniki. Będą potrzebne.

Kwadrans później w sypialni pojawiła się Katarzyna z misą z wodą i lodem oraz ręcznikami przewieszonymi przez ramię. Za nią podążył hrabia Michałowski, niosąc szklankę i dzban świeżej wody do picia.

– Czy mogę jakoś pomóc? – zapytał, spoglądając na Eleonorę.

– Obudźmy go. Musi wypić jak najwięcej wody. To dobrze robi na gorączkę. Niech kucharka dodatkowo przygotowuje napar z rumianku. On też zbija temperaturę.

Michałowski podszedł do syna i delikatnie dotknął jego rozgrzanego, wilgotnego od potu ramienia.

– Julianie, Julianie – powiedział cicho, ale stanowczo.

Po dłuższej chwili młody hrabia uniósł nieznacznie powieki. Wzrok miał szklisty i niespokojny.

– Julianie. – Eleonora podeszła do Michałowskiego. – Julianie, poznajesz mnie?

– Norcia? – zapytał. – Gdzie jestem? Czy to sen?

– Jesteś w domu. – Eleonora wzięła go za rękę. Hrabia Michałowski tymczasem odsunął się od łóżka. – Jesteś chory. Przywieźli cię do Zakrzówka. Masz wysoką gorączkę. Musimy ją zbić. Dobrze? – Julian skinął głową.

– Czy hrabia mógłby go nieco unieść? Musi wypić choć trochę wody.

Julian pił małymi łyżkami, poddając się poleceniom Eleonory, i chociaż był wyczerpany, pił tak długo, jak długo go o to prosiła. W końcu padł na łóżko, zasypiając prawie natychmiast.

– Musimy zamoczyć ręczniki w zimnej wodzie – komenderowała Eleonora. – I owinąć nimi stopy Juliana. Szok związany z różnicą temperatury może go obudzić, ale to dla jego dobra. Zimny opatrunek ściągnie gorączkę.

Pół godziny później Eleonora zmęczona, lecz szczęśliwa, że Julian jest w domu pod jej opieką, usiadła przy jego łóżku, dotykając czoła śpiącego pacjenta. Starszy hrabia Michałowski życzył jej dobrej nocy i prosił, aby wezwała go, gdyby potrzebowała pomocy. Miała nadzieję, że nie będzie do tego zmuszona.

– Eleonora? – Spokojny głos Juliana rozbrzmiewał w głowie Schrammówny. Śniła, że siedzi w sypialni młodego Michałowskiego, który niedawno wrócił z wojny. – Eleonora! – Teraz słyszała ten głos tuż przy swoim uchu. Powoli uniosła powieki. Jej wzrok spotkał się ze wzrokiem Juliana.

– Obudziłeś się – powiedziała i wyciągnęła dłoń, żeby dotknąć jego czoła. Było wciąż ciepłe, ale wysoka gorączka, z którą zmagał się przez większość nocy, ustąpiła. Wzrok hrabiego był lekko szklisty, mimo to patrzył przytomnie i Eleonora była pewna, że Julian wie, gdzie się znajduje i dlaczego.

– Co ty tutaj robisz? – zapytał cicho zmęczonym głosem.

– To dość długa historia. Będzie jeszcze czas, żebym ci ją opowiedziała. Najpierw musisz coś zjeść. Nic tak dobrze nie robi na przeziębienia jak rosół.

I nie czekając na jego protesty, ruszyła w stronę kuchni we dworze Michałowskich.

\*\*\*\* Stopa okopowa – choroba stóp, stwierdzona i opisana w czasie I wojny światowej podczas prowadzenia walk w okopach pozycyjnych. Rozwijała się w wyniku braku higieny, długotrwałego nacisku na stopy i ustawicznego przebywania w wilgoci, co prowadziło do zakażeń i martwicy stóp, w skrajnych przypadkach do amputacji.



## Rozdział 13

– Rozalia?! – wykrzyknęła zdumiona Eleonora na widok siostry Juliana pędzącej w jej kierunku na rowerze. – Co tutaj robisz o tak wczesnej porze?

Dochodziła siódma i Eleonora właśnie miała wejść do szpitala wojskowego. Widok Rozalii mocno ją zaniepokoił, tym bardziej że pochmurna mina żony Tojewa nie wróżyła niczego dobrego.

– Wstałam skoro świt i pędziłam tutaj na złamanie karku. – Rozalia zdążyła prawie w biegu zeskoczyć z roweru i wciąż jeszcze łapała oddech, zmęczona szaleńczą jazdą. Eleonora nie chciała jej popędzać, lecz nerwy miała napięte jak postronki. – Wczoraj wydawałam u nas w domu przyjęcie rodzinne z okazji powrotu Juliana do zdrowia, jak również dlatego, że od dnia ślubu była to pierwsza okazja do spędzenia czasu w gronie rodzinnym. – Eleonora słuchała cierpliwie, chociaż zaczęła przestępować z nogi na nogę. Miała ochotę potrząsnąć Rozalią i wrzasnąć, żeby ominęła nieistotne informacje i przeszła od razu do sedna. – Zaprosiłam więc Juliana jako gościa honorowego, rodziców i matkę Mikołaja, chociaż jej nie cierpię. Nie wypadalo jednak pominąć jej w zaproszeniu.

Kiedy Rozalia opowiadała Eleonorze o kolacji, wydarzenia wczorajszego dnia stanęły jej przed oczami tak wyraźnie, jakby wciąż w nich uczestniczyła.

\*\*\*

– Proszę, niech mama wejdzie – zwróciła się do teściowej z uśmiechem, chociaż najchętniej zatrzasnęłaby jej drzwi przed nosem. – Moi rodzice i brat Julian przybyli zaledwie kilka minut wcześniej. Zaraz podamy kolację.

Mikołaj podszedł do matki, której kwaśna mina i nos spuszczonej na kwintę wyrażały dezaprobatę z powodu konieczności jej pojawienia się w tym domu.

– Przyjechałam tu tylko dla ciebie – rzekła i poklepała syna po policzku, rzucając przy tym Rozalii nienawistne spojrzenie. – Wciąż nie mogę zrozumieć, dlaczego, na Boga, musiałeś się z nią ożenić? – mówiła na tyle głośno, że chociaż znajdowała się dość daleko od miejsca, w którym wciąż stała siostra Juliana, było ją słychać bardzo dobrze.

– Mamo, proszę, postaraj się dziś spędzić czas tak miło jak my wszyscy. Czasy są niepewne, nie należy tych krótkich chwil radości psuć sobie niepotrzebnie urazami, które zresztą nie powinny mieć miejsca.

Rozalia wprawdzie nie przepadała za mężem, którego notabene wciąż dobrze nie poznała, gdyż Tojew nadal przebywał głównie w Wiedniu, co teraz z uwagi na prowadzoną politykę i kampanię wojenną stało się oczywiste, ale i tak była mu wdzięczna za to, co powiedział. Wdowa po starym Tojewie zamilkła na prośbę syna.

Kolacja upływała w przyjemnej atmosferze. Julian opowiadał o kampanii, o walce i żołnierskim życiu. Chociaż opowieści te były smutne i dość przerażające, brat Rozalii potrafił przekazać je z taką lekkością i swadą, że słuchający mieli wrażenie, że to piękna, wymyślona historia, wyjęta wprost z kart powieści. Przy podwieczorku i kawie podjęto temat sytuacji w Krakowie. Mówiono o niedawnym przymusie ewakuacji, zaopatrywaniu się na trzy miesiące, bitwie, do jakiej doszło niedawno pod miastem i wojnie, której widmo wciąż wisiało nad mieszkańcami. I wtedy Rozalia, na tyle rozluźniona, że zapomniała o siedzącej cicho niczym mysz pod miotłą matce Tojewa, wspomniała o szpitalu wojskowym na Kamiennej i Eleonorze, która pracowała tam od świtu do zmierzchu. Nie wiedzieć kiedy rozmowa zesłała na tematy kobiet pracujących, a potem na jeszcze bardziej niebezpieczny temat walczących sufrażystek.

– Nie trzeba daleko szukać, żeby zetknąć się z sufrażystkami. – Teściowa Rozalii wypluła z siebie te słowa z taką odrazą, że siostra Juliana wzdrygnęła się, kiedy ta spojrzała wprost na nią. – Czy ty, mój kochany, zdajesz sobie sprawę, że twoja żona jeździ na rowerze? Któż to widział, żeby panna z dobrego domu, chcąc uchodzić za kobietę cnotliwą, siadała na tym diabelskim urządzeniu. Tylko

kobiety prowadzące się lekko i rozpustnice mogą to robić bez namysłu i bez wstydu poruszać się tak po mieście.

Rozalia skuliła się na krześle. Poczuła się tak, jak zwykle czuła się na balach, kiedy młodzi kawalerowie omijali ją szerokim łukiem, nie chcąc prosić do tańca i nie nawiązując z nią konwersacji. Czuła, jak pod powiekami zbierają się łzy, które starała się przegonić, mrugając szybko, raz za razem.

– Szanowna pani chyba zapędza się w swoich ocenach za daleko i zbyt pochopnie feruje wyroki. – Ostry głos Juliana rozniósł się po jadalni. Tojew spoglądał na matkę, prosząc ją bezgłośnie, aby dała spokój i pozwoliła dokończyć deser w dobrej atmosferze, lecz starsza dama ani myślała dawać za wygraną.

– Cóż, nie dziwi mnie pańska postawa, panie hrabio, skoro pan sam widywany jest w towarzystwie panny o podejrzanej reputacji, którą miałam okazję spotkać raz jeden, kiedy brała udział w marszu sufrażystek, wykrzykując przy tym nieprzystojne hasła.

– Skoro tak bardzo pogardza pani kobietami walczącymi o swoje prawa, a dziś w obliczu wojny służącymi bez wytchnienia w szpitalach polowych w miastach, ale także na polach walki, to co robiła pani w ich towarzystwie w czasie marszu? A może jest pani ich skrytą admiratorką, te obelgi zaś mają tylko odwrócić uwagę pani najbliższych, że jednak im pani sprzyja? Byłaby to hipokryzja w czystej postaci. – Julian mówił spokojnie i cicho, ale każde kolejne słowo cięło powietrze niczym miecz.

Twarcz teściowej Rozalii spurpurowiała. Przez chwilę w jadalni panowała niemal idealna cisza. „To cisza przed burzą”, pomyślała Rozalia w momencie, kiedy teściowa z impetem odsunęła krzesło od stołu i ryknęła na cały głos:

– Jak pan śmie przyrównywać mnie do tych dziwek? To potwarz i haniebna obelga. Nikt mnie jeszcze tak nie znieważył. Nie, pomyliłam się, raz już mnie znieważono, kiedy mój głupi syn bezmyślnie postanowił ożenić się z jedną z nich – mówiąc to, wskazała na osłupiałą Rozalię.

Aleksander Michałowski zerwał się z krzesła, lecz nie zdążył jeszcze wyrazić swojego sprzeciwu wobec tak okrutnego potraktowania córki i Eleonory, którą darzył prawdziwą sympatią, kiedy odezwał się Julian:

– Ponieważ jestem dżentelmenem, nie wyrażę swojej opinii na pani temat, ale proszę mieć świadomość, że nie jest ona pochlebna. Nie mogę jednak pozostawić obelg, którymi obrzuciła pani kobiety bliskie memu sercu, bez zadośćuczynienia, dlatego mam nadzieję, że pański syn wykaże się rozsądkiem i da mi satysfakcję.

\*\*\*

Eleonora ze strachem i przerażeniem przyglądała się Rozalii, która skończyła właśnie opowiadać o wczorajszym, tak katastrofalnym w skutkach przyjęciu.

– Pojedynek? Julian wyzwiał twojego męża na pojedynek?

– Dlatego przyjechałam tu dziś do ciebie. Tylko ty możesz przemówić mojemu bratu do rozsądku. Jeżeli dojdzie do pojedynku, obaj zostaną ukarani. Boję się o Juliana.

Tymczasem Julian, siedząc w gabinecie ojca, słuchał Michałowskiego bardziej z szacunku dla niego niż z potrzeby, ponieważ nie zamierzał odwoływać swoich słów.

– Jesteś prawnikiem, więc nie muszę ci przypominać, że ustawa karna jasno mówi o sankcjach, jakie grożą za pojedynek, ale gdybyś jednak zapomniał, spieszę cię poinformować, że kto wzywa do walki na broń zabójczą z jakiegokolwiek powodu lub do tejże walki staje, popełnia zbrodnię pojedynku.

– Dobrze ojciec zauważył – odezwał się Julian, podnosząc wzrok na zdenerwowanego hrabiego. – Jestem prawnikiem i znam przepisy, niemniej żadna z wymienionych w ustawie kar, nawet kara pozbawienia wolności, nie spowoduje, że zmienię zdanie. Mam nadzieję, że nie zrobi tego także Tojew, bo gotów jestem wyzwąć na pojedynek jego matkę, co moim zdaniem byłoby sprawiedliwsze. W końcu to dorosła kobieta i o ile mi wiadomo, nie stwierdzono u niej niepoczytalności, która mogłaby tłumaczyć jej podłość i słowa wypowiedziane pod adresem uczciwych, prowadzących się moralnie panien.

– Julianie, nie przeczę, że słowa matki Tojewa były wstrętne, ale po cóż masz się narażać na konsekwencje, które mogą być obecnie tym dotkliwsze, że jesteśmy w stanie wojny. Kto wie, jak uczestnictwo żołnierza na przepustce z powodu choroby zostanie odebrane przez władze, jeżeli informacja o waszym pojedynku dotrze do odpowiednich uszu.

– Dziękuję za troskę, lecz zdania nie zmienię. Jeżeli nie chce ojciec brać w tym udziału, zrozumieć i znaleźć odpowiednich ludzi, którzy będą mi towarzyszyć.

Aleksander Michałowski otwierał usta, aby podjąć ostatnią próbę wyperswadowania synowi pojedynku, kiedy drzwi gabinetu otwarły się na oścież i do środka wpadła Rozalia w towarzystwie Eleonory.

– Mogłem się tego domyślać – skwitował Julian ich obecność, podnosząc się z fotela.

– Nie myśl nawet, że łatwo się z nami pożegnasz. – Eleonora zastawiła mu drogę do wyjścia. – Czy mogłabym prosić o rozmowę z Julianem na osobności? – Popatrzyła na hrabiego Michałowskiego, a potem na Rozalię, na której policzkach wykwitły gorączkowe rumieńce.

– Jeżeli myślisz, że przekonasz mnie do odwołania pojedynku, to proszę cię, żebyś zaniechała prób. Ojciec już je podjął i nic, co powiedział, na mnie nie wpłynęło.

Eleonora zaczęła łagodnie. Od próśb i tłumaczenia. Odwoływała się do sytuacji, w której Julian może stracić zdrowie lub, nie daj Boże, życie. Kiedy błagała go, aby się wycofał, ponieważ to niebezpieczne, w oczach miała łzy. Niestety, wydawało się, że żadne argumenty nie trafiają do młodego hrabiego, który przyglądał się Eleonorze z lekkim uśmiechem na ustach, co mocno ją denerwowało. W końcu po prośbach i groźbach dziewczyna westchnęła zrezygnowana.

– Julianie, widzę, że nie zdołam cię przekonać. – Eleonora podeszła do hrabiego tak blisko, jakby miała zamiar go pocałować. – Zdaję sobie sprawę, że groźba kary nie ma na ciebie najmniejszego wpływu. Czymże bowiem jest kara więzienia i perspektywa spędzenia w nim nawet dekady, jeżeli twój adwersarz dozna poważnego uszczerbku na zdrowiu albo straci je w ogóle, skoro było się przez kilka miesięcy na wojnie? Więzienie zapewne może się wydawać rajem. – Eleonora położyła ręce na jego ramionach, przybliżając się jeszcze trochę. – Nie, nie będę cię odwozić od pojedynku. Jestem ci wdzięczna, że chcesz bronić honoru mojego i Rozalii, chociaż nie ma takiej potrzeby. Nie jesteśmy przecież ani jawnymi, ani skrytymi ładacznikami. Jednak jeżeli staniesz z pistoletem naprzeciwko Tojewa, to potwierdzisz słowa jego matki, dając jej do ręki oręż, że miała rację, tak nas nazywając.

Julian nie odpowiedział od razu. W pokoju panowała cisza, którą przerwał dopiero gromki śmiech młodego Michałowskiego.

– To było mistrzowskie posunięcie, Eleonoro. Ostatnie argumenty trzymałaś do samego końca niczym wytrawny gracz trzyma asa w rękawie. Gdybyś była prawnikiem, nie chciałbym stawać w sali sądowej jako twój przeciwnik. Jeżeli kiedykolwiek rozważysz zmianę zawodu i misja bycia pielęgniarką zmęczy cię lub znudzi, powinnaś wziąć pod uwagę dwie możliwości, w których sprawdzisz się zapewne lepiej niż niejeden mężczyzna. To włożenie togi albo zostanie politykiem. – Po tych słowach Julian pochylił się i delikatnie dotknął ust Eleonory.

Całował ją powoli, smakując jej wargi. Po chwili przyciągnął ją bliżej, pragnąc czuć jej ciało tuż przy swoim. Bicie jej serca wtórowało jego własnemu. Pogłębił pocałunek, który stał się nachalny, zaborczy, ostry, miazdzący usta Eleonory, ona zaś nie ustępowała kroku Julianowi. Wyczuwając, że hrabia powoli się odsuwa, wplotła palce w jego włosy i przyciągnęła jego twarz do swojej. Rozchyliła wargi i powiodła językiem po jego ustach. Westchnął, głośno żałując, że nie są sami i zapewne za chwilę ktoś im przeszkodzi. W końcu odsunął ją od siebie, patrząc w oczy Eleonory z pożądaniem i zarazem czułością.

– Kocham cię – powiedział cicho, badając jej reakcję.

– Wiem – odparła spokojnie, powodując, że uśmiechnął się szeroko. Tylko Eleonora mogła odpowiedzieć w ten sposób. – Ja też cię kocham – dodała po chwili radośnie, ciesząc się, że wreszcie otwarcie przyznała się do uczuć, jakimi darzyła Juliana.

– Nie mam więc innego wyjścia, jak poprosić Rozalię, żeby przekazała mężowi krótki list, w którym rezygnuję z satysfakcji, nieprawdaż?

– Wyjście jest zawsze, tylko od ciebie zależy, które drzwi wybierzesz.

\*\*\*

Stefania wpadła do domu zdyszana i drżąca. Na jej czole perlił się pot, który z pewnością nie pojawił się tam z powodu upału, jaki od kilku dni panował na dworze. Serce omal nie wyskoczyło jej z piersi, ręce drżały na samą myśl, że przed chwilą groziło jej niezwykle niebezpieczeństwo. Musiała odetchnąć, zdystansować się wobec wydarzeń z ostatnich kilku godzin, uspokoić duszę i ciało. Dlatego nie zaszczycając ani słowem matki, która wyszła akurat z salonu, pomknęła do pokoju, który dzieliła od lat z Eleonorą. Na szczęście siostra wciąż była w szpitalu. Nie miała ochoty na rozmowę, a co dopiero na tłumaczenie swojego stanu. Nie miała w ogóle ochoty wtajemniczyć kogokolwiek w to, że od kilku miesięcy współpracowała z Polską Organizacją Wojskową i wraz z innymi dziewczętami wykonywała określone i najczęściej niebezpieczne zadania, tak jak to dzisiejsze, kiedy musiała dostarczyć we wskazane miejsce materiały wybuchowe.

Upadła na łóżko, dysząc ciężko, jakby przebiegła maraton. Zamknęła oczy, starając się uspokoić oddech i kołaczące, nierówno bijące serce. Przycisnęła palce do szyi, badając puls. Był szaleńczy, niepokojąco wysoki, ale dzięki niemu wiedziała, że żyje. Znowu jej się udało. Jak długo będzie jej jeszcze dopisywało szczęście? Raz, dwa, może więcej. Myślała jednak trzeźwo i zdawała sobie sprawę, że kiedyś ten limit się skończy.

Jak to się stało, że z wesołego podlotka pragnącego grać w teatrze u boku młodzieńca, który szturmem zdobył jej serce, stała się członkinią organizacji wojskowej i ramię w ramię z innymi dziewczętami oraz kobietami ryzykowała zdrowie i życie? Ta myśl od jakiegoś czasu nie dawała jej spokoju, chociaż miała szybką odpowiedź. Za wszystkim stał przypadek i jej nieposkromiony charakter, który już nieraz był powodem kłopotów.

Przypadek sprawił, że na początku roku, kiedy jeszcze panowała zima, a Kraków, choć opustoszały, pięknie wyglądał przykryty białą kołdrą utkaną z padającego śniegu, znalazła się we właściwym czasie i miejscu. Nie bacząc na konsekwencje, pomogła dziewczynie, jednej z wielu działaczek POW, równie młodej jak ona, ratując ją przed aresztowaniem. Naturalną konsekwencją było pytanie o chęć przystąpienia do organizacji i niesienia pomocy polskim żołnierzom. Zgodziła się bez głębszego zastanowienia. Powiedziała „tak”, ponieważ chciała w jakiś sposób poczuć więź z Mikołajem. Była młoda i pewnie naiwna, lecz chciała wierzyć, że póki ona pomaga, naraża się na niebezpieczeństwo i wciąż żyje, Mikołaj także ma się dobrze.

Tak stała się częścią oddziału lotnego, którego głównym zadaniem było prowadzenie akcji dywersyjnych. Dziewczęta, których nikt nie posądzałby o działania sabotażowe, przносиły broń albo materiały wybuchowe, tak jak ona dziś. Dzięki ich ofiarności żołnierze wysadzali tory kolejowe, utrudniając aprowizację wojsk przeciwnika i zaborcy, albo burzyli pomniki cesarskich generałów, a nawet samego cesarza. Dziewczęta o niewinnych twarzach, szerokich uśmiechach i zalotnych spojrzeniach stały się częścią oddziałów, które napadały na urzędy pocztowe i gminne, niszczyły listy poborowych i konfiskowały pieniądze. W tym wszystkim Stefcia miała udział. Była to tajemnica, jaką chciałaby komuś wyznać, aby zrzucić ciężar z serca. Nie było jednak u jej boku nikogo, komu mogłaby o tym powiedzieć. O rodzicach nawet nie myślała. Raz jeden gotowa była podzielić się nią z Eleonorą. Kto jak nie jej starsza siostra powinna ją zrozumieć? Swoista buntowniczką, która konsekwentnie przez lata dążyła do celu, chcąc ukończyć szkołę pielęgniarek, pracująca w szpitalu polowym w dzień i w nocy. A jednak kiedy z jej ust miały paść pierwsze słowa, coś ją powstrzymało. Nie pochwaliła się, że wreszcie złożyła przysięgę. Że pod pseudonimem „Aktoreczka” pełni funkcję kolportera. Że oprócz broni przemycy niesłychane ilości nielegalnej prasy. Że zamiast na próby teatralne, o których wciąż rozprawia z entuzjazmem, wymyślając kolejne role, w których miała być obsadzona, zakrada się na zbiórki peowiaków na Błoniach poza miastem lub w pobliskim parku miejskim. Dla rodziców i siostry nadal była pannicą z głową w chmurach, której marzy się aktorska sława. „I dobrze”, myślała.

Z czasem zrozumiała, że była tylko jedna osoba, której wyznałaby swoją tajemnicę od razu. Bez wahania i niepokoju, że źle ją oceni. Ale Mikołaj był daleko i chociaż pisała do niego regularnie, nie

chciała, aby się martwił o jej bezpieczeństwo, dlatego ciężar zadań kolporterki niosła sama. Nie pisała mu o niczym, co mogłoby go rozpraszać, tak jak i on starał się jej przekazywać tylko pozytywne wiadomości.

Na myśl o listach Mikołaja sięgnęła do kieszeni, gdzie schowała ten ostatni, który przyszedł zaledwie dwa dni temu. I chociaż znała go na pamięć, wyjęła pocięte kartki z koperty i raz jeszcze zachłannie zatopiła się w słowach skreślonych ręką mężczyzny, za którym tak bardzo tęskniła.

Droga Stefcu,

tęsknota za Tobą i beztroską, którą jeszcze nie tak dawno mieliśmy za pewnik, sprawia, że czas dziwnie zwolnił. Mam wrażenie, że wyjechałem z Krakowa wieki temu. Czasami łapię się na tym, że z trudnością przypominam sobie, jak wyglądają ulice naszego miasta. Wspomnienia są porwane, poszarpane niczym ziemia, którą rozrywają spadające kule wroga. Nie martw się, tu, w okopach, jesteśmy bezpieczni, ale nie tym chciałem się dziś z Tobą podzielić.

Od dawna wiem, że Wy, kobiety, jesteście dzielne, nieustraszone i zawsze skore do pomocy. Teraz już rozumiem, dlaczego mówi się, że posyła się kobiety tam, gdzie i diabeł nie pomoże. Dotarły do nas ostatnio z różnych stron wieści o płci pięknej, bo przecież grzechem byłoby pisać słabej, która zaciągnęła się pod broń. Znaczna ich część służy w rosyjskich oddziałach. Walczą jak mężczyźni. Dziko, nieustraszenie. Podobno jeden z pułków ma nawet kobietę kapitana. Czy dasz temu wiarę? Jak to jest możliwe, że społeczeństwo krzywi się na myśl o uczących się pannach, zaś o kobietach aktorkach ma najczęściej niepocholebne opinie, ale zachwyca się walczącymi młodymi kobietami, tak jak tymi moskiewskimi uczennicami, które z dnia na dzień, niepomne niebezpieczeństwa, rzuciły szkolne ławy i nie osiągnąwszy jeszcze piętnastego roku życia, ruszyły do walki? Z respektem opowiadają o nich żołnierze, chwając je za odwagę i siłę. Jest i żołnierka, jak je nazywamy, którą zwą Żółtą Martą. Służący z nią mężczyźni zachwycają się nie tylko jej umiejętnościami, ale przede wszystkim urodą i jasnymi jak łany zboża włosami, skąd wziął się jej pseudonim. Są ponoć i takie, które przybierają męskie imiona i nazwiska. Z zapartym tchem słuchałem tych opowieści, nie wierząc w nie jednak za bardzo, aż do ostatniego razu, kiedy pod ciężkim ostrzałem do naszych okopów przedostała się jedna z owych dziewcząt przebranych za mężczyznę. Przyniosła amunicję, nic sobie nie robiąc z rany, jaką zadano jej w trakcie wymiany ognia. Jej bohaterstwo, nieustraszona postawa zawstydza nas, mężczyzn, marzących o powrocie do domu, do ciepła rodzinnego, do bezpieczeństwa.

Mam nadzieję, że nie przyjdzie ci do głowy iść w ślady kobiet, o których teraz piszę. Wiem, że nie ustępujesz im odwagą, której nieraz byłem świadkiem, kiedy wbrew temu, co powiedzą rodzice, stawałaś na scenie. Wierzę, że wciąż grasz. Scena to Twoje naturalne środowisko. Kiedy na niej stoisz, hipnotyzujesz publiczność. Chciałbym znowu zagrać u Twego boku. Zapomnieć o wojnie, zimnie, chłodzie, tęsknocie i samotności.

Chciałbym mieć moc sprawczą, dzięki której potrafiłbym zakończyć ten chaos. Nie chcę już słuchać o walczących księżniczkach, które z rozpacz po śmierci męża, a potem ojca i brata, chwytają za oręż i idą w bój. Modlę się każdego dnia o pokój. O zdrowie i życie. Modlę się, aby nastał wreszcie dzień, w którym wrócę do domu. Dzień, w którym wpadnę w rodzicielskie ramiona i zapomnę się w pocałunkach z Tobą.

Uważaj na siebie. Pisz i czekaj na spotkanie ze mną, tak jak ja czekam na spotkanie z Tobą.

Twój Mikołaj

Stefania złożyła list i z powrotem schowała go do kieszeni. Opowieść o walczących na frontach kobietach była doskonałą okazją, aby podzielić się tajemnicą, a jednak kiedy zasiadła wieczorem do napisania listu, zamiast o szmuglowaniu materiałów wybuchowych wymyślała historie o teatralnych próbach i występach, po których zbierała rześiste brawa od zachwyconej krakowskiej publiczności.

Stefania sięgnęła do biurka. Głęboko na dnie, przykryty listami od Mikołaja oraz jej starym, dziewczęcym pamiętnikiem, który pisała jeszcze nie tak dawno leżał prasowy wycinek, który znalazła jakiś czas temu na krakowskiej ulicy, wracając do domu ze spotkania peowiaków za miastem. Wyjęła go powoli i zaczęła czytać szeptem:

Te kobiety nie były łagodnymi niewiastami, które zalotnie trzepoczą rzęsami i mdleją na widok kropli krwi. Wykazywały się nie tylko rzadką odwagą, niebywałą nawet u mężczyzny, ale były żądne krwi. I chociaż nie posądzam nas o rycerskie sentymenty, to jednak walka z Rosjankami była dla nas całkowicie odpychająca, ponieważ stała w sprzeczności z naszą moralnością, estetyką i smakiem. Jeżeli było to możliwe, unikaliśmy z nimi walki za wszelką cenę i, Bóg mi świadkiem, staraliśmy się je schwytać, nie czyniąc im krzywdy. Łatwo było je rozpoznać, ponieważ żołnierki, jak z czasem zaczęliśmy je nazywać, nosiły nie spodnie, ale spódnice. Spódnice, które byłyby powabne, gdyby można było zobaczyć je na ulicach czy salonach, ponieważ ukazywały damskie kolana. Kobiety te walczyły niczym dzielne, nieznające strachu walkirie i kiedy już wydawało się nam, że nie znają strachu i że nic nam, mężczyznom, na polu walki w obliczu takiej odwagi, one dziczały, umierając z obawy w obecności ostrzału artylerii. Stawały się płochliwe jak konie. Zdziczałe, toczące pianę, gotowe zabić siebie i swoje towarzyski broni, byle uciec przed hukem. Te, które schwytaliśmy, okazywały się zwykłymi robotnicami, które nie mogąc znaleźć pracy, wstępowały do wojska. Niektóre walczyły w akcie zemsty, chcąc pomścić śmierć męża, narzeczonego czy brata lub ojca. Wszystkie, niezależnie od powodów, były waleczne i nieustępliwe. Wszystkie okazały się godnymi przeciwnikami.

Stefania czytała ten fragment wywiadu już kilka razy. Za pierwszym razem płakała z dumy z powodu męstwa tych kobiet. Wcześniej słyszała, że dziewczyny chcą walczyć. Wspomniała o nich nawet matka.

– Nie uwierzycie, czego się dziś dowiedziałam. – Tamtego dnia Tekla wróciła z miasta. Od wielu dni nie wychodziła i w końcu po którymś z kolei zaproszeniu od przyjaciółki, nie mogąc więcej odmawiać, aby nie zostać posądzoną o zwykłe fanaberie, zdecydowała się opuścić przytulne schronienie, jakim było mieszkanie. – Okazuje się, że chodzą po tym świecie jeszcze bardziej szalone dziewczęta niż moje córki. – Przy tych słowach skrzywiła się dziwnie, spoglądając na wpatrzoną w nią Eleonorę i drzemającą tuż obok na kanapie Stefanię. – Moja przyjaciółka czytała gdzieś, że niejaka Klara, nie podano nazwiska zapewne po to, żeby chronić rodziców przed drwinami sąsiadów, z Gdańska, ledwie dziewiętnastoletnia, w efekcie prowadzonej kampanii w Prusach Wschodnich porzuciła dom i w męskim przebraniu, obcięta niczym poborowy, dołączyła do mężczyzn. Przeszła ćwiczenia i musztrę. Wszyscy zadają sobie pytanie, jak udało jej się uniknąć badań wstępnych, lecz jak widać w wojsku, gdzie wszak *Ordnung muss sein*, panuje chaos, jeżeli dopuszcza się do takich uchybień, że młode, niewinne i głupiutkie dziewczęta, widząc w walce jakiś zdradliwy romantyzm, na siłę chcą iść do boju ramię w ramię z mężczyznami. To może byłoby i romantyczne, gdyby chodziło im o szukanie drugiej połowy, ale tym pannom nie chodzi o to, lecz o nienawiść do wroga, która pozwala im zabijać go bez mrugnięcia okiem. Świat się kończy. Świat się kończy... – Po tych słowach, nie czekając na reakcję rodziny, zamknęła się w swojej sypialni, z której nie wychodziła przez kolejne dni.

Stefania przypomniała sobie tamtą matczyną tyradę, zastanawiając się, czy gdyby zechciała iść do boju, dołączyć na froncie do Mikołaja, jej reakcja byłaby bardziej dosadna aniżeli dotychczasowe biadolenie i zamykanie się w pokoju, jakby to był sposób na pozbycie się problemów i odcięcie od tragedii, jaka rozgrywała się w Europie. W końcu wstępowanie kobiet do armii cesarskiej nie było niemożliwe i jak Stefania zdążyła się przekonać, znalazły się kobiety, które z tego przywileju korzystały. Jedną z nich była Maria von Fery-Bognar, o której rozmawiała podczas ostatniego spotkania w parku miejskim. Dziewczyna zgłosiła się do armii jako ochotniczka. Była odważna i waleczna. Jej poświęcenie zostało docenione. Awansowała na stopień kaprała, a jak wieść niosła, lecz co może było tylko plotką, niebawem miała zostać odznaczona przez samego cesarza Franciszka Józefa.

Stefania westchnęła. Wiedziała, że to tylko marzenia, konfabulacje. I chociaż ryzykowała w POW, roznosząc zakazane pisma czy przechowując broń, znała swoje ograniczenia. Nie była niestety na tyle odważna, aby porzucić bezpieczną przystań, jaką dawał rodzinny dom czy wygody, choćby ograniczone, na rzecz orderów i pochwał. Poza tym nie miała serca, aby zostawić rodziców, dokładać im dodatkowych zmartwień i problemów. Jej decyzji z pewnością nie pochwaliby też Mikołaj, a rozpraszenie go, bo z pewnością bardziej martwiłby się nią, niż uważał na siebie, było ostatnią rzeczą, jaką chciałaby zrobić.

„Cóż, roznoszenie gazetek to też jakiś wkład w walkę o wolność”, pomyślała i zamknęła szufladę, na której dnie spoczął wywiad o bohaterskich współczesnych amazonkach.

\*\*\*

Dni mijały jeden za drugim, każdy kolejny podobny do poprzedniego. Julian już dawno wrócił na front. Eleonora wciąż pracowała w szpitalu na dworcu, ale ponieważ rannych było teraz mniej, mogła swój cenny czas poświęcić także pacjentom z placówki na św. Filipa, których zaniedbywała od kilku miesięcy.

Pod koniec sierpnia w Krakowie pojawił się cesarz niemiecki Wilhelm II. O dziwo, Tekla Schramm, która od początku wojny opuściła mieszkanie w kamienicy w Rynku zaledwie kilka razy, zerwała się z łóżka już z samego rana, zmuszając Jana, aby poszedł za jej przykładem i zamiast udać się, jak to miał w zwyczaju, do banku, wybrał się powitać cesarza. Jego Wysokość miał przejechać ulicami Krakowa, a potem, o ile nadarzy się sprzyjająca okoliczność, wygłosić krótkie przemówienie.

– Spodziewałam się tłumów – biadoliła Tekla podczas wspólnej kolacji, do której zasiadła także Eleonora.

Tego dnia Eleonora pojawiła się w domu wcześniej niż zwykle, a wszystko przez gorączkę, dreszcze i okropny ból gardła, który prawie uniemożliwił jej jedzenie. Jej bladą skórę, kropelki potu na czole i drgawki Dawid zauważył już przed południem.

– Wracaj do domu – zarządził i chociaż mówił w sposób nieznoszący sprzeciwu, Eleonora pozostała na posterunku jeszcze parę godzin, ale w końcu dała za wygraną i wróciła do domu.

Teraz, siedząc w jadalni i słuchając matki opowiadającej o przejeździe powozu z cesarzem i niewielkim zainteresowaniu witających go mieszkańców, z których część zachowywała się nawet nieprzystojnie, bucząc i gwizdząc, czuła, jak gorączka zbiera żniwo i pozbawia ją nawet tej niewielkiej energii, jaką miała jeszcze w południe. Właśnie wstawała od stołu, chcąc przeprosić rodziców i położyć się do łóżka, kiedy do pokoju wpadła rozgrzana, zaczerwieniona i dysząca Stefania.

– Na Boga, dziecko! – krzyknęła Tekla, spoglądając z troską na młodszą córkę, która przez ostatnie miesiące zrobiła się niebezpiecznie samodzielna, co okrutnie martwiło Schrammową. Nie chciała jednak robić Stefaniu z tego powodu wyrzutów, ponieważ w przeciwieństwie do Eleonory, która owszem, miała swoje zdanie, ale była posłusznym dzieckiem, Stefania lubiła zawsze robić na przekór. Gdyby zatem Tekla zabroniła jej swobodnego wychodzenia z domu, a nie daj Boże, stanowczo zakazała grywania w amatorskim teatrze, co dla młodszej latorośli stało się już codziennością, ta pewnikiem wyprowadziłaby się z domu. – Czy goni cię stado diabłów? Wystraszyłaś nas śmiertelnie. Mam nadzieję, że masz dobre wytłumaczenie swojego zachowania.

– Mam! – krzyknęła Stefania w odpowiedzi, machając trzymanym w dłoni papierem. – To lista poległych. Jutro ma zostać rozwieszona, ale mnie udało się zdobyć ją już dziś. Nie pytajcie jak – dodała dla pewności, chociaż widziała po oczach zebranych, że najbardziej interesuje ich sama lista, a nie okoliczności, w jakich Stefania weszła w jej posiadanie. – Miałam szczerą ochotę usiąść gdzieś w spokojnym miejscu i zacząć czytać, lecz musiałam przybiec do domu, żebyśmy mogli przeczytać ją wspólnie. Na wypadek gdybyśmy potrzebowali wzajemnego pocieszenia. – Podała listę ojcu.

Eleonora opadła z powrotem na krzesło. Czuła na plecach wąską strużkę zimnego potu. Chwyciła się brzegu stołu. Potrzebowała oparcia. Ojciec odchrząknął, zerknął na długą listę i zaczął czytać:

– Kraków: Franciszek Daniel, poległy w październiku 1914 we Francji; Józef Daniel – styczeń 1915, Francja; Franciszek Goroll – 1915, Prusy Wschodnie; Jan Kołodonek – maj 1915, Francja... – Jan Schramm czytał spokojnie, miarowo. Z każdym kolejnym nazwiskiem Eleonora robiła się coraz bardziej nerwowa. Stefania stała obok ojca, przestępując z nogi na nogę, a Tekla Schramm z ręką przyciśniętą do ust pochlipywała cichutko, oplakując tyłu młodych, niewinnych mężczyzn, którzy nie zdążyli zachłysnąć się prawdziwym życiem. – Zakrzówek... – Jan Schramm zrobił krótką, lecz wymowną przerwę. Eleonora poczuła, jak robi jej się ciemno przed oczami. Najwyraźniej Stefania zauważyła, że siostra zaraz osunie się bez przytomności na ziemię, ponieważ podbiegła do niej ze szklanką zimnej wody. – Andrzej Wysocki – maj 1915, Francja; Karol Klyta – Francja; Piotr Piecuch poległy w Galicji.

Ojciec skończył czytać. W pokoju zaległa grobowa cisza, przerywana tylko przez Teklę pociągającą nosem.

– Jestem zmęczona – powiedziała wreszcie Eleonora i ociężale podniosła się z krzesła. Nie zrobiła żadnej aluzji do listy, która teraz leżała spokojnie na stole. Dopiero przy drzwiach jadalni odwróciła się w stronę rodziców i siostry. Gwoli wytłumaczenia dodała, że potrzebuje snu, a potem nogą za nogą powlokła się w stronę sypialni.

Zakopała się w pościeli. Przez chwilę leżała bez ruchu, a potem wybuchnęła rzewnym płaczem, dziękując Bogu, że nazwisko Juliana nie znalazło się na liście poległych. Stefania, chociaż została w salonie, odetchnęła z taką samą ulgą, prosząc Boga o pomyślność i szczęście dla Mikołaja.

\*\*\*

We wrześniu zniesiono ograniczenia przyjazdu do Krakowa. Ulice zaludniły się jeszcze bardziej, przy czym teraz krakowskimi traktami spieszyli już nie tylko żołnierze oraz chłopcy ciągnący na odezwę mobilizacyjną, ale także zwykli przyjezdni, których przyciągały do miasta różne, czasami mocno podejrzanymi interesy. Wraz z nimi do Krakowa zaczęli powracać mieszkańcy, którzy w ubiegłym roku odpowiedzieli na obwieszczenie dotyczące ewakuacji i opuścili swoje domy.

Pewnego zimnego, deszczowego dnia Jan Schramm wrócił z banku w doskonałym humorze. Tekla i córki z zaciekawieniem przyglądały się ojcu, lecz żadna nie miała odwagi zapytać, co jest przyczyną jego dobrego nastawienia.

Bankier tymczasem podszedł do barku, gdzie stała flaszczyka nalewki domowej roboty, którą udało się przechować na specjalne okazje. Wyciągnął cztery kieliszeczki i nalał je do pełna.

– Nie pamiętam już, kiedy była jakaś okazja do świętowania. Czasy zrobiły się ponure, zimne, niebezpieczne, a przede wszystkim niepewne. Zapomniałem już, jak to jest cieszyć się nadchodzącymi dniami, ale okazuje się, że życie potrafi człowieka czasami zaskoczyć. – Przerwał swój krótki monolog. Rozejrzał się po salonie, sprawdzając, czy żona i córki są wystarczająco skupione na jego słowach. – Otóż odwiedziła mnie dziś Ida Goldbaum, która ledwie wczoraj wróciła z Wiednia. Kiedy ją zobaczyłem, byłem pewien, że zechce wycofać się z przedsięwzięcia, jakim jest cukrownia Michałowskiego. Ona tymczasem zaczęła od przeprosin i nie mam pojęcia, za co mnie przeproszała, ponieważ tego dokładnie mi nie przekazała. Nawet chciałem o to dopytywać, ale kiedy powiedziała, że nie tylko nie zamierza się wycofywać, a wręcz przeciwnie, chce bardziej się zaangażować, głównie finansowo, wszelkie pytania wyleciały mi z głowy. I jakby tego było mało, obiecała, że jak tylko wojna się skończy, a czasy staną się pewniejsze, zaoferuje mój bank znajomym, którzy zajmują się obrotem szlachetnymi kamieniami. Och, nie macie pojęcia, jaki jestem szczęśliwy. – Na dowód wznosił swój kieliszek i jednym haustem go opróżnił.

Niestety, była to jedyna dobra wiadomość aż do końca roku. Ba, w listopadzie na mieszkańców jak grom z jasnego nieba spadła wiadomość, że wprowadza się kartki na chleb i mąkę. W oczach ludzi przemykających szarymi ulicami za dnia i ciemnymi w nocy czaił się strach o przyszłość. Twarze kobiet, mężczyzn i dzieci były wymizerowane. Także policzki Eleonory zapadły się nieprzyjemnie, przez co uwydatniły się jej czarne obwódki pod oczami. Skóra na dłoniach zrobiła się szara, pomarszczona i zadziwiająco cienka. Wyglądała, jakby była przezroczysta, a wyraźnie widoczne żyłki, zamiast jak zawsze niebieskie, stały się ciemnoszare. Burczenie w brzuchu już nikogo nie dziwiło, a odczuwanie ciągłego głodu stało się tak naturalne, że Eleonora dawno przestała na to zwracać uwagę. Z powodu wyczerpania i zmęczenia przeziębienie, którego nabawiła się latem, wciąż powracało.

– Musisz zacząć się oszczędzać. – Dawid był wyraźnie poruszony. – Może dojść do powikłań. Nie lekceważ tego. Proszę – dodał błagalnie.

Początkowo nie chciała go słuchać, lecz pod koniec lutego, kiedy głód i zimno zaczęły zbierać niebezpieczne żniwo, zwłaszcza wśród dzieci, rannych i chorych, dała się przekonać i kilka dni przeleżała w domu. Musiała zebrać siły i jak najszybciej wrócić do zdrowia. Pracy wciąż przybywało, chociaż rannych było mniej, ale z powodu warunków, jakie panowały ostatnio w Krakowie, zaczęto odnotowywać coraz więcej przypadków gruźlicy. Najgorsza była gruźlica płuc, na którą najczęściej



zapadali najbiedniejsi, mieszkający w opłakanych warunkach, w mieszkaniach bez kanalizacji, gdzie latryny były przepełnione i nieopróżniane całymi miesiącami, jeśli nie latami. Coraz więcej było także przypadków gruźlicy mózgu i zapalenia opon mózgowych. Ostatnimi czasy ludzie zaczęli też chorować na odrę, krztusiec, tyfus i ospę. W związku z rozprzestrzenianiem się chorób zakaźnych na Uniwersytecie Jagiellońskim miały się niebawem zacząć kursy dla młodzieży, odpowiedzialnej za przeprowadzenie szczepień na prowincji. Eleonora miała nadzieję, że działania prewencyjne z czasem przyniosą oczekiwane efekty. Innym nagłym problemem był niedobór personelu medycznego, o czym Eleonora i inni przekonywali się na własnej skórze od wielu miesięcy.

– To nedorzeczne i nie do wiary, że jeszcze dwa lata temu w Krakowie było trzy razy więcej lekarzy niż obecnie przy tej samej liczbie ludności. A jakby tego było mało, zobowiązani jesteśmy nie tylko do leczenia, ale także do oględzin wszystkich zwłok, żeby wykluczyć możliwość rozprzestrzeniania się chorób zakaźnych i groźby epidemii – mówił Dawid, siadając przed szpitalem na św. Filipa, który ostatnimi czasy pękał w szwach, ponieważ chorych przybywało w zastraszającym tempie, na co z pewnością miał wpływ panujący w mieście głód drastycznie obniżający odporność organizmu.

I właśnie wtedy, leżąc w domu i czekając na jak najszybszy powrót do zdrowia, Eleonora dostała list od Juliana.

Kochana Eleonoro,

od tygodni zajmujemy pozycje w okopach. Widziałem, jak niektórzy tracili zmysły, nie mogąc znieść ciągłej niepewności i zimnego oddechu śmierci, która wciąż się tu czai, chociaż staramy się ją oswajać, ale nie jest łatwo patrzeć, jak umierają przyjaciele. Jak gasną na naszych oczach. Jak ich oczy, zaledwie kilka minut wcześniej pełne nadziei, stają się nieruchome i zimne. Czasami przyglądam się moim towarzyszom i nie dostrzegam w ich wzroku życia. Są martwe, chociaż ich serca wciąż biją. Została skorupa. Bez duszy.

Gdyby nie świadomość, że czekasz na mnie, pewnie już dawno bym oszalał i dołączył do tego „martwego” grona, ale kiedy tylko nachodzą mnie chwile wątplenia i rezygnacja, wtedy przypominam sobie Twój śmiech, tak uroczy i zaskakujący mnie za każdym razem, gdy tak nieskrępowanie wydobywa się z Twoich ust. Czuję smak Twoich warg. Ostatnio, kiedy ich kosztowałem, miałem wrażenie, że smakują świeżo zerwane truskawki. Nawet ich kolor był truskawkowy. Soczysty, wyrazisty.

Przed oczami widzę Twoją twarz, zaskoczona, ale i szczęśliwa. Twoje oczy otworzyły się wówczas szeroko, kiedy powiedziałem Ci o swoich uczuciach. Czuję teraz niespokojne bicie własnego serca, tak jak wtedy w gabinecie w Zakrzówku, kiedy czekałem na Twoją odpowiedź. Mam wrażenie, że przez te krótkie sekundy, które minęły, zanim odpowiedziałas, bałem się bardziej niż dziś, siedząc w okopie i czekając na ostrzał. Zapominam jednak o nieprzyjacielu czającym się po drugiej stronie pola. Nadstawiam uszu i zamiast szczęku przeładowywanej broni słyszę Cię wyraźnie, jakbyś stała tuż obok mnie i powtarzała, że mnie kochasz. Te dwa słowa: „kocham Cię” dodają mi otuchy. Trzymają mnie przy życiu. Dzięki nim chęć życia jeszcze nie zgasła w moich oczach. Te słowa, tak cudownie brzmiące w twoich ustach, napędzają do działania. Powodują, że jestem cierpliwy i czekam na chwilę, kiedy znowu się zobaczymy.

Te dwa słowa sprawiają, że jestem ostrożniejszy, pragnę bowiem do Ciebie wrócić. Pragnę spędzić z Tobą resztę swoich dni i dlatego teraz, kiedy moja trzyma nić mojego życia, dmucham na zimne, prosząc ją o szansę na powrót do Zakrzówka.

Wpadłem w rutynę. Każdy dzień kończę, spoglądając w niebo. Mam nadzieję, że Ty też patrzysz w gwiazdy. I chciałbym wierzyć, że każdego wieczoru patrzymy na tę samą migającą tajemnicę. A kiedy po krótkiej tylko drzemce, niespokojnej i nerwowej, budzę się do życia, wracam pamięcią do tej pięknej i zapadającej w pamięć chwili, kiedy powiedziałaś, że mnie kochasz.

Delektuję się tym wspomnieniem od samego rana, od świtu, gdy zrywają nas na nogi. Mamy wtedy kilka chwil na przygotowanie broni, zajęcie pozycji obronnych. A potem zaczynamy ofensywę, ostrzeliwując nieregularne pozycje wroga, który robi dokładnie to samo. I gdybym nie wiedział, że dni uciekają jeden za drugim, mógłbym przysiąc, że okrutny los zamknął mnie w jakiejś koszmarnej pętli,

którą odtwarza bez końca, próbując złamać we mnie ducha.

A potem nastaje noc. I myliłby się ten, kto pomyślałby, że mamy wtedy czas na sen i odpoczynek. Nie, w nocy jesteśmy najbardziej zajęci. Zajmujemy się konserwacją umocnień i naprawą ostrzelanych fragmentów okopu i chociaż wiemy, że nasi wrogowie zajmują się tym samym, zachowujemy absolutne milczenie i ciemność, korzystając tylko z dobrodziejstw poświaty księżyca.

Także pod osłoną nocy, licząc na humanitarne zachowanie wroga, ściągamy z pola walki rannych towarzyszy. Zbieramy też ciała tych, którym się nie udało. Nie możemy pozwolić sobie na utratę broni. To okrutne, co napiszę, ale pewnie gdyby nie ona, ciała tych, którzy odeszli, pozostałyby tam na zawsze. Raz jeden podjęliśmy się próby wykradzenia ważnych dokumentów dotyczących strategii naszego przeciwnika. W efekcie udało nam się zdobyć coś o wiele cenniejszego. Prowiant i jeńców, których mogliśmy wymienić na naszych lub na pożywienie, a z nim jest coraz gorzej. To zaskakujące, że człowiek zaczyna doceniać rzeczy wtedy, kiedy zdaje sobie sprawę, że większość z nich nie jest wcale pewna i dana mu na zawsze.

Czy uwierzyłybyś, że ostatnio marzę o zjedzeniu zwykłej gruszki. Przypominam sobie jej cierpko-słodki smak i lekko grudkowaty miąższ. Śnię o drzewach uginających się od gruszek. Są różnej wielkości, od malutkich, dopiero rodzących się do życia, po duże i dojrzałe, leżące u stóp drzewa. Są zielone, lekko nakrapiane, a także żółte, miękkie, z malutkimi brązowymi plamami. Są cierpkie i słodkie. Suche, miałkie i soczyste orzeźwiające. Marzę o gruszkach w każdej postaci, ponieważ prawie zapomniałem już, jak smakują i wyglądają owoce. Ale najbardziej pragnąłbym zjeść gruszki pięknej Heleny. Czy jadłaś kiedyś ten wykwintny deser? Miałem okazję skosztować go we Francji. Byłem akurat nauczycielem pewnego polskiego arystokraty, który poślubił córkę francuskiego marszanda, handlującego li tylko i wyłącznie obrazami wielkich mistrzów, na których dorobił się ogromnej fortuny i sławy wielkiego znawcy. On to zaprosił mnie raz na słodki poczęstunek, który spożywali z małżonką. Zachwyciłem się delikatnym smakiem owoców skąpanych w mistrzowskiej kompozycji czekolady i brandy, połączonych ze słodyczą lodów waniliowych. Dowiedziałem się wówczas, że nazwa deseru pochodzi od tytułu operetki Offenbacha. Jego przedstawienie cieszyło się takim powodzeniem, że cukiernicy i restauratorzy prześcigali się w wymyślaniu potraw z nią związanych, ale to gruszki wygrały. Po raz pierwszy podano je w drugiej połowie dziewiętnastego wieku. Twórca przepisu Auguste Escoffier stworzył deser doskonały, który do dziś cieszy się powodzeniem. Jeżeli więc jeszcze nie miałaś okazji go spróbować, to obiecuję, że przygotuję go dla Ciebie.

Cóż, to tylko marzenia. Kolorowe i pachnące czekoladą. Rzeczywistość jest zgoła inna. Szara, ba, czarna i czerstwa jak nasz codzienny, spleśniały chleb. Całe szczęście, że wciąż jeszcze są konserwy, lecz i one niebawem się skończą, a wtedy, jak żartują kamraci, pozostają szczury. Wzdrygam się na te żarty z obrzydzeniem, obawiam się jednak, że nadejdzie dzień, w którym perspektywa włączenia ich do jadłospisu będzie konieczna. Na razie walczymy z nimi na wszystkich frontach, choć walka ta jest nierówna i szczury wróg wygrywa w przedbiegach. Pojawiają się wszędzie i zawsze nam towarzyszą. Są bezpośrednie, bezczelne, sprytne i bez cienia strachu. Chciałbym być jak one. Nieustraszony. Chciałbym być zuchwały i nie mieć respektu dla przeciwnika. Szczury nami gardzą. Lekceważą nas. Chadzają, gdzie chcą i kiedy chcą. Przyciąga je brud i smród.

Na Boga! Eleonoro, nigdy jeszcze nie śmierdziałem tak bardzo, żeby się budzić z tego powodu. W tym przytłaczającym fetorze załęgły się nieopuszczające nas wszy. Z nimi nie podejmujemy walki. Poddaliśmy ją walkowerem.

Obawiamy się deszczu. Błoto zalewa nas w okamgnieniu. Dniem i nocą próbujemy się go pozbyć. Nasze ubrania są przesiąknięte deszczem, smrodem i oblepione błotem. Stoimy w błotnistej brei. Chorujemy. Ja na razie nie. Lecz nie wiem, jak długo moje ciało będzie stawiało skuteczny odpór tyfusowi, zapaleniu jelit czy stopie okopowej.

Nie wiem jednak, co jest gorsze, deszcz czy wiatr, z którym napływa do nas słodkawy, ciężki zapach starej krwi. W trudno dostępnych lejach rozkładają się ciała towarzyszy, których nie udało się nam uratować. Ciepłe dni zrobiły swoje. Obawiam się, że moje ciało przesiąknęło trupim zapachem.

Poznałem, czym jest piekło na ziemi...

Przepraszam, że dzielę się z Tobą tym wszystkim, ale tylko Tobie mogę wyznać bez skrępowania i obawy, że zostanę nazwany tchórzem, jak bardzo się boję, że nie dam rady. Nie wytrzymam w tym piekle ani chwili dłużej. Strach prześladowuje mnie w każdej minucie. Przez cały dzień. Nie opuszcza nawet nocą, kiedy zamykam oczy, chcąc od niego odpocząć. Zaciskam mocno powieki i przywołuję w myślach Twój obraz, i tylko świadomość, że jesteś, dodaje mi sił i każe się bronić przed obłędem. Tylko świadomość, że nadejdzie dzień powrotu do domu, dodaje mi otuchy i przegania koszmary.

Kocham Cię

Julian

Eleonora odłożyła list. Oczy miała mokre od łez. Słowa Juliana jej nie zaskoczyły. Lecząc rannych w szpitalu na Kamiennej, nasłuchiwała się opowieści z pola bitwy. Pewnego dnia jednego z żołnierzy odwiedził przyjaciel, który wrócił do domu z powodu stopy okopowej, o której wspominał Julian. Siedziała nieopodal, miała zamknięte oczy, jak zawsze wykorzystując na odpoczynek każdą nadarzącą się okazję. Może myśleli, że śpi, a może wcale nie obchodziło ich, co usłyszy. Nawet teraz, po wielu tygodniach potrafiła przypomnieć sobie każde słowo.

– Było nerwowo. Czekaliśmy gotowi do walki. A potem otwarły się bramy piekła – mówił żołnierz, który składał temu drugiemu wizytę.

Preludium stanowiła kanonada artyleryjska, której czasami towarzyszył ostrzał z powietrza. Pociski spadały niczym grad, jeden za drugim, rozrywając wszystko, co napotkały na swej drodze: ziemię, okopy, chowających się w nich ludzi. Tworzyły się głębokie leje, niektóre po brzegi wypełnione krwią i rozczłonkowanymi ciałami. Potem się dowiedziała, że niemiecka artyleria pod Verdun zrzuciła na skrawek ziemi ponad osiemdziesiąt tysięcy pocisków, a od nich zginęły tysiące ludzi, po których pozostały tylko drobne szczątki niemożliwe do zidentyfikowania. Ale najwyraźniej to okrucieństwo nie wystarczyło. Było za mało wyrafinowane, dlatego używano gazów bojowych takich jak iperyt, który uszkadzał wzrok i atakował drogi oddechowe. Paraliżował i doprowadzał do zaburzeń psychotoksycznych. Osadzał się w okopach i pozostawał w zagłębieniach jeszcze przez wiele dni. Ci, którzy nie mieli maski gazowej lub nie zdążyli jej założyć, umierali w męczarniach, o jakich Eleonora nie chciała nawet myśleć.

W maskach ograniczających ruchy i widoczność żołnierze wybiegali naprzeciw wroga. Walczyli tym, co mieli pod ręką. Używali karabinów, bagnetów, dźgając na oślepie, granatów ręcznych, które rozrywały ludzkie ciała, a nawet saperek. Nie było strategii. Działaniami kierował strach. Obawa przed utratą życia lub zdrowia.

– Kiedy tak waliłem na oślepie, czym popadnie, pragnąłem jedynie unicestwić tego, kto stał naprzeciwko mnie – opowiadał żołnierz. – I zaczynałem się zastanawiać, kiedy ze spokojnego człowieka, który nie skrzywdziłby muchy, stałem się bestią bez sumienia. Byliśmy nacierającą, niepowstrzymaną falą zabójców. Morderców, okrutników. Zdałem sobie sprawę, że gdyby po stronie wroga stał mój brat, to i w niego rzuciłbym granatem. Byliśmy diabłami.

Te słowa wciąż brzmiały w umyśle Eleonory. Nie chciała, żeby Julian przez to przechodził. Żeby wyzbył się uczuć. Żeby zatracił człowieczeństwo. Panicznie się bała, że zostanie ranny i nikt mu nie przyjdzie z pomocą. Że zostanie na błotnistym, mokrym od krwi polu bez nadziei na ratunek, dlatego złożyła jego list i przyciskając go do piersi jak najcenniejszy skarb, zatonała w gorącej modlitwie, prosząc o opiekę dla niego i jego szybki powrót do domu.

\*\*\*

Rozalia podniosła głowę, żeby przyjrzeć się zabudowaniom zespołu klasztornego na Bielanych – kościołowi pw. Wniebowzięcia Matki Boskiej i eremowi kamedułów. Nie była tutaj od lat, lecz dziś, w środę, piętnastego sierpnia, w jeden z dwunastu dni, kiedy kobiety mogły przekroczyć próg świątyni, chciała nie tylko wziąć udział w mszy świętej, ale i w skupieniu pomodlić się za swoją duszę.

Zastanawiała się, dlaczego nie przychodzi tu zawsze wtedy, kiedy otwierają się drzwi dla kobiet, bo przecież uwielbiała ten klasztor wzniesiony na wzór budowli, jakie widziała podczas wyprawy do Włoch, którą odbyła raz jeden, ponad dekadę temu.

Weszła do wnętrza szczelnie wypełnionego wiernymi. Panował tu przyjemny, kojący mrok i chłód, który pozwalał odetchnąć od upału panującego na zewnątrz. Rozejrzała się wokół uważnie. Zwróciła wzrok w stronę bogatych sztukaterii pochodzących z warsztatu Giovanniego Battisty Falconiego, o czym opowiedział jej ojciec, który przyprowadził ją tutaj po raz pierwszy wiele lat temu. Nie pamiętała dokładnie, z jakiej to było okazji, chociaż wydawało jej się, że przyszedł tutaj w święto Bożego Ciała. I wtedy, i dziś w kościele było wiele modlących się osób.

Rozalia opuściła głowę, wbijając wzrok w posadzkę. Pod jej stopami znajdowała się kaplica z kryptą, w której na stulecie zamuroywano doczesne szczątki zakonników, aby później przenieść je do zbiorowej mogiły. Czuła się dziwnie, mając świadomość, że stoi na czymś grobie. Miała wrażenie, że bezcześci spokój zmarłych, lecz najwyraźniej ani zakonnikom, którzy od wieków chowali tam swoich braci, ani wiernym to nie przeszkadzało.

Próbowała skupić się na rozpoczynającej się mszy, ale wydarzenia ostatnich tygodni nie dawały jej wytchnienia. Pomyślała, że miło byłoby zamknąć się w strefie świętego milczenia, która znajdowała się na wschód od kościoła, w ogromnym prostokątnym ogrodzie podzielonym na mniejsze ogródki. Ustawiono w nich niewielkie domki – pustelnie dla zachowujących milczenie zakonników.

A może w eremie uwolniłaby się od wątpliwości i wyrzutów sumienia, zamknęła więc oczy, mając nadzieję, że ten zabieg pozwoli jej się skupić. Nie zapamiętała ani słowa z długiego kazania. Nie pamiętała, jak przetrwała mszę, która skończyła się zaledwie kilka minut wcześniej, i teraz wraz z morzem ludzi opuszczała kościół. Przecisnęła się przez tłum. Brakowało jej powietrza. Chciała odetchnąć głęboko, dlatego stanęła z boku, czekając cierpliwie, aż zebrani rozejdą się swoimi drogami. Znowu przymknęła powieki, wsłuchując się w szumiący las otaczający zespół klasztorny.

Wiatr poruszał miarowo ciemnozielonymi liśćmi. Szeptał coś powoli, nieustannie. Ptaki wtrącały swoje trele do tej niezrozumiałej, ale cudownie kojącej rozmowy.

– Rozalia? – Córka hrabiego otworzyła oczy. Jej spojrzenie skrzyżowało się ze wzrokiem Eleonory. – Nie przypuszczałam, że spotkam kogoś znajomego. Co tutaj robisz?

– Dzień dobry, Eleonoro. Mogłabym zapytać o to samo. – Na ustach Rozalii pojawił się szeroki uśmiech.

– To długa historia. – W głosie Eleonory dało się słyszeć dziwne napięcie.

– To długa historia – powtórzyła Rozalia i obie zaśmiały się szczerze. – Przejdźmy się. Spacer zajmie nam trochę czasu, ale przynajmniej opowiemy sobie swoje historie, prawda? – Pytanie było retoryczne, dlatego Eleonora milczała jeszcze dłuższą chwilę.

Od czasu wypadków związanych z niedoszłym pojedynkiem zbliżyły się do siebie. Zawiązała się między nimi nić przyjaźni, którą starały się rozwijać i pielęgnować w ciężkich czasach, w których przyszło im żyć. Ponadto zbliżyła je do siebie troska o mężczyznę, którego obie kochały. Rozalia podobnie jak Eleonora drżała o przebywającego na froncie Juliana. Brak listów od brata martwił ją bardzo, lecz swoje obawy starała się ukrywać przed rodzicami i tylko z Eleonorą mogła o nich rozmawiać. Jednak to nie troską o bezpieczeństwo brata chciała się podzielić.

– Obawiam się, że staję się kobietą upadłą – zaczęła Rozalia, a widząc zdziwienie malujące się na twarzy przyjaciółki, pospieszyła z wyjaśnieniem. – Zaraz ci to wyjaśnię. Otóż niedługo po incydencie z pojedynkiem Tojew miał wrócić do Wiednia. Walizy były już spakowane, on jak zwykle siedział w gabinecie, pisząc coś w swoim dzienniku. Myślałam, że pożegna się zdawkowo i wyjedzie, ale tym razem poprosił mnie o rozmowę. Usiadłam i czekałam, co ma do powiedzenia. Zaczął opowiadać o swojej pierwszej żonie. Mówił, że za nią tęskni, z takim smutkiem i czułością, o które bym go nie podejrzewała. Domyślałam się, że wciąż ją kocha. Tłumaczył, że nie mogła z nim zostać, ponieważ jako polityk nie mógł sobie pozwolić na, jak się wyraził, skazy na wizerunku. Byłam zszokowana. Nie wiedziałam, co odpowiedzieć, ale on wcale nie oczekiwał, że coś powiem. Zamiast tego mnie przeprosił. Przeprosił za to, że się ze mną ożenił. Powiedział, że nigdy mnie nie kochał, ba, nawet nigdy specjalnie

mnie nie lubił. Potem dodał, że może to dlatego, że mnie wcale nie zna. Zaznaczył jednak szybko, że wcale nie zamierza poznać, bo to mogłoby sprawić, że poczułby do mnie sympatię. Z każdym kolejnym słowem szerzej otwierałam oczy i usta. Całkowite zaskoczenie przyszło na końcu rozmowy. Powiedział, że gdyby mógł, zwróciłby mi wolność, ale na razie nie może i nie wie, czy ta chwila kiedykolwiek nastąpi.

– Ale? – Eleonora weszła Rozalii w słowo, ponieważ nie mogła wytrzymać już tego napięcia, które przyjaciółka budowała swoją opowieścią.

– Ale widział ostatnio różne rzeczy. Uświadomił sobie, że życie jest kruche i krótkie, więc nie warto przejmować się tym, co inni o nas mówią. Dlatego przestał już myśleć o skazach i czarnych plamach na wizerunku.

– I co to znaczy?

– Z początku nie zdawałam sobie sprawy, jaki był cel tej rozmowy. W czym niby miała nam pomóc. Nawet jego pożegnanie przed wyjazdem było dziwne. Nieracjonalne. Niepodobne do niego. Zanim wyszedł, odwrócił się do mnie i powiedział, że chociaż nie może mi na razie zwrócić wolności, to pragnie, abym była szczęśliwa. Daje mi wolną wolę. Jeżeli będę miała ochotę zaznać szczęścia, on nie stanie mi na drodze.

– Nic z tego nie rozumiem, a ty?

– Jak powiedziałam, z początku też tego nie rozumiałam, lecz jakiś czas temu coś się wydarzyło. Poznałam kogoś. Mężczyznę... – Rozalia zawiesiła głos. Odwróciła się w stronę Eleonory, która zauważyła, że oczy Rozalii błyszczą jak gwiazdy na wieczornym, smolistym niebie. – I jestem szczęśliwa – dodała po chwili. – Nie mam pewności, czy o tym mówił Tojew, ale zaczynam podejrzewać, że w jakiś pokrętny dla siebie sposób dał mi rozgrzeszenie na wypadek, gdybym kogoś poznała.

Usiadły na malutkiej ławeczce w parku okalającym pałac Lasockich na Tynieckiej. Rozalia wtajemniczyła Eleonorę w wydarzenia ostatnich tygodni. Po wyjeździe Tojewa zaczęła coraz częściej wychodzić na długie samotne spacerunki. Czasami jeździła na rowerze. Częściej niż zwykle odwiedzała rodziców w Zakrzówku i to właśnie tam, podczas jednej z wypraw w okolicach kamieniołomów, poznała mężczyznę, który najwyraźniej wracał tamtędy z pracy.

– Nawet nie wiem, jak to się stało, że zaczęliśmy rozmawiać. Nie pamiętam, czy to on zagadnął mnie, czy ja jego z jakiegoś powodu. Pamiętam tylko, że nagle siedzieliśmy na ławce w okolicach Skątek Twardowskiego, ciesząc się swoim towarzystwem i spokojem tego miejsca. Rozmawialiśmy tak swobodnie, jakbyśmy znali się całe życie. Okazało się, że Maks, to znaczy Maksymilian, mieszka z matką nieopodal Rynku Kleparskiego. Miał zostać weterynarzem, ale ojciec zmarł dwa lata temu i zaczęli mieć problemy finansowe. Pracował w różnych miejscach, lecz okazało się, że praca w kamieniołomach, chociaż ciężka i wyczerpująca, jest najbardziej opłacalna. Myślałam, że to tylko jednorazowa rozmowa. Pożegnaliśmy się, nie planując kolejnych spotkań, kiedy jednak wróciłam do domu, nie mogłam przestać o nim myśleć. Ani następnego dnia, ani potem. W końcu wsiadłam na rower i pojechałam tą samą trasą, mając nadzieję, że się spotkamy. Maks zrobił dokładnie to samo. Każdego dnia wracał drogą, na której zobaczyliśmy się tamtego dnia. Widać los chciał znowu nas ze sobą zetknąć.

– Widujesz się z nim? – zapytała Eleonora, uśmiechając się do szczęśliwej i rozpromienionej Rozalii.

– Tak. Widujemy się tak często, jak to tylko możliwe. Do niedawna jedynie rozmawialiśmy, ale ostatnio rozmowy przestały nam wystarczać. Maks pocałował mnie delikatnie, jakby chciał wy badać grunt, czy mu na to pozwolę. I pozwoliłam. Co ja mówię! – Zaśmiała się Rozalia. – Przyciągnęłam go do siebie i zaczęłam całować jak szalona. Nie podejrzewałam, że drzemią we mnie takie demony. To pragnienie bycia pożądaną, bo widzę w jego oczach to samo pragnienie, które także mnie trawi. Obawiam się, że pocałunki nie wystarczą nam na długo. Przyszłam tu dziś, żeby pomodlić się za siebie i przeprosić za swoje zachowanie, ale nawet wiedząc, że grzeszę, a zamierzam zgrzeszyć jeszcze bardziej, nie zrezygnuję z Maksymiliana. W końcu Tojew powiedział, że mam prawo do szczęścia. –

Mina Rozalii była zacięta. Z uwagą przypatrywała się Eleonorze i była gotowa odeprzeć wszelkie perswazje, że powinna dać sobie spokój z romansowaniem. Ona, kobieta zamężna, miała romans i nie czuła się z tego powodu winna. Ale Eleonora nie zamierzała prawić Rozalii morałów.

– Cieszę się, że jesteś szczęśliwa. To widać. Nigdy jeszcze nie byłaś taka radosna i taka śmiała. – Na kilka minut zapadło pomiędzy nimi milczenie, jakby każda musiała przetrwać dopiero co zakończoną rozmowę. W końcu Rozalia odezwała się znowu:

– A jaka jest twoja historia? Bo ja z pewnością nie zaaprobuję twojego romansu. – Zaśmiała się szczerze ze swojego dowcipu.

– Wyjeżdżam, Rozalio – powiedziała Eleonora, nie podejmując żartobliwego tonu. – Wiem, że Julian by się na to nie zgodził. Zresztą moi rodzice również mają mi za złe decyzję, jaką podjęłam, ale nie zmienię zdania. Wyjeżdżam do Francji. Razem z kilkoma dziewczętami z ramienia Czerwonego Krzyża. Jedziemy do Ypres.

– Eleonoro! – Rozalia ujęła dłonie przyjaciółki w swoje ręce. – Nie możesz tego zrobić. Czy nie wystarczy, że pomagasz tu, na miejscu? Czy nie dość masz pracy w szpitalu na Kamiennej i na św. Filipa? Jeżeli coś ci się stanie, Julian nigdy mi tego nie wybaczy. Nie wybaczy mi, że cię nie zatrzymałam.

– Nikt nie zdoła mnie zatrzymać. Nawet Julian. To jest moje powołanie i chcę to zrobić. Obiecuję, że będę na siebie uważać. Jeżeli coś ma mi się przytrafić, to nie ma znaczenia, czy jestem tu, czy będę we Francji. Przed losem nie ma ucieczki.

Siedziały jeszcze chwilę w milczeniu, podziwiając piękno zespołu pałacowego Lasockich. Każda zajęta własnymi myślami, zastanawiająca się nad tym, co przyniesie przyszłość.

## Rozdział 14

Ciężka skórzana torba wypełniona opatrunkami zwisała z omdlewającego ramienia Eleonory, która pośrodku pola walki bezradnie rozglądała się za innymi sanitariuszami, lecz widziała jedynie walczących ze sobą żołnierzy. Skrzyżowała wzrok z jednym z nich. Patrzyła na niego uważnie, ale z powodu odrętwienia i strachu, który ścisnął ją jak w imadle, dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że żołnierz krzyczy coś do niej.

– Uciekaj! Na Boga, uciekaj, bo cię strąca!

Odwrociła się i zobaczyła pędzącego wprost na nią oszalałego konia, oblepionego błotem, krwią i białą pianą, którego od razu rozpoznała. Był to wierzchowiec lekarza batalionowego, który korzystał z niego w nagłych wypadkach. Ale teraz ogier pędził sam, bez jeźdźcy. Uskoczyła w ostatniej chwili. I wtedy go zobaczyła. Jej przerażony wzrok skrzyżował się z jego martwym, wytrzeszczonym w przedśmiertnym strachu okiem. Miejsce drugiego oka zajęła wielka krwawiąca dziura. Eleonora spojrzała za oddalającym się zwierzęciem unoszącym na swoim grzbiecie martwego pana. Na ich tle w oddali zamajaczyło miasteczko, które wojsko wybudowało na czas swojego pobytu.

Pamiętała, jak z zapalem zabierali się do pracy. Do budowy domów, które przeznaczono na żołnierskie kwatery – wprawdzie liche, bo pozbawione okien i drzwi, a niejednokrotnie i części dachów – wykorzystywano drzewo z pobliskich lasów. Kiedy domy mieszkalne i budynek szpitala już stanęły, żołnierze zabrali się z zapalem do wznoszenia sztabu, kasyna i świetlicy.

Eleonora omiotła miasteczko zamglonym wzrokiem. Na jego końcu postawiono jakiś czas temu kaplicę. Chodziła tam często, aby oczyścić umysł i pomodlić się w intencji swojej oraz wszystkich, których okrutny los rzucił na tę wojnę. Prosiła o opiekę nad Julianem i Mikołajem, za którym wyplakiwała oczy Stefania. Modliła się o zdrowie i spokój dla rodziny, która została w Krakowie. Był też czas, kiedy prosiła Boga, żeby uchronił ją i walczących zarówno przed kulami i bagnetami, jak i przed zakaźnymi chorobami, jakie zaczęły się rozprzestrzeniać z niebywałą prędkością. Czerwonka zbierała imponujące żniwo.

Z letargu wyrwał ją okrutny skowyt umierającego żołnierza. Uniosła dłonie, chcąc zakryć uszy, ale ręce miała ciężkie niczym z ołowiu. Próbowwała i próbowała. Pot perlił się na jej czole i chociaż wyęczała wszystkie siły, ręce nie chciały się unieść.

Zrezygnowana chciała zerwać się do biegu, ale nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Zerknęła na stopy i z przerażeniem odkryła, że zapadła się aż po kolana w błocie zmieszonym z krwią. Szarpnęła, żeby się wydostać, a wtedy przebiegający obok niej żołnierz pchnął ją z całej siły i straciła równowagę. Upadła na brzuch, asekurując się rękami, lecz nie udało jej się uchronić twarzy, która pokryła się szarobrazowo-czerwonym błotem niczym upiększającą maseczką. Wokół słyszała przerażające krzyki. Mijali ją oszołomieni żołnierze porzucający spowalniającą ich broń. Szukali w miarę bezpiecznego miejsca, w którym mogliby się schować. Powinna iść za ich przykładem.

A potem nad polem zapadła cisza, którą z wolna zaczęły przerywać rżenia, kaszel i wymioty, od których powietrze zrobiło się kwaśne. Zasłoniła usta, żeby powstrzymać szarpiące nią torsje. Do oczu napłynęły jej łzy, policzki zrobiły się czerwone.

Spojrzała po bokach i za siebie. Przetarła oczy i zamrugała kilka razy, żeby wyostrzyć wzrok. Wokół niej w konwulsjach, z trudem łapiąc oddech, wiły się setki żołnierzy. Leżeli wszędzie, jak okiem sięgnąć. Spojrzała na najbliższego. Nie znała jego imienia, wiedziała tylko, że pochodził z Algierii i nie mógł doczekać się powrotu do domu, gdzie czekali żona i kilkumiesięczny syn. Jego twarz była czarna, jakby dla zabawy wysmarował się węglem, tylko że to nie były dziecięce igraszki. Widziała, że próbował powiedzieć coś ostatkiem sił, ale usta zalewała mu bulgocząca krew.

Zamknęła oczy, mocno zaciskając powieki, lecz błagalne okrzyki wokół sprawiły, że zaczęła rozglądać się na prawo i lewo, mając nadzieję, że wśród konających znajdzie się ktoś, komu będzie mogła pomóc. Niestety, było już za późno. Żołnierzom z uszu i nosów ciekła krew. Toksyczne łzy rzeźbiły wąskie strużki na policzkach, wykrzywionych w grymasie śmierci. Niektórzy jeszcze poruszali

nabrzmiałymi, splekanymi wargami. Może modlili się o szybszą śmierć, ale ta nie chciała nadejść. Nie było w pobliżu nikogo, kto mógłby przy użyciu kuli, bagnetu albo szrapnela zakończyć ich tortury.

– Zabij mnie, zabij! – usłyszała za sobą rozdzierający krzyk.

Odwrociła się w stronę, skąd dochodził głos. Ranny młody człowiek próbował włożyć do brzucha wylewające się z niego trzewia. Zmagał się z tym przez chwilę, a potem jego ręce znieruchomiały. Śliskie jelita spłynęły pomiędzy palcami. Patrzył na Eleonorę martwym, zimnym spojrzeniem, od którego przeszły ją ciarki.

Jeszcze raz spróbowała wyszarpać zatopione w błocie stopy i wtedy uderzenie kuli, która rozerwała jej klatkę piersiową, wstrząsnęło nią z taką siłą, że przewróciła się na plecy. Chciała krzyczeć, ale usta wypełniły się krwią. Kula uszkodziła serce i zmasakrowała płuco, zabrakło jej tchu. Adrenalina podniosła ciśnienie krwi, którą zaczęło pompować uszkodzone, osłabione serce, trzepoczące w piersi niczym mały koliber zbierający kwiatowy nektar.

Eleonora próbowała wstać. Wreszcie udało jej się uwolnić nogi. Odwróciła się na brzuch, czołgając się powoli. Posuwała się do przodu, zostawiając za sobą czerwony ślad. Przemierzała ziemię centymetr po centymetrze. Czołgała się, przytrzymując się umierających i trupów.

I wtedy to poczuła. Do jej nozdrzy doleciał przyjemny zapach piknikowego jedzenia. Przełknęła ślinę. Pomyślała o pieczonej nad ogniem kiełbasce. W oddali zauważyła dziwną żółtawą chmurę. I kolejnych żołnierzy uciekających z przerażeniem w oczach. Osad z chmury lepił się do wszystkiego. Osiadał na mundurach, na mokrej, czerwonej ziemi i roślinach, równie martwych jak dziesiątki tysięcy leżących w krwawej brei ludzi.

Kiedy nadbiegli, jej oczom ukazał się straszny widok. Mężczyźni mieli wypalone oczy, ich twarze były sine, na skórze zaczęły się pojawiać pęcherze wypełnione żółtym płynem. Kiedy bąble pękały, cienkie płaty skóry odchodziły od ciała razem z nimi, obnażając żywe, czerwone mięso i płataninę mięśni. A kiedy chmura opadła, na polu zostały tylko powykręcane szczątki, które kiedyś były żywymi istotami. Szczęśliwi ci, którzy już odeszli z tego piekła. Pozostali, jak Eleonora, wciąż krzyczeli, błagając o pomoc.

\*\*\*

– Nora! Norcia! Na Boga, obudź się. – Tekla i Stefania od dobrych kilku minut próbowały wybudzić Eleonorę z sennego koszmaru.

– Pomocy, pomocy! – krzyknęła i wyrывая się z siostrzanego uścisku, usiadła na łóżku. Twarz miała mokrą od łez i potu. Oczy dzikie jak u zaszczutego zwierzęcia. Oddychała szybko i krótko, jakby przebiegła maraton.

– Już dobrze, kochanie. Jesteś bezpieczna. Jesteś w domu. – Tekla usiadła na skraju łóżka i przytuliła córkę. Czują szaleńczo bijące serce Eleonory. Siedziały tak dłuższą chwilę, aż Schrammowa dostrzegła, że córka powoli się uspokaja.

– Już dobrze, mamó. Już wszystko dobrze – powiedziała Eleonora, kładąc się z powrotem. Nie chciała jednak zasypiać.

Koszmar, który śniła przed chwilą, nawiedzał ją od dawna. Od dnia, w którym wróciła do domu, zostawiając za sobą swój pułk. Kiedy wyjeżdżała, wyobrażała sobie, czego może być świadkiem. Uważała, że nie jest naiwna i niedoświadczona. A jednak była naiwna i niedoświadczona. Rzeczywistość okazała się sto razy okrutniejsza niż jakiegokolwiek wyobrażenia, chociaż na początku nic nie zapowiadało traumy, jaka stała się jej udziałem.

Do Krakowa wróciła dwa tygodnie temu. Od tamtej pory prawie nie wychodziła z domu. Zbliżały się święta, które kochała i na które zawsze czekała. Teraz nic jej nie interesowało. Zobojętnienie wzięło górę.

– Musisz wstać z łóżka i wyjść do ludzi – próbowała przekonać ją Stefania.

Miała rację. Leżeniem nic nie zdziała, lecz wydawało się jej, że wciąż ma czas.

– Wstanę jutro – odpowiadała.

„Albo jak wróci Julian”, myślała. Ten jednak nie wracał. I co gorsza, nie dostawała też listów



od niego i ciągle drżała o jego życie. Pocieszała się tym, że nie było go na listach poległych, które drukowano co jakiś czas.

Lecz dziś, kiedy została sama, postanowiła, że czas z tym skończyć. Pora wrócić do świata żywych, a zmarłych zostawić we Francji. Zerwała się z łóżka i pobiegła do garderoby. Przez dłuższy czas grzebała w sukniach, zastanawiając się nad właściwym wyborem. Potem przyszła pora na odpowiednie buty. Otwierała pudełka, podnosząc kolejne pary, i po krytycznych oględzinach, odkładając je z powrotem. Obejrzała już z pięć, a może sześć. „Ta para będzie ostatnia”, pomyślała, zamaszystym gestem zerwała wieko pudełka i jej ręka zawisła w powietrzu. Zapomniała, że kiedyś ją tu schowała. Małą butelkę absyntu. Od dawna go nie piła. Najpierw nie miała możliwości i okazji, a potem z bólem serca, ale twardo odmawiała sobie tej przyjemności. Jej umysł szeptał do niej ciche prośby. Błagał, krzyczał, a nawet groził, lecz ona wytrwała i czuła się z tym dobrze. Aż do teraz.

Jedna mała kropla. Nic się nie stanie, jeżeli tylko skosztuje. Tu, w łazience. Bez rytuałów, jakim się zazwyczaj oddawała. Tylko absynt i zimna woda. Nie, to złe. Kiedy odstawiła butelkę, drżała jej ręka. Włożyła ją do pudełka i zamknęła wieczko. Wstała, wyszła z garderoby i usiadła na łóżku. Siedziała tak minutę, dwie, dziesięć. W jej umyśle anioł walczył z podstępny diabeł. Kiedy zerwała się z miejsca, ruszając wprost do garderoby, anioł załkał bezgłośnie, zagłuszany szyderczym śmiechem diabła.

Kładąc się w zimnej pościeli, pomyślała, że dziś też nigdzie nie pójdzie. Nie czuła się winna. Już nie. Otumaniona absyntem, stała się wolna i pewna siebie.

\*\*\*

– Powiedzieli mi, Eleonoro, że wróciłaś pod koniec listopada – mówiła Rozalia, podczas gdy Eleonora oddawała kapelusz pokojówce. – Byłam u was na początku grudnia, ale twoja matka powiedziała, że nie jesteś w tak dobrej dyspozycji, żeby przyjmować gości. Próbowałam jeszcze dwa razy. Zaczęłam się o ciebie poważnie martwić. Czy wszystko dobrze?

– Powoli dochodzę do siebie. – Przerwała na chwilę, a potem zakryła twarz i tłumiąc szloch, który wyrwał się z jej piersi, mówiła dalej: – Och, Rozalio, byłam zbyt pewna siebie. Ta duma i buta sprawiły, że prawie straciłam rozum. Śnię ten koszmar właściwie co noc. Zapach krwi i smród rozkładających się ciał mnie nie opuszczają. Nawet piekło nie może być tak okrutne. – Spojrzała na przyjaciółkę, która już otwierała usta, żeby o coś zapytać. – Nie, nie pytaj, co widziałam. Nie powiem nic więcej. Nie chcę cię tym obarczać i pragnę o tym zapomnieć.

– Wszystko będzie dobrze, zobaczysz. – Rozalia nie zamierzała naciskać. Postanowiła zmienić temat na nieco lżejszy, który odwróci myśli Eleonory od Ypres. – Rodzice otrzymali list od Juliana. Krótki, ale pisze w nim, że niebawem wróci.

– Julian wraca? – Eleonora spojrzała z nadzieją na przyjaciółkę. – Kiedy?

– Nie wiem. Najwyraźniej on sam tego jeszcze nie wie, ponieważ nie podał dokładnej daty. Napisał, że jest chory i jak tylko poczuje się na siłach, żeby odbyć podróż, wróci.

– Ale to nic poważnego?

– Raczej nie. W końcu napisał, że jest chory, a nie ranny. – W pokoju zapadło milczenie. Rozalia miała tysiące pytań. Chciała dowiedzieć się czegoś o bitwie, o której słyszała przelotnie i o której donosiła prasa, lecz wszystko, co wyczytała, było tylko przekazem z drugiej ręki.

Nie chciała jednak naciskać. Kiedy patrzyła na wymizerowaną twarz Eleonory, której podkrążone oczy wciąż pełne były strachu i rozpacz, nie zamierzała drażnić tematu.

– Poznałam tam wielu wspaniałych ludzi, wiesz? – Eleonora zaczęła mówić bardzo cicho. Tak cicho, że Rozalia musiała przysiąść się bliżej, żeby ją usłyszeć. Nie poprosiła jej jednak, żeby mówiła głośniej. Nie zwróciła jej uwagi, ponieważ bała się, że zbędne słowa tylko spłoszą Eleonorę. Czekwała na dalszą opowieść. – Było tam mnóstwo dziewcząt z różnych stron, ale najbardziej zbliżyłam się z pewną Polką, która wiele lat mieszkała w Nowym Jorku. Przyjechała tam zaledwie kilka dni przede mną. Było w niej coś smutnego. Nie chciałam jej wypytywać. Pracowałyśmy ramię w ramię. Opowiadałam jej o Julianie, o tobie i mojej niesfornej siostrze. Ona też miała siostrę. Młodszą, tak jak

ja. Pewnego dnia przydzielili ją do opieki nad zestrzelonym pilotem. Miała go karmić. Zabrała się do tego zadania niechętnie, ale po pewnym czasie zauważyłam, że smutek, tak widoczny w jej oczach na początku, powoli zniknął. Patrzyłam, jak rozwija się uczucie między nimi. Jak on śledzi wzrokiem każdy jej ruch. Jak tęskni, kiedy wpadła w wir pracy z Marią Skłodowską, która odwiedziła Ypres na kilka dni, przywożąc ze sobą eskadrę „małych Curie”\*\*\*\*\*. Wiem, że zakochali się w sobie, ale wtedy ona podjęła dziwną decyzję. Wsiadła do wozu Madame i odjechała. Spotkałam go później siedzącego na schodach. Był sam, na podłodze u jego stóp leżał mały skrawek zapisanego papieru. To był krótki list, zaledwie kilka zdań. Pożegnanie. Wyjechał niedługo po niej. Chciałabym wierzyć, że jeszcze kiedyś się spotkają.

– To smutna historia. W takich trudnych chwilach chciałoby się, żeby wszystko kończyło się dobrze.

– Najczęściej nie kończy się dobrze. – Eleonora wpatrywała się w dal. Najwyraźniej jej dusza znowu błądziła gdzieś poza salonem Rozalii. – Przepraszam, nie powinnam tak mówić. – Ocknęła się po chwili. – Opowiedz, co u ciebie. Nadal spotykasz się z Maksymilianem? – zagadnęła, lekko się uśmiechając.

\*\*\*

Juliana obudził dławiący strach. Próbował zerwać się do biegu, lecz coś, lub ktoś, trzymało go za nogi. Dopiero po chwili się zorientował, że stopy zaplątały mu się w kołdrę. Usiadł na skraju łóżka, ciężko dysząc. W panice spojrzął w stronę okna. Było już, a może jeszcze, ciemno. Stracił rachubę czasu. Od powrotu rzadko opuszczał swój pokój.

– Dlaczego do nas nie wyjdiesz? – dopytywała matka, nie patrząc w jego stronę.

Nie odpowiadał. Czy był w ogóle sens odpowiadać, skoro jego motywy powinny być jasne? Miał pewność, że spożywanie posiłku w jego towarzystwie nie było przyjemne. Na samą myśl o tym podniósł się powoli z łóżka. Ocieżale, jak starzec. Wszedł do małego pomieszczenia, które pełniło funkcję garderoby. Zapalił światło i spojrzął w lustro wiszące na jednej ze ścian. Jego oblicze było zimne, smutne, pozbawione blasku. Omiótł wzrokiem swoją twarz, która pozostała prawie nietknięta, jeśli nie liczyć rany, która pozbawiła go oka, ale czymże było oko w obliczu tego, jak wyglądała prawa strona jego ciała. Okrywająca go bonzurka opadła na podłogę, ukazując czerwoną, pomarszczoną masę, która kiedyś była jego prawą ręką, prawym barkiem i prawą piersią oraz bokiem. Wciąż odczuwał ból. Nieznośny, tępy, dudniący, skręcający, doprowadzający go czasami do obłędu.

– Miał pan dużo szczęścia. – Usłyszał jakiś czas temu od lekarza. – Oparzenia pięknie się goją. Nie wdało się zakażenie. Skóra ładnie się zasklepiła. Z czasem uczucie ściągania będzie coraz słabsze. Może nie wygląda to estetycznie, ale czymże jest kilka blizn w porównaniu z uratowanym życiem, prawda?

Julian pozostawił pytanie bez odpowiedzi. Były dni, takie jak dziś, kiedy żałował, że w ogóle przeżył. Pomstował na cały świat za okrutny los, lecz otrzeźwienie przychodziło dość szybko. Przypominał sobie o innych, którzy nie mieli nawet tyle szczęścia.

Wyszedł z garderoby i usiadł na łóżku. W wyobraźni znowu pojawił się ten obraz. Na początku niewyraźny, ale z sekundy na sekundę coraz klarowniejszy. Najpierw zobaczył szeroki pas rozmokłej ziemi zmasakrowanej lejami po pociskach. W oddali czał się wróg. Wyczuwał go podskórnie. Wytężył wzrok. Nad okopami nieprzyjaciela uformowała się biała, gęsta zasłona niczym mgłą, która zaczęła przesuwając się w ich stronę, dając się porwać lekkiemu wietrzykowi. Patrzeli z zaciekawieniem, zahipnotyzowani, aż w końcu ktoś krzyknął, budząc ich ze swoistego letargu:

– Uciekać! Uciekać, psiamać! To gaz!

Słowa kolegi dotarły do niego dopiero po chwili. Zerwał się na równe nogi. Jego kompani, którzy byli bliżej chmury, zaczęli się dziwnie zachowywać. Odwrócił się, żeby spojrzeć, czy może któryś z nich potrzebuje pomocy. Osuwali się bezwładnie na dno okopów. Rzut oka wystarczył, żeby stwierdzić, że nic im już nie pomoże. Julian brnął w wodzie wypełniającej okopy. Wreszcie dopadł prowizorycznych drabinek. Zaczął się dusić, ale wytężył siły, żeby wspiąć się na górę. Nie pamiętał, jak

mu się to udało. Nie pamiętał, jak doszło do tego, że nagle zauważył, że prawa strona munduru zajęła się ogniem. Adrenalina sprawiła, że nie czuł bólu. Biegł, paląc się niczym pochodnia. Jakoś udało mu się pozbyć płaszcza, którego prawa strona zamieniła się w żywy tańczący po nim ogień. W końcu upadł bez przytomności. Ocknął się w szpitalu, krzycząc na całe gardło, ponieważ miał wrażenie, że ktoś pali go żywcem.

To było okropne wspomnienie. Ten krótki czas zamienił jego życie w piekło. Gdyby kilkanaście miesięcy temu ktoś mu powiedział, że niebawem z własnej, nieprzymuszonej woli zamknie się w czterech ścianach, odsuwając się od rodziny i Eleonory, wyśmiałby go. „A jednak życie lubi pisać podle scenariusze”, pomyślał.

Podczas gdy Julian walczył ze wspomnieniami, Eleonora zmierzała do Zakrzówka. Niedawno Stefania przyniosła informację o powrocie Juliana. Eleonora była tak zaskoczona, że nie wiedziała, co powiedzieć. W jej oczach pojawiły się łzy ulgi, ponieważ czekała na niego z wielką niecierpliwością. Wyczekiwała na oficjalną wiadomość od Michałowskich przez kolejne dwa dni. W końcu jednak nie wytrzymała i chociaż matka odżegnywała ją od złożenia wizyty w domu Juliana, ubrała się i poszła.

Kiedy zziębnięta i zmęczona stanęła na stopniach dworu, nie była już tak pewna podjętej decyzji. Nie miała jednak zamiaru wracać, nie witając się z Julianem. Nagle drzwi się otworzyły i w głębi sieni dostrzegła zmartwioną, smutną twarz hrabiego Michałowskiego.

– Eleonora? – zapytał ze zdziwieniem, po czym zaprosił ją do środka. – Co ty tutaj robisz?

– Słyszałam, że Julian wrócił. Czekałam, aż ktoś przyniesie z Zakrzówka wiadomość, ale pan wybaczy, hrabio, już dłużej czekać nie mogłam. Chciałabym się z nim zobaczyć.

Hrabia nie odpowiedział od razu. Wskazał ręką najbliższy pokój, który był akurat pusty. Przymknął drzwi.

– Przepraszam, że nie wysłaliśmy do ciebie wiadomości i dowiedziałaś się o tym od osób trzecich. Kto jak kto, ale ty powinnaś dowiedzieć się pierwsza. I wierz mi, wiele razy chciałem posłać kogoś do waszego domu i prosić, żebyś przysłała z wizytą, lecz Julian zabronił. Od powrotu nie jest sobą. Nie chce z nikim rozmawiać. Nie wychodzi ze swojego pokoju. A jeżeli już, to do gabinetu, w którym przesiaduje godzinami.

– Rozumiem go bardziej, niż może się wydawać. Ja też wciąż borykam się z traumą. Byłam świadkiem okropnych rzeczy. Wydaje mi się, że nawet piekło nie jest tak okrutne. Porozmawiam z nim. Razem uda nam się wrócić do normalności.

– Spróbuj, tylko wiedz, że tu nie chodzi jedynie o to, czego mój syn był świadkiem. Front okaleczył go nie tylko psychicznie, ale przede wszystkim fizycznie, z czym nie może się pogodzić. Nie będę ci niczego zabraniać, lecz uprzedzam, że to nie jest Julian, jakiego znałaś. Zapewne nasz syn jest gdzieś tam głęboko ukryty w tym nowym ciele i umyśle, obawiam się jednak, że upłynie dużo czasu, zanim do nas wróci. O ile w ogóle wróci. Powinien być w gabinecie. Obudził się jakiś czas temu i z tego, co mi wiadomo, po lekkim posiłku udał się właśnie tam – mówiąc to, wskazał pokój, o którym wspomniał.

Eleonora z mocno bijącym sercem i duszą na ramieniu otworzyła drzwi. Pomyślała, że kilka kropel alkoholu dodałoby jej odwagi. Szybko jednak odrzuciła tę myśl, karcąc się za nią w duchu. Idąc do Zakrzówka, nie zamierzała raczyć się absyntem. Od jakiegoś czasu unikała go jak ognia. Na razie wygrywała tę walkę. I miała nadzieję, że tak zostanie.

W gabinecie panował mrok. Na dworze zrobiło się zupełnie ciemno, a w pokoju paliła się jedynie mała lampka. Wesoło trzaskający ogień z kominka był jedynym dodatkowym źródłem światła, ponieważ ciężkie welurowe story szczelnie zasłaniały okna, nie wpuszczając do środka nikłej księżycowej poświaty odbijającej się od śnieżnobiałego puchu.

Zauważyła go od razu. Siedział w głębokim fotelu, zwrócony bokiem do drzwi. Nie odwrócił się, chociaż musiał słyszeć, że ktoś wszedł.

– Julianie? – zwróciła się do niego, podchodząc powoli. – Julianie, to ja, Eleonora. – Stanęła tuż przy nim.

Sprawiał wrażenie nieobecnego. Jakby jej nie widział i nie słyszał. Podeszła bliżej i przyklękła tuż przy fotelu. Dotknęła jego dłoni spoczywającej na oparciu.

– Julianie, proszę, spójrz na mnie.

I kiedy myślała, że ją zignoruje, Julian zerwał się z fotela, zrzucił na ziemię koszulę, nie zwracając sobie głowy rozpinaniem guzików, które urwane rozsypały się po dywanie, i zaczął się śmiać. Głośno i histerycznie. Eleonora wpatrywała się w niego oniemiała. Nie przerażało jej okaleczone ciało Juliana, ale złość, jaką widziała w jego zimnych oczach.

– Patrzę. Widzisz? Patrzę! – krzyknął nagle i jakby nie wystarczyło, że zerwał z siebie koszulę, ściągnął także opaskę zakrywającą bliznę po straconym oku. Wystraszył ją tym porywem gniewu. – A może to ty powinnaś spojrzeć! – krzyknął raz jeszcze, a potem jednym szybkim ruchem przyciągnął ją do siebie, tak że prawie upadła. Żeby zachować równowagę, musiała oprzeć rękę na jego nagiej piersi. Tuż przed oczami miała blizny, które pokrywały prawą stronę torsu. – Napatrzyłaś się?! Napatrzyłaś? – Potrząsnął nią gwałtownie. Próbowwała się wyrwać, lecz on trzymał ją w żelaznym uścisku, zmuszając, żeby spoglądała mu w twarz. Łypnął na nią zdrowym okiem. Chwilę później odepchnął od siebie tak szybko i gwałtownie, że upadła na oparcie stojącego za nią fotela. – To teraz się wynoś! Wynoś! Wynoś! – krzyczał tak długo i głośno, dopóki Eleonora nie wyszła z gabinetu.

Cicho zamknęła za sobą drzwi. Wyczerpana oparła się o nie z całej siły i ukryła twarz w dłoniach. Nagle poczuła na ramieniu czyjąś dłoń. To ojciec Juliana pocieszał ją bezgłośnie. Stali tak przez chwilę w milczeniu.

– Przyjdę jutro – powiedziała Eleonora, wycierając płynące łzy. – Do widzenia.

I nie czekając na odpowiedź, ruszyła do drzwi.

Jak powiedziała, tak zrobiła. Przychodziła do Zakrzówka każdego dnia. Zazwyczaj późnym popołudniem po skończonej pracy w szpitalu. Nie przejmowała się swoim zmęczeniem fizycznym i psychicznym. Przyrzekła sobie, że będzie chodziła do Juliana tak długo, aż on w końcu zechce z nią normalnie porozmawiać. Po wielu dniach Julian w końcu przestał ją wyrzucać i na nią krzyczeć. Nie zrywał już koszuli, chcąc ją szokować czerwonym, poskręcany ciałem. Nie zdejmował opaski, żeby straszyć ją pustym oczodołem. Po prostu siedział cicho, nie zważając na jej obecność. Eleonora wykorzystywała tę małą zmianę i zaczęła opowiadać o tym, czego doświadczyła podczas jego nieobecności. Pominęła jednak wyprawę do Ypres. Julian zmagał się z własnymi demonami, nie należało go obarczać dodatkową traumą.

Styczeń powoli miał się ku końcowi. Eleonora czuła zmęczenie i zniechęcenie, ale każdego dnia, idąc do Michałowskich, powtarzała sobie, że nie może się poddać. Była tak zajęta własnymi myślami, że nie zauważyła tłumy ludzi kierujących się w stronę Rynku. Rzeka protestujących porwała ją na Floriańskiej. Ścisnęli ją między sobą, tak że nie mogła się wydostać. W końcu dała za wygraną, poddając się naporowi tłumu. Szła z innymi. Wokół widziała mężczyzn, kobiety, a nawet dzieci. Niektórzy maszerowali w milczeniu. Inni nieśli transparenty, lecz nie miała możliwości przeczytać, czego się domagano. Byli tacy, którzy wykrzykiwali antywojenne hasła wzywające do jak najszybszego zakończenia konfliktu, który pochłonął już setki tysięcy, jak nie miliony ofiar. Gdyby nie spieszyło się jej do Zakrzówka, chętnie przyłączyłaby się do demonstracji. Tłum zatrzymał się na Rynku, który został już otoczony przez wojskowe patrole. Sytuacja była napięta, niczym beczka prochu, do której nieubłaganie zbliża się pałający lont, dlatego Eleonora zaczęła przeciskać się w kierunku Kanoniczej.

– Dzień dobry – przywitała się z Julianem jakiś czas później. – Straszny dziś ziąb na dworze, chociaż atmosfera nadzwyczaj gorąca. – Wydawało się jej, że zwrócił lekko głowę w jej stronę. – Byłam akurat w okolicach Floriańskiej, szłam zamyślona, jak zwykle zresztą, i nagle się zorientowałam, że z każdej strony otacza mnie rój ludzi. Wszyscy, jak jeden mąż, parli w stronę Rynku. Nieśli transparenty i wykrzykiwali żądania zakończenia wojny. – Julian przerwał Eleonorze, prychając lekceważąco. Czekala jeszcze chwilę, czy powie coś więcej, ale on znowu zamknął się w swoim kokonie, nie dopuszczając do siebie nikogo. – Wszyscy są już zmęczeni. Mam nadzieję, że ten koszmar wkrótce się skończy – dodała po chwili i trudno było zgadnąć, czy mówiła o wojnie, czy o sytuacji z Julianem, dlatego on, kiedy Eleonora nie spoglądała w jego stronę, przyjrzał się jej uważnie.

Tak bardzo pragnął ją przytulić. Kiedy w grudniu weszła do gabinetu, pragnął się zerwać z fotela i wziąć ją w ramiona, przywitać i powiedzieć, jak bardzo się cieszy, że znowu ją widzi. Chciał powiedzieć, że wreszcie udało mu się wrócić do domu cało i zdrowo. I kiedy pomyślał o tym ostatnim, przeklął się w duchu za swoje marzenia, że życie wróci na dawne tory. Nic już nie miało być takie jak dawniej. On nie był już taki sam.

Próbował ją odstraszyć. Zniechęcić. Wyrzucić nie tylko z domu, ale ze swojego życia i serca, lecz Eleonora była uparta. Wciąż wracała i za każdym razem, kiedy ją widział, zamierzał zerwać się ze swojego miejsca i biec do niej, prosząc o wybaczenie za swoje niegodne zachowanie. Ale nie robił tego. I nie zrobi. Ona w końcu zrozumie, że nie mają przyszłości. A im prędzej dotrze do niej ta smutna prawda, tym lepiej dla niej i dla niego. Mijały kolejne dni i tygodnie. Julian trwał w swojej skorupie, a Eleonora nadal próbowała się przez nią przebić, nieprzejednanie i systematycznie.

W lutym w mieście znowu zrobiło się niebezpiecznie. Ludzie ponownie wylegli na ulice, żądając zakończenia wojny. Wznosili antyniemieckie i antyaustriackie okrzyki. Lżyli cesarza i władze, które nie robiły nic, aby zakończyć trwający już cztery lata konflikt, który kosztował życie wielu młodych ludzi, a z innych zrobił na resztę życia fizycznych i psychicznych inwalidów. Sytuacja zaogniła się do tego stopnia, że władze miasta sprowadziły z Wiednia pułki tyrolskie, których lojalność wobec monarchii znana była szeroko poza granicami Austrii.

Z tego powodu przez kilka kolejnych dni Eleonora nie zachodziła do Zakrzówka. W pierwszym dniu, kiedy się nie pojawiła, na twarzy Juliana pojawił się nikły uśmiech. Pomyślał, że wreszcie rozumiała, i odetchnął. W końcu nie będzie go nachodzić. Kiedy jednak nie pojawiła się następnego i kolejnego dnia, zaczął się denerwować i martwić. Popołudniami, kiedy miała zwyczaj przychodzić, siedział z napiętymi nerwami. Nasłuchiwał, czy ojciec, który od jakiegoś czasu darzył Eleonorę wielką sympatią, wita się z nią na progu, jak zwykł to robić. Bębnił palcami w oparciu fotela i natarczywie wpatrywał się we wskazówki zegara stojącego w gabinecie, zaklinając je, aby się cofnęły, dając Eleonorze czas na dotarcie. Czas biegł jednak nieubłaganie i kiedy Eleonora nie pojawiła się czwarty dzień z rzędu, przyrzekł sobie, że jutro wybierze się do Schrammów z wizytą. Nie, nie zamierzał robić jej nadziei, przekonywał sam siebie. Musi jedynie się dowiedzieć, że jest bezpieczna.

Eleonora pojawiła się jednak u Michałowskich następnego dnia, nie zdając sobie sprawy, że jej niezamierzona nieobecność spowodowana zamieszkami zrobiła więcej dobrego niż jej codzienne wizyty i uświadomiła Julianowi, że córka bankiera nie była, nie jest i zapewne nie będzie mu obojętna. A jednak nie potrafił się przełamać. Trwali więc nadal w tym dziwnym układzie, w którym ona opowiadała, co się wydarzyło w ostatnich godzinach, a on od czasu do czasu prychał, dając wyraz swojemu niezadowoleniu.

Pewnego wieczoru przed snem Eleonora zwierzyła się siostrze. Musiała podzielić się z kimś wątpliwościami i usłyszeć zapewnienie, że postępuje dobrze. Racionalnie.

– Bóg mi świadkiem, że próbuję, ale dopada mnie zniechęcenie. Jestem zmęczona udawaniem radości, kiedy przepełnia mnie smutek. Może powinnam posłuchać tego, czego chce Julian. Tego, o czym mówi mi bezgłośnie, wyrażając to swoim zachowaniem. Może powinnam dać za wygraną?

– A potrafisz? – zapytała Stefania.

– Nie, chyba nie. Na pewno nie. Nie mogę pozwolić mu zostać na zawsze w tym fotelu, pogrążonemu w ciemnościach, wpatrującemu się w ściany. Wiem, że mój Julian gdzieś tam jest.

– No to zrób wszystko, żeby do ciebie wrócił. Znam cię, Eleonoro, ty nigdy się nie poddajesz.

Otucha, jaką wlała w nią siostra, dodała Eleonorze skrzydeł. Jak zwykle po pracy ruszyła do Zakrzówka. Teraz, kiedy nastała wiosna i na dworze zrobiło się przyjemnie ciepło, spacer był czystą przyjemnością, chociaż czasami marzyła o samochodzie. Jakaż przyjemnością byłoby jego prowadzenie i jakaż to dawałoby swobodę.

Myśląc o możliwościach, jakie rozwinęłyby się przed nią, gdyby umiała prowadzić samochód, szła ustalonym traktem. Była nieopodal targu na Starym Kleparzu, kiedy zobaczyła mrowie ludzi krzyczących i wyzywających kupców. Próbowali wywrócić stragany, rozrzucić lub zdeptać leżące na nich towary. Chcąc ominąć zamieszanie, skręciła w pierwszą ulicę i przyspieszyła kroku. Lecz nie

było to jedyne miejsce, gdzie łzono sprzedawców, wygrażając im od spekulantów i złodziei. Im bliżej Rynku, tym sytuacja była poważniejsza. Zauważyła patrole wojskowe, ale w przeciwieństwie do wydarzeń ze stycznia, kiedy były one jedynie zabezpieczeniem na wypadek rozwoju demonstracji, dziś wojskowi mieli pełne ręce roboty, ponieważ zarówno w ich stronę, jak i w stronę witryn sklepowych leciały kamienie oraz inne przedmioty.

Eleonora przycisnęła się do ściany budynku. Była kilkadziesiąt kroków od domu, lecz tych parę metrów wydawało się odległością nie do przejścia. I wtedy usłyszała strzały. Patrole, nie mogąc dać sobie rady z demonstrantami, zaczęły strzelać w powietrze. Ostrzegawczo. Niestety, manewr ten tylko rozsierdził ludzi. W ruch poszło więcej kamieni. Mężczyźni ruszyli na żołnierzy. Wydawało się, że za chwilę dojdzie do regularnej bitwy, jednak wtedy obelgi i rozkazy zostały zagłuszone rozdzierającym kobiecym krzykiem. W ciągu kilku minut na placu zapadła cisza. Ludzie stanęli w miejscu. Kamienie powypadały z uniesionych rąk, uderzając w kostkę z charakterystycznym dźwiękiem.

Cisza była dziwna, nienaturalna. Eleonora słyszała bicie własnego wystraszonego serca i płacz błagającej o pomoc kobiety. Rozejrzała się dookoła. Zobaczyła ją zaledwie kilka kroków od siebie. Zalewająca się łzami matka obejmowała nieprzytomną, może czternastoletnią dziewczynkę. Eleonora podbiegła do nich.

– Jestem pielęgniarką, proszę pani. Niech pani pozwoli...

Kobieta odsunęła się nieco, układając dziecko na ziemi. Eleonora już wiedziała. Nie miała szansy, aby ją uratować. Dziewczyna została poważnie ranna. Krew wypływająca z miejsca, które kula przeszła na wylot, wypływała strumieniem, tworząc wokół niej swoistą czerwoną obwódkę. Eleonora przysiadła na ziemi, towarzysząc płaczącej kobiecie i trzymając zimną już dłoń rannej. Siedziały tak razem, dopóki nie nadeszła pomoc.

\*\*\*

– Nie było cię wczoraj. – Słowa Juliana zaskoczyły Eleonorę, kiedy następnego dnia, błada i z ciemnymi sińcami pod oczami, weszła do gabinetu.

W innych okolicznościach pewnie ucieszyłaby się, że powiedział przynajmniej jedno zdanie, ale nie dziś, kiedy wciąż opłakiwała niewinną dziewczynkę, która stanęła w nieodpowiednim miejscu w nieodpowiednim czasie. Dziecko było kolejną ofiarą straszliwej wojny, która wciąż trwała i pochłaniała tysiące ludzkich istnień. W gabinecie zapanowała ciężka, trudna do zniesienia cisza. Julian przyglądał się Eleonorze spod przymkniętych powiek. Schudła. Zmizerniała. Jej policzki mocno się zapadły, a pod oczami z dnia na dzień powiększały się sińce. Dłonie miała szorstkie i spracowane. A włosy, które kiedyś tak podziwiał, straciły naturalny blask.

– Chciałabym, żebyś nauczył mnie prowadzić samochód – odezwała się wreszcie.

Jej słowa zaskoczyły go tak bardzo, że raptownie odwrócił się w jej stronę, unosząc powiekę.

– Gdybym umiała prowadzić samochód, nie musiałabym wszędzie chodzić pieszo. Po pierwsze, zaoszczędziłabym mnóstwo czasu, a po drugie, byłabym bezpieczniejsza w tych niebezpiecznych czasach. Twój ford wciąż stoi na tyłach dworu.

– Oszalałaś? – Krew w nim zawrzała. Przemknęło mu przez myśl, że ona śmie natrzasać się z jego kalectwa. – Wydaje ci się, że to świetny żart, aby prosić ślepego o naukę jazdy?

– Owszem, jesteś ślepy, ale nie ma to nic wspólnego z utratą jednego oka. – Odsunął się instynktownie, kiedy zdenerwowana Eleonora podbiegła do niego bardzo blisko. – Zamykasz się w tych czterech ścianach. Ukrywasz się, chociaż nie masz powodu. Masz za nic ludzi, którzy się o ciebie martwią i którzy cię kochają.

– Chyba mam powód, żeby się ukrywać? Żeby opłakiwać swoje życie? Kim jestem? Kim się stałem? Potworem bez oka, z ciałem budzącym obrzydzenie nie tylko w mojej matce, która mówiąc do mnie, odwraca wzrok, ale także we mnie! – Julian patrzył prosto na Eleonorę. – Jestem człowiekiem, który wzbudza litość!

– Wzbudzasz litość swoim zachowaniem, a nie dlatego, że straciłeś oko i zostałeś

pokieroszowany. Na Boga, widziałam żołnierzy bez nóg i rąk. Wciąż czuję smród rozkładających się ciał i słodkawy zapach krwi płynącej niczym górski potok. Kiedy zamykam oczy, śnię koszmary. Oni wyciągają do mnie odarte ze skóry ręce, dotykają mnie powykręcanymi palcami, po których spływa żółtawy, oślizły płyn wydostający się z pękających bąbli. Nieustannie szepczą mi do ucha błagalne prośby, żebym im pomogła. Męczę się, ale wiem, że muszę być silna. Muszę przez to przejść, bo niebawem zaczną wracać inni. Chorzy, ranni, bez kończyn. Oszpeчени. Martwi za życia. Będą potrzebować pomocy. I chcę im ją dać. A ty użalasz się nad okiem i kilkoma bliznami, które możesz schować pod koszulą!? Do cholery, masz drugie oko, a ciało, choć okaleczone, jest nadal sprawne! – wrzasnęła tak głośno, że musieli ją zapewne słyszeć w drugiej części domu.

Julian zamilkł. Patrzył na nią wrogo, a potem znienacka przyciągnął do siebie i pocałował z pasją. Mocno, agresywnie, bez opamiętania, jakby tym jednym pocałunkiem chciał wymazać czas, jaki stracili przez te długie miesiące. Eleonora westchnęła. Rozchyliła wargi, zapraszając jego język do tańca z własnym. W końcu ją puścił.

– Wróciłeś do mnie? – zapytała, głaszcząc go po twarzy.

– Nie, pożegnałem się. Zwalniam cię z obietnicy, jaką mi dałaś, kiedy ci się oświadczyłem. Nie planuj już ślubu i nie traktuj mnie jak narzeczonego. Teraz masz czas, żeby zająć się tymi, którzy wrócą i nie będą się użalać nad głupim okiem i kilkoma ranami. – Po tych słowach odwrócił się od niej i usiadł w fotelu.

Patrzyła na niego oszołomiona. On też jej się przyglądał. Miała ochotę go uderzyć. Mocno, z całej siły, tak żeby został ślad. Na wieczność. Żeby patrząc na niego, zawsze pamiętał o tej chwili.

O chwili, w której sprawił jej największą przykrość. Chwili, w której – takie miała wrażenie – skończyło się życie, jakie znała i jakiego oczekiwała. Podeszła do niego, chociaż wcale nie miała takiego zamiaru.

– Nie wykpisz się tak łatwo – mówiła cicho, łagodnie i uwodzicielsko. Nie poznawała siebie. Mimo to nie przestawała go kokietować. – Nie pozwolę ci żegnać się ze mną w ten sposób. Całujesz mnie, jakby świat miał się skończyć, a potem odtrącasz? Bądź mężczyzną, Julianie. Pokaż, że potrafisz więcej niż tylko całować.

Julian wstał powoli. Przyciągnął ją do siebie. Kiedyś na balu, kiedy po raz pierwszy piła absynt, też tak na niego patrzyła. Miał wtedy ochotę przyciągnąć ją do siebie i nie bacząc na zebranych w sali gości, całować do utraty tchu, a potem kochać się z nią mocno, szybko i gwałtownie, tak jak chciała, tak jak pragnęła, bo to mówiły jej oczy. Dziś też tak na niego patrzyła. Ale on już nie był tym Julianem. To było w innym życiu.

– Nie przypuszczałem, że to powiem, lecz cieszę się, że pokazujesz swoje prawdziwe oblicze. Gdybyś po moich słowach wybiegła z tego pokoju z płaczem, może bym się zastanowił, czy nie pobiec za tobą, ale tak... – Przerwał. Wpatrywał się w nią natarczywie. – Matka miała rację. Hrabia nie wiąże się z kimś takim. Cóż, wychodzi na to, że zawsze należy słuchać matki. Swoimi wdziękami powinnaś kusić takich jak ty. Przypuszczam, że doktor Bloch będzie zachwycony. – Eleonora szarpnęła się mocno, wrywając się z jego uścisku. Jej oczy na przemian rzucały gromy i zachodziły łzami.

– Idź do diabła! – krzyknęła po chwili i biegiem ruszyła do drzwi.

– Eleonoro! – próbował ją zatrzymać Aleksander Michałowski.

Stała przy nim przez chwilę w otwartych drzwiach, ale chociaż bardzo chciała wypłakać się na czyimś ramieniu, nie powiedziała ani słowa. Po chwili zbiegła ze schodów i bez oglądania się za siebie, z twarzą mokrą od łez ruszyła w kierunku domu, do którego nie dotarła.

Zamiast tam znalazła się pod drzwiami Dawida. Miała nadzieję, że doktor będzie w domu. Nie chciała w takim stanie szukać go w szpitalu. Zapukała. Najpierw cicho i niepewnie, ale kiedy nikt nie otwierał, zaczęła walić w drzwi z całych sił.

– Na Boga! – z tymi słowami Dawid otworzył, wpuszczając do domu niespodziewanego gościa. – Eleonora?

– O nic nie pytaj – poprosiła. – Nic nie mów. Tylko zrób mi herbaty. I może daj jeszcze coś mocniejszego. – Widząc jego sceptyczną minę, podeszła bliżej. – Proszę. Nie mam ochoty

na tłumaczenia. Nie mam ochoty na kazania. Mam ochotę na coś ciepłego i rozgrzewającego.

Kiedy to mówiła, w uszach wciąż brzmiały jej ostatnie słowa Juliana. Ten mały diabełek, który ponosił winę za jej nadmierne przywiązanie do absyntu, wyskoczył niczym filip z konopi. Idea zemsty pojawiła się spontanicznie. Tak nagle, że Eleonora nawet nie miała czasu, żeby wziąć pod rozwagę konsekwencje tego, co zamierzała zrobić. Zamiast tego podeszła powoli do Dawida i zarzuciła mu ręce na szyję. Spojrzał na nią niepewnie.

– Właściwie nie potrzebuję niczego w płynie, co oczywiście nie wyklucza pragnienia, aby zakosztować czegoś ciepłego i rozgrzewającego. – A potem z szerokim, zawadiackim uśmiechem zbliżyła usta do jego warg. Doktor wahał się przez chwilę.

Chciał ją odsunąć. Chciał zapytać, co się stało. Chciał ją zapewnić, że chyba nie zamierzała robić tego, co robiła, lecz od tak dawna pragnął ją pocałować, że machnął w duchu ręką na wszelkie wątpliwości. Czy zawsze musi być prawomyślny? Czy zawsze musi słuchać głosu rozsądku?

Najpierw całował ją natarczywie, zachłannie, jakby chciał się nasycić na zapas. Potem zwolnił. Uspokoił się. Pocałunki stały się delikatniejsze, ale dłuższe, bardziej czułe. W końcu wziął ją na ręce i zaniósł do sypialni. Nie broniła się przed tym. Czuł, jak przyspieszyło jej serce. Odsunął się od niej i spojrzał jej głęboko w oczy. Odwzajemniła spojrzenie. Poważne i pewne.

– Chcesz tego? – zapytał, chociaż przyszło mu to z trudem. Bał się, że i tak się nie zatrzyma, nawet jeśli Eleonora się rozmyśli. Ale ona pokiwała głową i przyciągnęła go do siebie.

Kochali się powoli, uważnie. Długo. Nie raz, a dwa. Dawid nie zastanawiał się, czy w trakcie Eleonora myślała o Julianie. Nie zastanawiał się, czy był to akt zemsty, czy rozpaczy, bo wiedział, że coś się stało. Czuł podskórną, intuicyjną, że Eleonora i Julian nie są już razem. A zatem nie doprowadził do ich rozstania, a ona nie była winna zdrady. Przynajmniej fizycznie. Chciał się cieszyć chwilą i robił to. W końcu zasnęli wyczerpani.

Eleonora obudziła się pierwsza. Nie musiała się zastanawiać, gdzie jest. Nie zapomniała, że przyszła do Dawida. I wbrew temu, czego oczekiwała, nie miała moralnego kaca. Nie czuła się winna i nie żałowała swojej decyzji.

Już kiedy stała pod jego drzwiami, zaświtała jej myśl, że przyszła tu, ponieważ jego też darzyła uczuciem. Nie tak silnym jak Juliana, lecz jednak głębokim. Ta świadomość dawała jej pewność, że Dawid nie był, nie jest i nie będzie zastępstwem za Juliana.

Spojrzała na śpiącego doktora. Pocałowała go i wstała delikatnie, żeby go nie obudzić. Ubrała się i wyszła. Miała wiele do przemyślenia. Pewne postanowienie już w niej kiełkowało. Chciała dać mu szansę na rozwinięcie. A do tego potrzebowała ciszy i samotności.

Dwa dni później Franciszek, służący Schrammów, przybył do Zakrzówka, żeby przekazać młodemu hrabiemu małe pudełeczko. Ojciec wręczył je synowi i zostawił go samego. Julian otworzył pakunek. I chociaż wiedział doskonale, co znajdzie w środku, na widok zaręczynowego pierścionka zrobiło mu się słabo.

Tego samego dnia na progu mieszkania Dawida Blocha pojawił się umyślny z listem, w którym Eleonora prosiła o czas i zrozumienie.

\*\*\*\*\* W czasie I wojny światowej Maria Skłodowska-Curie brała udział w zorganizowanej przez siebie służbie radiologicznej na potrzeby szpitali wojskowych. Wozy radiologiczne pojawiające się w pobliżu frontu nazywano „małymi Curie”.



## Rozdział 15

– Jesteś idiotą, Julianie. – Rozalia chodziła po gabinecie tam i z powrotem.

Julian nie odezwał się od chwili, kiedy wbiegła tutaj przed niespełna kwadrans. Nie przypuszczał, że siostra złoży mu wizytę, chociaż wiedział, że przyjaźni się z Eleonorą.

– Jesteś idiotą, skoro odrzucasz jej uczucia. Nie rozumiem, dlaczego z własnej nieprzymuszonej woli odmawiasz sobie prawa do szczęścia? Dlaczego rezygnujesz z tego, co w twoim życiu najlepsze? – Zrobiła przerwę i podeszła do fotela, na którym siedział. Wpatrywała się w brata intensywnie. Czekwała na jego odpowiedź, ale on nie zamierzał się odzywać. – Do cholery! Odezwij się! – Rozalia podskoczyła do niego i łapiąc go za koszulę, potrząsnęła nim z całej siły.

– Odejdź – warknął. – Nie masz prawa mnie pouczać. To nie twoje życie, więc nie mieszaj się do niego.

– Ale ty miałaś prawo mieszać się do mojego?

– Może gdybyś wcześniej wykazywała się taką postawą, jaką wykazujesz się dzisiaj, nie musiałabyś wychodzić za mąż za Tojewa. Prawisz mi o szczęściu, a sama jesteś chodzącym nieszczęściem. Najpierw zaznaj go na własnej skórze, potem pouczaj innych.

– Nic o mnie nie wiesz, Julianie. Przestałeś mieć prawo do wtrącania się w moje życie, kiedy wyjechałeś na studia do Francji. Zapomniałeś, jaka byłam, i nie poznałeś mnie teraz.

– Więc mnie oświeć! – krzyknął, wstając wreszcie z fotela, który był dla niego schronieniem. – Opowiedz o swoim wielkim małżeńskim szczęściu. O sielance, jaką przeżywasz z mężem. O ile on w ogóle jest w Krakowie. Ma cię za nic. Zostawił cię od razu po ślubie. Porzucił, jak dziecko porzuca niechcianą zabawkę. Popsutą, niechcianą zabawkę. Nie wiem, jakim cudem matka Tojewa zobaczyła dziwkę w mojej cichej, zahukanej siostrze. Jaka jest prawda o tobie, Rozalio? Jesteś chodzącym nieszczęściem czy wyuzdaną ladacznicą? – Nawet nie zauważył, kiedy siostra uniosła dłoń.

Głowa odskoczyła mu do tyłu, gdy Rozalia wymierzyła siarczysty policzek. Dotknął twarzy, ale nie odpowiedział.

– Idź do diabła, Julianie – warknęła i wybiegła z gabinetu, przypominając Julianowi zdarzenia sprzed kilku dni, kiedy tak samo pożegnała się z nim Eleonora.

„Może powinienem iść do diabła”, pomyślał i z powrotem usiadł w fotelu. Dwa dni później skruszony odwiedził Rozalię, przepraszając ją za swoje zachowanie.

\*\*\*

Eleonora zamknęła drzwi mieszkania. Przystanęła w przedpokoju, wsłuchując się w panującą wokół ciszę. Westchnęła ciężko. Zapewne gdyby nie jej własne problemy, już dawno zainteresowałyby się zachowaniem rodziców. Od dłuższego czasu zdawała sobie sprawę, że coś się między nimi zmieniło, ale najpierw nie miała odwagi zapytać, nie chcąc być posadzoną o wścibstwo, którego powinna się wystrzegać, zwłaszcza jeżeli chodziło o sprawy pomiędzy małżonkami, później zaś przytłoczyły ją własne zmartwienia.

Właśnie wieszala płaszcz, kiedy w drzwiach służbówki pojawił się Szymon.

– Dobry wieczór, panienko.

– Dobry wieczór, Szymonie. Pani nie ma?

– Nie, pani wyszła po obiedzie i jeszcze nie wróciła. – Szymon odruchowo zerknął na zegarek. Eleonora poszła w jego ślady. Był kwadrans po szóstej. – Pana także nie ma w domu.

– Panna Stefcia w domu?

– Nie, niestety nie. Czy panienka życzy sobie czegoś? – Kiedy Eleonora pokręciła przecząco głową, Szymon zaczął wycofywać się do swojego pokoju. – Byłbym zapomniiał – powiedział po chwili. – Przesyłka przyszła jakąś godzinę temu. – Podał Eleonorze list oraz niewielką paczkę.

Chwilę później Eleonora usiadła wygodnie na łóżku, przyglądając się kopercie, której nadawcą była Kancelaria Adwokacka Marcelego Birnbauma. Drżącymi palcami rozerwała kopertę. W środku

znajdowała się krótka notatka, która w bezduszny, służbowy sposób informowała ją, że wdowa Wielogłowska, którą swego czasu Eleonora regularnie odwiedzała, zmarła. Kartka wysunęła się z jej palców, upadając na dywan. Po policzku dziewczyny spłynęła pojedyncza łza.

– Przepraszam – szepnęła Eleonora, patrząc w okno. – Przepraszam.

Zanim sięgnęła po list, siedziała w zamyśleniu przez dłuższy czas, nie mając siły przeczytać go od razu. W końcu jednak zerknęła na staranne pismo Wielogłowskiej.

Droga Eleonoro,

nie martw się i nie obwiniaj za to, że ostatnio przestałaś do mnie zaglądać. Nie miałam, nie mam i jeżeli coś jest na tamtym świecie, nie będę miała Ci tego za złe. Prawdę powiedziawszy, zawsze podziwiałam Cię, że pomimo nawału pracy i zmęczenia, które widoczne było na Twojej twarzy, znajdowałaś czas dla mnie, starej kobiety.

Pewnie gdybyś tamtego dnia nie przeprosiła mnie za to, że nie będziesz mogła zaglądać już do mnie, sama kazałabym Ci przestać. Tak więc widzisz, że dobrze się stało. Wiedz, że czas, który z Tobą spędziłam, wspominam jak najmilej. Nasze rozmowy sprawiły, że powracały do mnie najlepsze chwile mojego życia. Twoja ciekawość i umiejętność słuchania pozwoliły mi raz jeszcze, na krótko, wrócić do czasów młodości.

Cóż, Eleonoro, czas na mnie. Mam nadzieję, że podróż w nieznane, która czeka mnie za chwilę, będzie tak samo przyjemna jak te, które już za mną.

Marianna Wielogłowska

Eleonora sięgnęła ręką po paczkę. Rozerwała papier. Trzymając w dłoniach jej zawartość, zaczęła się śmiać. Śmiała się i płakała jednocześnie. Tylko Marianna mogła wpaść na pomysł, żeby podarować jej *W 80 dni dookoła świata* Juliusza Verne'a z jego własnoręcznie napisaną dedykacją oraz książkę *Winnnetou. Czerwonoskóry dżentelmen* Karola Maya.

\*\*\*

W czasie gdy Eleonora czytała list wdowy Wielogłowskiej, Stefania szykowała się do poważnej rozmowy z ojcem, który siedział naprzeciwko niej w restauracji Thorna na Krakowskiej, gdzie po usilnych prośbach o rozmowę Jan Schramm zabrał córkę.

U Thorna jak zwykle było pełno. Stefania zdziwiła się nieco, że ojciec wybrał akurat tę restaurację.

– To miejsce od zawsze słynie z wybornej kuchni. Zresztą wystarczy rozejrzeć się po wnętrzu. Jak widzisz, więcej w niej gojów niż żydów. Wasz dziadek często mnie tu zabierał. Uwielbiał siadywać tam, na uboczu, czekając, aż Abraham Thorn, ojciec Hirscha, przysiadzie się do niego. Dyskutowali godzinami. Na każdy temat. Dziś stary Thorn dobiega już siedemdziesiątki i z tego, co mi wiadomo, tylko czasami pojawia się w lokalu, pomagając Hirschowi i wnukom, Mojżeszowi, Michałowi i Izaakowi. – Schramm zamilkł na chwilę, skupiając się na menu. Dopiero kiedy odłożył kartę, zwrócił się znowu do córki: – Mówi się, że pomieszczenia, w których dziś znajduje się restauracja, wieki temu były apartamentami Esterki, kobiety, którą król Kazimierz darzył szczególnym uczuciem. Spójrz na to obelkowanie na suficie, może nie jest aż tak stare, ale z pewnością przypomina to z wawelskich komnat. Nie da się zaprzeczyć, Thorn ma nie tylko znakomitą kuchnię, lecz i wyjątkową atmosferę.

Stefania jeszcze przez jakiś czas taksowała wzrokiem wnętrze restauracji. Przyglądała się belkowemu sklepieniu, ścianom, meblom i oczywiście gościom. Chociaż była tu po raz pierwszy, wiedziała, że miejsce to upodobali sobie wyżsi urzędnicy magistratu, radni miasta, profesorowie uniwersytetu i literaci. Raz jeden, kilka lat temu, słyszała, jak o tym miejscu opowiadał wuj Władysław. Ciotka Leokadia zwierzyła się wtedy matce, że mąż przesiaduje tutaj godzinami, konwersując ze współpracownikami.

„Kiedy zasiada u Thorna, zapomina o bożym świecie. – Słowa ciotki wróciły we wspomnieniach. – Rozprawiają, debatują, a przy tym próbują smażonych gęsich szyjek, faszerowanego szczupaka, zajadają strudle z jabłkami i oczywiście popijają to wszystko śliwownicą

i miodem”.

A że restauracja otwarta była cały tydzień, Stefania zrozumiała teraz niechęć Leokadii do tego przybytku, zwłaszcza że wuj najczęściej zachodził tu w sobotę, ponieważ zgodnie z obowiązującym zwyczajem za posiłki i napitki skonsumowane w tym dniu nie pobierano od razu opłaty, a proszono jedynie o jej uiszczenie w kolejnym tygodniu. Ponoć sam gospodarz zapewniał, że nie zdarzyło się, aby ktoś zwlekał z opłatą albo nie dokonał jej wcale.

– Na co masz zatem ochotę? – zapytał Jan, widząc, że Stefania także odłożyła kartę.

– Prawdę mówiąc, nie jestem głodna. Chciałam z ojcem porozmawiać, ale skoro już tu jesteśmy, to skuszę się na strudel z jabłkami i rodzynkami.

– Świetny pomysł. – Jan Schramm skinął na jednego z synów właściciela, którzy kelnerowali w lokalu, żeby złożyć zamówienie. – Czy coś cię trapi? – zapytał, kiedy ponownie zostali sami.

– W rzeczy samej. Zapewne nie ja jedna zauważyłam, że atmosfera w domu od jakiegoś czasu się zmieniła. Coś się dzieje. Mam wrażenie, że nie jesteście sobą, ty i mama. I proszę, nie zaprzeczaj. Nie jestem już małym dzieckiem ani egzaltowanym podlotkiem, którego można zbyć błahą opowiadką. Chcę wiedzieć, co się stało. – Stefania natarczywie wpatrywała się w ojca, który poprawił się na krześle kilka razy.

– Nic. I nie mam zamiaru cię zbywać. Po prostu jakiś czas temu okoliczności, zresztą całkiem przypadkowe, sprawiły, że odbyliśmy z matką poważną, lecz potrzebną rozmowę. Myślę, że każdemu małżeństwu taka rozmowa jest potrzebna. Oczyszcza atmosferę. Wyjaśnia nieporozumienia. Dzięki niej oboje z matką jesteśmy szczęśliwsi.

– Jakoś trudno mi w to uwierzyć. – Stefania nie dawała za wygraną.

– Zapewniam cię, córciu, że nie masz powodów do żalu. Nigdy wcześniej nie rozumieliśmy się tak dobrze z waszą matką jak teraz. Wydaje mi się, że rozmowę tę powinniśmy odbyć wiele lat temu, ale jak to się mówi, lepiej późno niż wcale.

Chociaż Stefania nie była przekonana do słów ojca, to widząc jego minę, zrozumiała, że nie ma sensu drażnić tematu, ponieważ Jan Schramm powiedział już wszystko, co miał do powiedzenia. Spędzili u Thorna jeszcze jakieś trzy kwadransy, zając się wyborem strudla i rozmawiając o sprawach niezwiązanych z kwestiami rodzinnymi.

\*\*\*

Lato miało się powoli ku końcowi. Od dnia, w którym Eleonora posłała Juliana do diabła, nie odwiedziła Zakrzówka. Jej stosunki z Dawidem, chociaż w pewnym sensie byli sobie teraz bliżsi niż ona i Julian, się nie zmieniły. Dawid stanął na wysokości zadania i dał jej czas. Nie zamierzał się narzucać. Czekał i Eleonora szanowała go za to.

Poza tym kiedy czasami rozmyślała o Julianie, sama nie wiedziała, czy cieszy ją fakt, że nikt z dworu Michałowskich nie pofatygował się do domu Schrammów, czy smuci. Nie zastanawiała się nad tym, jak miałyby się zachować, gdyby Julian poprosił ją o przebaczenie. Co miałyby mu powiedzieć? Czy przyznać się do tego, co zrobiła z Dawidem, czy może zapomnieć i udawać, że nigdy nie zasnęła w ramionach doktora Blocha? Od tych rozmyślań bolała ją głowa, dlatego starała się na razie tego nie roztrząsać.

Niemniej nadal przyjaźniła się z Rozalią i nawet szczególnie nie dociekając, wiedziała, że Julian wciąż stronił nie tylko od najbliższych, odpychając ich od siebie, lecz w ogóle od ludzi. Większość dnia przesiadywał w swojej sypialni. Jeżeli już opuszczał pokój, to raczej w godzinach wieczornych lub nocnych, kiedy domownicy dawno położyli się spać. Stał się odludkiem. Samotnikiem. Na pytanie, czy zamierza wrócić do pracy, wzruszał ramionami.

– Mówi, że nie ma do czego wracać. Jak zapewne wiesz, Edmund zginął w bitwie pod Bielgowem. To był dla Juliana duży cios. Byli nie tylko współpracownikami, ale także przyjaciółmi. – Rozalia sięgnęła po filiżankę mocnej herbaty, którą podano w salonie Schrammów. – Ojciec nie ustaje w próbach i namowach mających skusić Juliana do otwarcia własnej kancelarii, tylko na razie to czcza gadanina. Mój brat jest nieugięty. Nie wiem, co musiałoby się stać, żeby do nas wrócił. Nie tylko ciałem,

ale i duchem. – W pokoju zapadła cisza, którą przerwało dopiero pytanie Rozalii: – A co u Stefci?

– Ona też prawie nie wychodzi z pokoju. – Eleonora ściszyła głos na wypadek, gdyby jednak siostra zdecydowała się opuścić ich wspólną sypialnię. – To trwa już tyle czasu. Była z ojcem w restauracji u Thorna. Kiedy wracali spacerkiem do domu, ojciec zajrzał do apteki pana Teofila. To właśnie wtedy dowiedzieli się, że Mikołaj nie żyje.

– To straszne. Tylu młodych ludzi straciło życie. Tylu młodych ludzi na zawsze zostało okaleczonych. I nie myślę tylko o mężczyznach, którzy poszli walczyć, ale także o nas, kobietach, które w taki czy inny sposób straciły swoich mężów, narzeczonych, ukochanych.

– Kilka dni temu Stefcia poprosiła ojca, żeby napisał list do przyjaciół rodziny w Wiedniu. Chce na jakiś czas wyjechać z Krakowa. Zresztą nie tylko ona. – Eleonora westchnęła. – Ja też. Wiem od Dawida, który niebawem opuszcza miasto, że we Francji z inicjatywy Mikołaja hrabiego Potockiego zainicjowano Towarzystwo Pomocy Rannym Polakom.

– Chcesz tam wracać? Po tym wszystkim, czego byłaś świadkiem? – Rozalia przyglądała się Eleonorze.

– Jak to powiadają, jeżeli spadniesz z konia, niezwłocznie na niego wsiądź ponownie. Poza tym nie będę sama. Dawid też wyjeżdża. – Poczuli, że jej policzki zrobiły się cieplejsze. Miała nadzieję, że Rozalia nie zauważyła, że się zaczerwieniła. Zaledwie kilka dni temu podjęła decyzję, że wyjedzie do Francji. – Założyciele Towarzystwa uważają, że Polakom należy się polska opieka. Poczują się różnie i bardziej swojsko. Nigdy nie będzie dobrego momentu, żeby tam wrócić. Im szybciej, tym lepiej.

– Spotykasz się z nim? – Rozalia nie musiała mówić, że myśli o Dawidzie.

– Nie, ale wiem, że nie jestem mu obojętna. – Policzki paliły ją teraz żywym ogniem. Rozalia była spostrzegawcza i niegłupia, lecz dzięki Bogu dyskretna. – Lubię go, Rozalio. Bardzo go lubię. Dawid się nie narzuca. Daje mi czas. Poza tym łączy nas ta sama pasja. To dobry człowiek.

– A Julian?

– Julian... – Smutek w głosie Eleonory był wyraźny. – Zostawił mnie. Przepędził. Odepchnął na wszystkie możliwe sposoby. – Eleonora pochyliła się w stronę Rozalii, jakby chciała tym zaakcentować własne słowa. – Tęsknię za nim. Wciąż mam nadzieję, że wróci. Czekam i marzę, że znowu będziemy razem, ale sama przed chwilą powiedziałaś, że on się nie stara. Nie próbuje walczyć z własnymi demonami. Jeżeli sam ich nie pokona, nikt nie zrobi tego za niego.

– Spróbuj. Spróbuj jeszcze raz. – Rozalia chwyciła rękę przyjaciółki, ściskając ją mocno. Tym gestem prosiła o pomoc dla Juliana.

– Nie, już próbowałam. – Eleonora delikatnie wysunęła dłoń z uścisku Rozalii. Może zdecydowałyby się to zrobić, lecz nie po tym, co się wydarzyło w mieszkaniu Dawida.

Przez jakiś czas siedziały w milczeniu. W końcu Rozalia zaczęła opowiadać o Maksymilianie i uczuciu, które kwitło, uszczęśliwiając ją coraz bardziej.

– Tojew niczego nie podejrzewa? – zapytała Schrammówna.

– Podczas poprzedniej wizyty w domu zwrócił uwagę, że wyglądam inaczej. Bardziej radośnie, promiennie, ale nie drażył tematu. Dopiero ostatnio zapytał, czy jest coś, o czym chciałabym mu powiedzieć.

– Powiedziałaś?

– Tak. Pokiwał tylko głową ze zrozumieniem.

– Niemożliwe? Żadnych wyrzutów? Kłótni? Zakazów? – dopytywała Eleonora.

– Żadnych. Prosił tylko o dyskrecję. I... – Rozalia rozejrzała się dookoła, sprawdzając, czy nikt nie podsłuchuje. – I przyznał, że też ma kogoś w Wiedniu. Poznał tę kobietę już po naszym ślubie. Nie szukał jej towarzystwa specjalnie ani ona jego, lecz widać los tak chciał, że spotykali się co rusz przypadkiem. Czuli się dobrze w swoim towarzystwie. Mają te same pasje. Polityka. – Rozalia uśmiechnęła się szeroko, jakby opowieść nie dotyczyła jej małżeństwa. – Przeprosił mnie, ponieważ wyznał, że nie bronił się przed tym uczuciem. Może i grzeszymy, cudzołożąc, ale po raz pierwszy w życiu jestem naprawdę szczęśliwa.

– No proszę, życie zaskakuje mnie cały czas.

Umówiły się na ponowne spotkanie, lecz na kilka dni przed wyznaczonym terminem Rozalia otrzymała wiadomość od Schrammów, że Eleonora jest chora. Notatka była krótka i lakoniczna, dlatego postanowiła dowiedzieć się czegoś więcej, odwiedzając Szpital św. Filipa, w którym pracowała starsza córka bankiera.

– Dawidzie! – zawołała Rozalia, widząc go wychodzącego pośpiesznie ze szpitala, dokąd udała się dwa dni później.

– Rozalia? Przykro mi, ale Eleonory nie ma w pracy. – Córka Michałowskiego skinęła głową. Dawid nie zwolnił kroku, przez co siostra Juliana musiała prawie biec, chcąc usłyszeć to, co miał do powiedzenia. – Nora jest poważnie chora. – W końcu przystanął, widząc, że Rozalii zaczyna brakować tchu. – Wybacz mi, że nie mogę poświęcić ci dużo czasu, spieszę się do Schrammów. Pewnie w innej sytuacji zabrałbym cię ze sobą, ale muszę cię prosić, żebyś wróciła do domu. Obawiam się, że to grypa. Najpewniej zaraziła się podczas ostatniego pobytu we Lwowie, gdzie byli z ojcem i siostrą.

Rozalia nie nalegała. Słyszała o grypie atakującej całą Europę. Postanowiła pomodlić się za szybki powrót Eleonory do zdrowia, a potem złożyć wizytę w Zakrzówku, żeby powiedzieć bratu o chorobie córki bankiera. Miała szczerą nadzieję, że wieść o niej otrzeźwi Juliana. Może potrzebował informacji mrożącej krew w żyłach, aby zacząć żyć.

Tymczasem Dawid Bloch wszedł do sypialni, którą jeszcze do niedawna Eleonora dzieliła z młodszą siostrą. Pomyślał, że dobrze się złożyło, że Stefania wyjechała kilka dni temu do przyjaciół rodziny do Wiednia.

Powietrze w pokoju było duszne i niezdrowe. Otworzył okno. Na podłodze leżały zużyte chusteczki, czerwone od krwi, która wypływała z błon śluzowych nosa. Eleonora zaczęła z trudem oddychać, chwilę później wstrząsnął ją niepohamowany atak kaszlu. Na ustach pojawiła się krew. Dawid zmierzył gorączkę. Była wysoka. Za wysoka. Miał nadzieję, że przyszedł w porę. Nie wyobrażał sobie, żeby Eleonora mogła paść ofiarą szalejącej pandemii.

Przychodził każdego dnia, aplikując lekarstwa. Z obawą, ale i nadzieją patrzył na rozwój choroby. Cztery dni po jego pierwszej wizycie nastąpiło załamanie. Przesiedział przy jej łóżku całą noc i cały kolejny dzień. Wiedział, że najbliższe godziny będą decydujące. Musiał zasnąć, ponieważ ocknął się dopiero, czując czyjąś dłoń, łagodnie przeczesującą włosy.

– Zasnąłeś. – Głos Eleonory był słaby i chrapliwy, a oczy, chociaż wciąż szkliste od nieco podwyższonej temperatury, patrzyły trzeźwo.

– Obudziłaś się. – Uśmiechnął się szeroko. – Jak się czujesz?

– Okropnie. Jestem słaba, śmierdząca i głodna jak wilk.

– Na razie możemy cię tylko nakarmić.

Objawy zaczęły z wolna mijać. Eleonora wracała do zdrowia, czując się lepiej każdego dnia. Na twarzy znowu pojawiły się zdrowe rumieńce, oczy zaczęły lśnić z emocji, a nie trawiącej ją gorączki.

Pod koniec września Dawid przyszedł pożegnać się z Eleonorą. Była już całkowicie zdrowa, ale wciąż jeszcze zbierała siły, które utraciła w czasie choroby.

– Spotkamy się na miejscu. Wyjdę po ciebie na dworzec – powiedział, stojąc już na klatce schodowej. – Nie powinnaś tu ze mną wychodzić. Wciąż jeszcze jesteś słaba. Będę czekał we Francji. Z niecierpliwością. A teraz idź już.

– Do zobaczenia, Dawidzie. – Bloch odwrócił się i już był przy schodach, kiedy Eleonora podeszła do niego, wspięła się leciutko na palce i delikatnie go pocałowała. – Dziękuję. Dziękuję za wszystko, nie tylko za opiekę.

Zatrzymał ją. Przyciągnął do siebie leciutko. Chciał oddać pocałunek namiętnie i z czułością, lecz Eleonora odsunęła się delikatnie. Nie wymknęła się jednak z jego uścisku. Położyła dłoń na piersi Dawida w miejscu, gdzie biło jego serce.

– Dziękuję za cierpliwość – powiedziała cicho.

Nie odpowiedział, ale uśmiechnął się szeroko. Nie robił sobie nadziei, chociaż miał ku temu wszelkie powody. Po ich pierwszym i jak dotąd jedynym razie, kiedy się kochali, postanowił nie

zmieniać niczego w swoim zachowaniu. Intuicja podpowiadała mu, że tak powinien postąpić. I miał rację. Eleonora właśnie tego od niego oczekiwała. Starał się być cierpliwy, chociaż przychodziło mu to z coraz większym trudem. Czasami miał ochotę zapytać ją wprost, jaka będzie ich przyszłość. Czy wspólna, czy jednak ich drogi się rozejdą, nie spotkawszy się na dłużej, poza tym jednym małym, ale jakże cudownym epizodem?

Popatrzył na Eleonorę przez dłuższą chwilę, a potem skinął głową ze zrozumieniem i powoli zszedł po schodach.

\*\*\*

Eleonora westchnęła głęboko. Znowu stała na dworcu. Przypomniała sobie dzień, w którym zegnali Stefanię, która tuląc się do siostry i pochlipując cichutko, opowiedziała o marzeniach, jakie mieli z Mikołajem.

– On kochał grać – mówiła tamtego dnia. – Kiedy wychodził na scenę, stawał się postacią, w którą się wcielał. Widzowie go kochali. Mógłby tu, w Krakowie, zrobić szalenczą karierę, grywać na deskach Słowackiego, lecz Mikołaj mierzył wyżej, dalej. Chciał więcej. Marzyła mu się kariera w kinie. Chciał występować na srebrnym ekranie. „Kiedyś pojedziemy do Ameryki – obiecywał. – Ty i ja. Oboje znani i kochani. Będą wiwatować na nasz widok. Będą ustawiać się po autograf”. Teraz już nikt nie będzie cieszył oczu jego grą. Nie będzie Ameryki i kolejki po autografy. Dlaczego musiał to zrobić? – Podniosła głowę i spojrzała w twarz siostry załzawionymi oczami. Wciąż nie otrząsnęła się po wiadomości, jaką przekazał jej ojciec Mikołaja. – Dlaczego musiał się zgłosić? Błagałam go, żeby tego nie robił. Obiecał, że wróci. Obiecał! – krzyknęła, łapiąc powietrze jak ryba wyciągnięta z wody, nie zważając, że zwraca na siebie uwagę innych pasażerów oczekujących na pociąg do Wiednia. – Drań! Tchórz! Cholerny mały tchórz! Nie wrócił, bo się bał, że nie da rady. Że nie udźwignie ciężaru sławy. Tak jest łatwiej, prawda? – Spojrzała na siostrę, która jeszcze mocniej otuliła ją ramieniem. Chciała, żeby Stefania się uspokoiła. Nie mogła w takim stanie wsiąść do pociągu i podróżować samotnie przez wiele godzin.

A teraz ona sama szykowała się do wyjazdu, chociaż ojciec próbował przekonać córkę, że nie powinna wyjeżdżać do odległej Francji, skoro historia działa się na ich oczach, albowiem niedaleko, w budynku Rady Miejskiej przyjęto uchwałę popierającą Radę Regencyjną w Warszawie i ogłoszono deklarację niepodległości Polski.

– Eleonoro. – Znajomy głos sprawił, że serce Schrammówny podskoczyło z radości. Odwróciła się w stronę, z której dobiegał.

Julian stał nieopodal. Elegancki, przystojny, pewny siebie. Zupełnie nie przypominał człowieka, którego widziała tamtego wieczoru w Zakrzówku i o którym opowiadała jej Rozalia. Odwróciła się do ojca, który szepnął jej do ucha, że zostawi ich na chwilę samych. Była mu wdzięczna za ten gest. Julian podszedł bliżej.

– Wyjeżdżam – powiedziała, chcąc przerwać ciszę.

– Wiem – odparł, wpatrując się w nią intensywnie, jakby chciał zapamiętać jej twarz na zawsze. – Rozalia powiedziała mi, że chorowałaś. Chciałem się upewnić, że nic ci nie jest.

– Tylko tyle? – zapytała.

Milczał bardzo długo, jakby się zastanawiał nad odpowiedzią. Jakby decyzja, którą podjął, przychodząc tu, mogła okazać się błędna.

– Tak – odparł w końcu. – Żegnaj, Eleonoro – dodał na odchodnym.

Oczy zaszyły jej łzami. Przez wiele dni, odkąd nie widziała Juliana i nie miała o nim wiadomości, myślała, że o wszystkim zapomniała. Tymczasem wystarczyło krótkie spotkanie, żeby zburzyć jej spokój. Uczucie do niego wciąż było silne. Znacznie potężniejsze niż to, jakim darzyła Dawida. Na myśl o tych dwóch mężczyznach jęknęła cicho, pozwalając płynąć łzom po policzkach.

Musiała coś z tym zrobić. Jej poukładane życie nagle stało się tanim romansem. Za ból, który odczuwała, myśląc raz o Julianie, raz o Dawidzie, mogła winić tylko siebie.

Nie zwracała uwagi na innych pasażerów, którzy spieszyli na perony. Nie słyszała zapowiedzi

o nadjeżdżających pociągach. Nie zauważyła nawet, że ojciec do niej wrócił. Wsparła się na jego ramieniu. Nie było mowy o wyjeździe. Nie dziś. Nie oponowała, kiedy ojciec zaprowadził ją do czekającej dorożki. Postanowiła odłożyć wyjazd.

Kilka dni później Eleonora pomyślała, że dobrze zrobiła, ponieważ dzięki temu miała okazję być świadkiem niesamowitego wydarzenia.

Kraków wreszcie stał się wolny, a to wszystko za sprawą odważnego porucznika Antoniego Stawarza, który przygotował brawurową akcję. Znając lokacje oraz zwyczaje panujące wśród austriackich żołnierzy, w przedostatnim dniu października wykorzystał element zaskoczenia, opanowując dworzec kolejowy w Płaszowie. Dzień później skoro świt, posuwając się powoli we mgle, jaka zawisła nad miastem, wraz z grupą wiernych spiskowców stanęli przed austriackimi koszarami przy Kalwaryjskiej. Pełniących tam wartę czeskich żołnierzy, zresztą przy współpracy tych ostatnich, rozbrojono bez walki, szybko i skutecznie.

– Dziś wolnym jest żołnierz Polak! Zrzuciliśmy z siebie jarzmo niewoli! – krzyknęli żołnierze u boku Stawarza, wprawiając przechodniów w osłupienie.

Zdziwienie nie trwało jednak długo. Korowód niepodległościowy ruszył dalej, wyzwalając kolejne posterunki i rozbrajając następne koszary. Do akcji zaczęli się przyłączać zwykli ludzie. Młodzież i studenci. Jan Schramm wyrzwał przez okno, słysząc podniesione, entuzjastycznie brzmiące głosy.

Na widok powiewających biało-czerwonych flag z białym orłem w jego oczach zalśniły łzy.

– Jesteśmy wolni! – krzyknął, wracając do salonu. Po czym nie czekając na reakcję Tekli i Eleonory, zbiegł po schodach i wypadł na Rynek, gdzie kłębili się już inni, ciesząc się tą niezwykłą nowiną.

Ludzie krzyczeli i wiwatowali. Łzy płynęły im po policzkach. Ktoś złapał Schramma w mocnym uścisku, całując go w oba policzki. Ktoś inny poklepał go po ramieniu, krzycząc tuż przy uchu, że Polska znowu jest wolna. Eleonora stanęła obok ojca. Przytuliła się do niego. Minę miała smutną, ponieważ nie potrafiła cieszyć się tak beztrudnie. Myślała o siostrze, która pisała, że szczęśliwie dotarła do Wiednia, ale nadal nie potrafi odnaleźć się w rzeczywistości, w której nie ma Mikołaja, i o Julianie, który najwyraźniej zrezygnował z walki o ich uczucie. Chciała przeżywać tę jedyną w swoim rodzaju radość u boku siostry i mężczyzny, którego wciąż kochała. Los zdecydował jednak inaczej.

– Wracajmy do domu – powiedziała po chwili. – Czas spakować walizki.

9

Julian górował wzrostem nad innymi podróżnymi. Stał na początku peronu, lustrując kłębiących się pasażerów. Zerknął dla pewności na zegarek. Miał jeszcze około dwudziestu minut do podstawienia pociągu. Wyteżył wzrok. Szukał spokojnie, metodycznie i w końcu ją zauważył. Stała samotnie z boku, starając się nikomu nie wchodzić w drogę. Głowę miała spuszczoną, a ramiona smętnie zwieszane. Nie przypominała jego buńczucznej, zawsze skorej do słownych przepychanek Eleonory.

Zaczął się przeciskać pomiędzy ludźmi. Zauważał ich spojrzenia. Przyzwyczyił się już do nich. Kiedy wyszedł z domu po raz pierwszy po tym, jak Rozalia poinformowała go o chorobie Eleonory, by w kościele pomodlić się żarliwie o jej ocalenie, zauważył, że kobiety spoglądają na niego z ciekawością i dziwnym błyskiem w oku, we wzroku mężczyzn zobaczył zaś nie litość, lecz szacunek. Na dodatek kiedy podzielił się swoimi spostrzeżeniami z siostrą, ta powiedziała, że dla kobiet jest teraz znacznie bardziej pociągający, jego twarz i aparycja zyskały bowiem na tajemniczości. I widział to w spojrzeniach, jakimi teraz go obdarzano.

Zatrzymał się dopiero przy Eleonorze. Odwróciła się powoli. Wzrok miała nieodgadniony, odległy.

– Wiesz, że kiedy zobaczyłam cię pierwszy raz, gdy podjechałeś samochodem pod sklep Gałkowskiej, pomyślałam, że jesteś najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego widziałam. – Zamilkła na chwilę. – Myliłam się. To teraz jesteś najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego widziałam.

– Jesteś sama? – zapytał, nie komentując jej słów.

– Słucham? – Odwróciła się w jego stronę raz jeszcze, a wtedy jej wzrok stał się bardziej świadomy. – Nie. Towarzyszy mi ojciec. Tylko na chwilę zostawił mnie samą. Do odjazdu pociągu mam jeszcze sporo czasu, ale wolałam być wcześniej. Nigdy nie wiadomo, co może przytrafić się po drodze.

– A matka? Nie jest przy tobie? Podobno wyjeżdżasz na dłużej?

– Matka... – Jej głos zawisł w połowie zdania. – Tekla Schramm wprawdzie nie jest już tą Teklą, jaką znali ludzie, ale to nie jest też tak, że nie chciała tu być. To ja ją prosiłam, żeby została w domu. Przy ojcu raczej nie będę płakać. W obecności matki ta sztuka mogłaby się nie udać. Poza tym czas przywyknąć, że nie będzie przy mnie najbliższych.

– Będzie Dawid. – Julian ściszył głos, wypowiadając imię Blocha.

– Tak... – Wyczuł w jej głosie wahanie. Czekał na kolejne słowa, lecz te nie padły.

– Odepchnąłem cię. Sam jestem sobie winien. Wciąż jeszcze zmagam się ze swoimi demonami, dlatego nie mogę cię prosić, żebyś została, ale jestem tu, żeby powiedzieć jedno. Byłem głupi, ale dzięki Bogu zmądrzałem. Mam nadzieję, na czas. Nie poddam się. Będę walczył. – Zapadło milczenie. Julian czekał na decyzję Eleonory.

– Zmęczyła mnie ta gra, Julianie. Nie mam już siły. Potrzebuję spokoju. Dystansu. Między innymi dlatego wyjeżdżam. Nigdy nie byłam kobietą, która ciągnie dwie sroki za ogon. To nie ja. Wtedy nie byłabym sobą. – Roześmiała się cicho na to porównanie. – I mam nadzieję, że taką kobietą nie będę. Zrobiłam coś, czego robić nie powinnam, ale nie żałuję. Nie wiem, czy wiedząc o tym, wciąż miałbyś ochotę walczyć. – Jej słowa zawisły w powietrzu niczym papierosowy dym.

Przez chwilę stali w milczeniu. W końcu odezwał się Julian.

– Chcę ciebie, Eleonoro Schramm – powtórzył stanowczo.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem i kiedy Eleonora myślała, że Julian odejdzie bez słowa, ten przyciągnął ją jednym płynnym ruchem do siebie. Jego pocałunek był zaborczy, namiętny, nieprzyzwoity i obiecujący. Puścił ją równie szybko. Eleonora oddychała jak po męczącym biegu. Nie zauważyła nawet, że pociąg, na który czekała, wreszcie stanął na peronie.

– A, byłbym zapomniał – powiedział Julian na odchodnym. – Jeśli mnie pamięć nie myli, to należy do ciebie. – I z tymi słowami włożył coś do kieszeni jej płaszcza.

Kiedy Eleonora otwierała małe pudełeczko z pierścionkiem, Julian opuszczał już dworzec. Patrzyła na błyszczący kamień i miała ochotę cisnąć go na tory. W jej sercu walczyły dwa pragnienia. Z jednej strony chciała go włożyć na palec i pobiec za Julianem. Z drugiej pragnęła wsiąść do pociągu i wyjechać stąd jak najdalej, żeby dać sobie czas i wolność. Zapomnieć o Dawidzie i Julianie.

O tym, że niezależnie od tego, którego z nich wybierze, ten drugi będzie cierpieć. I ona pewnie z czasem również. Obu nie mogła mieć. A może w takim razie nie powinna mieć żadnego?

W końcu pożegnała się z ojcem i zajęła miejsce w przedziale. Głośnie gwizd lokomotywy zwiastujący odjazd zakończył rozmyślenia Eleonory. Opuszczała Kraków. Na jak długo?

– Czas pokaże – szepnęła, żegnając ukochane miasto i ludzi, których kochała.